

STANISŁAW LEM

# ASTRONAUCI

**CZ PIERWSZA  
KOSMOKRATOR**

## BOLID SYBERYJSKI

30 CZERWCA 1908 roku dziesiątki tysięcy mieszkańców rodkowej Syberii mogły obserwować niezwykle zjawisko przyrody. Wczesnym rankiem tego dnia pojawiła się w niebie, o lepij co biała kula, która z nadzwyczajną szybkością przelatywała z południowego wschodu na północny zachód. Widziana była w całej guberni jenijskiej, rozpościerała się na przestrzeni z gór pięciuset kilometrów. W strefie jej przelotu dygotała ziemia, dzwoniły szyby, tynk opadał ze ścian, mury się rysowały, zaś w miejscach odleglejszych, gdzie bolid nie był widoczny, słyszano potężny łoskot, który wywołał powszechne przerażenie. Wielu ludzi sądziło, że nadchodzi koniec świata; robotnicy w kopalniach złota porzucili pracę, trwoga ogarnęła nawet zwierzęta domowe. W kilka chwil po zniknięciu ognistej masy podniósł się za horyzont słup ognia i nastąpiła poczwórna detonacja, słyszalna w promieniu 750 kilometrów.

Wstrząs skorupy ziemskiej zarejestrowały sejsmografy wszystkich stacji Europy i Ameryki, a fala powietrzna, wywołana wybuchem, posuwając się z szybkością światła, dotarła do odległego o 970 kilometrów Irkucka po godzinie, do Poczdamu, odległego 5000 kilometrów, po 4 godzinach 41 minutach, do Waszyngtonu po 8 godzinach, i wreszcie w Poczdamie spostrzeżono ją ponownie po 30 godzinach 28 minutach, gdy obiegłszy dokoła kul ziemską wróciła po przebyciu 34 920 kilometrów.

Podczas najbliższych nocy pojawiły się w rejonach szerokości Europy same wiejące obłoki o niezwykłym, srebrnym blasku, tak silnym, że uniemożliwił niemieckiemu astronomowi Wolfowi w Heidelbergu fotografowanie planet. Gigantyczne masy rozproszonych cząstek, wyrzucone eksplozją w najwyższe warstwy atmosfery, dotarły po kilku dniach do drugiej półkuli. W tym właśnie czasie astronom amerykański Abbot badał przezręczność atmosfery i zauważył, że pogorszyła się ona znacznie z końcem czerwca. Przyczyna tego zjawiska była mu podówczas nieznana.

Mimo swych rozmiarów katastrofa w rodkowej Syberii nie zwróciła uwagi świata naukowego. W guberni jenijskiej krążył przez pewien czas fantastyczny wieści o bolidzie; przypisywano mu to wielkość domu, to nawet góry, opowiadano o ludziach, którzy widzieli go rzekomo po upadku, miejsce to jednak przenoszono zazwyczaj w opowiadaniach daleko poza granice własnego powiatu, sporo pisano też w gazetach, lecz nikt nie przedsięwziął poważniejszych poszukiwań i powoli cała historia zaczęła przechodzić w niepamięć.

Dalszy jej ciąg rozpoczyna się w roku 1921, kiedy to radziecki geofizyk Kulik przypadkowo przeczytał na wyrwanej ze starego kalendarza cennej kartce opis olbrzymiej gwiazdy spadającej. Objędując niedługo potem wielkie połacie rodkowej Syberii, Kulik przekonał się, że wśród tamtejszych mieszkańców wciąż jeszcze żywe jest wspomnienie niezwykle zjawiska z 1908 roku. Wypytawszy wielu naocznych świadków, Kulik upewnił się, że meteor, który wtargnął nad Syberię od strony Mongolii, przesybował nad wielkimi równinami i spadł gdzieś na północy, z dala od dróg i osiedli ludzkich, w nieprzebytej tajdze.

Od tej pory stał się Kulik entuzjastycznym badaczem meteoru, znanego w literaturze fachowej jako bolid tunguski. Opracował też prowizoryczne plany terenu, w którym, jak sądził, upadł meteor, i dał je geologowi Obruczewowi, gdy ten wyruszył w roku 1924 na samotną wyprawę. Odbываяc z polecenia Komitetu Geologicznego badania w rejonie rzeki Podkamiennej Tunguskiej, Obruczew dotarł do faktorii Wanowary, w której to okolicy miał według obliczeń Kulika upaść meteor. Starał się zebrać o nim wiadomości od tubylców, co przychodziło mu niełatwo, gdyż Tunguzi ukrywali miejsce upadku, uważając je za święte, a sam katastrofę za złe pięnię z nieba na ziemi bogów ognistego. Mimo to Obruczew dowiedział się, że w odległości kilku dni podróży od faktorii odwieczna tajga jest powalona

pokotem na przestrzeni wieluset kilometrów i ten meteor upadł nie w rejonie Wanowary, jak się działo w Kulaku, lecz co najmniej 100 kilometrów dalej na północ.

Kiedy Obruchew opublikował zebrane informacje, sprawa nabrała rozgłosu i w roku 1927 radziecka Akademia Nauk zorganizowała pod kierownictwem Kulika pierwszą wyprawę w tajgę syberyjską dla odkrycia miejsca upadku.

Opuszczywszy okolice zamieszkałe, po wielu tygodniach uciążliwego marszu przez tajgę wyprawa weszła w strefę wiatrołomu. Las leżał powalony wzdłuż drogi meteoru na przestrzeni stu co najmniej kilometrów: Kulik pisał w swoim pamiętniku: „Nie mogę wci jeszcze ogarnąć ogromu tego zjawiska. Silnie wzgórzysta, góriska niemal okolica; rozciąga się na dziesięć kilometrów, w dal za horyzont... Na północy białe warstwy niegdyś pokryte góry nad rzeką Chuszmo. Stąd, z naszego punktu obserwacyjnego nie widać ani śladu lasu: tajga powalona, dziesięć tysięcy wyrwanych z korzeniami i rzuconych na zmarzniętą ziemię osmalonych pni, a wokół wielokilometrowym pasem wyrosły młodniaki, przebijające się ku słońcu i niebiosom... Zdumienie ogarnia, gdy widzi się trzydziestometrowe olbrzymie leżące pokotem, z odrzuconymi ku południowi wierzchołkami... Dalej, w głąb krajobrazu zarośla przechodzą smugami w ocalałą tajgę i tylko na szczytach dalekich wzgórz występują białymi plamami miejsca огоłocone z drzew.”

Wkroczywszy w strefę wiatrołomu, ekspedycja przez wiele dni szła wśród powalonych i nadwzrostłych pni drzewnych, za ciepłymi torfiastymi gruntami. Wierzchołki leżących drzew wciąż wskazywały na południowy wschód, stronę, z której przybył meteor. Wreszcie 30 maja, w całym miesiącu po opuszczeniu faktorii Wanowary, osiągnięto ujście rzeki Czurgumy, u którego rozbito trzynastą z kolei obóz. Na północ od obozu znajdowała się rozległa kotlina, otoczona amfiteatrem wzgórz. Tutaj po raz pierwszy spostrzegła wyprawa promienisty obwał lasu.

„Zaczęłam krążyć — pisał Kulik — po górskim cyrku wokół wielkiej kotliny na zachód; przechodząc dziesięć kilometrów nagimi grzbietami wzgórz, a wiatrołom leżał na nich wierzchołkami na zachód. Ogromnym kręgiem obszedłem całą kotlinę ku południowi, a drzewa, jak zaczarowane, tak się skierowały wierzchołkami ku południowi. Wróciłem do obozu i znów szczytami ruszyłem na wschód — a drzewa leżały tutaj zwrócone na wschód. Natężyłem wszystkie siły i raz jeszcze wyszedłem ku południowi po górskich szczytach; leżące pnie zwracały wierzchołki ku południowi. Nie było już wątpliwości: obszedłem wkoło miejsca upadku! Ognisty brył rozpalonych gazów i materii uderzył meteor w dolinę z jej wzgórzami, tundry i moczarami. Jak struga wody, bijąc w płaską powierzchnię, rozsiewa promienie ciepła bryzgi na wszystkie strony, tak strumień rozpalonych gazów połószył las na obszarze dziesięciu kilometrów, wywołując ten straszliwy obraz zniszczenia.”

W tym dniu uczestnicy wyprawy byli przekonani, że najwskazywało im się za nimi i rychło ujrzeli miejsce, w którym gigantyczna masa zderzyła się ze skorupą ziemską. Nazajutrz ruszyli w głąb kotliny. Marsz przez miejscami tylko powalony las był męczący i niebezpieczny. Zwłaszcza w pierwszej połowie dnia, kiedy wiatr się wzmacniał, idąc cym wśród martwych; odartych z komarów pni groziło przywalenie, bo drzewa padały z przeraźliwym łomotem to tu, to tam, bez żadnych oznak ostrzegawczych, nieraz w pobliżu w drowców. Trzeba było nieustannie wpatrywać się w ich szczyty, aby w porę uskoczyć, a jednocześnie nie zwracać pilnej uwagi na ziemię, bo w tundrze rościły się odmieńce.

We wnętrzu kotliny otoczonej amfiteatrem łysych pagórków ujrzeli uczestnicy wyprawy wzgórze, równinne tundry, moczary, rozlewiska i jeziora. Tajga leżała równoległymi rzędami nagich pni, zwróconych wierzchołkami w różne strony, a korzeniami wskazujących do środka kotliny. Powalone drzewa nosiły wyraźne ślady ognia, który zwęgliał drobniejsze gałęzki, a większe gałęzie i korzenie osmalił. W pobliżu brzośnia kotliny, pośród strzaskanych drzew odkryto znaczny ilość lejów o średnicy od kilku do kilkudziesięciu metrów. Tyle tylko stwierdziła pierwsza wyprawa, która musiała natychmiast zawrócić z powodu braku żywności i

wyczerpania uczestników. Kulik i jego towarzysze byli pewni, że odkryte w kotlinie leje o błotnistym dnie, cz sto zalany m tn wad , stanowi krater, w których gł bi spoczywaj odłamy meteorytu.

Druga wyprawa z najwi kszym nakładem wysiłków przywiozła po bezdro ach w gł b tajgi maszyny, które umo liwiły dokonanie pierwszych próbnyc wierce , po uprzednim przekopaniu i osuszeniu lejów. Prace toczyły si w ci gu krótkiego, upalnego lata, w dusznym powietrzu, roj cym si od zjadliwych komarów, które całymi chmarami unosz si z błot. Wiercenia dały wynik ujemny. Nie odnaleziono nie tylko szcz tków meteoru, ale nawet ładów jego zderzenia z ziemi W postaci wyst puj cej w takich wypadkach m ki skalnej, to jest miazgi i okruchów kamiennych, stopionych wysok temperatur . Zamiast nich natrafiono na wody gruntowe, gro ce zalaniem maszyn, a po ich ocembrowaniu i przebicciu, które wymagało olbrzymiej pracy, widry wdarty si w wieczne zlodowaciały ił. Co gorsza, przybyli na miejsce specjali ci od powstawania torfu, gleboznawcy i geolodowie orzekli jednogło nie, i rzekome krater, nie maj nic wspólnego z meteorem i e podobne twory, zawdzi czaj ce swe powstanie normalnym procesom tworzenia si pokładów torfu podmywanego wod gruntow , mo na spotka wsz dzie na dalekiej północy. Rozpocz to wi c systematyczne poszukiwania meteoru za pomoc deflektometrów magnetycznych. Wydawało si oczywiste, e tak ogromna masa elaza musi stworzy anomali magnetyczn , przyci gaj c igiełki kompasów, ale aparaty niczego nie wykazały. Od południa wzduł rzek i strumieni prowadziła ku kotlinie szeroka na wiele kilometrów aleja obalonych drzew; sam kotlin otaczały wachlarzem le ce pnie; obliczono, e zniszczenia te wywołała energia rz du 1000 trylionów ergów, e wi c masa meteoru musiała by olbrzymia — a jednak nie znaleziono najmniejszego nawet odłamka; ani jednego okrucha, adnego krateru, adnego miejsca, które by nosiło łady potwornego upadku.

Jedna za drug szły w tajg ekspedycje wyposa one w najczulsze aparaty. Zakładano sie punktów triangulacyjnych, badano stoki wzgórz, dno błotnistyc jezior i strumieni, wiercono nawet dno moczarów — wszystko na pró no. Rozlegały si głosy, e, by mo e, meteor nale ał do kamiennych, przypuszczenie nieprawdopodobne, poniewa meteorytyka nie zna bardzo wielkich bolidów kamiennych, ale i w tym wypadku byłaby okolica usiana jego odpryskami. Kiedy za opublikowano rezultaty bada nad powalonym lasem, wynikła nowa zagadka.

Ju przedtem spostrze ono, e tajga powalona była nierównomiernie i e le ce linie nie zawsze wskazywały na rodek kotliny. Co wi cej, gdzieniegdzie w odległo ci kilku—zaledwie kilometrów od kotliny stał nietkni ty, nie zgorzały bór, podczas gdy kilkana cie kilometrów dalej znów napotykało si tysi ce obalonych modrzewi i sosen. Próbowano to wytłumaczy tak zwanym „efektem cienia”; cz ci tajgi miały ocale , osłoni te od fali podmuchowej grzbietami wzgórz, a dla wyja nienia, czemu w niektórych miejscach drzewa powalone s w inn stron , twierdzono, e ten obwał lasu nie miał nic wspólnego z katastrof i został spowodowany zwykł burz .

Lotnicze mapy fotograficzne terenu obaliły wszystkie te hipotezy. Na zdj ciach stereoskopowych wida było doskonale, e jedne połacie lasu le ały rzeczywi cie współ rodkowo wokół kotliny, a inne stały nietkni te. Las był tak powalony, jakby wybuch nie uderzył z jednakow sił we wszystkich kierunkach, lecz jakby ze rodka kotliny wybiegły szersze i w sze „strumienie”, które długimi alejami kładły drzewa.

Sprawa pozostawała niejasna przez wiele lat. Od czasu do czasu wywi zywały si w prasie naukowej dyskusje na temat meteoru tunguskiego. Wsuwano najrozmaitsze przypuszczenia: e była to głowa małej komety czy te obłok zag szczonego pyłu kosmicznego, adna jednaka hipotez nie mogła wyja ni wszystkich faktów. W noku 1950, kiedy historia meteoru zacz ła ju ucicha , pewien młody ,uczony radziecki opublikował mow hipotez , tłumacz c wszystko w sposób niesłychanie miący.

Na dwie doby przed pojawieniem się nad Syberią meteoru tunguskiego — pisał młody uczonek — jeden z astronomów francuskich zauważył małe ciało niebieskie, które z wielką szybkością przeniknęło przez pole widzenia jego teleskopu. Niedługo potem astronom ów opublikował to spostrzeżenie. Ani on, ani nikt inny nie wiedział o tej obserwacji z katastrof syberyjskiej, ponieważ gdyby owo małe ciało było meteorem, musiałyby upaść w zupełnie innej okolicy. Mogło ono być identyczne z bolidem tunguskim tylko w jednym wypadku, tak nieprawdopodobnym, że nikt nie pomyślał o tym nawet przez chwilę: gdyby meteor mógł dowolnie zmieniać kierunek i szybkość swego lotu, jak sterowany statek.

To właśnie nie twierdził młody uczonek. Gwiazda spadająca, znana jako meteor tunguski, była statkiem międzyplanetarnym, który nadciągnął ku Ziemi po hiperbolicznej drodze z okolicy gwiazdozbioru Wieloryba, a zamierzając lądować zaczął opisywać wokół naszej planety zacieńnięcia się elipsy. Wówczas właśnie nie dostrzegł go w swym teleskopie astronom francuski.

Statek był, jak na pojacie ziemskie, bardzo wielki — masę jego można ocenić na kilka do kilkunastu tysięcy ton. Lecz w nim istoty, obserwujące powierzchnię Ziemi z znacznej wysokości, wybrały do lądowania wielkie, dobrze z oddali widoczne przestrzenie Mongolii, równie, bezładne, jakby stworzone do tego, by na swoich piaskach przyjmowały statki międzyplanetarne.

Pocisk dotarł do okolicy Ziemi po długiej podróży, podczas której osiągnął szybko kilkudziesięciu kilometrów na sekundę. Nie wiadomo, czy już w chwili zbliżenia się mieli podrobniej uszkodzone silniki hamujące, czy też po prostu nie docenili rozległości naszej atmosfery — do czasu, kiedy statek bardzo szybko rozpał się do białego od gwałtownego tarcia i oporu, jaki stawiało mu powietrze.

Tam właśnie nadmiernie szybko spowodowała, że nie udało mu się wylądować w Mongolii, lecz przemknął nad nią na wysokości kilkudziesięciu kilometrów. Prawdopodobnie podrobniej winni byli przed lądowaniem jeszcze kilka razy okrążyć planetę, byli jednak zmuszeni do pośpiechu — czy to awarii silników, czy jakkolwiek inną przyczyną. Starając się zmniejszyć szybkość, puścili w ruch silniki hamujące, które pracowały nierówno, z przerwami. Nieregularny odgłos ich pracy słyszeli mieszkańcy Syberii w postaci gromowych łoskotów. Gdy statek znalazł się nad tajgą, strumienie rozpalonego gazu, wyrzucane z silników hamujących, waliły drzewa na boki. Tak powstała stukilometrowa aleja zwalonych pni, przez którą przedzierały się późniejszej ekspedycji syberyjskiej.

Nad okolicą Podkamiennej Tunguskiej statek zaczął tracić szybkość. Wzgórzysty, pokryty lasem i moczarami teren nie nadawał się do lądowania. Pragnąc go przelecieć, podrobniej skierowali dziób statku w góry i ponownie zapuścili silniki hamujące. Było już jednak za późno. Statek, olbrzymia masa rozpalonego do białego metalu, stracił stateczność, opadał, a podrzucany nierówną pracą silników, zataczał się i wirował. Gazy odrzutowe z silników obalały las to bliżej, to dalej, kładły go całymi ulicami, osmalały korony i gałęzie. Po raz ostatni wznosił się statek w góry przelatując nad zewnętrznym pierścieniem wzgórz. Tutaj, wysoko nad kotliną, nastąpiła katastrofa. Prawdopodobnie wybuchły zapasy paliwa. W straszliwej eksplozji metalowa bryła została rozerwana na strzępy.

Takie objaśnienie tłumaczyło wszystkie znane fakty. Wyjaśniło, w jaki sposób las został zniszczony, czemu w jednych miejscach był tylko obalony, a w innych także zgorzały, wreszcie, dlaczego gdzieś ocalały wyspy nietkniętych drzew. Ale czemu statek rozpadł się tak, że nie odnaleziono najmniejszych nawet szczątków? Jakiego paliwa silnikowego przy wybuchu może zabłysnąć odświeżenie i osmałenie tajgę na przestrzeni dziesiątków kilometrów? Uczeń odpowiedział na te pytania. Istnieje, stwierdził, tylko jeden sposób, którym można mocniej konstrukcji wozu międzyplanetarnego tak dalece rozproszyć na cząstki, by nie znalazł się wśród nich ani jeden okruch dostrzegalny gołym okiem, i jedno jest tylko paliwo, które płonie z siłą świecąca.

Sposobem tym jest rozkład materii, a paliwem — j dra atomowe.

Gdy silniki pojazdu odmówiły posłusze stwa, zapasy paliwa atomowego eksplodowały. W dwudziestokilometrowym słupie ognia olbrzymi pocisk wyparował i znikn ł jak kropla wody rzucona na rozpalon płyt .

Hipoteza młodego uczonego nie wywołała odd wi ku, jakiego mo na by si spodziewa . Była zbyt miała. Jedni uczeni uwa ali, e za mało posiada faktów na swe poparcie, inni, e zamiast zagadki meteoru stawia zagadk pocisku mi dzyplanetarnego, jeszcze inni wreszcie uznali j za fantazj , godn raczej powie ciopisarza ani eli trze wego meteorologa.

Cho głosów sceptycznych było wiele, młody uczoney zorganizował now ekspedycj w g ł b tajgi dla zbadania promieniotwórczo ci w miejscu upadku. Nale ało niestety liczy si z tym, e krótko istniej ce produkty rozpadu atomów wywietrzały w ci gu minionych 42 lat. Powierzchniowe iły i margle kotliny wykazywały w badaniu nieznacz n tylko zawarto pierwiastków radioaktywnych. Tak nieznacz n, e nie mo na było wyci gn z tego adnego wniosku, poniewa znikome ilo ci ciał promieniotwórczych znajduj si tak e w zwykłym gruncie. Ró nice le ały w granicach bł du pomiarowego. Mogły znaczy bardzo wiele lub bardzo mało, w zale no ci od osobistych przekona eksperymentatora. Sprawa pozostała nie rozstrzygni ta. Niebawem ucichły ostatnie echa dyskusji w czasopismach naukowych, jaki czas prasa codzienna roztrzała jeszcze zagadnienie, sk d mógł przyby statek mi dzyplanetarny i jakie podró owały w nim istoty, lecz te bezpłodne spekulacje ust piły miejsca wiadomo ciom o post pach budowy olbrzymich elektrowni nadwoł a skich i donieckich, o ostatecznym przebicciu Bramy Turgajskiej energi atomow , o skierowaniu wód Obu i Jeniseju do basenu Morza Martwego. Na dalekiej północy zwarte masywy tundry rok po roku porastały pokłady zwalonych pni, pogr aj cych si coraz g ł biej w grz skim gruncie. Odkładanie torfu, podmywanie i tworzenie brzegów rzecznych, w drówki lodów, tajanie niegów — wszystkie te procesy erozyjne ł czyły si , zacieraj c ostatnie ludy katastrofy. Zdawało si , e jej zagadka na zawsze utonie w niepami ci ludzkiej.



## RAPORT

W roku 2003 zakończone zostało czciowe przelewanie Morza Ródziemnego w głąb Sahary i gibraltarskie elektrownie wodne dały po raz pierwszy prąd do sieci północnoafrykańskiej. Wiele już lat minęło od upadku ostatniego państwa kapitalistycznego. Kończył się trudny, bolesny i wielki okres sprawiedliwego przetwarzania świata. Nadszedł chaos gospodarczy i wojny nie zagrażały już wielkim planom mieszkańców Ziemi.

Niekrępowane przebiegiem granic rosły kontynentalne sieci wysokiego napięcia, powstawały elektrownie atomowe, bezludne fabryki-automaty i transmutatory fotochemiczne, w których energia słoneczna przetwarzała dwutlenek węgla i wodę w cukier. Proces ten, od miliarda lat uprawiany przez rośliny, stał się własnością człowieka.

Nauka nigdy już nie miała wytwarzać środków zniszczenia. W słońcu komunizmu była najpotężniejszym z wszystkich narzędzi przemiany świata. Wydawało się, że nawodnienie Sahary i rzucenie wód Morza Ródziemnego w turbiny elektryczne jest dziełem, które przez długi czas pozostanie nieprześcignione, lecz już w rok później rozpoczęto prace nad projektem tak nieporównanej miłości, że w ciebie usunął nawet Gibraltarsko-Afrykański Zespół Hydroenergetyczny. Międzynarodowe Biuro Regulacji Klimatów przeszło od skromnych prób lokalnej zmiany pogody, od kierowania chmur deszczowych i poruszania masami powietrza do frontowego ataku na głównego wroga ludzkości. Był nim mróz, od setek milionów lat usadowiony wokół biegunów planety. Wieczne lody, kilkusetmetrowym pancernem okrywające Antarktydę, szły przeciwko światu, skuwające

Grenlandię i archipelagi Oceanu Lodowatego, ródła zimnych prądów podmorskich, które oziębły północne brzegi Azji i Ameryki, miały raz na zawsze zniknąć. Dla osiągnięcia tego celu należało ogrzać olbrzymie obszary oceanu i lądów, stopić tysiące kilometrów sześciennych lodu. Potrzebne ilości ciepła mierzono w trylionach kalorii. Tak gigantycznej energii nie mógł dostarczyć uran. Wszystkie jego zapasy byłyby na to zbyt szczupłe. Szczelnie jedna z najbardziej, jak dawniej sędzono, oderwanych od życia nauk, astronomia, odkryła ródło energii podtrzymujące wieczny ogień gwiazd. Jest nim przemiana atomowa wodoru w hel. W skałach i atmosferze Ziemi niewiele jest wodoru, ale wody oceanów stanowią jego niewyczerpany zbiornik.

Myśl uczonych była prosta: stworzyć w pobliżu biegunów olbrzymie „ogniska” o temperaturze słonecznej, które oświetlą i ogrzeją lodowe pustynie. Urzeczywistnieniu tego projektu stały na przeszkodzie trudności, zdawałoby się — nie do pokonania.

Kiedy ludzie zaczęli przemieniać wodór w hel, okazało się, że aden znany na ziemi materiał nie jest zdolny oprzeć się powstawającym w tej reakcji temperaturom milionów stopni. Najtrwalsza cegła szamotowa, prasowany azbest, kwarc, mika, najszlachetniejsza stal wolframowa — wszystko to przemieniało się w parę przy zetknięciu z o wiele cieplejszym ogniem atomowym. Mając paliwo zdolne stopić lody i osuszyć morza, zmienia klimat, ogrzewa oceany i stworzyć pod biegunem długie zwrotnikowe — nie posiadano materiału, z którego można by dla tego paliwa zbudować piec.

Je jednak nic nie może powstrzymać ludzi zmierzających do wytknięcia tego celu, trudno została przezwyciężona.

Jeżeli, rozważali uczeni, nie ma materiału, z którego można zbudować piec dla przemiany wodoru w hel — nie należy go budować wcale. Ogniska atomowe nie można na takie rozniecić na powierzchni Ziemi, ponieważ roztopiłoby ją natychmiast, i pogryzło się w gruncie, wywołując katastrofę. A więc należy je po prostu zawiesić w atmosferze, jak chmury, ale chmury dają się swobodnie kierować.

Uczeni postanowili stworzyć sztuczne słonece podbiegunowe w postaci rozrzuconych kul gazowych wielusetmetrowej średnicy, którym umieszczone z dala dmuchawy dostarczą światła



wodoru, a w równie bezpiecznej odległości zbudowane urządzenia wytwarzające pola elektromagnetyczne, utrzymujące sztucznie słoneca na odpowiednio wysokiej ci.

W pierwszej fazie prac obliczonych na dwudziestolecie przystąpiono do budowy siłowni elektrycznych, które miały dostarczać mocy urządzeniom sterującym. Siłownie te, wznoszone w północnej Grenlandii, na Wyspach Granta, Archipelagu Franciszka Józefa i na Syberii, stanowiły razem tak zwany Atomowy Pierścień Sterujący. W mroźnej, bezludnej, górzystej okolicy ruszyły całe fabryki na kołach i gąsienicach. Maszyny karczowały tajgę i niwelowały teren, maszyny wytwarzały ciepło odmrażając grunt zlodowaciały od milionów lat, maszyny układały gotowe bloki betonu, z których powstawały autostrady, fundamenty domów, tamy i bariery ochronne w dolinach lodowców. Maszyny poruszające się na stalowych stopach — kopaczki, ekskawatory, wieże wiertnicze, spychacze i ładowacze — pracowały dzień i noc, a za ich frontem postawiały inne, wznoszące maszyny wysokiego napięcia, stacje transformatorowe, domy mieszkalne, budując całe miasta i lotniska, na których od razu zaczęły lądować wielkie samoloty transportowe.

Rozgłos tych prac był ogromny. Uwaga całego świata skierowała się na obszary dalekiej północy, gdzie w ród mrozów i zawiści, w temperaturze opadającej do 60 stopni poniżej zera, powstawały jedna za drugą betonowe wieże i stalowe soczewki Pierścienia Atomowego, który w przyszłości miał włączyć nad zawieszonymi w powietrzu kulami wodoru, gorącej tego platynowym blaskiem.

Jednym z takich miejsc budowy była okolica Podkamiennej Tunguskiej. W ród zwałów marglu i gliny, w głębokich wykopach, przebitych w twardej jak skała wiecznej zmarzłoci, na potężnych palach betonowych montowano tam katapultowe stacje raket zastępujących kolejno elazn. W czasie pracy kopaczka wyrwała z dna siedmiometrowego szybu odłam gruntu, który, rzucony na transporter, dotarł do kruszarki mielącej kamienie na drobny wir. Tutaj odłam utknął. Potem na maszynę na mgnienie oka stanęła, a gdy maszynista zwiłszy przed, z by z najtwardszej cementowej stali chrupnęła i wyłamała się. Po rozebraniu maszyny ujrzano wklonowany między jej wały głaz tak twarde, że ledwo brały go pilniki. Przypadkowo dowiedzieli się o znalezisku uczeni, którzy oczekiwali w Podkamiennej Tunguskiej samolotu do Leningradu. Obejrząwszy zagadkowy głaz, wzięli go z sobą. Nazajutrz leżał już w laboratorium leningradzkiego Instytutu Meteorologii.

Początkowo sądzono, że to meteor; była to jednak bryła bazaltu pochodzenia ziemskiego, w której wtopił się zaostrowany na obu końcach walec, wielkości i kształtem przypominający granat. Pocisk ów składał się z dwu nagwintowanych części, skręconych tak silnie, że trzeba było przepiłować ścianki, aby dostać się do rdzaka. Po długich wysiłkach, wezwawszy na pomoc technologów z Instytutu Fizyki Stosowanej, uczeni zdołali wreszcie rozewrzeć tajemniczą skorupę. W środku znajdowała się szpula ze spławy podobnego do porcelany, na której nawinięty był pięciokilometrowej prawie długości drut stalowy. Nic więcej.

W cztery dni później stworzony został międzynarodowy komitet, który zajęł się zbadaniem szpuli. Rychło okazało się, że nawinięty na niego drut był kiedyś namagnesowany. Powierzchniowe zwoje, poddane ongi wysokiej temperaturze, utraciły magnetyzm. Dobrze zachowany był tylko w warstwach głębszych.

Uczeni gubili się w domysłach nad pochodzeniem tajemniczej szpuli. Nikt nie miał pierwszego wypowiedzenia przypuszczenia, które wszystkim cisnęło się na usta. Rzecz stała się jasna, gdy technologowie wykonali analizę chemiczną stopu, z którego sporządzony był drut. Stopu takiego nie produkowano nigdy na Ziemi. Pocisk nie był ziemskiego pochodzenia. Musiał pozostać w związku ze słynnym niegdyś meteoritem tunguskim. Padło nie wiadomo przez kogo wypowiedziane po raz pierwszy słowo „raport”. Istotnie, drut był namagnesowany, tak jakby go na całej długości „zapisano” drganiem elektrycznymi, tworząc jedyny w swoim rodzaju „list międzyplanetarny”. Przypominało to sposób nagrywania dźwięków na taśmie stalowej, z dawniej dawną praktykowaną w radio i telefonii. Niebawem

rozpowszechniło się przypuszczenie, że w krytycznej chwili, kiedy silniki odmówiły posłuszeństwa, podróżnik niewiadomego statku kosmicznego usiłował uratować to, co uważał za najcenniejsze, a mianowicie dokument „spisany” drżeniem magnetycznym na drucie, i wyrzucił go ze statku przed katastrofą. Nie brak było jednak głosów odmiennych, twierdzących, że szpulę wyrzucił ze statku podmuch eksplozji, o czym świadczą widoczne zmiany cieplne jej skorupy.

W prasie naukowej i codziennej toczyły się długie dyskusje o pochodzeniu statku międzyplanetarnego. Nie było bodaj planety układu słonecznego, której by nie podejrzewano o jego wysłanie. Nawet daleki Uran i olbrzymi Jowisz miały swoich zwolenników, zasadniczo jednak opinia powszechna podzieliła się między dwa stronnictwa: Wenerę i Marsa. To ostatnie było niemal dwukrotnie liczniejsze. W roku tym zainteresowanie astronomi było ogromne. Rozchodziły się nieprawdopodobne nakłady księzek popularnych, a nawet fachowych, popyt zaś na amatorskie narzędzia astronomiczne, zwłaszcza lunety, był taki, że najzasobniejsze składnicy wieściły nieraz pustkami. Co więcej, tematyka astronomiczna wtargnęła do sztuki: pojawiły się powieści fantastyczne o zagadkowych istotach z Marsa, którym autorowie przypisywali najbardziej nieprawdopodobne właściwości. Niektóre stacje telewizyjne nadawały w tygodniowych programach naukowych audycje specjalne, poświęcone astronomii. Ogromnym powodzeniem cieszyły się nadawane przez Berlin, a transmitowane przez całą północną półkulę widowiska telewizyjne Podróż na Księżyc. Widzowie oglądali u siebie w domu powierzchnię Księżycy, przybliżyli trzy tysiące razy dzięki temu, że nadawczą aparaturę telewizyjną zainstalowano przy wielkim teleskopie w obserwatorium heidelberskim.

Utworzona tymczasem międzynarodowa Komisja Tłumaczy rozpoczęła słynną „walkę o drut”, jak ją nazwał specjalny korespondent naukowy „Humanite”. Prace najtęższych egiptologów i sanskrytologów, specjalistów od martwych i zaginionych języków, wydają się igraszką w porównaniu z zadaniem, jakie oczekiwało uczonych. „Raport” składał się z osiemdziesięciu kilku miliardów drżeń magnetycznych, utrwalonych w krystalicznej strukturze drutu metalowego. Poszczególne grupy drżeń oddzielone były niewielkimi strefami drutu nie namagnesowanego. Nasuwała się myśl, że każdy taki odcinek jest jednym słowem, lecz przypuszczenie to mogło być mylne. Rzekomy „raport” mógł w samej rzeczy stanowić po prostu zapis rozmaitych instrumentów pomiarowych. Wielu uczonych sądziło, że jeśli „raport” spisany jest nawet za pomocą słów, budowa jego języka może być całkiem inna od wszystkich znanych na Ziemi. Ale i oni zgodni byli w tym, że nie wolno pomijać szansy, która po raz pierwszy w dziejach stała przed nauką.

Uczni mieli przed sobą stos namagnesowanego drutu bez jakichkolwiek objaśnień i zabrali się do pracy.

Najtrudniejszy był początek. Cały drut został przepuszczony przez aparaturę, która zarejestrowała wszystkie drżenia magnetyczne na taśmie filmowej. Cenny oryginał powędrował do podziemnego skarbcza. Odtąd do końca uczeni mieli do czynienia wyłącznie z kopiami filmowymi.

W wstępnych naradach postanowiono pójść jedyną drogą, która obiecywała powodzenie. Słowa każdego języka są symbolami wyobrażeń o pewnych przedmiotach oraz pojęciach: odcyfrowanie języków narodów wymarłych, szyfrów i innych tego rodzaju kryptogramów opiera się na zasadach powszechnych dla każdej mowy. Poszukuje się więc symboli występujących najczęściej, bada, czy dany język posiada charakter obrazkowy, literowy czy zgłoskowy, a co najważniejsze, poszukuje się sposobu, który by pozwolił zrozumieć znaczenie jednego chociażby wyrazu.

Tutaj zwykle przychodzi uczonym z pomocą szczęśliwy przypadek: tak było z hieroglifami egipskimi, kiedy to znalazł się nagrobek, na którym wryty był ten sam napis hieroglifami oraz po grecku, podobnie stało się z pismem klinowym Babilonu czyków.

Co za najwłaśniejsze, twórcy każdego z tych nieznanych języków byli istotami podobnymi do badaczy, byli kiedyś na tej samej planecie, ogrzewało ich to samo Słońce, oglądali te same gwiazdy, rozległy liny i morza, a warunki te, rzecz prosta, sprzyjały wytworzeniu się symboli powszechnych. Zupełnie inaczej było teraz. Jakie pojęcia mogłyby być wspólne nieznanym istotom i ludziom? W jakim miejscu należało przerzucić most przez otchłań dzielącą istoty rozmaitych wiatów? Tym ogniwem był czy czym mogła stać się tylko jedna rzecz: materia.

Cały wszechwiat, od najdrobniejszych ziaren piasku pod naszymi stopami aż po najdalsze gwiazdy, zbudowany jest z takich samych atomów. We wszystkich zakamkach przestrzeni rządzą te same prawa, a wszystkie je potrafi wyrazić matematyka. Jeśli rodki jej zostały użyte przy spisaniu „raportu” — rzekli sobie uczeni — mamy szansę.

W przeciwnym razie „raport” pozostanie nie odczytany — na zawsze.

Przyjęcie tego założenia stanowiło jednak dopiero pierwszy krok na drodze niesłuchanie mudnej i długiej. Zdawałoby się, że należy teraz po prostu przejrzeć „raport”, poszukać w nim najbardziej ogólnych praw fizycznych, jednakże było to na tym etapie niemożliwe. Przede wszystkim praw takich jest bardzo wiele, a poza tym, co gorsza, nie wiadomo było, jakiego układu algorytmicznego użył twórca „raportu”. Układ dziesiętkowy, operujący dziesięcioma liczbami podstawowymi z dziesięcym zerem, wydaje się nam oczywisty i jedyny, nie jest on jednak taki dla matematyków. Przyjmijmy go, ponieważ mamy u ręki dziesięć palców, a dłonie były liczydłami naszych przodków w czasach zamierzchłych. Teoretycznie jednak możliwa jest dowolna ilość takich układów, począwszy od dwójkowego, w którym istnieje tylko dwie liczby, zero i jedynka, poprzez trójkowy, czwórkowy, piątkowy i tak dalej, w nieskończoność. W czasie swoich prac Komisja Tłumaczy ograniczyła się ze względu na dów praktycznych do siedemdziesięciu dziesięciu układów — od trójkowego do osiemdziesiętkowego. Zadanie więc brzmiało: przejrzeć miliony drgań, magnetycznych i dla każdego drgania obliczyć jego wartość w siedemdziesięciu dziesięciu układach liczbowych; już to samo dawało z górą bilion obliczeń, lecz był to tylko początek, albowiem uzyskane wyniki należało przejrzeć, szukać wśród nich takich, które odpowiadałyby stałemu fizycznemu. Stałych zaś, takich jak naboje i wagi atomowe pierwiastków, jest kilkaset. Ale i to jeszcze nie wszystko, ponieważ w tak ogromnym morzu liczb trafić się mogły rezultaty odpowiadające jednej ze stałych całkiem przypadkowo. Trzeba więc było pójść w ruch obliczenia sprawdzające. Całokształt tych prac, które były dopiero wstępem do właściwego przekładu, zajęły, jak obliczono, tysiącom najbieglejszych rachmistrzów całe życie. Tymczasem dokonano ich w ciągu dwudziestu siedmiu dni.

Do dyspozycji Komisji Tłumaczy był najwłaściwszy podówczas na wiecie Mózg Elektroniczny, potocznie maszyna, zajmująca cztery kondygnacje Instytutu Matematycznego w Leningradzie.

Pracę tego olbrzyma kierował sztab specjalistów z Nastawni Sterującej, umieszczonej na najwyższym piętrze Instytutu. Tam to wydano Mózgowi rozkaz, że ma rozpatrzyć wszystkie znaki „raportu” poszukać w nich podobieństwa do stałych fizycznych; ma to wykonać za każdym razem we wszystkich zadanych układach liczbowych, od dwójkowego do osiemdziesiętkowego, a odnalezione w ten sposób wyniki sprawdza, ka dyż za etap swej pracy odnotowuje i podaje natychmiast do wiadomości.

Centralna Nastawnia była okrągła z białego marmuru, w którym płonęły zielonkawe ekrany. Pojawiły się na nich wyniki postępujących operacji. Od chwili kiedy pierwsze taśmy perforowane, niosące rozkazy, znikły w głębi mechanizmu i kiedy zapaliły się sygnały, a do momentu, w którym czerwone lampki kontrolne zgasły, upłynęło sześć czterdzieści jeden godzin nieprzerwanej pracy. W tym czasie Mózg wykonywał po pięć milionów obliczeń na sekundę, nie ustając dniem ani nocą, podczas gdy dyżurni uczeni zmieniali się raz dziennie. Niepodobna oddać ogromu dokonanej pracy. Do powiedzień, że język „raportu”

przypominał, jak się okazało, nie tyle mowa, ile raczej niezwykły muzyk, ponieważ to, co odpowiada ziemskim słowom, występowało w nim jak gdyby w rozmaitych „tonacjach”.

Kilka razy nawet olbrzymia pojemność Mózgu okazywała się niedostateczna dla przeprowadzenia wszystkich niezbędnych obliczeń. W takich chwilach automatyczne przekazywały włączyły kable podziemne łączące Główny Mózg z innymi, które również znajdowały się w obrębie Leningradu. Najczęściej przychodził z pomocą Mózg Elektroniczny Instytutu Aerodynamiki Teoretycznej.

Nadeszła wreszcie chwila, w której na ekranach za wieciami wykiły się głosy. Brzmiały one w Nastawni wysokimi głosami, ale i bez ich wezwania wszyscy dygnali i oderwali się od pulpitu, wpatrznieli w pierwsze dostępane ludzkiemu pojmowaniu pojęcia „raportu”...

Pierwsze odczytane zdanie brzmiało:

*krzem tlen glin tlen azot tlen wodór tlen*

Oznaczało ono Ziemi.

Cztery powtórzenia słowa „tlen” zapisane były różnicą czystości drgań. Zrozumiano, że „raport” mówi w tym miejscu o właściwościach fizycznych Ziemi. Tlenki krzemu i glinu — to główne składniki skorupy naszej planety, otoczonej azotem i tlenem powietrza oraz pokrytej podtlenkiem wodoru — wodnym mórz i oceanów. Ale to proste pozornie zdanie mówiło znacznie więcej. Po pierwsze, wyrażenia takie, jak krzem, glin, tlen, posiadały pewne cechy, które występowały gdzie indziej w czystej postaci, oznaczały w ogóle „materię”. Po drugie, całe to zdanie z ośmiu wyrazów poddane było pewnej wyszorowanej funkcji, która odpowiada powierzchni zakrzywionej. Chodziło mianowicie o powierzchnię kulistą, to jest właśnie o skorupę Ziemi.

Odtąd rozszyfrowanie „raportu” poszło już sprawniej, choć nie brakowało miejsc niejasnych, które wzbudzały gorące spory. W miarę postępu prac wyłaniał się ogólny obraz Ziemi i świata, widziany po raz pierwszy w historii przez istoty niebędące ludźmi. „Raport” był podzielony na kilka części. Wstępna zawierała opis fizyczny naszego globu, jego rzeźbę terenu, ukształtowanie lądów i mórz oraz ich skład chemiczny. Nie tutaj jednak kryły się trudności. Pierwszy rozdział powstał w ród tłumaczy, gdy doszli do miejsca, w którym „raport” mówił o miastach ziemskich. Nieznanym istotom udało się pomimo wielkich trudności i wysokości, na jakiej odbywał się lot pocisku, dostrzec planowe zagospodarowanie naszej planety: fabryki, domy, drogi, a nawet ludzi na polach i ulicach. Niepojęte było jednak to, że w ogólnym opisie dostrzeżonych zjawisk traktowały ludzi jako coś najmniej ważnego i zdawały się nie przypisywać im roli budowniczych i konstruktorów cywilizacji ziemskiej. „Raport” nazywał ludzi „długimi kroplami” (jak wynikało z objaśnienia, chodziło o „ciężkie substancje”, z których zbudowane są nasze ciała) i uważał ich za czystą jakiejś wiązki, jednorodnej masy, od której tylko chwilowo wyosobnili się w postaci owych „kropelek”. Masa taka musiała być dla autorów „raportu” czymś powszechnym i dobrze znanym, ponieważ wyrażali przypuszczenie, że ludzie utworzeni są z podobnej substancji, co... (tu nastąpiło słowo nie przetłumaczone, bo nie istniejące w żadnym ziemskim języku). W dalszej części „raportu” opisane były miasta, domy mieszkalne oraz rozmaite urządzenia, jak na przykład sieci kolejowe, dworce, porty, z tak dużą dokładnością, że czytających ogarniał mimowolny podziw dla precyzji instrumentów obserwacyjnych, jakimi musieli się posługiwać podróżnicy statkami międzyplanetarnymi. I tutaj jednak u podstawy opisu leżało to samo całkowite i niepojęte odwrócenie pojęcia: autorzy „raportu” usilnie poszukiwała twórców ziemskiej cywilizacji technicznej, nawet nie domyślała się ich w ludziach. To, że dostrzegali przy tym ludzi, nie ulegało wątpliwości, bo kilka zdań dalej napomnęli: „w polu widzenia pełnię sporo długich kropelek”.



Rozwiaszy dobrze ten „raportu” uczeni doszli do wniosku, że to przedstawienie po prostu, to „nieporozumienie” nie jest bynajmniej przypadkiem, lecz że w nim właśnie kryje się tajemnica nieznanych istot. Na nowy, choć tak jest niezupełnie jasny układ naprowadziła ich zwróciła uwagę w dalszej części „raportu”. Powtarzając wypowiedziane już poprzednio zdanie, że nigdzie nie można spostrzec twórców urządzeń technicznych, autorzy „raportu” dodawali: „byłoby dlatego, że są oni... (tu następuje znów słowo nie przetłumaczone) rozmiarów”.

Klucz do tajemnicy zdawał się leżeć właśnie w zagadkowym słowie. Przypuszczenie, że jest to przymiotnik taki, jak „mały” lub „drobny”, trzeba było odrzucić, ponieważ przymiotniki cechuje inne ukształtowanie drgań magnetycznych w języku „raportu”. Gdyby to był zaimbek, zdanie mogłoby brzmieć: „są oni naszych rozmiarów”.

Badanie wykazało, że najmniejsze przedmioty, jakie nieznanne stworzenia zdołały dostrzec z wysokości swego przylotu nad Ziemię, posiadały rozmiary siedmiu lub ośmiu centymetrów. Jeżeli więc przypuszczały, że nie mogą dojrzeć poszukiwanych przez siebie „twórców cywilizacji ziemskiej” dlatego, iż „są oni ich rozmiarów”, to z tego wynikałoby, iż nieznanne istoty są stosunkowo bardzo małe — nie przekraczają w żadnym razie wielkości ośmiu centymetrów. Jest to jedyne miejsce „raportu”, z którego można było sądzić o ich rozmiarach. Niestety, całe to przypuszczenie jest niezwykle kruche, ponieważ w języku „raportu” nie odnaleziono ani jednego zaimka takiego, jak „my”, „ja”, „nasze” itp.

W dalszej części „raportu” spotyka się często siłki „białe plamy”, to jest miejsca nie odczytane już to z powodu osłabienia zapisu magnetycznego, już to dlatego, że występowały tam powłoki, których nie dało się odcyfrować ani za pomocą analizy drgań, ani też metod „prób i błędów”, to jest podstawiania prawdopodobnych terminów, które z nieubłaganą wprost, cierpliwie stosowała mieszana grupa matematyków—operacjonistów i językoznawców.

Zakończenie „raportu” stanowi krótki, nadzwyczaj rzeczowy opis tragedii, jak zakończył się lot pocisku. Są to dane przyrządów pomiarowych, wykazujące gwałtownie rosnące szybko rozpadu atomowego, olbrzymi wzrost temperatury oraz zaburzenia pracy silników napędowych. Potem znaki magnetyczne uległy zamazaniu. Następuje krótka strefa ciszy, a dalej dwa wyraźnie czytelne słowa „zabezpieczenia spalone”. Na tym „raport” się urywa.

Jakże my powiedzieli, uczeni znali już jego treść w ogólnych zarysach, ponieważ za było prawdopodobne, że odczytanie ustępów dotychczas zagadkowych nie przyniesie, poza szczegółami, nic zasadniczo nowego, Komisja Tłumaczy przystąpiła do następnej fazy prac, wyłaniając z siebie trzy nowe sekcje, z których każda po kolei ciła się innemu zagadnieniu. Pierwsza, pod przewodnictwem profesora Kluevera, miała za zadanie zebrać i rozszerzyć nasze wiadomości o nieznanach istotach.

Większość stanowili w niej przyrodnicy, a więc biologowie, zoologowie, botanicy i lekarze, był też jeden specjalista z zakresu młodej, lecz rozwijającej się nauki — astrobiologii, która bada przejawy życia na innych niż Ziemia ciałach niebieskich.

Druga sekcja sprawdzała przekład „raportu”, zestawiając go z oryginałem, owym słynnym drutem namagnesowanym, który wydobyto z podziemnego skarbcza Instytutu Meteorologii. Trzecia wreszcie i ostatnia sekcja składała się nad nie odcyfrowanymi dotychczas ustępami „raportu”. Było w niej wielu matematyków i fizyków, którzy przesiadywali przeważnie w Centralnej Nastawni Mózgu Elektronicznego, chociaż mu bez przerwy trawi nieprawdopodobnie zawile obliczenia. Wywołało to nawet lekkie starcie z biologami, którzy twierdzili, że Instytut Matematyki został okupowany przez fizyków, a ci uniemożliwiają im korzystanie z Mózgu Elektronicznego.

W czasie kiedy miliony ludzi na całym świecie dzięki radiu, prasie i telewizji zapoznawali się z treścią opublikowanej części „raportu”, w pracach Komisji Tłumaczy zaszedł zwrot dramatyczny.

Wstąpił jak gdyby do głównego odkrycia była dyskusja w sekcji biologów, na którą zaproszono w charakterze gościa i doradcy Czandrasekara, wielkiego matematyka hinduskiego. Nawizując do wspomnianego przedtem ustępu „raportu”, z którego zdawało się wynikać, że nieznane istoty są małych rozmiarów, jeden z uczonych wysunął przypuszczenie, że są to owady, jak gromadnie jak pszczoły czy mrówki, lecz o nieporównanie wyższej inteligencji. Przewodniczący sekcji, profesor Kluever, powiedział na to:

— Wielka inteligencja oznacza wielki mózg. Tymczasem owady nie mogą mieć wielkiego mózgu z tego samego powodu, dla którego nie mogą posiadać wielkiego ciała. Na to nie pozwala ich budowa. Ich system oddechowy nie potrafi dostarczyć do tlenku przy rozmiarach ciała przekraczających kilka centymetrów i to jest właśnie przyczyną, że nie istnieją i nigdy nie istniały bardzo wielkie owady.

Oponent zauważył, że system oddechowy nieznaną istotą mógłby być zupełnie inny. Profesor Kluever odparł, że owady, które mają inny system nerwowy i oddychają inaczej niż owady, nie są, według niego, owadami... Równie dobrze można by zwierzęta nazwać linami wyposażonymi w układ nerwowy, krwionośny i mięśniowy. Cóż bowiem za cecha pozostaje w jednym i drugim wypadku nie zmieniona oprócz pustej nazwy?

Wywiła się gorączka dyskusja, w której każda strona broniła swoich argumentów. Można było się domyślić, że wieczór upłynie na jałowym sporze, gdy o głos poprosił profesor Czandrasekar, który przysłuchiwał się dotychczas obradom w milczeniu,

— Przyszedłem tu z pewnym pomysłem — powiedział — który, być może, rzuci trochę światła na omawiany problem. Przystudiowałem dokładnie zeznania naocznych świadków wypadku meteoru tunguskiego. Wszyscy oni zauważyli, że w czasie pojawienia się meteoru widać było na ziemi cienie takich przedmiotów, jak drzewa i domy, a cienie te poruszały się w stronę przeciwną do kierunku jego lotu. Z tego wynika, że „raport”, przynajmniej w swojej części, nie został spisany przez istoty żywe.

Twierdzenie to zdumiało obecnych w najwyższym stopniu: wpatrywali się w matematyka, który, podszedłszy do tablicy, wyszukał w kieszy kawałek kredy i od razu przystąpił do obliczeń. Dowód jego szedł tak drogą: w chwili wypadku panowała słoneczna pogoda, a więc jeżeli przedmioty rzucały w świetle meteoru cienie na miejscach słonecznych, to blask meteoru był na pewno silniejszy od słonecznego. Oczywiście i jego temperatura musiała być wyższa od słonecznej. Znając czas przebywania meteoru w obrębie atmosfery ziemskiej, profesor obliczył, że niezależnie od tego, jaka była grubość powłoki statku, w jego wnętrzu musiała panować ciepłota nie niższa od sześciuset stopni. Takich warunków nie mogłaby, oczywiście, znieść żadna istota żywa. A jednak „raport” prowadzony był przez cały czas lotu aż do chwili katastrofy. A więc: albo notowały go przyrządy automatyczne i w rakiecie w ogóle nie było nikogo, albo te nieznane istoty posiadają urządzenie zbudowane inaczej niż organizmy zwierzęce i rośliny.

Biologowie wysłuchali Czandrasekara z nadzwyczajną uwagą i uznawszy dowód za przekonujący, postanowili zapoznać z nim na jutro zgromadzenie ogólne Komisji Tłumaczy. Gdy jednak zjawili się rano w Małej Sali Instytutu, zaproszono ich, jak wszystkich resztę uczonych, do Wielkiej Sali Kolumnowej na nadzwyczajne posiedzenie z tajnym porządkiem dziennym. Wzbudziło to powszechne zdziwienie, gdy dotychczasowa Komisja nie stosowała takich rygorów. Posiedzenie odbywało się przy drzwiach zamkniętych i bez zapraszanych zazwyczaj gości. Profesor Ramon y Carral z Instituto Nacional del Astronomia w Veracruz, który w dniu tym przewodniczył obradom, owiadczył, że trzecia sekcja odkryła w czasie swych prac fakty niezmiernie doniosłe, którego natychmiastowe zbadanie jest sprawą najwyższej wagi, jako że może od tego zależeć losy całego świata. Następnie oddał głos profesorowi Lao-Czu. Fizyk chiński przemawiał do mikrofonu nie ze swego miejsca, jako to zwykle czyniono, lecz wszedł na podium przydzielane, zapewne dlatego, że chciał widzieć wszystkich, do których mówił.



Głosem niezbyt donośnym, lecz słyszalnym w całej sali powiedział, że został upoważniony przez trzecią sekcję do przedstawienia szanownemu zgromadzeniu odkrycia niezwyklej wagi, którego doniosło ci nikt nie potrafi jeszcze docenić.

O ile wielkie słowa, którymi przewodniczący poprzedził wykład, nikogo szczególnie nie zadziwiły, albowiem stary astronom meksykański znany był ze swego południowego temperamentu, to pierwsze zdanie fizyka zelektrykowało całą salę, gdy Lao-Czu był jednym z najtrzebiejszych i najbardziej krytycznych umysłów Komisji Tłumaczy.

W dalszym ciągu swego przemówienia Lao-Czu opowiedział o nowej metodzie odczytywania „raportu”, którą zastosowała trzecia sekcja. Polegała ona na fotografowaniu pomieniami Roentgena tych części drutu, których namagnesowanie uległo zatarciu. Na zakończenie Lao-Czu podał dosłowny tekst ustępu, jaki udało się odczytać tą metodą. Brzmiał on:

*Po drugim elemencie obrotowym przystąpi się do napromieniowania planety. Kiedy stanie jonizacyjne opadnie do połowy, rozpocznie się Wielki Ruch.*

W wypełnionej po brzegi sali panowała mierna cisza. Nie słychać było ani oddechów, ani nawet zwykłego poskrzypywania krzesel. Widziało się ludzi o zamkniętych oczach, przyciskających oburczych słuchawki do uszu. Niektórzy notowali gorączkowo słowa fizyka chińskiego. Powtórzywszy dwa razy przetłumaczony ustęp, Lao-Czu powiedział, że trzecia sekcja skłonna jest rozumieć go tak: element obrotowy jest to jakaś jednostka czasu, odpowiadająca dobiegiem okresowi, który można zapewne porównać z rokiem ziemskim. Co oznacza „napromieniowanie planety”? Oczywiście, zadziałanie jakimś rodzajem energii promienistej, która wywołuje jonizację. O jak planety chodzi? Nie jest to zupełnie pewne, gdy ustęp należy do zrekonstruowanych i był przedtem zupełnie nieczytelny, lecz pewne znamiona przemawiają za tym, że chodzi o naszą planetę, o Ziemię. Jaki cel może mieć jej napromieniowanie? I to nie jest zupełnie pewne, mówił Lao-Czu, ale nieznanne istoty zdają się wyrażać skłonność skierowania na Ziemię potężnego ładunku energii, a kiedy działanie jej po pewnym czasie ustanie, zacznie się „Wielki Ruch”. Jeżeli przez „Wielki Ruch” rozumie napływ nieznanych istot na naszą planetę, to wymieniony ustęp może posiadać tylko jedno znaczenie: nieznanne istoty zamierzają zniszczyć życie na Ziemi, by się na niej osiedlić. W których słowach fizyk podkreślił, że wszystko to brzmi fantastycznie i nieprawdopodobnie, a poszczególne człony rozumowania, z którego wypływa wymieniony wniosek o „inwazji na Ziemię”, łączą się dosyć luźno. Jednakże trudno w tej sytuacji być nadmiernie krytycznym i stosować surowe rygory naukowe, gdy idzie o coś niezanego jeszcze w historii, a mianowicie o zagrożenie bytu całej ludzkości. Jest to niebezpieczeństwo tak olbrzymie, że należy rozważyć jego możliwości, nawet jeżeli wydaje się nader nieprawdopodobne. Przewodniczący, profesor Carral, zabrał głos nawołując obecnych do skupienia i spokoju, po czym rozpoczęła się dyskusja. Niektórzy podzielili wniosek wyrażający to prawidłowo, ale rzecz nie przedstawia się groźnie, ponieważ statek międzyplanetarny był tylko pierwszym zwiadem i masowa inwazja na Ziemię miała zapewne nastąpić dopiero po jego ponownym powrocie z wyprawy. Ponieważ spotkała go katastrofa, niebezpieczeństwo — jeżeli w ogóle istniało — znikło. Najlepszym dowodem jest to, że od katastrofy upłynęło niemal sto lat w zupełnym spokoju. Inni odpowiadali, że sto lat jest stosunkowo długim okresem tylko w porównaniu ludzkim. Być może — argumentowali — element obrotowy równa się dwustu latom albo i większej ich ilości. Nieznane istoty mogłyby stworzeniami bardzo długowiecznymi. Gdzie pewno, że nie mierzą swego istnienia tysiącami latami?

Przewodniczący poprosił pierwszą sekcję o wypowiedź na temat natury nieznanych istot, które z widoków przybyłych z głębi wszechświata, otoczonych dotychczas powszechnym zaciekawieniem i podziwem, przemieniły się nagle w miertelnych wrogów ludzkości.

Biologowie wydelegowali Czandrasekara, który zapoznał zgromadzenie ze swoim dowodem. W odpowiedzi jeden z fizyków zauważył, że zagadnienie ujmowano, być może, od początku zupełnie fałszywie: kto wie, czy cały statek międzyplanetarny nie był po prostu jednym ogromnym „mózgiem mechanicznym”, wyposażonym w inicjatywę i umiejętność samodzielnego działania. Istoty, które go zbudowały, nie musiały więc wcale znajdować się na pokładzie. W takim ujęciu wszystkie osobliwości „raportu” stanowiły cechy owego „mózgu mechanicznego”, który go spisał, a nie nieznanych istot, o których w takim wypadku nic nie byłoby wiadomo. Cała sprawa wróciła do punktu wyjścia.

Komisja Tłumaczy znalazła się w niesłychanie cichym połozeniu. Jak należało ustosunkować się do problemu zagrożenia ludzkości? Czy takie zagrożenie w ogóle istniało? Być może, nieznanne istoty rzeczywiście zamierzały oskolonizować Ziemię, ale czy ich zamiary oparte były na realnych możliwościach?

O pierwszej w nocy przewodniczący przerwał dyskusję. Zamykając posiedzenie o wiadczył, że następnego odbędzie się dopiero za dwa dni, ponieważ jest nadzieja, iż do tego czasu sekcja astrofizyków, wzmocniona najwybitniejszymi matematykami, będzie mogła przedstawić zgromadzeniu ogólnemu nowe fakty, dotyczące pochodzenia nieznanych istot.

Mało kto wiedział, że prace astrofizyków, o których wspominał przewodniczący, toczyły się już od północy dnia poprzedniego, to znaczy od chwili, w której prezydium Komisji zapoznało się z ustępem „raportu” przetłumaczonym przez trzecią sekcję.

Na najwyższej kondygnacji Instytutu Matematycznego przebywało w zupełnym odosobnieniu jedenastu uczonych. W czasie gdy Lao-Czu i Czandrasekar byli na posiedzeniu Komisji Tłumaczy, kierownictwo wszystkimi pracami Mózgu Elektronicznego objął astrofizyk Arseniew. Zestawił on dane liczbowe o locie pocisku z jego przypuszczalną szybkością, z mocą silników, a wreszcie z mapami gwiazd nieba z 1908 roku. Nadzwyczaj trudny rachunek, polegający na nieustannym wybieraniu kilku określonych wielkości spośród wieluset tysięcy możliwości, został przeprowadzony po 29 godzinach nieprzerwanej pracy. Półtora dnia po posiedzeniu, na którym członkowie Komisji zapoznali się z fatalnym ustępem, trzech uczniów, stojąc przed czołową tarczą Mózgu, odczytali ostatnie wyrazy wyniku i w milczeniu spojrzeli na siebie. Arseniew podszedł bliżej i z wysokością swego ogromnego wzrostu patrzył na nich zielonkawym blaskiem otwór ekranu katodowego. Rzecz nie ulegała wątpliwości. Statek został wystrzelony z planety naszego układu słonecznego, i to takiej, której orbita leży wewnątrz orbity Ziemi. Były więc do wyboru dwie planety: Merkury i Wenus. I znów uczniowie pochylili się nad metalowymi stołami, znów padły krótkie słowa.

Na pulpitych sterujących podnosiły się i pochylały białe klawisze kontaktów. Z ledwo słyszalnym poszumem włączyły się w pracę tysiące nowych obwodów. W szerokich szczelinach tablic rozdzielczych płonęły purpurowe lampki kontrolne. Kiedy po raz ostatni na ekranach zadrgały białawe linie, wszystko stało się jasne. Merkury, ten glob wulkaniczny z lawami i popiołami, najbliższy Słońcu, zwracający ku niemu zawsze tę samą półkulę, pozbawiony atmosfery, nie wchodził w rachubę. Pozostawała więc okryta lśniąco-białymi chmurami, które od niepamiętnych czasów przesłaniają jej powierzchnię przed okiem ludzi, gwiazda poranna — Wenus.

## PLANETA WENUS

Było po północy. Posiedzenie Komisji ciągnęło się już siedem godzin nad stołami, na których spoczywały stosy wykresów i tamte fotografie. Wchodzących na salę członków sekcji astrofizycznej przywitało nagle zamknięcie zgromadzonych. Wszyscy wpatrywali się w Arseniewa, Czandrakę i Lao-Czu, lecz z twarzy ich niczego nie można było wyczytać. Zmierzali ku swoim miejscom, a za nimi szło kilkunastu współpracowników i asystentów. Kiedy Arseniew zakomunikował wyniki obliczeń, zapadła cisza.

— A więc Wenus? — pytał ktoś z głębi sali. Arseniew nie odpowiadając usiadł i zaczął rozkładać

przed sobą przyniesione papiery.

— Czy nie ma może tu omyłki? — spytał ten sam głos od stołu biologów.

Mówił docent Sturdy, niski mężczyzna o czerwonej apoplektycznej twarzy i gęstych włosach.

— Mózg Elektrony myli się niekiedy — odparł Arseniew. — Co prawda jeden błąd zdarza się na sześć trylionów obliczeń, ale we miemy to pod uwagę i jeszcze tej nocy powtórzymy obliczenia.

— Nie to miałem na myśli — nastawa! biolog. — Chodzi mi o teoretyczne założenia rachunku. Czy nie może być w nich błąd?

Arseniew obierając sobie przyglądał papiery. Był on jednym z najbardziej charakterystycznych osobistości Komisji Tłumaczy. Jasnowłosey, olbrzymi, z pochylonymi lekko barkami, zdawał się zbudowany według jakiejś zamierzonej proporcji wspaniałomyślnego nadmiaru. W trzydziestym roku życia dokonał głównego swego dzieła, wyjął się w nową teorię szeregu zjawisk podatomowych. Teraz liczył lat trzydzieści siedem. Górując nad siedzącymi, chociaż siedział, przez kilka chwil patrzył na oponenta, jakby przygotowując się do dłuższej odpowiedzi, i wszyscy drgnęli, kiedy swoim niskim głosem wyrzekł tylko jedno słowo:

— Nie.

Przewodniczący, którym w tym dniu był niemiecki biolog, profesor Kluever z Lipska, zaproponował, aby jeden z astronomów powiedział niespecjalistom to wszystko o planecie Wenus, co może się łączy z omawianym problemem. Wniosek przeszedł. Sekcja astrofizyków wydelegowała po chwili planetologa, doktora Behrensa, który zaraz wstał i włączył mikrofon przed swoim miejscem. Był to młody człowiek o chłopięcym wyglądem, szczupły, prawie chudy, o trochę porywczym ruchach. W czasie swego wykładu bawił się zdjętymi okularami, patrzył oczami niepewnymi, jak zwykle krótkowidze. Arseniew rozmawiał tymczasem szeptem z kolegami i przechylał się swą wielką postać przez oparcie fotela, dawał jakieś wskazówki asystentom, którzy zapisywali je stenograficznie i wychodzili na palcach. Chociaż wszyscy przysłuchiwali się Behrensowi, na sali wyczuwało się niepokój. Głowy pochylały się ku sobie, to tu, to tam polatywały szepty. Tymczasem w słuchawkach wielożycznym naraz głosem przemawiał młody astronom.

— Wenus — rozpoczął — druga planeta naszego układu słonecznego, posiada o 3% mniejszą gęstość i o 23% mniejszą masę od Ziemi. Ponieważ zawsze przebywa na niebie w pobliżu Słońca, jest dla obserwacji obiektem niewdzięcznym. Jej odległość od nas waha się od 250 milionów kilometrów w górnym zenicie do 40 milionów kilometrów w zenicie dolnym.

Tu Behrens spojrzął trochę niepewnie w stronę fizyków. Nie wiedział, czy rozumie terminy astronomiczne, lecz siwi uczeni słuchali z taką uwagą, że i tak się ich urazić nie mógł dalej:

— Według najnowszych badań czas obrotu Wenus jest znacznie dłuższy niż czas obrotu Ziemi i wynosi 18 dni. Metodami optycznymi nie można było tego dawniej stwierdzić, ponieważ nie widzimy nigdy powierzchni planety. Zasłania ją lita powłoka chmur. Ostatnio czynione były próby przebicia się do powierzchni planety za pomocą teletaktorów. Szanowni koledzy wiedzą zapewne, że chodzi o nowy typ teleskopu radarowego, wysyłający cieżkie fale ultrakrótkie radiowe. Jednak i te próby nie powiodły się, potwierdzając raz jeszcze dawne przypuszczenie Wildta, że chmury Wenus nie są z pary wodnej ani z substancji ciekłej, lecz składają się z dużych cząstek stałych, kryształów, bardzo silnie rozpraszających promieniowanie. Dlatego właśnie Wenus posiada tak silny blask i po Słońcu i Księżycu stanowi najjaśniejsze ciało na naszym niebie. Atmosfera planety, rozmiarami dorównująca ziemskiej, różni się od niej zupełnie pod względem składu chemicznego. Analiza spektroskopowa wykazuje na Wenus nie więcej niż 5% tej ilości pary wodnej i tlenu, jaka znajduje się na Ziemi, za to dwutlenek węgla, którego u nas jest zaledwie 0,3%, stanowi tam główny składnik atmosfery. Pozostaje jeszcze do omówienia skład chemiczny chmur, który przez długie lata stanowił zupełną zagadkę. Posiadane dziś wiadomości pozwalają sądzić, że chmury te utworzone są z pierzastych kryształów formaldehydu, a raczej związku, jaki formalina tworzy pod wpływem promieni nadfioletowych. Ponieważ planeta obraca się bardzo powoli, powstają wielkie, dochodzące do 90 stopni różnice temperatury pomiędzy półkulami dzienną i nocną. Powodują one nadzwyczaj silne ruchy mas powietrznych, zwłaszcza na terminatorze, to jest linii oddzielającej półkulę oświetloną od nieoświetloną. Należy więc sądzić, że każdemu porankowi i wieczorowi towarzyszą na Wenus orkany i burze kolosalnej siły. Wiatr może tam osiągnąć 250 kilometrów na godzinę, szybko spotykany na Ziemi jedynie w czasie najgwałtowniejszych burz wiejących w okolicach bieguna południowego. Co się tyczy ukształtowania powierzchni planety, to niestety niczego pewnego nie możemy o tym kolegom powiedzieć. Ostatnio ukazały się bardzo ciekawe prace Jellingtona i Schraegera, którzy przypuszczają, że skorupa Wenus może być zbudowana z tego, co na Ziemi jest tylko sztucznym wytworem ręk dzieł człowieka, a mianowicie z mas plastycznych podobnych do galalitu i winylitu. Komunikujcie to szanownym kolegom jako pewnego rodzaju curiosum, ponieważ na poparcie tej hipotezy nie posiadamy żadnych danych.

Zaledwie Behrens, skłoniwszy się niezręcznie, usiadł, o głos poprosił docent Sturdy, który pytał przedtem Arseniewa o możliwość pomyłki w obliczeniach.

— Zastrzeżenia moje potwierdził w zupełnie ci wykład doktora Behrensa — powiedział. — Jest oczywiste, że wymienione warunki fizyczne, w szczególności ci brak tlenu i wody, oraz obecność chmur, które czynią z planety po prostu olbrzymi zbiornik formaliny, wykluczają możliwość istnienia na niej istot żywych. Pan jest tego samego zdania, prawda, doktorze Behrens?

Behrens znów zdjął okulary i przecierając je skrupulatnie, odpowiedział, że z końcem XIX wieku pewien znakomity uczyony napisał bardzo logicznie zbudowany traktat, w którym udowodnił, że człowiek nigdy nie zbuduje ci szkiej od powietrza maszyny do latania, że gdyby nawet tak maszyn udało się zbudować, to nie mogłaby oderwać się od ziemi, gdyby za (co już jest zupełnie wykluczone) mimo wszystko wzleciała, to w jakien sposób nie można by ni kierować. Ponieważ — zakończył Behrens — nie chciałbym by podobny do tego uczonego, wol nie odpowiedzieć docentowi Sturdy.

— Ale trzymajcie atmosferę Wenus wyklucza istnienie życia — achnął się Sturdy. — Zamiast zajmować się anegdotami, przejdźmy lepiej do faktów! Faktem jest, że kilkadziesiąt lat temu spadła na Ziemi rakieta mi dzyplanetarna.

— W której, jak wykazał profesor Czandrakar, nie było istot żywych — przerwał Sturdy'emu siedząc.

— Dobrze! Nie było! Ale rakieta nie mogła pochodzić z Wenus, bo na tej planecie musieli istnieć jej konstruktorzy, to znaczy istoty żywe! Czy to nie jest oczywiste?!

Znowu zaległa krótka cisza, w której we wszystkich słuchawkach rozlegał się przyspieszony, astmatyczny oddech starego biologa. Potem Arseniew, ci gaj c swoje grube brwi, powiedział po raz drugi od rozpoczęcia dyskusji: — Nie.

I zmierzwszy spokojnym wzrokiem osłupiałego biologa, dodał:

— To nie jest oczywiste.

Tyle pewno ci było w jego głosie, że uczeni zastygli na sekundę, porażeni wywołanym obrazem niesamowitego świata, na którym istnieją myśli i działające, choć martwe istoty. Przewodniczący, profesor Kluever, wstał i spojrzał najpierw w jedną, to w drugą stronę sali, podniósł z krzesła.

— Proszę kolegów — rzekł — wpłynął nagle wniosek, aby zadać ogólnemu zgromadzeniu Komisji Tłumaczy trzy pytania, nad którymi odbędzie się oddzielna dyskusja. Oto one:

1. Czy należąs do nich, te nieznanne istoty, zamieszkujące Wenus, zmierzają do zniszczenia życia na Ziemi?

2. Jeżeli tak, to czy należą uważać, że ludzkość może z ich strony zagrać rzeczywiste niebezpieczeństwo?

3. Jeżeli tak, to czy możemy temu przeciwdziałać? O głos poprosił docent Dugadze z sekcji logików.

— Uwaga — powiedział — w drodze głosowania możemy na rozstrzygnięcie tylko pierwsze pytanie, które odnosi się w większej mierze do naszych przekonań aniżeli do faktów. Zbyt słabo znamy język „raportu”, abyśmy byli stuprocentowo pewni znaczenia ustępu, w którym jest mowa o tak zwanej „inwazji na Ziemi”. Nie znamy prawdy na pewno, zdani jesteśmy na nasze przypuszczenia i dlatego wszyscy możemy się na ten temat wypowiedzieć. Natomiast pozostałych pytań nie da się rozstrzygnąć w ten sposób, jak nie da się rozstrzygnąć głosowaniem, czy dach tego budynku jest ze szkła, czy z metalu. W tym celu należałoby po prostu spytać architekta, który go budował. Chodzi bowiem o pewne fakty wiadome specjalistom i oni muszą się w tej sprawie wypowiedzieć.

Wniosek logika przyjęto. Ponieważ sala była wyposażona w specjalne urządzenie, głosowanie szło nadzwyczaj sprawnie. Kiedy uczone miał przed sobą trzy guziki: naciskając lewy, głosował „tak”, prawy — „nie”, przycięcie za środkowego oznaczało, że wstrzymuje się od głosu.

Gdy przewodniczący dał znak, wszyscy wychyleni ręce ku przyciskom i po kilkunastu sekundach automat podał wynik. Z 76 członków Komisji Tłumaczy 68 odpowiedziało na pierwsze pytanie „tak”, 2 głosowało „nie”, a 6 wstrzymało się od głosu. Rzecz charakterystyczna: wstrzymującymi się byli wyłącznie logicy. Tak więc ogromna większość była zdania, iż fatalny ustęp „raportu” mówi o zamierzonej „przez nieznanne istoty inwazji na Ziemi”. Oznajmiwszy wynik głosowania, przewodniczący odłożył dalszy ciąg debat do wieczora dnia następnego. Do tego czasu miał zostać utworzony komitet dla zredagowania odpowiedzi na drugie i trzecie pytanie. Jako astrofizycy, inżynierowie, technologowie i chemicy atomowi ukonstytuowali tak zwaną sekcję specjalną, która obradowała w Małej Sali Instytutu przez całą noc do jedenastej rano, po czym członkowie jej udali się na odpoczynek, by o dziesiątej wieczorem zjawić się na plenarnym posiedzeniu Komisji Tłumaczy.

Referował kwestię profesor Lao-Czu. Na twarzach jego kolegów malowały się wyrażenia bezsenności. On jeden wyglądał tak jak zawsze, trzymał się bardzo prosto w swoim kusym, trochę ciemnym ubraniu, z czarnymi włosami, silnie przyczesanymi do okręglej czaszki.

— Zanim przedstawię główny problem — rzekł Lao-Czu — pozwól sobie odpowiedzieć na interpelację, którą mi przed chwilą przedłożyło ono. Podpisał ją kolega Sturdy wraz z kilkoma członkami sekcji językoznawczej. Wymienieni koledzy rozumują następująco: ponieważ warunki panujące na Wenus są dla nas zabójcze, to i na odwrót: nasze warunki muszą być zabójcze dla jej mieszkańców. Stąd wniosek, że żadna rozważalna przyczyna nie mogłaby tych



skądinąd rozumnych istot nakłoni do przybycia na Ziemi, gdy nic dobrego by dla nich z tego nie wynikało. Otóż o pierwszej części tego wywodu mogę powiedzieć: *non sequitur!* Nie wynika! Szanowni koledzy sądzę, że jeżeli my nie możemy żyć na Wenerze, to i mieszkańcy Wenus nie mogą żyć na Ziemi. To nie wynika z przesłanek. My nie możemy żyć w wodzie, ale ryby dwudyszne mogą żyć na lądzie. Naley wyraził, że docent Sturdy nie wzmocnił swego stronnictwa chociażby jednym logikiem.

Po sali przebiegł delikatny szmer, a uczony chiński z niezmiernym spokojem ciągnął dalej:

— Pozostaje jeszcze kwestia, co dobrego może wynikać dla mieszkańców Wenus z przybycia na Ziemi. Tutaj, w nadziei, że nie znudzysz szanownego zgromadzenia, o miłośniku przytoczy starożytnego mego wielkiego rodaka, filozofa Czuang-Tsy. Opowiada on, jak to raz dwu filozofów stało na mostku nad rzeczką, przypatrując się igrającym w wodzie rybkom.

Pierwszy z nich rzekł: „Spójrz, jak te rybki wirują i pluskają w wodzie. Na tym polega przyjemność ryb.” Na to drugi: „W jaki sposób ty, który nie jesteś rybą, możesz

wiedzieć, co jest przyjemne dla ryb?” A na to pierwszy: „A skąd ty, który nie jesteś mną, wiesz, że ja nie wiem, na czym polega przyjemność ryb?” Otóż ja, proszę kolegów, stoję na stanowisku tego drugiego filozofa. Mogę tylko zazdrościć szanownemu docentowi Sturdy, który tak dobrze wie, na czym polega przyjemność mieszkańców Wenus.

Rozległ się stłumiony miech zgromadzonych. Lao-Czu, odkładając kartkę z pytaniem, ciągnął wci tak samo spokojnym głosem:

— Dwa postawione nam pytania — mówi „nam”, bo odpowiadam w imieniu sekcji specjalnej — potraktowali my łownie. Otóż sednem problemu jest, czy z jednej planety można porazić drugą. Na to pytanie odpowiadamy: tak jest, można. Ci z obecnych, których miałem radość gościć w naszej wielkiej stacji bebatronowej pod Pekinem, wiedzą doskonale, że półtora roku temu rozpoczęliśmy tam budowę miotacza szybkich deuteronów. Jest to urządzenie bardzo wielkie i potężne. Celem naszego przedsięwzięcia jest wystrzelenie ładunku szybkich deuteronów w Junon, jedną z tych niewielkich planetek krążących wokół Słońca pomiędzy Marsem a Ziemią. Pocisk, który zamierzamy wysłać, musi całkowicie rozpylić planetkę. Spodziewamy się, że reakcja ta da nam możliwość obserwowania małego pierścienia mgławicowego. Mówię po prostu, chcemy stworzyć sztuczny model, ilustrujący powstawanie systemów planetarnych. Mówię o tym projekcie, który od dawna jest już realizowany, ponieważ wyraźnie wykazuje on możliwość zniszczenia jednej planety przez działanie skierowane z drugiej. Oczywiście, planeta, którą obrali my sobie za cel, ma zaledwie około 190 kilometrów średnicy w porównaniu z 12 300 kilometrów średnicy Wenus czy 12 600 kilometrów średnicy Ziemi. Jednakowoż chodziło nam o zupełne rozbitcie jej na atomy. Abyśmy uniemożliwili istnienie życia na planecie takiej jak Ziemia, do byłoby napromieniowanie ładunkiem deuteronów dwa razy większym od tego, jaki zamierzamy wystrzelić w Junon. Tak więc na oba zadane pytania odpowiadamy twierdząco.

Sekcja, której opinii wyrażam — mówił dalej Lao-Czu — sądzi, że mamy przed sobą trzy drogi postępowania. Po pierwsze, nasunęła się myśli, aby napisać list w języku magnetycznym „raportu” i wysłać go za pomocą rakiety sterowanej na odległość. Niestety, posiadany przez nas zasób słów tego języka jest niewystarczający i nie pozwala na spisanie tego, co byśmy w takim dokumencie chcieli mieszkańcom Wenus zakomunikować. Potwierdziły to próby dokonane wczoraj w nocy. List można by oczywiście zredagować w jednym z języków ziemskich, lecz nie wiadomo, czy mieszkańcy Wenus spróbują odczytać go z takim nakładem trudów, z jakim my pracowaliśmy nad ich „raportem”. Po drugie, można wysłać na Wenus statek, który od roku dokonuje już lotów próbnych, a ostatnio odbył bez powodzenia drogą Ziemia — Księżyc — Ziemia. Jak szanowni koledzy dobrze wiesz, mam na myśli Kosmokratora, którego wylot na Marsa przewidziany był na pierwsze miesiące przyszłego



roku. Wreszcie trzecia mo liwo to wystrzelenie w Wenus pełnego ładunku deuteronów z naszej stacji bewatronowej pod Pekinem. Ten wariant post powania jest oczywi cie najprostszy i najradyka lniejszy, jednak e sekcja specjalna jedno gło nie uwa a go za niedopuszczalny, chocia by tylko dlatego, e tak zwana inwazja Wenery na Ziemi jest nasz nie sprawdzon hipotez .

Fizyk zamilkł. Skorzystał z tego jeden z uczonych pytaj c, czy dla rozstrzygni cia tej niesłychanie wa nej kwestii, która, jak si wyraził, jest „osi obrotu” całej sprawy, nie mo na posłu y si Mózgiem Elektronowym.

— Niestety, nie mo na — odparł Lao-Czu. — Ani Wielki Mózg, ani aden inny mechanizm nie mo e przemieni sk psych wiadomo ci w obfite.

Lao-Czu spu cił gów .

— Na tym ko cz sprawozdanie sekcji specjalnej. Zamilkł, lecz nie siadł. Zamrugawszy kilka razy powiekami, rozejrzał si po sali i powiedział:

— Teraz, jako jeden z członków Komisji Tłumaczy, pragn podda pod głosowanie zgromadzenia nast puj c kwestii .

Spojrzał na mały kartk trzyman w r ku i czytał:

— „rodki, którymi rozporz dzamy, s tak pot ne, e pod wzgl dem technicznym jeste my zupełnie wolni, to znaczy wybór naszego post powania wobec nieznanych istot nie jest skr powany warunkami materialnymi i dlatego przenosi si do dziedziny ocen moralnych. Czy w takiej sytuacji powinni my zaatakowa pierwsi, czy te d y do pokojowego rozwikłania konfliktu, nawet je li b dzie to połączone z wielkimi trudno ciami lub niebezpiecze stwem?” Lao-Czu opu cił dło z kartk . Cisza była taka, e wyra nie słyszało si delikatny tykot wielkiego chronometru, umieszczonego wysoko ponad głowami członków prezydium. — Oto proponowany przeze mnie wniosek. Wiem, e nie jeste my upowa nieni do powzi cia takiej decyzji, s dz jednak, e ludzko b dzie si liczy z nasz opini . To wszystko, co chciałem powiedzie .

Przewodnicz cy o wiadczył, e prezydium przyjmuje do wiadomo ci sprawozdanie sekcji specjalnej i dzi kuje jej za poniesione trudy, w dalszym za toku obrad poddaje dyskusji tekst wniosku zgłoszonego przez profesora Lao-Czu. Poniewa nikt nie zaproponował poprawek, tekst został przyj ty i przyst piono do głosowania nad jedn z dwu mo liwo ci, jakie przedstawiał. Zbli ała si trzecia godzina w nocy. Chmury, ja niejsze przedtem od tła niebios, ciemniały. Za wysokimi oknami sali na niewidzialnym dot d wschodzie zarysowała si na kształt gł bokiego p kni cia granica mi dzy niebem a ziemi , obrze ona liliowymi mgłami. Przewodnicz cy, rozmawiaj c ze swoim sekretarzem, nie spuszczał wzroku z tarczy aparatu do głosowania.

Gdy licznik stwierdził, e głosy oddali wszyscy, przewodnicz cy wstał.

— Siedemdziesi t sze głosów padło za pokojowym rozwi zaniem konfliktu — powiedział. — Decyzja ta nie jest oczywi cie ostateczna, lecz nie o to w tej chwili chodzi. Od z gór o miuset tysi cy lat yje na Ziemi gatunek ludzki. W czasie pełnej trudów i cierpie drogi pokole poznał on nie tylko sposoby opanowania sił przyrody, ale nauczył si tak e kierowania siłami społecznymi, które przez całe wieki udaremniały post p, zwracaj c si przeciw człowiekowi. Epoka wyzysku, nienawi ci i walki sko czyła si wreszcie kilkadziesi t lat temu zwyci stwem wolno ci i współpracy narodów. Jednak e nie jest nam dane spocz i zadowala si osi gni ciami. Na progu nowej ery nast piło pierwsze zetknie cie cywilizacji ludzkiej z pozaziemsk , i oto wydano na nas wyrok zagłady. Có mamy pocz ? Czy na gro b rzucon z innej planety odpowiedzie ciosem, który zniszczy atakuj cych? Mogliby my tak zrobi tym swobodniej, e mamy do czynienia z istotami całkowicie od nas odmiennymi, którym nie mo na przypisa ani uczu , ani umysłowo ci ludzkiej. A jednak, maj c do wyboru wojn i pokój, wybrali my pokój. W tym naszym kroku widz gł bok wi człowieka z całym wszech wiatem. Min ła epoka, w której uwa ali my

Ziemi za planet wybran spośród wszystkich. Wiemy, że w nieskończonej przestrzeni toczy się miliardy wiatów podobnych do naszego. Cóż, istnieje na nich formy czynnego trwania, które nazywamy życiem, są nam nieznane. My, ludzie, nie uważamy się za lepszych ani gorszych od wszystkich innych mieszkańców Wszechświata. Prawda, z naszej decyzji wiemy o sobie nieprzewidziane ryzyko, olbrzymie trudy i niebezpieczeństwa. Mimo to jesteśmy jedynymi. My, uczeni, słuchamy społeczeństwa, jak wszyscy jego członkowie. Jesteśmy równymi wśród równych, ale jedno jest nam dane szczerzej niż innym: odpowiedzialność. Podejmujemy ją, wiadomości naszego obowiązku wobec świata.

Przewodniczący zamknął na chwilę. Przez szyby zaglądał fioletowy przedwitan. W oddali, za miastem widzianym z wysokości ciwiewca, leniwym, mrocznorubinowym blaskiem jarzył się wschodni brzeg horyzontu.

— Za chwilę odczytam list kolegów, których poproszę o pozostanie w tej sali, gdy niezwłocznie przystąpię do sporządzenia sprawozdania z naszych prac, które będzie przedstawione jutro — a wita cię dziś, bo nowy dzień wita — Najwyższej Rady Naukowej. Przedtem pragnę was wszystkich spytać o jedno. Byłoby, zapadnie decyzja wysłania na Wenus statku międzyplanetarnego, który pierwotnie przeznaczony był do podróży na Marsa. O to chciałbym wiedzieć, kto z obecnych pragnąłby wziąć udział w takiej wyprawie.

Rozległ się szmer, który przeszedł w głuchy rumor odsuwanych foteli. Uczniowie, jakby zmówiwszy sobie, nie posłużyli się aparatami do głosowania, lecz rzędnym, stół za stołem wstawali ze zwróconymi na przewodniczącego oczami, a cała sala znalazła się w powszechnym ruchu.

Przewodniczący, który pod naciskiem stu spojrzeń równie wstał, biegł oczami od jednej twarzy ku drugiej, zdumiewając się, jak wszystkie — stare i młode — stały się do siebie w jednej chwili podobne, bo rozjaśnione tym samym uczuciem. Wargi zadrżały mu ledwie dostrzegalnie.

— Wiedziałem — szepnął. I prostując się, aby być godnym spojrzenia w oczy tym ludziom, rzekł głośnie:

— Dziękuję wam, koledzy.

Odwrócił się, jakby szukając za plecami jakiegoś człowieka, lecz nie było tam nikogo. Tylko ciemny blask cofającej się nocy wpadał przez wysokie okna. Przewodniczący przystąpił do stołu, zatrząsnął oburcznie wielką księgą, w której zapisywano zgłaszających się mówców, i rzekł:

— Na tym zamykam ostatnie posiedzenie Komisji Tłumaczy.

Uczniowie wychodzili z sali zatrzymując się w przejściach pomiędzy rzędami foteli. Wszędzie tworzyły się rozprawiające z ożywieniem grupki. Wokół stołu prezydenckiego zebrali się ci, co mieli wziąć udział w układaniu sprawozdania. Wreszcie sala opustoszała i ostatni z wychodzących zgasił światło. Zapadła ciemność, w której tliła się rozpostarta nad widnokręgiem zorza. Chmury, niskie i ciężkie, rozsunały się. Na ciemnobłękitnym niebie zapłonął biały punkt, gwiazda tak czysta i silna, że krzywe okienne rzuciły w głąb sali słabe cienie, a puste rzędy foteli i stołków zarysowały się w szarym brzasku. Była to Wenus, poprzedzająca wschód słońca. Potem obrzesał chmur, pocięgnięte złotym ogniem, zapłonęły gwałtownie. Nieruchoma iskra bładła coraz bardziej, a znikła w olepiających blaskach nowego dnia.

## 11,2 KILOMETRA NA SEKUND

Myślenie o podróży między gwiazdy jest niemal tak stara, jak ród ludzki. Człowiek pierwszy ze zwierzęt odważył się, odrzuciwszy w tył głowy, spojrzeć w nieogarnione otchłanie, jakie rozpościera ponad nim kładąca noc. W najdawniejszych mitach religijnych i baśniach znajdujemy opowieści o płomienistych wozach latających i bohaterach, którzy nimi powozili. Ludzie starali się podpatrzeć tajemnic lotu, w doskonałości opanowanego przez ptaki, lecz długie wieki minęły, zanim po raz pierwszy uniosła się w powietrze machina latająca, bezbronna jeszcze wobec wiatrów, lepa, nie dająca się sterować montgolfiera, wypełniona rozgrzanym powietrzem.

W osiemnastym wieku filozofowie piszący opowieści aluzyjne z morałami wyprawiali czasem swoich bohaterów do gwiazd, posługując się do tego balonem jako rodzkiem lokomocji. Ale i później, kiedy owym maszynom udało się od powietrza wyparłać się, samolot, człowiek przekonał się, że wciąż jeszcze daleki jest od prawdziwej swobody poruszania się we wszystkich kierunkach przestrzeni. Przyrzędy latające mogły się unosić tam tylko, gdzie istniała dogodna atmosfera. Statki powietrzne musiały krążyć nisko nad ziemią, tu nad samym dnem oceanu powietrznego, który dwu—stukilometrowe warstwy otacza nasz planet.

Zanim u schyłku XIX wieku narodziła się astronautyka, nauka o podróżach międzyplanetarnych, pisarze fantastyczni, a pośród nich najwietniejszy, Verne, wyrzucali swoich bohaterów w przestrzeń za pomocą pocisku wystrzelonego z armaty olbrzymich rozmiarów. Niestety, nawet prowizoryczne obliczenie wykazuje niemożliwość takiego przedsięwzięcia, i to z trzech naraz powodów. Po pierwsze, ciało, aby mogło opuścić Ziemię, musi rozwinąć prędkość co najmniej 11,2 kilometra na sekundę, to jest 40320 kilometrów na godzinę. Tymczasem najlepsze nawet gatunki rodków wybuchowych nie dają gazów o szybkości większej niż 3 kilometry na sekundę. Wystrzelony z armaty pocisk musiałby więc, wzniosłszy się na pewną wysokość, spaść z powrotem na Ziemię. Nadzieje przedsięwzięcia lufy ani zwiększenie ilości rodka eksplozywnego nic tu nie może pomóc. Po drugie, straszliwe przyspieszenie, które zaczęłoby działać na podróżnych w chwili wystrzału, zgniotłoby ich na miejscu. Aby pojąć jego gwałtowność, do siebie uzmysłowi, że w momencie wystrzału podłoga pocisku uderzy w podróżnych z siłą i szybkością granatu trafiającego w przeszkodę! Po trzecie wreszcie, gdyby nawet cudem jakimś zamknąć cię w pocisku ludzie wyszli cało z opresji i gdyby wbrew prawom mechaniki pocisk nie spadł na Ziemię, musiałyby się z chwilą zderzenia z powierzchnią Księżycą roztrzaskać.

Aby przewyciszyć grawitację ziemską i jednocześnie uniezależnić się od atmosfery, dostarczającej oparcia skrzydłom samolotu i balonem, silnikom za tlenu, trzeba było rewolucyjnego wynalazku. Dokonali go bardzo dawno, bo około 1300 roku naszej ery, Chińczycy budując pierwsze rakiety, pędzone odrzutem gazów prochowych. Upięknienie jednak musiało ponad sześćset lat, zanim uczony rosyjski, Ciołkowski, pierwszy nakreślił plany pojazdu międzyplanetarnego. Po nim przyszli Goddard, Oberth i wielu innych. Położyli oni fundamenty pod astronautyką, która rozrosła się z czasem w odrębna, wielką dziedzinę techniki.

Zasada napędu była jasna. Opierała się na słynnym prawie Newtona, głoszącym, że działanie równa się przeciwdziałaniu. Rakietę musiała posiadać zapasy paliwa przetwarzającego się w strumień gazów, wytryskujących z wielką szybkością. Siła odrzutu, która przy tym powstawała, popychała ją w stronę przeciwną. Tu jednak czekała konstruktorów pierwsza trudność. W najgwałtowniejszej ze wszystkich reakcji chemicznych, łączeniu się tlenu i wodoru w wodę, powstają gazy wybuchowe o szybkości 5 kilometrów na sekundę. Daleko stąd jeszcze do szybkości 11,2 kilometra na sekundę, zwanej szybkością

wyswobodzenia. T ostatni musi jednak posiada tylko ciało poruszaj ce si bez nap du, a wi c na przykład wystrzelony pocisk. Inaczej rakiet. Mo e ona opu ci Ziemi z szybko ci mniejsz od 11,2 kilometra na sekund pod warunkiem, e silnik jej b dzie pracował nieustannie a do chwili, kiedy oddali si znacznie od Ziemi. Jednak e takie rozwi zanie nie jest zadowalaj ce. Paliwo tlenowodorowe, pozornie najdoskonalsze, nigdy nie było u ywane, poniewa gazy te nadzwyczaj trudno skropli , a utrzymywanie ich w stanie ciekłym w zbiornikach nastr cza powa ne trudno ci i niebezpiecze stwa. Prócz tego szkodliwie działa bardzo wysoka temperatura reakcji. Tak wi c stosowano paliwa daj ce szybko ci gazów od jednego do trzech kilometrów na sekund . Niestety, w takich warunkach dla wyswobodzenia si od grawitacji ziemskiej waga paliwa musi wieleset razy przewy sza wag samej rakiety. Nawet gdyby my mogli zastosowa paliwo tlenowodorowe, rakiet wagi 10 ton, z 10 tonami ładunku, zu y by musiała w podró y z Ziemi na Ksi yc 40 000 ton paliwa. Byłby to wehikuł wielko ci sporego parowca transatlantyckiego, z konieczno ci o cianach niesłychanie cienkich, po prostu monstrualny zbiornik z umieszczon na czubku kabin dla pasa erów. Sterowanie takim pojazdem nastr czałoby najwy sze trudno ci, poniewa stateczno zmieniały si nieustannie w miar ubywania paliwa, a u samego kresu drogi podobna rakiet stałyby si gigantyczn , pust łupin .

Omówiona trudno , przekre laj ca, jak by si zdawało, cały problem, jest tylko jedn z wielu. Nawet tak niekorzystny stosunek wagi paliwa do wagi u ytkowej, jaki zachodzi przy nap dzie tlenowodorowym, jest trudnym do osi gni cia ideałem. Poza tym w komorze zapłonowej wytwarza si w czasie pracy temperatura rz du 3000 stopni, w której po kilkunastu minutach rozmi kaj najtrwalsze stopy ogniotrwałe. Obni enie znów temperatury poci ga za sob zmniejszenie chy o ci wylotowej gazów. Oto nowe bł dne koło konstruktorów. Lata całe upłyn ły na poszukiwaniu nowych paliw. Próbowano p dzi rakiety amoniakiem i nadtlentkiem azotu, bawełn strzelnicz , benzyn i tlenem, anilin i kwasem azotowym, alkoholem i wod utlenion , nawet ciałami stałymi, jak w giel, aluminium i magnez, wdmuchiwanymi pod postaci pyłu w strumie czystego tlenu. Nie brakło niezwykłych pomysłów, jak na przykład Hohmanna. Uczony ten proponował, aby umie ci kabin w postaci sto ka na szczycie wielkiego słupa twardego prochu, który, podpalony od dołu, spalały si równomiernie, dostarczaj c siły nap dowej. W tym okresie pierwszych prób, bł dów i zaciekłych poszukiwa in ynierowie coraz lepiej zdawali sobie spraw z tego, jak mało była przystosowana ich dotychczasowa wiedza do rozwi zania zagadnie astronautyki. Moc silników poruszaj cych najwi ksze samoloty, a nawet okr ty, była miesznie mała w porównaniu z pot g , której u y nale ało w walce z ci eniem ziemskim. Jedn z pierwszych rakiet, zdolnych przeby wi ksz przestrze , była tak zwana bro odwetowa V2, skonstruowana przez Niemców w czasie drugiej wojny wiatowej. Pocisk ten, stalowe cygare długo ci około 10 metrów, niósł w sto ku dziobowym ton materiału wybuchowego. Cały jego cylindryczny korpus wypełniały zbiorniki materiałów p dnych, alkoholu i płynnego tlenu. Z tyłu, pomi dzy rozstawionymi szeroko sterami, mie ciły si pompy paliwowe i komory spalania. Pocisk wa ył około 10 ton, z tego 7 ton przypadało na paliwo. Zapas ten pozwalał na jednoninutow prac silnika. Rakiet, rozwijaj c w tym czasie dzielno 600 000 koni mechanicznych, mogła, je li została wystrzelona pionowo, wznie si na dwie cie kilkadziesi t kilometrów — wysoko znikom w zestawieniu chocia by z promieniem kuli ziemskiej, wynosz cym ponad 6000 km. Budowa opartych na takiej zasadzie pocisków, zdolnych do podró y mi dzyplanetarnych, była niemo liwa. Rozwi zanie przyszło na nowej drodze. Narodziła si my l konstruowania rakiet wielostopniowych. Były to pociski ustawione jeden na drugim. Przy starcie pracował spodni pocisk, tak zwana rakiet—matka, a gdy jego zapasy paliwa ko czyły si , zostawał automatycznie odrzucony i prac przejmowały silniki nast pnego. W ten sposób powstały w latach sze dziesi tych XX wieku „poci gi raketowe”, zdolne do przelotów nad oceanem. Przez cały czas podró y przebywały one w

zupełnej pró ni, na wysoko ci 500 kilometrów, dzi ki czemu uzyskana wielka szybko prawie nie malała do chwili l dowania. Pocz tkowo budowano rakiety dwustopniowe, pó niej, aby skuteczniej zwalczła ogromn dysproporcj mi dzy mas pocz tkow i ko cow pocisku, konstruowano ogromne „poci gi stratosferyczne”. Najwi kszym tego rodzaju statkiem był Biały Meteor, zło ony z o miu coraz mniejszych rakiet. Najwi ksza z nich wa yła dziewi tysi cy ton, najmniejsza za , ostatnia, zaledwie jedna cie ton. Olbrzym ten, wystrzelony w przestrze w roku 1970, miał okr y Ksi yc dokonuj c zdj filmowych jego niewidzialnej z Ziemi półkuli i powróci po 118 godzinach nieprzerwanego lotu. Widoczny przy teleskopie Biały Meteor cofał si pozornie na niebie, pozostawiaj c za sob w pró ni łuski wypalonych rakiet, i w wyznaczonym czasie osi gn ł tarcz Ksi yca, by znikn za jej kraw dzi . Wynurzywszy si niebawem po jej drugiej stronie, rozpocz ł spadek na Ziemi z wysoko ci 380 000 kilomerów. Jednak e w obliczeniach zaszedeł nieznaczny bł d, który sprawił, e pocisk min ł wielkie przestrzenie Sahary, przewidziane na l dowisko, i wpadł do Oceanu Atlantyckiego, gdzie spocz ł na gł boko ci 6000 metrów. Wydobyć pocisku zwi zane było z tak ogromnymi trudno ciami, e go zaniechano, rezygnuj c z cennych materiałów i zdj fotograficznych.

Ten pierwszy prawdziwy lot mi dzyplanetarny, chocia dokonany przez pocisk, na którego pokładzie nie było ywej istoty, wzbudził powszechne zainteresowanie. Znów podj to my l pierwszych astronautów, by na odległo kilku tysi cy kilometrów od Ziemi, w stref znikomego ci enia, przewie cz ci konstrukcji metalowej, z których zbuduje si sztucznego satelit Ziemi. Miała to by stacja po rednia dla wszystkich wypraw dalekosi nych; statki, zu ywszy ogromn ilo paliwa dla pokonania grawitacji ziemskiej, pobierałyby tam wie e jego zapasy i mogły rusza dalej w przestrze . Budowa takiej wyspy była zadaniem nie byle jakim; kilkana cie tysi cy ton metalu nale ało przewie raketami w pust przestrze i tam, w temperaturze niemal absolutnego zera, w zupełnej pró ni, zespawa cz ci konstrukcji. Proponowano ró ne sposoby stworzenia sztucznej grawitacji na owej wyspie, które ułatwiłyby poruszanie si ludziom; jeden z projektów, wysuni ty przez uczonych niemieckich, przewidywał silne namagnesowanie powierzchni sztucznego satelity, a chodz cy po niej ludzie mieli nosi obuwie o elaznych podeszwach.

Próby budowy rozpocz to od stworzenia niewielkich sztucznych satelitów. Wystrzeliwszy sterowan z Ziemi rakiet trzystopniow , której ostatni człon uzyskał pr dko 8 km na s k., stworzono pierwszy sztuczny ksi yc okr aj cy Ziemi w czasie dwu i pół godziny, dobrze widoczny przez teleskopy, a nawet przy czystym powietrzu i niskim sło cu dostrzegalny gołym okiem jako mikroskopijny czarny punkt, sun cy jednostajnie w bł kicie. Drugi z kolei sztuczny ksi yc był całym laboratorium naukowym, które wysłano w przestrze z takim obliczeniem, by osi gn wszy odległo 42 000 kilometrów zacz ło kr y wokół Ziemi. Sun c po takiej orbicie ciało obraca si dokoła Ziemi raz na 24 godziny, a wi c pozostaje nieruchome w jednym punkcie nieba, zawieszona w przestrzeni pozornie na przekór siłom grawitacji. Niezwykłe to zjawisko słu yło astronomom, którzy w dziobie rakiety–ksi yca umie cili przyrz dy obserwacyjne.

Budowa wielkiej stacji po redniej poza Ziemi nie weszła jednak w dalsze fazy, a udaremnił to i uczynił zbytecznym dalszy post p techniczny. Cały ten projekt miał wielu przeciwników od chwili powstania. Mówili oni, e zagadnienie przesuwa si w ten sposób na fałszywe tory; stworzenie sztucznego ksi yca nie usuwa niedogodno ci olbrzymich „poci gów raketowych”, poniewa obliczenia wykazuj , e dla osi gni cia najbli szych planet, je li wyprawa ma posiada szans powrotu, nawet przy obecno ci stacji po redniej potrzeba statków nieprawdopodobnych rozmiarów. Oponenci przypominali tak e pewien okres rozwoju lotnictwa ziemskiego z lat dwudziestych poprzedniego stulecia, kiedy to wiele mówiło si o konieczno ci zbudowania sztucznych, pływaj cych wysp na Oceanie Atlantyckim, na których miały l dowa samoloty w drodze z Europy do Ameryki. Projekty



takie były dyktowane ówczesnym stanem techniki lotniczej, która nie produkowała jeszcze maszyn do wielkich i odpornych, by mogły wziąć przeszkodę oceanu jednym skokiem. Zadanie to rozwinięto w kilkanaście lat później i kosztowne budowle sztucznych wysp zarzucono jako zupełnie zbędne.

Te głosy opozycji przeciw kosmicznej stacji po prostu dochodziły zwłaszcza z instytutów i laboratoriów fizycznych, albowiem pracujący w nich uczeni rozumieli lepiej od kogokolwiek innego, że rakiety o napędzie chemicznym, przeszedłszy skomplikowaną ewolucję od smoków chińskich i małych pocisków prochowych aż do Białego Meteoru z jego masą początkową 21 000 ton, dochodzą do swego kresu, a na scenę wstępuje nowy, nieskończonego potencjału napędowy. Było to paliwo atomowe.

Znana od połowy XX wieku energia atomowa nie od razu dała się użyć do wytwarzania elektryczności, regulacji klimatu i przekształcenia powierzchni Ziemi. Przez długi czas stały temu na przeszkodzie nawyki techniczne, odziedziczone po poprzednich pokoleniach. Podobny proces nieraz już zachodził w historii: wynalazcy samochodu budowali go na podobieństwo pojazdów konnych i upłynęło kilkadziesiąt lat, zanim auto, odnalazłszy własne rozwiązanie konstrukcyjne, niezależnie się od swych niedoskonałych przodków. Pierwsze wagony kolejowe były dyblansami postawionymi na szyny. Pierwsze parowce budowano na wzór statków żaglowych. Ta bezwładność niemało komplikowała też wyzyskanie energii atomowej. Przyczyny po temu były jednak większe i trudniejsze do pokonania niż w wymienionych przykładach historycznych. Epoka pary zmusiła inżynierów do usilnych badań nad obróbką metali, a zwłaszcza elaza, które stało się podstawowym budulcem wszystkich maszyn. W miarę jak potęgowały się „elazne anioły”, maszyny parowe, zdejmujące z ludzkości brzemię niewolniczego trudu, rosła też wiedza o wartości takich paliw, jak węgiel i nafta, zarazem zaawansowana technologia metali tworzyła setki i tysiące rodzajów stali i elaza, coraz bardziej specjalnych i lepiej przystosowanych do pełnienia ściśle określonych funkcji; powstały więc stopy, z których walcowano blachy kotłowe, inne dla korpusów maszyn, inne dla łożysk, jeszcze inne dla cylindrów, łopatek turbinowych i wałów. Ogółem liczba ich się gągała wielu tysiącami. Odkrycie energii atomowej wytworzyło sytuację taką nową, że mało kto pojmował zrazu, jak wielki przewrót myślenia technicznego przyniesie jej powszechne zastosowanie. Początkowo nie miało się zamiaru rezygnować z odziedziczonej olbrzymiej wiedzy inżynierskiej, którą zdobyto nakładem pracy wielu pokoleń. Dlatego ciepła, wytwarzanego w stosach atomowych, używano do podgrzewania pary poruszającej budowane po dawnemu turbiny parowe. Jednakże po kilku latach sposoby te uznano za niewłaściwe. Para wodna służyła dobrze jako przenośnik ciepła pomiędzy płomieniem w gładkim cylindrze maszyny, obecnie jednak nie wystarczała. Stos atomowy, zdolny do wytworzenia temperatury wnętrza gwiazd, zmuszono do pracy w nikłej dla ciepłoci paruset stopni. Zmniejszało to ogromnie jego wydajność. Teraz dopiero ludzie w pełni ocenili, jak bardzo skomplikowane były używane dotychczas sposoby wytwarzania energii: chemiczne paliwa przekształcano w ciepło, które — w energii ruchu pary i dopiero to — na elektryczność. Tymczasem stos atomowy wyrzucał całe chmury naładowanych elektrycznie szczątków atomowych; gdyby je można było zebrać i odpowiednio skierować, uzyskano by niewyczerpane źródło elektryczności.

Zadanie było postawione, cel ukazany, lecz na drodze do niego piętrzyły się olbrzymie trudności.

Cała dawna wiedza była na nic. Doskonale znane ciała, wystawione na działanie próbkających atomów, w oczach odmieniały swe właściwości. Najtwardsze i najodporniejsze stale przepuszczały promieniowanie atomowe jak dziurawe sito. Do tej pory inżynier energetyk, inżynier producent tworzył maszyny chodzące tam i na powrót lub obracające się w kółko, uczył się więc teorii tarcia, smarowania, wytrzymałości materiałów. Teraz musiał wejść w nieznanne tereny olbrzymich temperatur i promieniowania, nawiedzane dotychczas wyłącznie przez astronomów. Musiał posiąść nową wiedzę i stworzyć nowe, nigdzie w



przyrodzie nie istnieją ce rodkie okiełzania tego najgwałtowniejszego i najbardziej elementarnego rodzaju energii, jaka od miliardolecia żywi całą Wszechwiat, podtrzymując wiatła gwiazd. W miarę jak stare fabryki i zakłady ustawały w pracy, znikły brudne kotłownie ze swymi sieciami syczących i bulgoczących rurociągów, hale maszyn pełne gwiżdżących turbozespołów, huczące pompy próżniowe, olbrzymie hałdy węgla i wiele chłodnicze. Cały ten ogromny tom cywilizacji technicznej przechodził w przeszłość, by spocząć obok tomów zawierających historię egipcjczyków za pomocą wiatru, kolei parowych, balonów sterowanych — zeppelinów, i tych wielu tomów, w których opisane były straszliwe rodkie, jakich dawna ludzkość używała do wzajemnego niszczenia się w wojnach zaborczych.

Nowe fabryki energii miały wygląd zupełnie odmienny. Między przezroczystymi ścianami przechadzali się ludzie w białych płaszczach, dozorujący uwięzione w podziemiach za grubymi ekranami pierwiastki, które, puszczane w koryta nieustających przemian, wytwarzały energię. W wietlistych halach nowych fabryk panowała zupełna cisza i tylko tam, gdzie przy głównych szynach zbiorczych przelewał się w przewody wysokiego napięcia, słychać było basowe, spokojne mruczenie transformatorów.

Elektryczność, chociażby i uzyskana wprost z atomów, nie nadawała się bezpośrednio do napędu rakiet. Astronautyka musiała wciąż jeszcze czekać na swoje decydujące odkrycie. Paliwo atomowe zdawało się obiecywać nieskończone zwycięstwo, jakiegokolwiek inne: gazy powstające przy rozpadzie atomów miały szybko kilkudziesięciu, a nawet kilku tysięcy kilometrów na sekundę, energia z parokilogramowej bryły uranu starczyłaby do przeniesienia tysiąca ton na Księżyc. Ale to rozwianie, najprostsze na papierze, było najcięższe w realizacji. Rzecz w tym, że przy rozpadzie atomów wyrzucały one cząstki na wszystkie strony, a dla napędu rakiety trzeba je skierować w jedną stronę. Ówczesna technika uważała ten problem za nierozwiązalny. Wtedy przyszedł nowy odkrycie i jedna z najmłodszych nauk, syntetyczna chemia jądrowa, zdecydowała się o zwycięstwie egipcjczyków międzyplanetarnej.

Chemiczy, którzy dawniej podglądali tylko przyrodę, starając się stworzyć w laboratorium ciała występujące na Ziemi i gwiazdach, nauczyli się budować substancje nigdzie nie istniejące, a czynili to tak dowolnie, jak architekt, który podporządkowuje kształt i konstrukcję budynku swoim twórczym zamysłom. Na jego życzenie mogli tworzyć ciała o twardości diamentu, a odporności stali, masy plastyczne lekkie i przezroczyste jak szkło, lecz dające się kroić i obrabiać, kleje zlepiające metale z siłą spójności nitami, masy izolacyjne, grzejne, pochłaniacze dźwięków, promieni i nawet cząstki atomowych. W ten sposób powstał lucyt, syntetyczny materiał budowlany, który, wchłaniając w dzień promienie słoneczne, oddawał w ciemności ich energię, więc równym, białym blaskiem. Nauczony siłą wedle woli układu i spajania siatek atomów, uczeni zwrócili tymczasem uwagę na niepokorne dotychczas drogi atomu. Chodziło o to, aby atomy oddając swą energię rozpadały się nie byle jak, lecz w sposób ściśle określony, i aby ten rozpad wyzwalał cząstki dające się skierować w dowolnym kierunku.

Łatwo to powiedzieć, lecz jak trudno było dopięć do celu. Drogi atomowe otoczone jest wałami potencjału, dla którego przebicie potrzeba energii miliony razy przewyższającej energię najstraszliwszych rodków wybuchowych. Odmienił się całkowicie wygląd laboratoriów fizycznych. Gdy dawniej w niewielkich stosunkowo salach na stołach i półkach stały delikatne aparaty o szklanych szybach, teraz w masywnie sklepionych halach z betonowymi stropami wznosiły się wielkości i kształtem podobne do średniowiecznych baszt obronnych maszyny rozpadające cząstki. Potem na tę artylerię atomową uczonych, bombardująca oporną twierdzę jądrową, dysponowała najrozmaitszymi kalibrami: od starych, bo jeszcze w trzydziestych latach XX wieku budowanych cyklotronów, poprzez synchrotrony, algotrony, kawitrony, mikrotrony, rumbatrony i ralitrony aż do potwornych bewatronów, w których miliardy i miliardy woltów rozpadają cząstki do szybkości światła. W ciękich

ubraniach ochronnych, osłaniając twarz maskami ze szkła ołowiowego, zbliżali się do szklanych murów betonowych, przez które przebiegał biały płomień nukleonów, aby poddać jego działaniu szczyt nowego jakiego pierwiastka. W ten sposób powstało w roku 1997 <sup>109</sup>At, białosrebrzysty, bardzo ciężki metal z grupy aktynidów, nie istniejący w całym Wszechświecie pierwiastek, który zajął 103 miejsce w układzie okresowym Mendelejewa. Metal ten, obojętny chemicznie i stały w zwykłej temperaturze, przy podgrzaniu do 150 000 stopni rozpadał się wyrzucając deuterony, jądrowy wodór. Dla osiągnięcia temperatury rozpadu i wygodnego regulowania przebiegu reakcji zastosowano pomysł wielkiego fizyka rosyjskiego Kapicy, dzięki któremu Zwierzki Radziecki uzyskał lekką energię atomów jeszcze w roku 1947.

Pomysł ów polegał na gwałtownym stwarzaniu i unicestwianiu nadzwyczaj silnego pola magnetycznego. Między biegunami elektromagnesu powstają wówczas temperatury rzędu 250 000 stopni. Elektromagnes mógłby jednak czymś wiec zapłonów” silnika: mógł na podobieństwo soczewki skupiać potoki cząstek i wyrzucać je w jednym kierunku. Dzięki temu powstał idealny silnik atomowy, zdolny przenosić rakiety międzyplanetarne w dowolny punkt Wszechświata. Tak to wyglądała, trudna praca wielu

tysięcy inżynierów, techników, chemików i fizyków przeniosła ziemską cywilizację techniczną na nowe, wyższe piętro rozwojowe, gdzie podróż międzyplanetarna była nie kapryśną fantazją jednostek, nie projektem wynalazcy-marzyciela, lecz głębią potrzeb całej ludzkości, która, wyzwoliwszy się na zawsze z niewolniczej pracy fizycznej, wznosiła wzrok w nieskończone przestrzenie Wszechświata w poszukiwaniu nowych zagadek i tajemnic natury, aby się z nimi zmierzyć.

W taki właśnie sposób powstał Kosmokrator, ogromny statek międzyplanetarny, który w roku 2006 miał wyruszyć na Marsa. Znane nam w tym czasie wypadki odmieniły przeznaczenie pocisku.

## LEKCJA ASTRONAUTYKI

Był pochmurny czerwcowy ranek. Autostrad wiod c do stoczni statków mi dzyplanetarnych jechał wielki autobus mi dzymiejski. Asfaltowa wst ga, wij ca si w ród gł bokich wykopów, l niła w deszczu jak woda. Strome j zory osypisk schodziły a do betonowych obrze y i odbijały si w gładkiej nawierzchni, wywieraj c na jad cych wra enie, e s na statku płyn cym przez górski przełom rzeki. Młodzi chłopcy, wypełniaj cy wn trze samochodu, stłoczyli si przy oknach. W miar jazdy grzbiety skalne przesuwają si , zakr cały, chowały jedne za drugimi, na ich miejsce wynurzały si nowe, wszystkie o zboczach pokrytych czarnym masywem le nym. Po godzinie wysoko nad czubami jodeł zal nił szczyt obserwatorium astronomicznego. Niebawem autobus, wjechawszy na przeł cz, min ł w pewnej odległo ci ogromn kopuł , przekrojon jak owoc, z wystaj cym rusztowaniem wielkiego reflektora. Za chwil motor odetchn ł i jego wyt on prac zast piło pewne syczenie hamulców. Rozpocz ł si zjazd do doliny, w której le ała stocznia.

Jeszcze kilkana cie minut gwałtownego toczenia si samochodu kr t drog — i po ród rozchodz cych si szeroko ła cuchów górskich, których szczyty ton ły w chmurach, rozpostarła si równina ze szkieleciami stalowych wie , kominami i wiec cymi w deszczu, jak szklane, blachami wielkich zbiorników. W rodku wielkim o miok tem ciemniały mury stoczni.

In ynier Sołtyk pił wła nie kaw w pustej kre larni, kiedy zadzwonił telefon. Od wierny donosił, e przyjechała Wycieczka. Sołtyk nawet si nie skrzywił, powiedział: — Niech zaczekaj , zaraz przyjd — i odło ył słuchawk . Dopijaj c kaw , ogrzewał zarazem kubkiem palce zzi błe nie od chłodu, lecz ze zm czenia. Poprzedniego dnia statek odbył ostatni przed wielk podró , jedenastogodzinny lot próbny. In ynier wzi ł w nim udział jako pierwszy nawigator. Umy lnie przeprowadzono nocne l dowanie w szczególnie ci kich warunkach, przy grubej powłoce chmury i znikomej widoczno ci.

Sołtyk przebywał w stoczni od miesi ca jako delegat techniczny wyprawy. W czasie nocnego lotu nie zmru ył oka czuwaj c przy aparatach kontrolnych, po l dowaniu brał udział w przegl dzie urz dze , a przed południem miał jeszcze z konstruktorami stoczni przejrze zdj cia rentgenowskie powłoki pocisku. Robiono je od chwili, gdy statek wtoczono do hali, to znaczy od pierwszej w nocy. Posiedzenie komisji wyznaczone było na jedenast . Sołtyk spojrział na zegarek. Była dziewi ta, miał jeszcze dwie godziny czasu. Postanowił przedtem, e si zdrzemnie, lecz po telefonie uznał, e nie warto. Oprowadzi jeszcze i t wycieczk . Robił to od chwili, gdy przybył do stoczni, bo tak si składało, e miejscowi in ynierowie, uwikłani w gor czkowych pracach, zwi zanych z bliskim terminem wyprawy, nigdy nie mieli czasu, Sołtyk przeszedł si po pustym pokoju, machinalnie dotkn ł rozrzuconych na stołach planów, spojrział w okno, za którym szarzały w drobnym deszczu góry, i wsiadł do windy, która zniosła go o trzy pi tra w dół. Pomi dzy zewn trznym a wewn trznym murem stoczni w bujnych trawnikach czerwieniały p ki niezwykle wielkich piwonii. Wycieczka, jak powiedział mu przechodz cy technik, była ju w poczekalni przy tunelu. Zszedł wi c jeszcze o pi tro ni ej. W du ym pomieszczeniu stało kilkunastu chłopców. Zaledwie oznajmił, e ich poprowadzi, otoczyli go i zarzucili pytaniami.

- Czy to prawda, e tej nocy był próbny lot?
- Jaka szkoda, jaka szkoda, e my nie przyjechali wczoraj!
- Czy zaraz b dziemy mogli zobaczy statek?
- A prosz pana, czy tu s wszyscy członkowie wyprawy?
- A do rodka mo na wej ?

Pytania sypały si jak grad. In ynier nie próbował nawet odpowiada , lecz otrz saj c si i cofaj c, jak przed strumieniem wody, dotarł do drzwi.

— Sami wszystko zobaczycie... — powiedział. — No chod cie.

Weszli do długiego korytarza; zamykały go drzwi wielkie, ciemne, z soczewkowatym okienkiem. Gdy idący byli od nich jeszcze o kilka kroków, drzwi same rozsunęły się powoli na boki jak podwodna łuska. Za nimi prowadziła w dół pochylnia. Zielone światła, płonące w niszach, dziwnie oświetlały twarze. Wreszcie pochylnia skończyła się. Weszli do niskiej, obszernej komory o szorstkich ścianach i stropie z cementu portlandzkiego. Rozsunęły się ostatnie drzwi ukazując — w niebieskim tym razem świetle — wnętrze jakby dużego wagonu.

— To winda? — spytał ktoś.

— Nie, wagon przewoźny — odparł inżynier. Gdy wszyscy usiedli na skórzanych fotelikach, nacisnął guzik. Podłoga zadrażała lekko i ruszyła. Inżynier oparł się o ścianę. Miał na sobie wciąż jeszcze roboczy kombinezon, którego przód osypany był drobnym jak popiół pyłem metalowym. Zapaliwszy papierosa, mówił trochę leniwym, niskim głosem:

— Jesteśmy teraz dwa piętra pod ziemią. Przejeżdżamy przez tunel nad murami ochronnymi. Osiem lat temu nie było tu jeszcze stoczni, ale wielki stos atomowy starego systemu. Nie było wtedy jeszcze komunium. Dlatego musiał być otoczony siedmiometrowymi murami dla pochłonięcia promieniowania. Teraz, przy nowej metodzie, to wszystko jest już historią, ale zostały mury i tunel.

Rozległ się szum niewidzialnych buforów. Wagon stanął. Drugie drzwi otworzyły się. Za nimi sunęły ku górze ruchome schody. Z wysoko ci padał na nie jasnożółty blask, niby promienie zimowego, niegrzejącego słońca. Wchodząc na stopnie chłopcy spozierali w górę, gdzie w czworokątnym wykroju obmurowania widniał wieńiec szklany strop. Schody, sunąc jednostajnie, podniosły ich do szerokiego progu. Znieruchomieli.

Przed nimi ziała hala wyłożona zwierciadlanym granitem. Była tak olbrzymia, że kiedy patrzyło się przed siebie, w dalekich światłach strop zdawał się schodzić z podłogi. Sprawiała to perspektywa optyczna, bo podniósłszy głowy przekonali się, że mleczne płyty na stalowej konstrukcji wiszą kilkanaście metrów nad nimi. Hala nie miała ścian; lecz z obu stron wsparta była na długich rzędach kolumn, pomiędzy którymi widać było wnętrze drugiej hali. Mimo jasnego dnia przestrzeń zalewał potop sztucznego światła. Po środku na dwóch rzędach platform spoczywał długi srebrny pocisk. Mrowie pomniejszych odległo ci ludzi obsiadło jego boki i pełzając po nich ciągnęło za sobą czarne niteczki przewodów. Płonęły setki błękitnych, kłujących wzrok iskier. To pracowali spawacze elektryczni. Pomocnicze krany wieńce otoczyły się wokół pocisku, małe jak zabawki z zapalek. Pod samym stropem, na tle jego ogromnych, od wnętrza oświetlonych szyb, ciemniał dźwig mostowy, jednym gigantycznym przęsłem rozpięty nad całą halą.

Inżynier, wiadomy wrażeń, jakie stocznia robiła na obcych, przeczekał chwilę, zanim ruszył prosto ku pociskowi. Dopiero idąc oceniało się prawdziwie ogrom hali. Szli i szli, a wzniesiony, lśniący srebrem dziób pocisku wciąż był daleko. Minęły kilka głębokich szybów w podłodze, otoczonych barierkami. Zagląjąc tam widziało się szyny kolejki elektrycznej. Co kilkadziesiąt sekund przemykał w wagoników z lokomotywką. Chłopcy nie bardzo jednak patrzyli w dół, bo oczy wszystkich przyciągał pocisk. Stąpając po wypolerowanych taflach, doszli wreszcie do pierwszej platformy, na której spoczywał kadłub. Z bliska okazało się, że jest to wygięta aluminiowa kolumna, rozszczepiona na dwie łapy; każda z nich ujmowała cztery szerokie gniazda. Inżynier zatrzymał się. Od chwili kiedy wyszli z wagonu, milczał. Obserwował chłopców z leniwym, lekko kpiącym uśmiechem, jakby myślał: „Ano, czemu o nic nie pytacie?” Kadłub statku biegł ponad ich głowami w obie strony, srebrny, olbrzymi, nieruchomy. Rzucił chłodny cień. Idąc dalej, mijali podtrzymujące platformy. Kilkanaście metrów za dziobem na srebrzystej powłoce czerwieniały wielkie litery; tworzyły napis: KOSMOKRATOR. Poza tym powierzchnia pocisku była nieprzenikliwie gładka. Chłopcy, którzy wysforowali się naprzód, stanęli

odruchowo, bo z wysoko ci trzech pi ter obni ało si długie rami , zako czone grusz z białego metalu. Na gruszy siedział okrakiem człowiek. We wzniesionych r kach trzymał linki kieruj ce i poci gaj c je naprowadzał t py wylot gruszy na rodek srebrnego grzbietu pocisku. Niezwykły je dziec, ubrany w długi czarny płaszcz, z twarz zakryta ciemnymi okularami, mimo znacznej odległo ci doskonale był widoczny na tle mlecznych płyt sufitowych.

— Prze wietlamy pancierz promieniami Roentgena... w poszukiwaniu uszkodze wewn trznych... — rzekł in ynier. Chłopcy szli wzdłu pocisku, niektórzy z półotwartymi ustami, wlepiaj c we oczy, tak e jeden zderzył si ze spiesz cym robotnikiem, a drugi omal nie wpadł pod koła wózka elektrycznego.

Kosmokrator stał nieznacznie nachylony. Po ród wielkich prz seł kratowych, aluminiowych rusztowa , zwisaj cych lin, otoczone gwarem pojazdów i tłumem ludzi, srebrne, gładkie wrzeciono spoczywało jak dziwny go . Jego kadłub, zw aj c si ku tyłowi, przechodził w ostre płetwy, rozło one w cztery strony. Najni sza, wielko ci dorównuj ca cianie kilkupi trowego domu, niemal dotykała ziemi. Chłopcy zadzierali głowy i mimo woli mru c powieki wpatrywali si w dysze silników, które si otwierały pomi dzy matowosrebrnymi płetwami. Zdawało si , e lada chwila z mrocznych wylotów runie straszny płomie atomowy i pocisk jednym pchni ciem wystrzeli przez cienki szklany dach. Niektórzy cofali si lub wspinali na palce usiłuj c zajrze do wn trza bezwładnych czelu ci, otoczonych wałami niepokalanie gładkiego metalu. Tylko w kilku miejscach masywne obrze a nosiły lady działania okrutnej temperatury w postaci delikatnych równoległych smug.

In ynier, wci z r kami w kieszeniach kombinezonu, milczał. Pracowało tu kilkunastu ludzi, a młody chłopak siedz c w kabinie na kółkach, od której biegly w ró ne strony grube kable, kierował ruchem rusztowania podnoszonego ku górnym płetwom.

Chłopcy nie mogli si oderwa od tego miejsca i z coraz innej strony ogl dali rozło one gigantyczne płetwy, jak gdyby ogon srebrnego lewiatana. Jeden, najmłodszy, z płon cymi oczami i twarz , zdradzał ch wdrapania si na rusztowanie i zrobiłby to niechybnie, gdyby nie obecno in yniera.

— Chod cie, chłopcy. Musimy si spieszy . Tłocz c si ruszyli za Sołtykiem. Po kilkudziesi ciu krokach znale li si przy luce towarowej. Brzuch pocisku otwierał si ziej c szeroko pomi dzy dwiema półkolistymi pokrywami, które zwisały w dół jak drzwi bombowca. Na wiod cy do wn trza statku pomost wtaczały si długim szeregim wyładowane elektrowozy. Kilku ludzi baczyło na o ywiony ruch.

Min wszy luk towarow podeszli do białych aluminiowych schodków na kółkach, przystawionych do widniej cego wysoko otworu. Trzeba było wej na wysoko trzech prawie pi ter. Pierwszy z id cych znalazł si na małej platformie szczytowej, spojrział za siebie i zastygł. Za plecami miał srebrnomatowy bok pocisku, a pod sob — gł bi hali, która jeszcze bardziej wzrosła. Po jej nieprzemierzonych płaszczyznach toczyły si dziesi tki małych pojazdów, dalej białały wypukłe kadłuby maszyn z kroczy cymi na galeryjkach i mostkach lud mi. Z setek bł kitnych płomyków wznosiły si nitki pary ł cz c si w lekki, przejrzysty obłok. Powietrze pełne było ostrej woni ozonu. Metaliczny smak osiadał na ustach. Nad głow sun ły powoli kratownice d wigu. Chłopiec ockn ł si , bo tu nad nim w powietrzu pojawił si człowiek. Zje d ał na bloku przewieszonym przez trawers, w skórzanym fartuchu, z mask azbestow na twarzy, trzymaj c jak pistolet krótki, metalowy palnik.

— No, có e si tak zapatrzył! — zacz to woła z dołu. Chłopak obróciwszy si skoczył w rozwartym cianie pocisku otwór. Znalazł si we wn trzu korytarza o okr głych cianach pokrytych lucytem, który wydawał spokojne, bł kitnawe wiatło.

— To jest luza wej ciowa — rzekł in ynier. Pojawił si jako ostatni. — Z obu stron s hermetyczne klapy, eby mo na było wychodzi i wchodzi nawet w pustej przestrzeni. A



teraz może być albo od razu do Centrali, albo do silników, jak wolicie? — zwrócił się do chłopców. Stali ciasno stłoczeni w niewielkim korytarzu i milczeli, nie mieleni.

— Do Centrali — na chybił trafił odezwał się najmniejszy. Zdawało mu się, że inżynier traktuje ich niechętnie, jak intruzów. Sołtyk podszedł do zapory w cianie i oburzył czy odwrócił elastyczne koło szprychowe. Zapora schowała się, gruba jak drzwi skarbcza. Weszli do drugiego takiego okręgu korytarza, który wiódł poziomo do wnętrza pocisku. Koło było otwarte szeroko kłap. Była tam mała cela o ścianach równie pokrytych lucytem. Pod niskim stropem skręcały kamień rury. Schodziły od nich korby i pokręta.

— Jesteśmy w stacji obsługi luz — rzekł inżynier. Przechodząc ku drzwiom w cianie dodał: — Tu są manometry, a tu — wskazał na rury — przewody wysokiego ciśnienia. Pod podłogą są pompy i butle ze sprężonym gazem... Tak... a teraz zejdziemy do Centrali.

Za drzwiami, umieszczonymi wysoko w cianie, znajdował się pionowy szybik, niezbyt gładki, bo zająwszy widziało się jego jasno oświetlone dno. Prowadziły tam schodki, a raczej drabinka o szerokich stopniach wyłożonych gładkim, bardzo elastycznym materiałem, w której zagłębione były stopnie. Same schodki otaczała rura tak w kształcie, że schodzić można było tylko pojedynczo. Jeden po drugim zeszli na dół. Stali w przelocie długiego korytarza o dziwnym kształcie: jego przekrój był prawie równobocznym trójkątem. Ściany schodziły się w górę, gdzie biegła długa rura świetlna. Korytarza nie rozjaśniał lucyt: podłoga jak i ściany wyłożone były tym samym ciemnozielonym, gładkim materiałem, co schodki.

— Po drodze możemy obejrzeć kabin — rzekł inżynier. Otworzył pierwsze z brzegu drzwi, które, znajdując się w cianie trójkątnego korytarza, były nachylone do podłogi pod kątem 45 stopni. Jakieś zdumienie chłopców, gdy zająwszy do środka jednej kabiny spostrzegli, że podłoga jej wznosiła się od drzwi w górę, nachylona do poziomu niemal o połowę kąt prostego.

Inżynier, jakby nie dostrzegając ich zdziwienia, poszedł kilka kroków dalej i otworzył drzwi kabiny położonej po przeciwległej stronie korytarza. I tam również podłoga podnosiła się stromo w górę. W kabinach nie było nikogo. Płonęły w nich rurki podsufitowe, oświetlając słabo meble przymocowane do podłogi, jak czasem na okręcie.

Chłopcy spojrzeli milcząco na inżyniera. Wreszcie najmłodszy i najniecierpliwniejszy spytał:

— Co to znaczy, proszę pana? Dlaczego ten korytarz jest trójkątny, a w kabinach jest krzywa podłoga?

— Nie krzywa, tylko nachylona — poprawił go Sołtyk. Wydobyl z kieszeni kombinezonu notes i ołówek mówił:

— Jeśli się czegoś nie wie, należy zaraz pytać. Nie trzeba się wstydzić.

Naszkirował rysunek i pokazał go chłopcom.

— Rozumiecie już?

Ale chłopcy nadal nie rozumieli.

— Wiecie, że statek przeznaczony jest do podróży międzyplanetarnych? No właśnie. A tam, w przestrzeni próżnej, nie ma siły ciężkości. Dlatego wszystkie przedmioty stają się nieważkie. Dawniej w powieściach fantastycznych opisywano rozmaite zabawne przygody takich podróży, jak to nie mogli wylać wody z flaszki, jak fruwali swobodnie pod sufity i tak dalej. Otóż to przyjemno ci raczej w ciepłej, a co ważniejsze, istnienie grawitacji jest dla człowieka niezbędne. To nie znaczy, że bez niej nie można żyć. Bynajmniej, ale po pewnym czasie mielibyśmy nie wskutek braku pracy zaczynają zanikać. Dlatego Kosmokrator sam sobie stwarza sztuczne pole ciężkości. Po prostu wiruje w czasie lotu wokół swojej długiej osi, którą na tym rysunku zaznaczyłem literą O — widzicie? Dzięki temu powstaje siła odśrodkowa, jak na karuzeli, która przyciska wszystkie przedmioty i ludzi w kabinach w kierunku promienia. Tak jak zaznaczyłem strzałką. Podłogi kabin i tego korytarza są tak ustawione, aby w czasie podróży wszędzie pod nogami czuło się „dół”, a nad głowami



— „górze”, tak jak na ziemi. A to jest oczywiście tylko przy promienistym ułożeniu pomieszczeń.

— A co jest nad nami?

— Na górze są grodzie ładunkowe.

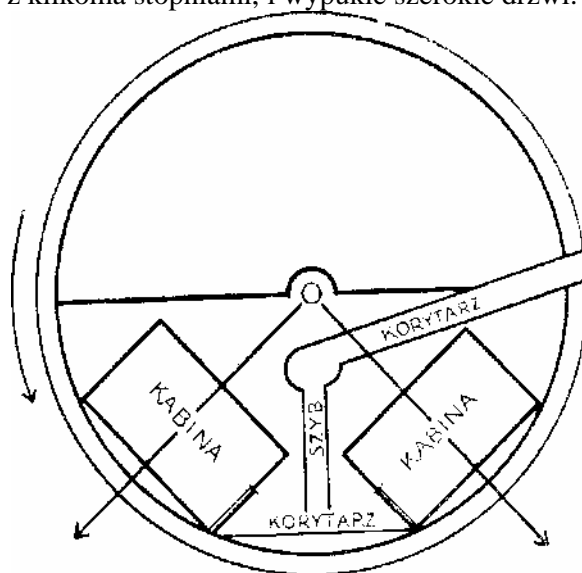
— A czemu korytarz jest trójką?

— Po prostu dlatego, że nie starczyło miejsca.

— To może na by było zrobić inaczej — rzekł zaczepnie najmniejszy z chłopców, któremu wydało się teraz, że i innych z nich kpi.

— Może na by było — zgodził się dobrodusznie Sołtyk — ale wtedy trzeba by ciany w kabinach pochylić, co nie wyglądałoby zbyt ładnie, a w korytarzu przecie mniej się na ogół przebywa niż w kabinie. Zresztą i tak mogłoby tu i cztery osoby w jednym szeregu... No, ale zagadali my się. Chodźmy do Centrali.

Ruszył przed siebie, a chłopcy za nim. Najmniejszy liczył kroki: do końca było ich 68. Tu znów schodki, ale tylko z kilkoma stopniami, i wypukłe szerokie drzwi.



W kabinie, która miała może sześć metrów średnicy, uderzył wchodzącego widok nieprzeliczonych wskaźników, zegarów i lampek sygnałowych. Mrugały i błyskały wszystkimi kolorami światła. Ciany, nachylone do podłogi pod kątem, ale w przeciwną stronę niż w korytarzu, podzielone były na sekcje tworzące jak gdyby szafki z pulpitemi. Wszędzie iskrzyły się i pulsowały wiatelki. Nad każdą szafką znajdował napis. Można było odczytać: DYSZE, POLE GŁÓWNE, POLE KIEROWNICZE, GENERATOR POZIOMU A, PREDIKTOR, MARAX. Było ich kilkadziesiąt. W samym środku kabiny wznosił się z podłogi wielki aparat, podobny trochę do hełmu olbrzyma. Wystawały z niego trzy rury, zamknięte białymi denkami. Razem przypominało to kolosalnie powiększoną głowę owada z trzema wypukłymi oczami czy czułkami. Tam gdzie w głowie jest gardło, z aparatu wystawały w czterech rzędach pionowe dźwigniki. Odczytawszy na dwóch napisy START i ROZRUCH, chłopcy zaczęli tracać się łokciami i zbliżyli głowy do przyrządów, wpatrując się w nie chciwie.

Inni skupili się tam, gdzie w skośnie pochylonej ścianie widniał na tle matowej tablicy o wietlony odrodka kolorowy wizerunek. Przypatrzywszy się zrozumieli, że mają przed sobą podłużny przekrój Kosmokratora.

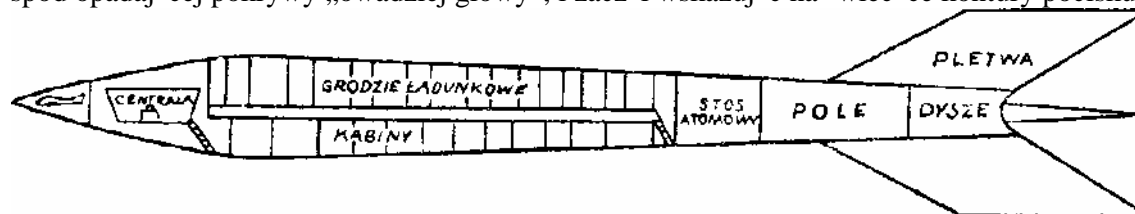
Po obu stronach „głowy owadziej” stały po trzy fotele, bardzo niskie, z odrzuconymi w tył oparciami i rozłożonymi pasami do zapinania. Nie to jednak najbardziej zaniepokoiło wszystkich ani nawet nieustanna bieżąca wiatelka sygnałowa. Naprzeciw foteli nad samą podłogą znajdowały się pochylone tarcze metalowe. W każdym razie, jak w ramieniu, widniał okrągły

ekran metrowej prawie rednicy. Na tych ja niej cych płaszczyznach wida było wn trze całej hali, wiec cy strop, krz tanin maszyn, wózków i ludzi, a wszystko to nadzwyczaj ostre, wyraziste i kolorowe. Dwa przy rodkowe ekrany ukazywały przednio-boczn cz hali, a inne dwa — tyln .

Gdy jedni chłopcy skupili si przy ekranach, drudzy dopadli wiec cej mapy statku, jeszcze inni wreszcie tłoczyli si przy „głowie owadziej”, gdzie stał in ynier.

— Zbli cie si wszyscy do mnie — powiedział gło no — ...a ci, co stoj z tyłu, niech niczego nie dotykaj ... jeszcze by my niechc cy gdzie polecieeli...

Chłopcy otoczyli go wie cem. Sołtyk usiadł na małym krzeselku, które wysun ł sobie spod opadaj cej pokrywy „owadziej głowy”, i zacz ł wskazuj c na wiec ce kontury pocisku.



— Tutaj widzimy wszystko, co jest wewn trz statku. Kosmokrator ma 107 metrów długo ci i około 10 metrów rednicy w najszerszym miejscu. Składa si z dwu wrzecionowatych korpusów, wło onych jeden w drugi. Zewn trzny korpus nadaje statkowi odporno i stanowi osłon aerodynamiczn , wewn trzny za , podzielony na dwa pokłady, górny i dolny, zawiera pomieszczenia ładunkowe, kabiny mieszkalne, urz dzenia kierownicze i silnik. W przestrzeni po« mi dzy oboma korpusami znajduj si zbiorniki wody i ciepłego powietrza. S to zapasy przeznaczone na podró , równocze nie za ochraniaj ludzi wewn trz statku od promieni kosmicznych. Na Ziemi chroni nas przed zgubnym działaniem tych promieni atmosfera, a w Kosmokratorze — woda oraz specjalny pancerz z kameksu, materiału pochłaniaj cego promieniowanie dziesi razy silniej od ołowiu. Dodatkowy czynnik bezpiecze stwa stanowi bersil, z którego zbudowany jest cały statek. Czy wiecie, co to jest?

— Wiemy, wiemy! — zahuczało.

— Zaraz si przekonamy — rzekł in ynier i, wyszukawszy przymru onymi oczami najmniejszego z chłopców, wskazał na niego palcem.

— Bersil... — zaczerpn ł tchu malec — ...jest to metal odporniejszy od stali.

— Nie, to nie jest metal — zauwa ył jeden z jego kolegów.

— A wi c to metal czy nie? Nie wiesz? A jaka jest jego budowa?

— Tam s takie „oczka” — zacz ł, kto , lecz nie podtrzymany umilkł.

Nast piła ponura cisza,

— Tak — rzekł in ynier. — Wi c obaj mieli cie racj . Bersil jest i nie jest metalem. Jak wskazuje nazwa, składa si z dwu pierwiastów: z BERYlu i SILicium, to jest krzemu. Pierwszy jest metalem, a drugi nie. Ka dy z tych pierwiastków posiada struktur krystaliczn , to znaczy siatk przestrzenn , w której naro ach siedz atomy. Bersil powstaje w ten sposób, e w puste miejsca siatki krystalicznej jednego pierwiastka wstawia si siatk drugiego. Tworzy si „plecionka atomowa” nadzwyczaj odporna i twarda. A wi c mamy ju sam pocisk. Przejdziemy teraz do siły nap dowej. Spójrzcie na plan Kosmokratora. Cała jego tylna cz to pomieszczenie silnikowe. Od reszty rakiety oddziela j dwumetrowy ekran, pochłaniaj cy promieniowanie. Id c od przodu ku tyłowi widzicie najpierw nasz „wytwórni paliwa”. Jest to stos atomowy, wytwarzaj cy communium. Na pokładzie nie mamy gotowego paliwa, lecz sami je sobie wytwarzamy z innych pierwiastków. Stos nasz, naładowany do pełna, mo e wyprodukowa około 40 kg communium. Wydaje si to niewiele, lecz wystarczy dla odbycia kilkudziesi ciu podró y do kresów naszego układu słonecznego. Proces

wytwarzania communium toczy się stale, tak jest i teraz, ale nadzwyczaj powoli, zaraz go zobaczymy.

— Inżynier nacisnął dźwignię. Natychmiast rozjaśniły się tarcze dwu zegarów, a na najwyższym „oku owadzi”, a właściwie małym ekranie katodowym, zajarzyła się wstęga, która początkowo pulsowała.

— Teraz stos nastawiony jest na bieg jałowy. Dla rozruchu wyciąga się zabezpieczające blendy kadmowe za pomocą tego regulatora — inżynier położył dłoń na dużej, czarnej rękojeści. — Wtedy ilość swobodnych neutronów we wnętrzu stosu powiększa się wieśset milionów razy i produkcja communium ulega przyspieszeniu. Cóż dzieje się dalej? Atomy communium zostają za pomocą dmuchawy wessane do następnej komory, która na planie nosi nazwę POLE, ponieważ jest tam elektromagnes wytwarzający pole magnetyczne. Pole musi być bardzo silne, dlatego elektromagnes waży ponad 400 ton, to jest więcej niż szósta część wagi całej rakiety. Elektromagnes, jak pewno wiecie, wytwarza temperaturę zapłonu communium. Pomiedzy jego biegunami powstaje kula rozprzeczonych gazów. Jest to po prostu małe sztuczne słońce, które wirując w polu magnetycznym wyrzuca strumień cząstek o ciężarze kilku tysięcy kilometrów na sekundę. Gdyby nie pole magnetyczne, cząstki pokających atomów wylatywałyby nie tylko dyszami, lecz prysłyby we wszystkie strony. Dawniej, przy bardzo wielkich stosach, tak zwanych „piecach uranowych”, wytwarzała się taka masa neutronów, że w promieniu kilkudziesięciu metrów wokoło trzeba było stwarzać strefę bezludną i wszystkimi operacjami przy stosie kierować spoza grubych murów ochronnych. Obecnie, dzięki możliwości dowolnego kierowania deuteronów, wszystko to należy do historii i pozostały nam po tym tylko bardzo grube mury jak ten, pod którym jechaliśmy tutaj. Teraz rozumiecie, że ten dwumetrowy ekran ochronny pomiedzy komorami silnikowymi a mieszkalną część rakiety nie ma znowu bardzo dużego znaczenia. Gdyby pole nagle zniknęło, to w naszym kierunku, w górę rakiety, runąłby powódź szybkich cząstek o takim natężeniu, że ekran nic by tu nie pomógł. Dam wam przykład ilustrujący to, co powiedziałem. Zbliżyć się do płomienia, mogą uchronić się od poparzenia, jeżeli będą silnie dmuchać odrzucając od siebie rozgrzane gazy. Mniej więcej taką rolę spełnia wobec rakiety elektromagnes, który kieruje strumień cząstek do dysz. W ten sposób powstaje silny poruszający się. Pozostaje nam jeszcze do omówienia ogólna. Cała astronautyka składa się właściwie z dwu wielkich rozdziałów. Pierwszy — to start i lądowanie, a drugi — właściwie lot w próżni. Jedno i drugie nie jest bynajmniej proste. Gdybym włączył rozruch przelotowy dźwigni do końca, silnik ruszyłby pełną moc... to znaczy rozwinąłby dzielnicę 3 700 000 koni mechanicznych. Jednak nie może tak zrobić... bo wszyscy znajdujący się w rakiecie ponieśliby natychmiast śmierć!

— Dlaczego?

— Rakieta, ruszając takim zrywem, osiągnęła przyspieszenie około 900 razy większe od ziemskiego. Przyspieszenie ziemskie to siła, z jaką Ziemia przyciąga wszystkie przedmioty na swojej powierzchni. Człowiek poddany przyspieszeniu dwa razy większemu niż jak gdyby dwa razy więcej niż normalnie, trzykrotnemu — trzy razy, i tak dalej. Spójrzcie na ten wielki zegar. Podziałka jego jest wyskalowana w jednostkach „g”, to znaczy jednostkach przyspieszenia. Wskazuje on, jakie przyspieszenie ma rakieta. Podziałka, jak widzicie, kończy się przy 50 g. Przy 6 g jest czerwona kreska, a przy 9 — dwie. Otóż człowiek może przetrwać przez dłuższy czas przyspieszenie około 4 g, a mniej więcej przez pół godziny — 7 g. 20 g może wytrzymać tylko przez kilkadziesiąt sekund. A przyspieszenie 3900 g zmiażdżyłoby po prostu jak prasa wszystkich obecnych w rakiecie! Tak więc rakieta startując nie może rozwinąć przyspieszenia większego niż 6–7 g i dlatego na tarczy jest w tym miejscu czerwony znak. Ale i tak ten oto bezpiecznik nie pozwala na rozwinięcie większego przyspieszenia. Bezpiecznik ten może jednak w pewnych okolicznościach usunąć.

— A po co?

— Bo mo na wyrzuci pocisk w ogóle bez załogi, i tak robili my wła nie przy pierwszych próbach lotu. Wtedy nie ma ogranicze i mo na wł czy silniki cał moc . To samo dotyczy równie hamowania: wytwarza si wtedy przyspieszenie, tylko odwrotnie skierowane. Łatwo to sobie uzmysłowi ; przypomnijcie sobie, co si dzieje, gdy siedzicie w wagonie, który nagle rusza: odczuwa si wtedy szarpni cie do tyłu, a gdy wagon hamuje — szarpni cie w przeciwnym kierunku. Szybko w czasie startu nie mo e przekroczy pewnej granicy tak e i z innego powodu. Rozgrzewaj c si od tarcia o atmosfer , pocisk mógłby stan w płomieniach i spłon , mimo e jest tak wytrzymały. Pami tajcie, e lec c ze zwykł szybko ci podró n rakietą mo e z łatwo ci przegoni pocisk armatni! Przy szybko ciach nadd wi kowych, jakie wówczas osi ga, opór powietrza jest olbrzymi. Stosowano ró ne metody w celu zmniejszenia go. Kosmokrator ma dokoła dziobu otwory, którymi w czasie przebijania atmosfery wytryska pod ci nieniem wodór. Pomi dzy bokiem pocisku a powietrzem tworzy si cienka warstewka wodoru, poruszaj ca si z połow szybko ci rakiety. Jest to tak zwana faza o szybko ci po redniej. Na skutek tego temperatura powłoki nie przekracza 1000 stopni. Jest to zno ne dzi ki naszym maszynom chłodz cym. Gdyby jednak z jakichkolwiek powodów temperatura rosła dalej, to inny automat zmniejsza parcie gazów wylotowych, dławic silniki. W ten sposób pokonali my zasadnicze trudno ci startu. A teraz przekonamy si , co by si stało, gdyby dostał si tu kto niepowołany.

In ynier szybko wł czył d wigni rozruchu. Natychmiast fioletowa wst ka, leniwie wij ca si na tarczy oscylografu, zacz ła pr y si i drga coraz szybciej. Wskazówki na zegarach ruszyły w prawo. Panowała zupełna cisza, spot gowana jeszcze tym, e wszyscy, sfłoczywszy si głowa przy głowie, powstrzymywali oddech. Wskazówki szły wci w prawo. Zapalały si i gasły coraz inne sygnały. In ynier nacisn ł drug d wigni i trzy ekrany w czarnej „głowie” zajarzyły si bł kitnawym wiatłem.

— Jak widzicie, proces wytwarzania communion przy piesza si . Mo emy rusza !

In ynier chwycił niespodzianie za r k najmniejszego chłopca, który, wci ni ty pomi dzy kolegów, stał tu przy nim, i jego palcem nacisn ł czerwony wł cznik pod napisem START.

Chłopiec krzykn ł i targn ł si wstecz, ale zatrzymał go zwarty mur napieraj cych kolegów, którzy z rozszerzonymi oczami, bez tchu, czekali katastrofy. Nie stało si jednak nic. Na jednym z ekranów pojawiła si na ułamek sekundy trzepoc ca eliptyczna linia, a potem zapłon ły trzy czerwone lampki i wszystkie wiatła na pulpicie zgasły. Za to na jednej ze cian zawyła przerywanym głosem syrena. In ynier roze miał si .

— My licie, e naprawd chc was wyprawi do nieba?

No, nie bójcie si ... Nic si nie stało i nie mogło sta . Po prostu zadziałał Predyktor!

Aczkolwiek chłopcy nie rozumieli, co zaszło, nikt nie chciał pyta . Wszyscy byli ogromnie zawstydzeni, a to, e in ynier widział ich przestkach, jeszcze bardziej ich uraziło.

— No no, nie gniewajcie si ... In ynier spowa niawszy tłumaczył:

— Człowiek nie jest w stanie skontrolowa pracy wszystkich silników i instrumentów równocze nie. Oprócz tego jego reakcje przy takiej szybko ci, jak rozwija Kosmokrator — ju w pierwszych 10 minutach przeszło 3 kilometry na sekund — staj si zbyt powolne. Je eli w odległo ci pi ciu kilometrów od rakiety wyłoniłby si z chmur samolot, to zanim pilot co kolwiek by przedsi wzi ł, nast piłoby zderzenie. 0,4 sekundy mija, zanim obraz zbli aj cego si samolotu dotrze do mózgu. W tym czasie rakietą przeleci prawie półtora kilometra. Ale pilot nie rozpoznał w tym czasie obrazu, tylko go spostrzegł. Na to potrzeba jeszcze prawie całej sekundy, a wtedy b dzie ju 4,5 kilometra dalej i po zderzeniu! Poza tym przy starcie człowiek nie jest w pełni władz fizycznych. Panuje wtedy przy pieszeniu równe 6 do 7 g. Takiego przy pieszenia doznaje pilot samolotu odrzutowego przy wykonywaniu ewolucji. Widzieli cie mo e, jak wygl da siedzenie w takim samolocie? To jest wła ciwie „le ak”, a nie siedzenie, bo pilot le y tam na brzuchu, z brod podpart gumow poduszczk . Chodzi o to, e pod wpływem rosn cego przy pieszenia pierwsze zawodzi

kręenie krwi. Krew staje się jakby „zakorkowana” i serce nie ma do niej siły, by ją przepompować do odległych części ciała, a jednym z nich jest mózg. Dlatego przy wirach i płatach bardzo często robi się pilotom ciemno przed oczami. To znaczy po prostu, że krew nie dopływa do tylnej części mózgu, gdzie jest ośrodek wzroku. Tak więc rozumiecie, że człowiek nie może bezpiecznie pokierować rakiety w czasie startu. Zastępuje go urządzenie, które macie przed sobą — inżynier położył ręką na lśniącej, gładkiej pokrywie „głowy owadziej”. — Nazywa się Predyktor. W czasie egzaminu w próbie trzeba utrzymać statek na właściwym kursie. Rakiet można by przez całą drogę napędzać silnikami, ale byłoby to zbyt duże marnotrawienie energii. Wystarczy bowiem oddalić się na pewną odległość od Ziemi i wyłączyć motory. Statek leci wtedy tylko dzięki przyciąganiu Słońca, podobnie jak planety. Są to tak zwane orbity naturalne. Są także inne, tak zwane orbity wymuszone, kiedy statek pomaga sobie silnikami, lecąc jak gdyby „na przelaj” czy też „pod prąd”, zwalczając siły grawitacji słonecznej, kiedy chce sobie skrócić drogę. To, co na zwykłym statku należy do kapitana i sternika, a więc obliczanie kursu, utrzymywanie go, wymijanie przeszkód, no i samo czuwanie nad przyrządami — to wszystko wykonuje u nas Predyktor. Statek, jak wiecie, wiruje w próbie wokół długiej osi, aby stworzyć sztuczne pole ciężenia. Dlatego na przedzie w dziobie znajduje się nadajnik radarowy, którego antena kręci się w przeciwną stronę z taką szybkością, by pozostać nieruchomą w stosunku do gwiazd. Dzięki temu Predyktor w każdej chwili orientuje się, jaki jest kierunek lotu i jego szybkość. Radar można by nazwać zmysłem wzroku Predyktora. Poza tym, że podaje informacje o położeniu statku, ma on jeszcze jedno niezmiernie ważne zadanie. Mianowicie w próbie zachodzi stałe niebezpieczeństwo zderzenia z meteorami. Był to prawdziwy koszmar pierwszych astronautów. Predyktor potrafi dzięki wirującym radaroskopom unikać takich groźnych spotkań. Prócz „zmysłu wzroku” posiada on „węch chemoelektryczny”, wrażliwy na skład powietrza wewnątrz rakiety, które oczyszcza i zmienia samoczynnie. Ale bodaj najważniejszy jest jego zmysł równowagi, bez którego lądowanie byłoby w ogóle niemożliwe. W pobliżu wielkich ciał niebieskich są tak zwane strefy zakazane, w których wytworzone przez siły kości tarcie przyływowe mogłyby rozerwać rakiety. Predyktor umie omijać takie niewidzialne rafały dzięki urządzeniu grawimetrycznemu. Przy lądowaniu zaś, kiedy statek zbliża się do planety z otwartymi dyszami hamowniczymi, Predyktor obejmuje rolę kierowniczą, rejestrując w ułamkach sekundy zmiany szybkości własnej, kąt zbliżenia się do gruntu, opór powietrza oraz statecznie nacisku — reguluje pracę silników.

— A jak on to wszystko robi? — spytał jeden z chłopców.

— Tego wam nie powiem, bo wyście tu przez rok musieli dwa razy dziennie przychodzić na wykłady. Dostosuje Predyktor, kiedy dacie mu odpowiedni rozkaz, na przykład obliczy kurs na Wenerę, zrobi to w ciągu kilku minut, a potem wystarczy go nastawić na „start” i położyć się na fotelu. Nic jednak, o czym Predyktor nie został powiadomiony, nie może się wydarzyć. On do tego nie dopuści. Dlatego właśnie, młodzieńcze, gdy nacisną ten odważny guzik — zwrócił się inżynier do czerwonego jak piwonii malca — zamiast silnika zahuczała syrena alarmowa...

— A co pokazują te tarcze? — jeden z chłopców wskazał trzecie „oczu” Predyktora, nie tyle może z ciekawości, ile pragnąc odwrócić uwagę od nieszczęsnego kolegi, który miał ochotę zapaść pod podłogę.

— Te ekrany pokazują orbity podróży. Na jednym widać orbitę zadaną, na drugim opisywaną, a trzeci służy do wyliczenia pozycji.

— Co to znaczy, że widać orbitę? Jak orbitę?

— Przez orbitę albo trajektorię lotu rozumiemy linię krzywą, którą statek opisuje w przestrzeni. Przy wyłączonych silnikach może to być wycinek hiperboli, paraboli albo elipsy.

— A to? — chłopiec wskazał ekrany z płynącym wizerunkiem hali.



— To jest zwykle urz dzenie telewizyjne. Posługujemy si nim, a nie oknami w cianach, bo aden materiał przezroczysty nie wytrzymałby ogromnych ró nic temperatury i ci nienia. Telewizory te wra liwe s na promienie widzialne dla oka ludzkiego, zawodz wi c w nocy, w chmurach i we mgle. Ale i wtedy nie zostajemy lepi, przeł czywszy si na radar, to znaczy, jak wiecie, na ultrakrótkie fale radiowe.

In ynier przeło ył niedu y wył cznik na pulpicie. Kolorowe obrazy hali zgasty. Na ich miejsce pojawiły si dziwacznie wygl daj ce wizerunki, utrzymane w kolorach zielonkawo-brunatnych. Przypatrzywszy si chłopcy rozpoznali ten sam obraz co przedtem: wn trze hali, ludzi, maszyny, ale wszystko nieco ciemniejsze i pozbawione naturalnych barw.

— W ten sposób widzimy powierzchni planety, zbli aj c si do niej w nocy lub przez obłoki. Jest to jednak bardzo mało. Na obcej planecie nie ma oczywi cie adnego sztucznego l dowiska, a dokładnie wypatrze rze b terenu, gdy pocisk robi około 1700 kilometrów na godzin — jest to najmniejsza szybko wchodzenia w atmosfery planet — nie jest rzecz prost , nawet przy współpracy Prediktora. In ynier podszedł do o wietlonego planu rakiety.

— Tutaj w dziobie mie ci si nasz samolot wywiadowczy. Nie wiedzieli cie, e mamy samolot na pokładzie? — dodał widz c zdumienie chłopców. — A jak e, mamy nawet cał „flot ” powietrzn . W pomieszczeniach ładunkowych znajduje si hangar drugiego samolotu, helikoptera. On słu y do innych celów. A ten samolot, który widzicie tu w dziobie, jest jednoosobowym małym odrzutowcem. Zbli ywszy si do powierzchni planety na kilkana cie kilometrów, otwieramy klapy i wyrzucamy samolocik, który leci dalej ju samodzielnie, dokładnie badaj c warunki terenowe, i donosi nam o swoich spostrze eniach za pomoc radia. Je eli zachodz jakie w tpliwo ci, na przykład, czy grunt jest do wytrzymały — trudno to, rozumiecie, zbada z lec cego pocisku — samolot l duje i pilot dokonuje potrzebnych bada , po czym albo przywołuje nas przez radio, albo leci dalej w poszukiwaniu innego l dowiska. Odkrywszy odpowiedni teren rakietka zaczyna si opuszcza najpierw aerodynamicznie, to znaczy wyzyskuj c no no powietrza, a gdy szybko zmaleje do jakich 400 kilometrów na godzin , Prediktor wł cza dysze hamownicze. Czy zwrócili cie przedtem uwag na kółko, które narysowałem w samym rodku pocisku?

In ynier wydobył notes i pokazał chłopcom naszkicowany przekrój poprzeczny Kosmokratora.

— Jest to długa rura, która ci gnie si od komory zapłonowej a do dziobu. Mo na przez ni wyrzuca cz gazów atomowych, co wytwarza odrzut hamuj cy post powy ruch statku.

— A co by si stało, jakby Prediktor zawiódł? — spytał najmniejszy z chłopców, który ochłon ł ju ze zmieszania.

— Prediktor jest zabezpieczony — zacz ł in ynier, lecz chłopak nie dał za wygran .

— A jakby si zabezpieczenia popsuy?

— To jest zupełnie nieprawdopodobne.

— Ale mo liwe? Co trzeba robi , jakby si zepsuł? — uparcie nastawał chłopiec. In ynier zmarszczył zrazu brwi, jakby chc c powiedzie „nie nud ”, lecz potem ci gn ł lekko usta.

— Chcesz wiedzie ? — rzekł. — To chod cie ze mn .

Wyszedszy z Centrali, znów znale li si w trójk tnym korytarzu. Rychło doszli do w skich schodków, po których wdrapali si do stacji obsługi luz. Zamiast jednak pój na prawo, w stron korytarza wiod cego na zewn trz, in ynier otworzył metalowe drzwi w cianie. Po drabince wspi li si na pokład górnego poziomu. Szyb, którym si tu dostali, otwierał si po rodku w skiego przej cia pomi dzy dwoma długimi rz dami pionowych cian. Jak daleko si gał wzrok, ci gn ła si ta metalowa ulica, w równych odst pach przegradzana przez profilowane wsporniki. Wygl dało tu troch jak w jakim wielkim składzie przemysłowym.

— Jeste my przy grodziach ładunkowych — rzekł in ynier kieruj c si ku tyłowi pocisku. Który z chłopców, spojrzawszy w gór , wydał okrzyk zdumienia: nad nimi, na wysoko ci

pięciu metrów, biegł chodnik zawieszony do góry nogami, z poręczą skierowaną w dół, niby odbicie tego, którym szli.

Inżynier zatrzymawszy się tłumaczył:

— W czasie podróży, kiedy rakieta wiruje, korzystamy z tamtego chodnika. Pamiętajcie przecie, co wam rysowałem?

— I chodzi się do góry nogami? A w głowie się nie zakręci?

— Skądże! Przecie tego ruchu obrotowego w ogóle się nie wyczuwa. Czuje się zwyczajnie pokład pod nogami, nic więcej.

— A jakby ktoś stał tu, gdzie my, w czasie startu, to co by się stało?

— Z chwilą kiedy rakieta oddali się od ziemi na trzy tysiące kilometrów, nadaje się jej ruch wirowy i wtedy stojący tutaj człowiek poleciałby po prostu głową naprzód na tamten chodnik, ale ponieważ obroty są początkowo powolne, nic by mu się nie stało. Byłoby to raczej powolne szybowanie niż upadek.

— To znaczy, że „góra” i „dół” zamieniają się z sobą miejscami?

— Oczywiście.

Ruszyli dalej. Niektóre grodzie były już załadowane po brzegi, w innych krzyczeli ludzie przymocowując wszystkie przedmioty specjalnymi taśmami do uchwytów i łap.

Nie zwalniali kroku inżynier, w miarę jak przechodzili obok pomieszczeń, rzucał słowa objaśnienia.

Mijali magazyny głównie ciowe. W półmroku widniały beczki i stosy skrzynek, paki z konserwami, worki z mąką i zbożem. W następnej grodzi znajdowały się lekarstwa, rozmaite chemikalia i aparaty. W chłodni leżały warstwy mroźnego mięsa, jarzyn, owoców. Zdawało się, że cała kula ziemską nagromadziła w rakięcie, jak w dziwnej arce, wszystkie swoje wytwory: były tu namioty i piwory, spektroskopy, lunety i sejsmografy, bele materiałów, całe laboratoria chemiczne, barografy i kineteodolity, witaminy, ziarno rozmaitych roślin, kamery balistyczne, bańki z syntetycznym białkiem i tłuszczem, wiertarki, kompresory, tokarnie, materiały wybuchowe, butle sprężonych gazów, generatory awaryjne, zapasy metali, blachy, drutu, kabli i narzędzi, lekkie stopy, naczynia szklane i porcelanowe, liny stalowe, czujniki silników, zapasowe lampy radiowe, anteny radarowe i przenośne stacje meteorologiczne.

Chłopcy już prawie obojętnie mijali wyładowane po brzegi pomieszczenia, nie reagując przy najbardziej niespodziewanych objaśnieniach, ale nie wytrzymali, gdy w pewnej chwili inżynier wskazując rozsunięte drzwi jednego z przedziałów powiedział:

— Tu jest sprężony polarny i alpejski. Jeden z chłopców zajrzał do środka.

— Jak to? — zdziwił się. — Narty? Przecie na Wenus jest gorąco? A oprócz tego tam nie ma wody, to i niegu nie może być?

Inżynier uśmiechnął się przystając na chwilę.

— Widzicie — powiedział — wszystko inne wzięli my opierając się na naszej wiedzy. A narty... narty bierzemy z przezornością...

W jednej z ostatnich grodzi stał helikopter okryty płótnem aglowym i przymocowany do stropu stalowymi dźwigarami. Chłopcy zainteresowali się maszyną, lecz inżynier pieszyc dalej.

W pokładzie ciemniał wielki otwór, była to pochylnia załadunkowa, która schodziła kilkanaście metrów w dół, a do poziomu hali.

Nad wejściem tu małymi elektrowozami ciarowymi poruszały się szczyki kranu nośowego. Ominwszy

otwór w pokładzie, ogrodzony niskimi barierkami, doszli do końca korytarza. Nisko w cianie znajdowała się okrągła kłapa. Inżynier poruszył wielkie metalowe koło i kłapa otwarła się na zawiasach. Ukazała się ciemna studnia, z której płynęło duszne powietrze.

— Zbliamy się do stosu atomowego — rzekł inżynier. Pochylając się, by nie zawadzić głową o krawędź otworu, rzucił:

— Odważ się na mną! — i zniknął w ciemności.

Zaledwie się w niego zagłębił, zajaśniało tam światło. Równocześnie nie stojący przed chłopcy zauważyli, że na ścianie zapaliły się trzy czerwone lampki.

Po drugiej stronie była drabinka, po której zeszli w dół. Stali we wnętrzu ogromnego walca o dziesięciu metrach średnicy. W tym miejscu pokład nie rozdzielał korpusu rakiety na dwa poziomy i mogli swobodnie oglądać jej kolisty przekrój. W niezbyt jasno oświetlonej przestrzeni, otoczonej ze wszystkich stron metalowymi ścianami, jak gdyby w pudle ogromnej cysterny, panowała dość wysoka temperatura.

— Z tyłu za nami — rzekł inżynier — jest czarna mieszkalna i użytkowa rakiet, a przed nami — stos atomowy i — dalej — silniki.

Zapadła cisza. Wszyscy wytężyli słuch starając się mimowiednie pochwycić najśłabszy choćby odgłos z ciany oddzielającej ich od stosu, który, jak mówił inżynier, nie ustawał nigdy w pracy. Rozigrana wyobraźnia powiększała najśłabszy szelest i kałdejskie pnięcie, wyolbrzymiając je w eksplozję atomów. Ale nie było tu słychać nic — poza przybiegającymi oddechami chłopców. Masywna, nieznacznie wklęsła tarcza była gładka i nieruchoma. Tylko w jej dolnej części, tu przed chłopcami, mieściły się okrągłe włazy, zamknięte tytanową pancerną i trzema sztabami, z których każda utrzymywała w głąboki wyłobieniu ruba, dociętą kołem szprychowym. Nad włazem biegły w metalowych rurkach przewody ginące w przeciwległej ścianie.

— Te kable idą do Centrali — wskazał inżynier. — W razie zaburzenia pracy silników, jeżeli promieniowanie zaczyna tu przenikać, natychmiast zostaje o tym powiadomiony Predyktor.

— To tu może przenikać promieniowanie?

— A jakże. W tej chwili tęszysz się trochę...

Inżynier wydobywszy z kieszeni mały aparacik zdjęć ze osłaniającą przykrywką i pokazał małe tarczki zegarów. Widać był zielony punkcik był nieznacznie odchyłony od zera.

Chłopcy spojrzeli na siebie, potem na drabinkę, która stanowiła jedyną drogę powrotu, lecz nikt się nie poruszył. Inżynier chowając aparacik powiedział:

— Teoretycznie wszystkie odłamki powstających atomów kieruje pole magnetyczne do dysz. Jednakże w praktyce zawsze znajduje się nieznaczna ilość „zbuntowanych” atomów, które biegną w inne strony, a z kolei część z nich — tutaj, gdzie stoimy. Jest to jednak ilość tak znikoma, że nie ma najmniejszego znaczenia, tym bardziej że do pomieszczenia mieszkalnych jest jeszcze spory kawałek drogi, a normalnie nikt tutaj nie przebywa. Gdyby jednak wskutek jakichś uszkodzeń, na przykład z powodu przerwy w dopływie prądu, pole magnetyczne zniknęło — strumień cząstek zacząłby bombardować ekran pochłaniający coraz silniej, przedzierając się w głąb statku.

Zwróciwszy się ku przeciwległej ścianie, inżynier wskazał ręką w górę:

— Widzicie te błyszczące „lufy”? To są liczniki Geigera–Muellera i inne przyrządy wykrywające obecność promieniowania. W razie najmniejszych zaburzeń natychmiast donoszą o tym Predyktorowi.

Na wysokości czterech metrów biegło w ścianie podłogowe wgłębienie, z którego wystawał rząd lufek lejków, wycelowanych w zaporę stosu atomowego.

— Wówczas Predyktor wysyła rozkaz zahamowania reakcji rozpadu przez automatyczne wsunięcie blend kadmowych w głąb stosu. Gdyby zaś — inżynier utkwiał spokojny, nieruchomy wzrok w malcu — nastąpiło uszkodzenie Predyktora, to...

Podszedł do zapory.

— Ta kłapa — to przełaz przez zaporę. Można nią wejść do stosu atomowego.

— Jak to do stosu? Ale to niemożliwe!

Chłopcy myśleli, że Sołtyk żartuje, lecz inżynier zaprzeczył głową.

— Nie. Jest w granicach mo liwo ci... mało prawdopodobnych... ale mo liwo ci... e wszystkie zdalnie sterowane

urz dzenia zawiod . W takim wypadku, je liby groziła eksplozja stosu, kto musi wej t dy, przez ten właz. i r cznie powsuwa w grafit blendy moderatorów kadmowych!

— A kto to ma zrobi ?

— Za bezpiecze stwo statku odpowiada pierwszy in ynier–nawigator. Mógłby rozkaza , ale tego nie robi.

— Sk d pan wie?

— Bo ja nim jestem.

Chłopcy rozszerzonymi oczami wpatrywali si w Sołtyka, Teraz dopiero spostrzegli, e wcale ich nie lekcewa ył. Był tylko bardzo zm czony. Patrz c na jego chud , nieruchom twarz, wszyscy naraz zrozumieli, kto wejdzie do stosu, kiedy to b dzie konieczne.

— To tam trzeba wej ... — powiedział jeden z chłopców. — Ale chyba w jakim kombinezonie... w skafandrze ochronnym?

In ynier potrz sn ł głów .

— Nie. Tam — wskazał r k — panuje takie st enie promieniowania, e aden skafander nie pomo e. W ci gu jednej minuty człowiek musi wchłon mierteln dawk promieniowania.

Najmniejszy z chłopców, zapomniawszy o urazie, jak czuł do in yniera, wyszeptał:

— To znaczy, e pan... Zamilkł. Po chwili powiedział.

— To znaczy, e o n musi umrze ?

— Tak — odparł in ynier. — eby inni mogli y .

## PROFESOR CZANDRASEKAR

Z powrotem in ynier prowadził chłopców dolnym poziomem. Zeszli w skimi schodkami do trójknego korytarza i minili troje czy czworo drzwi. Oszołomieni ogromną ilością ciemnych wszystkich milczeli. Korytarz, wyłożony ciemnozielonym gładkim chodnikiem, leżał w świetle lamp pusty i cichy. Nie dobiegał tu najmniejszy odgłos z zewnątrz. Zatrzymawszy się po kilkudziesięciu krokach, in ynier wskazał na drzwi większe od innych.

— Tu mnie ci się Marax — powiedział i nacisnął oburczy umieszczone jedna nad drugą klamki. Weszli do korytarza. Była tu okrągła kabina, zalana światłem. Ściany, podobne do tablic automatycznej centrali telefonicznej, wypełniały tysiące wyłazłków i wtyczek zajmujących przestrzeń od stropu do podłogi. Ich porcelanowe główki iskrzyły się długimi rzędami w szachownicowych polach. W kilku miejscach tablice rozdzielcze były poodchylane jak drzwi i w głąbi, w rubinowym brasku, widać było lampy, ciemniała powierzchnia przewodów.

W samym korytarzu kabiny znajdował się okrągły pulpit z okrągłym otworem, tak dużym, że mogły się tam pomieścić dwie osoby. W jednym miejscu pulpit posiadał w ścianie przejście. Pokryty był szklistą masą koloru bardzo ciemnego bursztynu, fluoryzującą zielonkawo w świetle okrągłej rury podsufitowej. Wokół pulpitu wznosiło się z podłogi dziewięć czarnych rur, które zwracały ku niemu swoje stożkowe zakończenia z białymi ekranami. Panowała tu cisza, inna jednak niż w korytarzu, bo podszyta delikatnym szumem prądów.

— To, co cię dotąd widzieli — powiedział in ynier — wszystkie aparaty kontrolne, maszyny, urządzenia, mają nam służyć w wypadkach, które przewidzieliśmy. Musimy się jednak liczyć z tym, że znajdzie wiele rzeczy nie przewidzianych. Od tego, jak szybko się z nimi uporamy, zależy bardzo los całej wyprawy. Dla tych właśnie celów zbudowany został MARAX. Jest to skrót oznaczający MACHINARIAT. To, co widzicie dookoła, to urządzenia przeznaczone. Ten pulpit w korytarzu — to nastawia, z której daje się Maraxowi zadania. Rozwiązania odczytuje się z ekranów. Chłopcy stali wciśnięci w pobliżu drzwi, skupieni w małą grupę, a z ich min widać było, że nie bardzo rozumieją, w jaki sposób może być tak potwornie skomplikowana sieć przewodów elektrycznych posługująca do ocalenia wyprawy przed nieznanym niebezpieczeństwem.

— Chciałbym wam powiedzieć coś jeszcze o Maraxie — rzekł in ynier — ale naprawdę nie mam już czasu.

— A co on właśnie ciwie robi, proszę pana?

— Trudno to wyjaśnić w kilku słowach. Marax jest to... no, najprościej mówiąc nazwa bardzo wszechstronnej maszyny do liczenia.

Twarze chłopców wyrażały zdziwienie. Niektórzy spojrzeli na siebie, lecz nikt się nie odezwał.

— No, więc idziemy — rzekł in ynier. — Możemy innym razem dowiedzieć się czegoś więcej...

Skierowali się już ku drzwiom, gdy rozległ się głos, który nie należał do żadnego z nich:

— In ynierze... jedyną chwilę.

Spojrzeni w tył. W przejściu między dwiema równoległymi tablicami rozdzielczymi, jakby w dziwnych drzwiach, okrytych od góry do dołu mozaiką kabli, pojawił się człowiek.

— Profesor jest tu? — zdziwił się Sołtyk. — Nie wiedziałem. Nie byłbym przeszkadzał...

— Co znowu, jestem rad. Pan ma teraz posiedzenie komisji, prawda? Chciałbym wyrzucić pana i opowiem naszym gościom o Maraxie.

Z gromadki dał się słyszeć radosny pomruk. In ynier postąpił krok naprzód.

— Byłbym panu wdzięczny, ale... Słuchajcie — zwrócił się do chłopców — trafia się wam niezwykła okazja, bo profesor Czandrusekar jest jednym z twórców Maraxa. Proszę was tylko, nie próbujcie się chować, abyście polecie z nami. Mieliśmy tu jedną ciekawą wycieczkę



szkolnych i par razy musieli my przeszukiwać cały statek, żeby odnaleźć amatorów podróży na gap ...

W końcu patrzył chwilę na chłopców, usiłując przybrać surowy wyraz twarzy, lecz nagle uśmiechnął się, potrząsnął głową i wyszedł. Gdy drzwi zamknęły się za nim, zapadła cisza. Chłopcy nie ruszali się z miejsca, oniemieli. Profesor, słynny matematyk, był jednym z członków wyprawy. Wszyscy prawie widzieli go już na filmie, w telewizorze czy na fotografii — i teraz wpatrywali się w niego z ciekawości.

Był to mężczyzna lat czterdziestu kilku, o twarzy smagłej, prawie ciemnej, suchej. Zgięty nos z cienkimi nozdrzami nadawał jej wyraz uparty i twardy, którego nie łagodziły kruczycie włosy, posiwiałe na skroniach. Wrażenie to przysłało, kiedy spotkało się jego oczy, prawie zawsze lekko przymrużone, o trudnym do opisanego wyrazie. Była w nich dziecięca wyrozumiałość, opanowana jednak surowym zastanowieniem, i spokój podobny do przewyci onego zmęczenia, i pewność siebie, i uśmiech tak wyrażony, że się go mimo woli szukało na jego ustach — lecz on uśmiechał się tylko oczami. Co za najdziwniejsze, ka demu, na kogo spojrzął, wydawało się, że jasne, nawet bardzo jasne — i dopiero potem spostrzegało się ich ciemną barwę.

Podchodząc do chłopców Czandrasekar odezwał się: — W końcu rozczarował was, prawda? Spodziewaliście się jeszcze jednego stosu atomowego, jakiej niesłychanej katapulty pierwiastków, a usłyszeliście, że nasz ostoj jest po prostu maszyna do liczenia? Po cóż, my licie, taki niepotrzebny balast? Czy nie lepszym rodzkiem jest miotacz promieni, który roznieśli w atomyka d przeszkody? Moi chłopcy, wiat obcej planety będzie pełen zagadek. I jakie to byłoby rozwiązanie niszczy je, kiedy nam stan na drodze? My chcemy czegoś znacznie większego i trudniejszego: chcemy je zrozumieć. Bo zrozumieć to znaczy opanować. A w tym właśnie nie pomoże nam matematyka.

Czy to dla was dziwne? Zastanówcie się. Ruchy planet, gwiazd, atomów, lot ptaka, kręcenie krwi, wzrost kwiatów — wszystko, co nas otacza, cały wszechwiat stosuje się do praw matematyki. To ona pomaga w budowie

mosty i rakiety, geologowi — odnajdują pod ziemią minerały, fizykowi — wyzwala energię atomów. Zabieramy więc z sobą nie tylko mechaniczne rzeczy, mierniki i oczy, ale także mechaniczny mózg. Nazywam tak te maszyny, ponieważ sposoby, jakimi działają, podpatrzyli my w naszym własnym mózgu.

Żebyście mnie lepiej zrozumieli kilka słów objaśnienia.

Kiedy ludzie uczyli się budować coraz doskonalsze maszyny parowe, turbiny, silniki benzynowe, obrabiarki, wydawało im się, że wszystko na świecie można sprowadzić do jakiegoś mechanicznego modelu, a więc i mózg jest mechanizmem takim jak zegarek, tylko bardzo skomplikowanym. Sądziło się na przykład, że zapamiętywanie polega na tworzeniu się w głowie jakichś „odcisków” czy „fotografii”. Jednak takiego tłumaczenia nie można przyjąć, bo w mózgu nie ma po prostu miejsca na przechowywanie tym sposobem olbrzymiej ilości wspomnień i wiadomości, jakie posiada każdy człowiek. Błąd polegał na przypuszczeniu, że mózg jest wielką „kartoteką”, „składem”, że pamięć jakiejś rzeczy jest — uważacie? — sama także rzecz. Tymczasem naprawdę nie jest to rzecz, tylko proces. To znaczy — coś płynnego, ruchomego. Nie będę wam o tym wiele mówił, ale chcę, żebyście sobie uzmysłowili jedno: jeżeli materia jest w wiecznym ruchu, to myślenie jest jak gdyby „ruchem w potęgę”. Pamiętacie może dewizę wypisaną we wnętrzu łodzi podwodnej kapitana Nemo: mobilis in mobili? Ruchome w ruchomym. To jest właśnie dewiza i tajemnica mózgu. Tajemnica olbrzymiej, miliardowej chmury kręcących się prądów. I na takiej właśnie zasadzie działa Marax. Tam gdzie są prądy, musi być ich źródło i ich drogi. Podstawową cegiełką mózgu jest neuron, to znaczy komórka z wypustkami nerwowymi, które łączą się z innymi komórkami. A elementarną cząstką Maraxa jest lampa katodowa. W naszym Maraxie jest około 900 000 lamp. Oczywiście, bardzo małych, ale widzicie, jak wielkie zajmują

pomieszczenie. Mózg za zawiera około 12 miliardów komórek, to znaczy jakby 12 miliardów lamp, a doskonale mie ci si w naszej głowie. Konstruktor powiedziałby, e rozwi zanie techniczne, jakie przedstawia mózg, jest znacznie doskonalsze. Ta ilo komórek, któr posiada mózg, pozwala na ilo poł cze mi dzy nimi wynosz c około  $10^{10000}$ . Liczba ta mało wam mówi. Otó jest ona wi ksza od liczby atomów we wszystkich planetach, gwiazdach i mgławicach, jakie tylko mo na dostrzec przez najpot niejsze teleskopy w otchłaniach nieba. Takie s mo liwo ci naszego mózgu. Mo liwo ci Maraxa s znacznie skromniejsze, ale ma on nad mózgiem jedn przewag : t , e działa szybciej. Wiadomo , biegn c włókmem nerwowym, przebywa w sekundzie kilkana cie metrów, a w drucie Maraxa — 300 000 000 metrów na sekund . Pojmujecie, jak olbrzymi jest zysk na czasie.

Profesor podszedł do pulpitu i kład c r k na jego migoc cej bursztynowej powierzchni ci gn ł:

— Dam teraz Maraxowi zadanie do rozwi zania. Jest to równanie ró niczkowe liniowe.

Na wyrwanej z notesu kartce nakre lił kilka wzorów, po czym, nacisn wszy par guzików i klawiszów, przeło ył bia ł r czk . Natychmiast na jednym z ekranów ukazała si nieruchoma, płon ca zielonkawa linia.

— Oto rozwi zanie. Je li chc je mie w postaci liczbowej, musz tego specjalnie za da .

Profesor dotkn ł innego guzika i z w skiej szczeliny wypadł na pulpit skrawek wst gi papierowej, zadrukowany symbolami matematycznymi.

— Panie profesorze... czy bardzo trudne było to zadanie? — spytał jeden z chłopców.

— Nie tyle trudne, ile niewdzi czne, bo prowadz ce przez straszliwy g szcz oblicze . Dawno temu, kiedy jeszcze nie było takich maszyn, pewien znany matematyk rozwi zywał je przez pół roku.

— Ale rozwi zanie wyskoczyło w tej samej chwili, jak pan tu nacisn ł...

Czandrasekar potrz sn ł głow .

— Nie w tej samej chwili. To złudzenie. Od wydania rozkazu do pojawienia si wyniku min ło około pół sekundy. Marax wykonuje 5 000 000 operacji na sekund , wi c w pół sekundy wykonał ich około 2 500 000. Tyle wła nie było trzeba.

Chłopcy przypatrywali si Maraxowi zupełnie inaczej ni przedtem.

— Jak widz , Marax zaczyna sobie zdobywa wasz szacunek — powiedział Czandrasekar.

— A to zadanie było raczej proste. Marax wykazał wam tylko, jak wielk ma nad nami przewag dzi ki szybko ci pr du.

Ta sprawa — sprawa komunikacji pomi dzy lampami czy komórkami — gra wielk rol tak e w mózgu. Widzieli cie chyba kiedy mózg ludzki na rysunku? Jest pofałdowany, bo pofałdowana powierzchnia mo e pomie ci wi cej komórek ni gładka, ale same komórki to jeszcze bardzo mało. Musz by poł czone włóknami, tak jak lampy — kablami. Ł cz ce włókna nerwowe tworz razem tak zwan bia ł substancj mózgow . Jest jej daleko wi cej ni substancji szarej, to znaczy komórek. Dlaczego? Pomy lcie: je li macie tylko cztery komórki i chcecie poł czy ka d z ka d , trzeba nie czterech poł cze , lecz sze ciu. Dla pi ciu komórek trzeba ju dziesi ciu poł cze , dla sze ciu 'komórek — czternastu. A w mózgu jest ich dwana cie miliardów. Dlatego wła nie białych włókien jest tak wiele. Na pewno słyszeli my nieraz opini , e uczeni s lud mi bardzo roztargnionymi. Nieprawda ? Otó spróbu j wam wytłumaczy , jaka jest tego przyczyna — a zademonstruj wam to na Maraxie. Bo to wi e si wła nie z komunikacj : pomi dzy komórkami — w mózgu, a mi dzy lampami — tutaj.

Najpierw — mówił dalej profesor — musi Marax „zapomnie ” poprzednie zadanie.

Czandrasekar nacisn ł wył cznik. wietlista krzywa znikła. Teraz profesor przebiegał palcami po klawiszach bardzo szybko, jakby obsługuj c niezwykł maszyn do pisania. Równocze nie mówił:

— Kiedy daj Maraxowi zadanie, on jak gdyby usiłuje je „podwignąć” i automatycznie włącza tyle obwodów, ile potrzeba. Temu, co nazywamy w życiu codziennym większym lub mniejszym skupieniem uwagi, zależnym od trudności zadania, tutaj odpowiada większa lub mniejsza ilość włączonych do pracy lamp.

Czandrasekar naciskał coraz inne klawisze. W Maraxie działy się dziwne rzeczy. Jeden po drugim za wieszały się równym fosforycznym blaskiem ekrany, a zapłonły wszystkie krawędzie nadtafl pulpitu i odbijały się w niej jak dziesiątki bladych księżyców w gładkiej ciemnozielonej wodzie. Pojawiały się na nich linie krzywe, zrazu pełzające powoli, które zaczynały się coraz szybciej, rwać i trzepotać. Głuche mruczenie przodu napełniło przestrzeń.

Nagle chłopcy drgnęli. Rozległ się przytłumiony, lecz silny głos basowego brzęczyka i na pulpicie zapłonął czerwony napis „Przecież nie”. Równocześnie profesor pokazał chłopcom, że klawisze opierają się naciskowi palców, jakby się zacięły.

— Widzicie? — powiedział. — Marax odmawia posłuszeństwa... Kazałem mu rozwinąć tylko zadanie, jednocześnie nie, a w przewodach powstał nadmierny tłok. Na tym właśnie polega roztargnienie. Hm, widzisz, nie udało się. Powiedzmy więc to samo inaczej. Kiedy myślimy o czymś łatwym, moim na równocześnie nie zwróci uwagi na coś innego, moim na przykład powtarza w pamięci wiersz, a zarazem obserwuje przez okno ulicę. Ale gdy zadanie jest trudne, dzieli uwagę już nie moim. Im więcej komórek nerwowych pracuje, im więcej wytwarzają one krzywych prądów, tym większy tłok musi panować we włóknach łączących. I to jest właśnie tajemnica profesorskiego roztargnienia: kiedy wiele komórek zajętych jest trudnym zadaniem, w przewodach nie ma miejsca na inne prądy. Dlatego, gdy astronom wychodzi z obserwatorium rozmyśla nad nową teorią, może się zdarzyć, że zapomni płaszcz, nie pozna znajomych i, jak się to mówi, wiatra nie widzi... A wszystko to spowodowane jest po prostu natłokiem prądów we włóknach białej substancji.

Czandrasekar dotknął innego wyłazła. Znieruchomiałe na ekranach krzywe znikły i tarcze ich zgasły jak zdmuchnięte. Podnosząc głowę profesor patrzył przez chwilę na chłopców, którzy ciasnym krawędziom oparli pulpit. Oparty rękami o brzegi klawiatury, jak muzyk przy niezwykłym instrumencie, po chwili mówił dalej:

— Wiecie już o komunikacji między lampami. Druga podstawowa rzecz — to pamięć. Marax musi zapamiętać to, co kaemy mu robić, a prócz tego musi przechowywać poszczególne etapy obliczeń, żeby z nich później korzystał. Oto prosty przykład: chcemy obliczyć  $23 \times 4$ , więc najpierw mnożymy  $20 \times 4$ . To jest 80. To sobie zapamiętujemy, a teraz mnożymy  $3 \times 4$ . To jest dwadzieścia cztery. Teraz musimy sobie przypomnieć tamten rezultat — 80 — i dodać razem. Wynik brzmi 92. Oczywiście to tylko przykład. Chodzi o rzeczy nieporównanie trudniejsze, ale zasada jest podobna. Więc maszyna musi posiadać organ pamięci, i to działający błyskawicznie. Nie może to być zapis mechaniczny, jakieś dziurkowane kartki czy coś takiego. O szybkości każdego procesu decyduje jego ogniwo najpowolniejsze. Marax wykonuje w ciągu sekundy 5 000 000 operacji. Gdyby jako organu pamięci użył zapisu mechanicznego, to najlepszy wymagałby jakiejś dziesiątej części sekundy dla zanotowania rezultatu. Wtedy na sekundę wykonywałby Marax już tylko 10 obliczeń. Stracilibyśmy całą szybkość, a przecież na niej najbardziej nam zależy. Dlatego pamięć musi być elektryczna. Zasada jej jest taka: impuls przodowy, oznaczający to, co trzeba zapamiętać, zamykamy w obwodzie i kaemy mu w nim krążyć.

W praktyce używane są rozmaite urządzenia. Marax posiada tak zwane kondensatory. Jest to lampa próżniowa, w której znajduje się wielka ilość małych kondensatorów. One są jak gdyby „kartkami notatnika”, a pisze na nich „pióro” utworzone z porządku elektronów o szybkości 260 000 kilometrów na sekundę. Jak widzicie, wcale niezła szybkość. Ruchami tego „pióra” kieruje pole elektryczne. Taki jeden kondensator może zapamiętać do 40 000 wyników naraz i podaje, gdy zajdzie potrzeba, w ułamku sekundy.

— A, panie profesorze, jakim piśmieniem pisze to „pióro” z elektronów?

Czandraskar cięgnął lekko brwi.

— „Pióro” nie pisze żadnym piśmieniem. Ja to tylko tak obrazowo powiedziałem. Ono udziela płytkom kondensatorów ładunków, tworząc drgające obwody elektryczne.

— A czy mózg zapamiętuje tak samo jak Marax?

— W mózgu są dwa rodzaje pamięci. Jedna, tak zwana „pamięć krótkotrwała”, jest taka jak w Maraxie. Pozwala ona na krótkotrwałe zapamiętywanie. W chwilowo połączonych obwodach pulsują prądy, które ulegają przerwaniu, kiedy przestają być potrzebne. Natomiast drugi rodzaj pamięci, ten, dzięki któremu pamiętamy dzieciństwo, przeszłość, wiadomości, jakich nauczyliśmy się, ma odmienny mechanizm. Polega on w ogólnych zarysach na zmianach zachodzących tam, gdzie wypustki jednej komórki nerwowej dotykają drugiej. Są to cienkie warstewki białka, tak zwane synapsy, w których odbywa się przewodzenie i hamowanie warunkowe... no, ale dajmy temu spokój. Mówiłem o mózgu tylko dlatego, abyście mogli lepiej zrozumieć Maraxa. Bo jeśli chodzi o jego działanie wciąż jeszcze macie dosyć mgliste wyobrażenia. A to jest tak: Marax stanowi zamknięty układ, dążący do pewnej równowagi prądów. Podobnie wychylone wahadło dąży zawsze do zajęcia najniższego położenia. Stawiam ci zadanie, wytrzymaj maszynę ze stanu równowagi elektrycznej. Staraj się do niej powrócić, Marax rozwiąże zadanie jakby „mimochodem”. Gra prądów wytwarza rozmaite linie krzywe, które widzisz na tym ekranie, i one właśnie stanowią odpowiedź na zadawane pytania. Wiecie pewno, jak dać lini krzywej wyraz za pomocą równania matematycznego? Równanie krzywej, która pojawia się na ekranie, jest właśnie poszukiwanym rozwiązaniem. Tak pracuje Marax nad problemami matematycznymi, ale mogą być i inne. Dajmy na to, że przybywamy na planetę i potrzebna jest nam pewna substancja chemiczna. Mamy ją do dyspozycji jako związek gazowy w atmosferze, jako minerał i jako roztwór. Zachodzi pytanie, jak najprościej wydobyć tę substancję najmniejszym nakładem pracy. Podajemy Maraxowi wszystkie dane i w ciągu paru minut otrzymujemy gotowy recepturę produkcyjną. Dałem wam oczywiście prosty przykład. Marax potrafi rzeczy znacznie trudniejsze. A jak to robi? To już jest całkiem inna historia niż w wypadku zadania matematycznego. Tam maszyna nic nie musi „wiedzieć”, oczywiście, oprócz reguł matematycznych. Ale w tym wypadku musi posiadać doskonałą wiedzę chemiczną, fizyczną, zna się na technologii procesów chemicznych, no i, ma się rozumieć, wiedzę, jakimi dysponujemy rodzajami, bo niewiele by to pomogło, gdyby poradziła nam postawić trzykominową fabrykę... Tak więc Marax musi posiadać obszerną wiedzę przedmiotu. Wiedzą tę oczywiście posiada tylko dzięki temu, że my mu ją wbudowaliśmy. W jaki sposób? Do tego służą inne organy pamięci, tak zwane stałe pojemności albo ultrakapacytory. Jedną taką lampę odpowiada mniej więcej jednemu bardzo grubemu tomowi podręcznika inżynierskiego. Marax posiada ich około 100 000 i dlatego nie bierzemy z sobą żadnych księzek.

— Czy taka lampa nie może się zniszczyć?

— Oczywiście, że może. Ale i księga może się spalić. Trudno, ryzykujemy. Bez ryzyka niczego nie można osiągnąć. Wiem, kiedy zachodzi potrzeba, włączają się odpowiednie ultrakapacytory i zaczynają przekazywać obwodom

wiadomości. To się dzieje w ten sposób, że po prostu wyrzucają chmury elektronów o modulowanej szybkości: tak wygląda nasza wiedza, przetłumaczona na język elektryczności... Jedną lampę przekazuje obwodom całą swoją treść w ciągu niespełna sekundy. W tym czasie podkładają się pod nią drgania pierwotne obwodów. Działają specjalne nastawiacze i rezonatory, filtry czułości, modulatory i dławiki, które zajmują całą przestrzeń pod tą kabiną. A jak to, tu tylko jest nastawiacz, jak gdyby „kora mózgu”, a wszystkie „białe włókna” są na dole.

— Panie profesorze... przepraszam... — rzekł jeden z chłopców — pan powiedział, że taka lampa to jakby podręcznik... ale przecie w książce nie ma gotowych rozwiązań?

— Naturalnie, że nie ma. Nie zrozumieliście mnie dobrze. W dodatku sam zawiniłem, używając tego porównania z książką. Miałem na myśli zasób wiadomości, a nie sposób korzystania z nich. Zasadnicza różnica między książką a mózgiem jest ta, że w książce wiadomości leżą obok siebie sztywne, martwe, niezmiennie, a w mózgu każda wiadomość jest żywa i plastyczna, to znaczy, że w razie potrzeby mogą być dowolnie przystosowane do konkretnej sytuacji, jaka mnie spotyka. A Marax jest o wiele podobniejszy do mózgu niż do encyklopedii. Wiadomości w Maraxie przekształcają się, zmieniają i dostosowują do potrzeb tak jak w mózgu, dlatego są przechowywane w postaci plastycznych drgań prądu, które przedstawiają linie krzywe. Wiecie z pewnością, że jeśli nałożymy na siebie dwie linie krzywe, to powstanie trzecia, niepodobna do żadnej z tamtych, lecz będąca ich wypadkową. O to pytanie zadawane Maraxowi jest właśnie jedną linią krzywą, wiadomości, których używa on do pracy, są drugą krzywą, a powstająca z ich złożenia krzywa wypadkowa — jest rozwiązaniem problemu!

— I zawsze wystarczą tylko trzy krzywe? Czandrasedkar uśmiechnął się.

— Ale ja to znowu tylko dla uproszczenia tak powiedziałem. Nie trzy krzywe, ale miliardy i biliony. Maszyna, pracując nad zadaniem, wykonuje w ciągu sekundy pięć milionów operacji. Pięć milionów! A praca trwa nieraz godzin, dwie i więcej. Przy próbach pracowała raz sto sześćdziesiąt dziewięć godzin. Przez cały czas po pięć milionów operacji na sekundę. Proszę, wyobraźcie to sobie... Mówiłem o tych trzech krzywych chciałem wam wyłożyć zasady, a ona jest właśnie nie taka.

— Tylko... jednego jeszcze nie rozumiem... — rzekł marszcząc brwi najmniejszy z chłopców. — Jak to można na wszystko wyrazić liniami krzywych? Na przykład... na przykład to, co pan mówił o wydobyciu tego ciała chemicznego. Przecie w odpowiedzi musi być podane: należy wziąć to i to, wlać do tygla, zmieszać, zagotować. Jak to można wyrazić za pomocą krzywych?

— Chodzi ci o to, jak się zadaje maszynie pytania? To trzeba oczywiście umieć. W końcu razie nie jest to takie proste, jak pytanie — mnie... A co do tego, że krzywymi nie można rzekomo wszystkiego wyrazić, to się mylisz, mój chłopcze, bo czy pismo nasze nie jest także rodzajem zaplątonej, przecinającej się, skomplikowanej linii krzywej? Tylko nie myślcie czasem, że komunikujemy się z Maraxem w taki sposób. Kto wie, czyby się to nie dało zrobić, ale spowodowałoby całkiem masę powikłań technicznych. Marax jest jak gdyby wielkim cudzoziemskim młotem, który potrafi bardzo dużo nam powiedzieć, ale umie mówić tylko po swojemu. Dlatego opłaca się mu trochę fatygi, żeby nauczył się jego języka, języka krzywych kreślonych przez szybko—zmienną prąd. Kto nie ma wprawy, może się dla przetłumaczenia jego odpowiedzi na zwykły język posłużyć specjalnym aparatem, tak zwanym elektroanalizatorem Madera–Pouriera, ale biegłemu operatorowi wystarczy rzucić okiem na ekran, a wie już wszystko.

Profesor nacisnął kilkanaście klawiszów, potem jeden i drugi guzik. Na ekranie wiły się splątane linie coraz wolniej, wreszcie znieruchomiały w postaci skośnej płaszczyzny.

— Spytałem Maraxa, w jakiej temperaturze najdogodniej jest dla azotu z wodorem na amoniak oraz jakiego używać katalizatora. I oto co mi odpowiedział: w temperaturze 500 stopni, przy ciśnieniu 200 atmosfer, a katalizatorem są związki elaza.

— Ja to wiem — nie wytrzymał najmniejszy z chłopców.

Czandrasedkar powcisnął uśmiech.

— I ja wiem, nie chwalcie się — rzekł — a spytałem, żeby wam pokazać, jak Marax pracuje...

Jednemu z chłopców rozszerzyły się nagle oczy. Popatrzył na profesora ze zdumieniem, zaskoczony jak myśli.



— Panie profesorze... pan mówił, że Marax pracuje tak jak mózg... to znaczy, że w mózgu jest tak samo? I całe myślenie, wszystko, to są tylko takie krzywe?

— A tyś dzięła — rzekł profesor — że kiedy myślisz o kwiatach, to w mózgu powstają róże i fiołki, a gdy się patrzy na stado owiec, to w głowie skaczą małe krowki owieczki? Cóż ci tak zdziwiło? To, że sam przebieg procesu myślowego nie jest wcale podobny do jego treści? Przecież to zupełnie oczywiste. Czy wiesz, co by zobaczył zając zając do pracującego mózgu przez okienko wykrojone w czaszce?

— Komórki...

— Ale gdyby udało się powiększenia tak wielkiego, że stałyby się widoczne atomy, zobaczyłby sieci białkowe ciągnące się na wszystkie strony, a pośród nich pływające wolno inne białka, małe i wielkie, kuliste i nitkowate, zobaczyłby, jak w polach siłowych molekuł już istniejących rodzą się nowe, a inne rozpadają się wyrzucając obłoki elektronów, które biegną wzdłuż łańcuchów utworzonych z fermentów... A co to wszystko znaczy? W lampie elektrycznej prąd od bieguna ujemnego płynie do dodatniego, a w każdej komórce elektrony odbierane ciałom od ywczym, takim jak cukier czy tłuszcz, płyn do tlenu. Tak powstaje woda i dwutlenek węgla. W życiu codziennym nazywamy ten proces spalaniem. W żarówce prąd płynie wewnątrz metalowego drucika w sposób ciągły, natomiast w komórce zamiast ciągłego drucika jest łańcuch ciał białkowych, wzdłuż których posuwają się elektrony, przekazywane od jednego ogniwa ku drugiemu. Ten łańcuch zbudowany jest z fermentów oddechowych. Są to pierścienie białkowe, zamontowane wokół atomu węgla, chwytające i odrzucające elektrony kilka tysięcy razy na sekundę. Komórka pracuje jak dynamo elektrochemiczne, wytwarzając różnicę potencjałów kilkudziesięciu tysięcy woltów... Miliony takich komórek łączą się w warstwy, warstwy tworzą pola, pola — o rdzeniach i strefach projekcyjnych, komunikujące się z sobą prądami o częstotliwościach harmonicznych i podharmonicznych, i cała ta zawrotna budowa, przepiętna wirująca i zmienna, lecz zespółona jak muzyka grana przez dźwięki, to jest właśnie nie dusza... To dzieje się w twojej głowie, kiedy myślisz o kwiatach, gdy widzisz niebo, chmury... A podobieństwo mózgu i Maraxa jest podobieństwem nie materiału budowlanego, nie układu części, lecz prądów, i tylko prądów.

— A czy Marax... Czy on może wszystko? — spytał z rozpalonymi policzkami młodec, który bezskutecznie usiłował wspierać się wyjątkowo, na pulpit.

Czandrasekara uśmiechnął się swymi czarnymi oczyma.

— Wszystkiego na pewno nie może.

— Nie tak chciałem powiedzieć... Czy maszyna mogłaby sama, to znaczy bez ludzi, całkiem sama wymyślić coś?

Czandrasekara potrząsnął głową.

— Chcesz powiedzieć, czy maszyna czyni człowieka niepotrzebnym? Nigdy. Tak samo, jakby powiedział, że istnienie fortepianu czyni niepotrzebnym kompozytora. Maszyna sama nie może nic. Ona tylko niesłuchanie powiększa nasze możliwości, otwierając nam drogę do problemów, których rozwiązanie prowadziłoby przez tak daleką matematykę, że dawniej wymagałoby całego życia ludzkiego. Mimo to nie można powiedzieć, że jest „bardziej” od człowieka. Prawda, że posiada więcej wiadomości niż każdy z nas, ale pamiętajcie, że na dobre spraw naszymi organami pamięć nie tylko nasze mózgi, ale i biblioteki, fotografie, zbiory, dokumenty... Maszyna nie jest więc bardziej od człowieka. Jest tylko szybsza. Mimo to ustępuje znacznie wtemu mózgowi. Dlaczego? Postaram się wam wyjaśnić. Jeśli rozwiązanie dowolnie trudnego zadania jest w ogóle możliwe, można zbudować taką potężną maszynę do myślenia, że zdoła je rozwiązać. Ale główny niedostatek maszyny leży w tym, że potrafi ona rozwiązać tylko postawione zadanie. Bo samo postawienie zadania jest już, na dobre spraw, połową roboty. Co sto nawet przeważa nad nią, jak o tym uczy historia nauki. Zrozumiemy zasad wynalazku, powiedzmy: maszyny parowej, jest bardzo łatwo, trudno było tylko ją wynaleźć. Wziął rurkę próżniową, induktor Ruhmkorffa i powtórzył

do wiadczenia Roentgena — có to za sztuka? Ale odkrył promienie X, szuka nowych zjawisk i odkrywał rzeczy dotychczas nieznane — w tym cały sekret geniuszu jednostki i postępu ludzkiego. Powiedziałem wam, że postawiony problem wytrąca maszyny z równowagi prądów, a rozwiąże go, Marax się uspokaja. Natomiast człowiek nigdy się nie uspokaja, ponieważ każdy rozwiązany problem stawia przed nim dziesiątki nowych. Jak widzicie, maszyna nie potrafi myśleć twórczo. Nie może „wpaść na pomysł”. I to jest największy jej niedostatek. Oskarżywszy w ten sposób, muszę teraz obronić. Potrafi ona rzeczy, których my nie umiemy. Może na przykład drobniawo przeanalizować zjawiska zachodzące w głębi stosu atomowego, w bryle eksplodującej materii czy we wnętrzu gwiazdy. Jak widzicie, maszyna taka nie usuwa człowieka, lecz pomaga mu — i to jest jedyna droga postępu.

— A, panie profesorze... a czy nie jest możliwe zbudowanie takiej maszyny, która by sama robiła wynalazki?

Czandrasekar milczał krótko chwilę.

— Teraz nie. Co będzie w przyszłości... trudno mi powiedzieć. Jedno jest dla mnie pewne: żadna maszyna nie uczyni człowieka zbyt cennym. Dawniej, sto lat temu, ludzie bali się maszyn, myśleli, że one odbierają im pracę i chleb. Ale winne były nie maszyny, lecz złe ustroje społeczne. A co do Maraxa... to zdradzę wam jeszcze jedno. Wspomniałem przedtem o fortepianie i kompozytorze. To porównanie wydaje mi się do trafne. Podobnie jak prawdziwie piękna melodia potrafi wydobyć z instrumentu tylko wirtuoz, tak tylko matematyk potrafi w pełni wyzyskać ograniczone, lecz bardzo wielkie możliwości Maraxa. Czasem, kiedy siedzę tu i pracuję nocą, staje się dziwna rzecz: ztraca się jak gdyby granica pomiędzy mną a Maraxem. Czasem odpowiadzi na postawione pytania szukam we własnej głowie, a czasem biegnę palcami po klawiszach i odczytuję odpowiedź z ekranów... i nie odczuwam zasadniczej różnicy. Jedno i drugie jest właściwie tym samym.

Znowu zaległa cisza, wypełniona tylko ledwo słyszalnym poszumem prądów.

— Panie profesorze... — odezwał się głosem przyciszonym do szeptu jeden z chłopców — to pan zbudował tę maszynę?

Czandrasekar podniósł na niego swoje wietliste oczy, jakby wyrwany z głębi boku lenia.

— Co mówisz, chłopcze? Czy ja...? Nie, co znowu. Inny, zdaje się, powiedział o takiego... ale byłem tylko jednym z wielu. Po prostu pamiętam tam czasy, kiedy rodziły się pierwsze maszyny do czytania. Zaczęło się to mniej więcej trzydzieści lat temu. Kilku uczonych usiłowało zbudować przyrząd, który by zastąpił lepszymi oczami, przyrząd do czytania. Największą trudnością było w tym, aby przyrząd umiał poznawać litery niezależnie od tego, czy są duże czy małe, drukowane czy pisane, podobnie jak robi to nasze oko. Kiedy udało się nareszcie obmyślić konstrukcję tego aparatu, jeden z uczonych pokazał jego schemat znajomemu fizjologowi, nie mówiąc, co to jest. Fizjolog spojrzawszy powiedział: „Ale to czwarta warstwa komórek nerwowych z mózgowego ośrodkowego wzroku...” W ten sposób powstała pierwsza maszyna naładująca czynność mózgu. Prawda, tylko jedną czynność, ale tę był to dopiero początek.

W gromadce chłopców słuchających w głębi milczenia powstało zamieszanie. Najmniejszy z nich przepychał się gwałtownie popod ramionami kolegów, a wynurzywszy głowę tu podłogą brzegiem pulpitu, czerwony jak burak, zadyszany, wypalił:

— Panie profesorze! Ja mam dopiero czternaście lat, ale... niech się pan nie mieje! Ja nigdy jeszcze nie widziałem tak mądrego człowieka. Proszę, niech pan nam powie, co trzeba robić... aby zostać takim jak pan?

Czandrasekar zwrócił na malca ciemne spokojne oczy. — Daleko mi do ideału — powiedział — zresztą nie chciałbym nim być. Jedyne, co jak mi się zdaje, jest we mnie cenne, to chyba to, że kocham matematykę. Cóż więc mogę wam powiedzieć? Mój nauczyciel ofiarował mi zasadę, której starałem się być wierny. Brzmi ona: nigdy spokoju.

Nigdy nie zadowalała się zrobionym, zawsze i dalej. Działanie tego nakazu odnajdujemy w życiu wszystkich ludzi, którzy coś osiągnęli. Kiedy Max Pianek po wielu latach mądrego badania odkrył kwantową naturę energii, ludzie o płytkich umysłach uważali to za chlubne osiągnięcie jego wysiłków i uznali dzieło za zakończone. Dla niego zaś stało się to zagadką, której badaniu poświęcił całe życie. Nigdy nie podziwiał własnych pomysłów, chłopcy, nigdy się nie uspokajają, bawiąc się własnymi teoriami z takimi siłami, aby runęło wszystko, co nie jest w nich prawdą. Wiem, że trudno tak postępować, ale w nauce, jak zresztą i w życiu, nie ma już dróg królewskich. Epoka przypadkowych odkryć i niezamierzonych karier należy do historii. A teraz, jeśli pozwolicie, odprowadzę was trochę. Będziecie u nas nocować czy też jeszcze dzisiaj wracacie?

— Mamy nocleg na dole w schronisku.

— Doskonale. A więc chodźmy. Nie widziałem nieba od czternastu godzin.

Przez trójkę tny korytarz i szybik wyszli z rakiety. W hali pracownicy wrzeli jednakim po piechem. Rusztowania z rur, wysuwanych teleskopowo, usunięto już z płetw ogonowych, za to pojawiły się one przy dziobie statku, który obsiedli robotnicy. Chłopcy, egnąc się spojrzem, wyniosły, jak ze srebra odlany korpus rakiety, zjechali wraz z profesorem ruchomymi schodami i, przebywszy tunel wagonikiem, znaleźli się za murami stoczni, na wolnym powietrzu. Niskie chmury deszczowe rozstapowały się znikając za górami. W punkcie ich brudnoszarej powłoki ukazywało się czyste niebo.

Profesor szedł z chłopcami nieznanimi drogami wzdłuż zachodniego muru. Niebawem wysokie wieże i kominy zostały w tyle. Leżały tu trawiaste, łagodnie wygarbione pola, przechodzące daleko w strome jęziki osypisk pod cianami skał. Rozmowa toczyła się o wyprawie na Wenus.

— A tak, wychodzimy z laboratoriów... — mówił Czandrasekar. — Dawniej wystarczył mi papier i ołówek, a teraz matematyka staje się ruchliwym, pełnym przygód zajęciem...

Opowiadał o Wenerze, o jej białych chmurach, o panujących tam straszliwych burzach i cyklonach, o tajemniczych oceanach bakelitu... Wszystko to nie odstraszało bynajmniej chłopców: oczy wieściły im jeszcze jaśniej. Któregoś pytał o zagadkowych mieszkańców planety. Czy nie o nich wiadomo nowego? Jak będzie w stosunku do nich postępować wyprawa? Czy będzie walka? — Nie chcemy atakować — odparł profesor. — Zmuszeni, będziemy się oczywiście bronić. W jaki sposób? Broni prawie żadnej nie bierzemy, ale nasze silniki atomowe są przecie zbiornikami potężnego rodzaju wybuchowego. Mamy też na pokładzie kilka ręcznych miotaczy promieni... oraz pewną ilość gammexanu. Pomysł ten nie wydaje mi się zbyt szkodliwy, ale ostro nie zawadzi. Nie wiecie, co to gammexan? Jest to nowy, bardzo silny rodek owadobójczy. Bo wiecie, niektórzy wciąż przypuszczają, że Wenera zamieszkuje rodzaj owadów. Ja osobiście nie jestem tego zdania...

— A jakiego? a jakiego? Czandrasekar znów się uśmiechnął.

— żadnego. Mogę z czystym sumieniem powtórzyć słowa Sokratesa: wiem, że nic nie wiem. Odpowiem wam, kiedy ich zobaczę.

Teren opadał. W skałkach po drodze traw, biegły łagodnymi płaciami, opuszczała się ku zielonkawosrebrzystym, porośniętym mchem głazom.

— Widzicie? — wskazał jej profesor. — Morena polodowcowa. A tam, za tym progiem, jest jezioro...

Nadchodził wiatr niósł wilgotny, orzeźwiający chłód. Ciężkie krople osuwały się, drąc, po dachach roślinnych. Ciężka znikła. Przekroczywszy szklaną wapienny próg wystąpił spod trawy jak zbiała ebrowa potwora, stanęła na urwistym brzegu. Pod nią leżała wielka płaszczyzna wody, zamknięta granatowym pierścieniem skał. Stoki ich opadały skamieniałymi lawinami ku lustrzanej tafli, odbijając się w niej o jeden ton ciemniejszym, odwróconym obrazem. Słońce z każdą chwilą traciło o lepijczy blask i zapadało za piłę szczytów, pograżając w czarnej wodzie słup rubinowego światła. Uskoki i nawisy pionowych

skął zanurzały się w zmierzchu, krajobraz cały bladeł i ciemniał, za to niebo wystawało coraz chłodniejsze, przesycone dziwnie smutno, ciemno było po wiatrze. Ostatnie chmury gasły jak stygnące masy pomarańczowe w la. Wszyscy zamilkli. Stali pomiędzy dwoma wyniosłymi głazami, jakby w ruinie wielkiej bramy, patrzcie w rozjaśnioną szczyt otchłonu powietrza; wiatr to wzmagał się, to ucichał — a wtedy nadpływało z oddali huczenie niewidzialnego wodospadu.

Wracali już o zmroku. Chłopcy mówili o wrazeniach dnia, przerywali sobie nawzajem, a nie odczuwali głód, przyspieszali coraz bardziej kroku, a profesor znalazł się wśród ostatnich. Odzywał się mało. Raz tylko spytał swoich towarzyszy, czym chcą zostać.

Z tych pięciu, którzy mu towarzyszyli, jeden chciał być chemikiem atomowym, jeden — astrobiologiem, trzech zaś — pilotami statków kosmicznych.

— A matematykiem nikt? — pół serio, pół żartem spytał profesor. Najmniejszy z chłopców, który siedział przy nim, powiedział, że on będzie matematykiem.

— Wiacie już nie astronauty? Niedobrze jest tak szybko zmieniać postanowienia. A może chcecie tylko mnie pocieszyć?

Malec nie zmieształ się.

— I astronautą, i matematykiem... jak pan.

Czandrasekar nie odpowiedział. Szli już równinami i zbliżyli się do idących na przód, tak jak słychać było, co mówi w pierwszych szeregach.

— Czytałem, że niedługo można będzie wytwarzać\* sztuczne białko — powiedział jeden.

— Dawniej nauka nie była taka jak teraz — dodał drugi. — Dlatego było łatwiej.

— A tak, jak się czyta historię, to się dopiero widzi.!

— Jak byłem mały — powiedział najmniejszy tonem zwierzenia do profesora — to nie wierzyłem, że dawniej były wojny. W głowie mi się to nie mogło pomieścić. Ludzie byli wtedy jacy dziwni. Oni byli dzicy, całkiem dzicy.

— Głupi byli! — zawołał ktoś zapytany. Profesor zatrzymał się. Ci, co szli przodem, zawrócili się do niego, że chce ich poegnać. Niedaleko płonęły wiatła budynków.

— Mylicie się, chłopcy — rzekł Czandrasekar. — I wy się mylicie. Ludzie byli dawniej zupełnie podobni do nas, tylko wiatr był łatwiej urządzony. Wiecie przecie, do czego używano energii atomowej i jak się to skończyło? Ale nie nazywajcie ludzi sprzed pół wieku dzikusami i głupcami. Właśnie wtedy byli ci, co walczyli z ciemnymi siłami, jakiegoś w człowieku — a to jest o wiele trudniejsze niż najdalsza wyprawa międzyplanetarna! A chociaż oni sami wiedzieli tylko mało o tym, co my dziś, nie wolno im lekceważyć, bo dzięki nim możemy dziś budować sztuczne słońca i mózgi elektryczne. I dzięki nim polecimy w gwiazdy.

Kładąc ręce na ramionach tych, którzy stali najbliżej, dodał:

— Dobrze, że macie ambitne zamierzenia na przyszłość. To, co nam się wydaje pierwsze i nadzwyczajne, jak choćby nasza wyprawa, dla was będzie już powszednim doświadczeniem. Jesteście naszymi zmianami i pójdziecie dalej. Będziecie szli wciąż dalej i dalej, bo im pełniej człowiek poznaje wiatr, tym bardziej nieobjęte otwierają się przed nim horyzonty. Czy pamiętacie dewizę mego nauczyciela?

— Nigdy spokoju — odezwali się w ciemności chłopcy nieskładnym trochę, lecz silnym głosem.

— Przekazuję wam. Eggnajcie; jeżeli spotkamy się kiedyś, będziecie mogli mi odpowiedzieć na wiele pytań, bo to będzie już po naszym powrocie.

Wyszedł z otaczającego go kręgu dymu niespiesznym krokiem, zwracając w stronę wiatła stoczni. Chłopcy w głębokim milczeniu ledzili jego sylwetkę. Jeszcze chwila — i znikła w mroku.

**CZ DRUGA  
DZIENNIK PILOTA**



## HANNIBAL SMITH

Nazywam się Robert Smith i mam lat dwadzieścia siedem. Urodziłem się w Piatigorsku jako syn inżyniera architekta i zawiadowcy lotniska. Kiedy odpowiadałem tak w szkole czy gdzie indziej na pytanie o rodziców, budziło to ciekawość i musiałem dopiero wyjawić, że zawiadowcą był mój ojciec, architektem zaś — matka. Dziadek mój, Hannibal Smith, przyjechał do Związku Radzieckiego w roku 1948 i do końca życia mieszkał w Ameryce, chociaż nie doznał od niej nic prócz złego, był bowiem komunistą i Murzynem, grzech podwójny, za który przyszło mu wycierpieć niejedno. Ojciec mój przyjechał z Rosjanami i z tego małżeństwa pochodzi mój ojciec. Mieszkaliśmy niedaleko lotniska w parterowym domku, na zboczu góry, w której nigdy nie znajdowała się kopalnia malachitu. Dziadek miał pokój na poddaszu, niewielki, cały zawieszony na kamieniach zasuszonych roślin, siatek, wycinanek i woreczków nasion. Marzył zawsze w zimie i zbudował sobie domostwo murarskie wielki kominek, z którym łączą się moje najwcześniejsze wspomnienia. Umarł, kiedy miałem osiem lat. Pamiętam go jako bardzo wysokiego, ogromnego człowieka, który zjawiał się u nas na dole napełniając mieszkanie grzmiącym miechem. Porywał mnie w ramiona, wznosił pod sufit i śpiewał piosenki rosyjskie, tak niezwykle brzmiące w jego ustach. Uczył mnie strzelania z łuku, robił latawce, nawet proch z ojcowskich naboju do dubeltówki wykręcał dla moich ogni sztucznych, bawił się ze mną w polowanie na niedźwiedzia i tak bardzo wypełniał moje dzieciństwo, że dziś jeszcze w krytycznych chwilach jawi mi się jego ciemna twarz z kędzierzawymi, mlecznymi czuprynymi i białymi zębami, które ukazywał, ogromne, w swoim wspaniałym miechu. Kochałem go bardzo. Swoją głębię i stał się skrotem za ojczyznę ukrywał przed wszystkimi, tylko ja jeden, mały chłopiec, słuchałem rzadko jego trochę bezładnych, z trudem przekładanych na rosyjski opowieści. Dziadek odprowadzał mnie do szkoły, bo jeszcze za jego życia wstąpiłem do pierwszej klasy, i koledzy zazdrościli mi go, a niektórzy, starsi, pytali, czy nie będzie pisał wierszy, śpiewał bowiem, że zostanie poetą jak Puszczyński, a widocznym tego znakiem jest właśnie mój dziadek — Murzyn. Niestety, poezja nie pociągała mnie nigdy, chyba że rozumie ją szeroko i wierzy (a ja w to właśnie nie wierzę), i rozciąga się ona daleko poza granice wierszy i łatwiej można ją znaleźć w powietrzu, w górach i w walce aniżeli za stołem. Kto wie, czy nie to właśnie jest najrzetelniejszym powodem, dla którego piszę te słowa w małej kabinie Kosmokratora, który zaledwie sekundami oddala się od mego domu o 25 kilometrów. Ale nie chcę uprzedzać wypadków. Jeśli ktokolwiek będzie czytał te słowa, powinien wiedzieć o mnie tyle, by móc samemu osądzić, czy może mi wierzyć. Dlatego piszę o sobie.

Jak przez mgłę pamiętam wieczory spędzane u dziadka, zwłaszcza długie, zimowe. Dziadek umiał i lubił opowiadać mi bajki, wspaniałe, niekoniecznie bajki — powie ci, które biegły jak sznury egzotycznych koralików przez wiele wieczorów, a ja, to dręczy, to rozplomieniony, ale zawsze pełen zachwytu, słuchałem go tak, jak umiem słuchać chyba tylko dzieci i zakochani. Miałem już sześć lat, kiedy w jego pogodnych bajkach zaczął brzmieć ciemny ton. Był może zresztą stało się to wcześniej, ale przedtem byłem za mały, aby to zrozumieć, a w tych najpierwszych latach dziadek był dla mnie czymś odmiennym od wszystkich innych ludzi — mówi „czymś”, bo był dla mnie jak przyroda naszych stron, jak nasze białe — niebieskie, obłoczne niebo i lasy podgórskie, w których zaszywałem się na długie godziny. Zdaje mi się, że tu kryła się jego tajemnica: inni dorośli wchodził i wychodził z mojego dziecięcego świata, a on był po prostu jego częścią.

Powiedziałem, że po raz pierwszy zaczął mówić o Ameryce, kiedy miałem sześć lat. Opowiadał tych nie lubiłem, bałem się nawet, nie tyle ze względu na ich ponury nastrój, bo nie byłem tchórzem, ale dlatego, że dziadek stawał się wtedy całkiem innym, prawie obcym

człowiekiem. Znikał gdzie jego rozmach, z twarzy uciekał u miech, garbił się, a jego mowa stawała się skąpa, rozważna, dobierał słów, starał się łagodzić bardziej okrutne szczegóły.

W pierwszej takiej opowieści dziadek, wyrzucony z fabryki, jeździł po całych Stanach pociągami na gapę i zarabiał na chleb jako tragarz, a potem, kiedy po pewnej rozprawie sądowej pokłonił się mu od pobicia i zrosł się sztywno stos pacierzowy, wypłatał maty ze słomy. Był moim, przekraczałem historię, ale tak utrwaliła się w mojej wyobraźni i takim właśnie nie jawił mi się dziadek w snach — ciemnym, nasionem olbrzymem pośród ogromnych stosów złotej słomy, z której musiał wypłatać nieprawdopodobnie dużo mat, gdy w przeciwnym razie...

Co miało być w przeciwnym razie, nie wiedziałem, ale w tym miejscu snu powstawała twoga.

Później poznałem inną historię, wcześniejszą od tamtej, bo działa się, gdy dziadek miał zaledwie dwadzieścia lat. Nie mógł znaleźć nigdzie pracy, został wreszcie dozorcą w pewnej fabryce chemicznej. Była to właśnie cwierna rudera, w której obrotowy właśnie ciciel produkował płyn pachnący wanilią, rozlewany do licznych flaszeczek i sprzedawany po bardzo słonej cenie jako lekarstwo na grypy. Właśnie ciciel płacił niesłychanie marnie, mimo to nigdy nie brakło mu ludzi, ponieważ pracowali u niego przeważnie nieszczęśliwcy — grypy, którzy rozpaczliwie poszukując ratunku dawali się skusić nadziei, że odzyskają zdrowie dzięki kosztownemu rodkowi, albowiem fabrykant wydawał go im bezpłatnie. Nie muszę chyba mówić, że rodek był bezwartościowy, co bynajmniej nie przeszkadzało właśnie cicielowi, bo na miejsce umierającego robotnika łatwo mógł znaleźć pięciu nowych.

Rodzicom, a zwłaszcza ojcu, nie bardzo podobało się to wszystko, co dziadek opowiadał. Pamiętam tam, jak raz zamącałem matkę pytaniami o rozmaite rzeczy, między innymi o słowa takie, jak „łamiśtrajk” i „minolier”. Tego ostatniego nie znała. Spytałem później ojca, gdy przyszedł do domu.

— „Minolier”? Od kogo to słyszałem? — spytał.

— Od dziadka.

— A, to na pewno milioner!

Ojciec był niezadowolony. Zaczęłam mówić do matki gniewnie, że dziadek musi być rozważniejszy w swoich opowiadaniach. — Nie chcę, żeby mi truła chłopca tymi czarnymi wspomnieniami! — zawołał i chciał pójść na górę, matka jednak umiała uciszyć jego wzburzenie, i to nie tylko tym razem.

Jak długo dziadek żył, ojciec skłonny był podejrzewać, że to on rozpala we mnie najdziwniejsze pomysły — raz na przykład postanowiłem wspinać się na Elbrus i przez tydzień nie dojadłem robiąc zapasy na drogę, to znów przyszedłszy odwiedzić ojca na lotnisku cięgnęłam przy wielkim parasolu i usiłowałam schować się w samolocie, żeby później wyskoczył z zaimprovizowanym spadochronem, kiedy będziemy przelatywać nad moim domem.

O tym, że dziadek musi kiedyś umrzeć, dowiedziałem się zupełnie przypadkowo, podsłuchawszy raz rozmowę rodziców. Nie dając temu wiary, raczej rozmięszony ich naiwnością, pobiegłem na górę. Dziadek wciąż był olbrzymi i silny, ale gdy na powitanie podrzucił mnie pod sufit, spostrzegłem na jego twarzy bolesne skrzywienie, które i mnie tak zabolowało, że się rozpłakałem, lecz nie powiedziałem, czemu, chociaż długo mnie o to pytał.

Potem zachorował i musiał leżeć. Nadchodziła wiosna, w ogrodzie co dnia odkrywałem nowe cuda, a dziadek mógł patrzeć tylko z okna, do którego przysunięto mu stary, wielki fotel. Raz, gdy wbiegałem na schody wiodące na poddasze, aby go odwiedzić, usłyszałem potężny, gardłowy śpiew, tak bardzo różny od wszystkich piosenek domu i szkoły, niezapomniany cięknący, powstał z wielkiego alu, krzywdy i niewypowiedzianej miłości do wiata, którego kochać nie wolno. Pieśni tej w ustach dziadka nigdy jeszcze nie słyszałem. Chociaż znałem dobrze język angielski, nie rozumiałem dziwnych zdań, tylko w refrenie powtarzały się słowa o wielkiej, starej rzecze, którą płynął łódzie. Wstąpiłem na

trzeszczące stopnie, a pieśń brzmiała coraz gwałtowniej — długą chwilę stałem pod drzewami, a potem cicho, ze złością w tym sercem zszedłem na dół. W trzy dni później dziadek umarł.

W następnych latach moje szaleństwo, teraz już uprawiane razem z kolegami, stały się bardziej metodyczne, choć nie mniej karkołomne. Ojciec mówił nieraz, że mam charakter z piekła rodem, a matka kiedyś odpowiadała „z afrykańskiego piekła”, na czym się, nawiasem mówiąc, zwykle wszystko kończyło, bo oboje kochali mnie bardzo, choć każdy na swój sposób.

Uczyłem się dość dobrze, ale nierównomiernie. Kiedy dowiedziałem się, że aby zostać kapitanem okrętu, trzeba znać matematykę i astronomię, zostałem w ciągu kilku tygodni pierwszym w tych przedmiotach, ale gdy oczarowała mnie później geografia, tamte przedmioty rzuciłem po prostu w kąt.

W siedemnastym roku życia, bardziej niż kiedykolwiek niepewny, co z sobą robi, zapisałem się na chyblił trafił na wydział konstruktorski Akademii Lotniczej w Piatigorsku i tutaj poznałem Gorielowa.

Wykładał mechanikę teoretyczną, a zwrócił na mnie uwagę nie dla moich umiejętności, które były bardzo umiarkowane, lecz ze względu na moją matkę. Ona to bowiem zaprojektowała i wybudowała gmach, w którym pomieszczyła się katedra i laboratorium profesora Gorielowa, a zbudowała go tak, że, jak sam mówił, zdobyła tym jego duszę.

Kiedy człowiek ma w swoim życiu milowe słupy pamięci — jak najwiskosz godzin dzieciństwa, pierwsze miłości, spotkanie z kimś prawdziwie wielkim, i chwile te są jak gdyby osiami, na których obracają się całe obszary życia w nowe strony, gdzie odsłaniają się nieprzezwyciężalne horyzonty. Taka chwila nastąpiła dla mnie, gdy po niezdanym, czyli, jak się u nas mówiło, oblanym egzaminie z mechaniki teoretycznej Gorielowa, nie wypuściwszy mnie ze swego gabinetu, wdał się ze mną w rozmowę. Był czerwiec, wspaniały, zielony czerwiec za oknami w ogrodzie Instytutu, kiedy, patrząc mi w oczy, powiedział:

— Pod uderzeniem metal wydaje dźwięk. Robercie, dam, żeby odpowiedział mi szczerze na pytanie, które ci zadam. Zgadzasz się?

Nic nie odpowiedziałem, ale w moim spojrzeniu musiał wyczytać, że chcę być jak metal, i po chwili ciszę:

— żeby być pożytecznym dla innych i siebie, człowiek musi znajdować coraz to nową radość w swojej pracy. Wiem, że starczy ci zdolności, by nauczyć się tego, co jest potrzebne, żeby zdać u mnie egzamin, ale to jeszcze bardzo mało. Jestem pewien, że umiesz włożyć siebie całego w to, co ci porwie. Powiedz mi, co to jest.

Nie umiałem odpowiedzieć.

Teraz, nie patrząc już w moje oczy, Gorielow dodał ciszej i ostro niej, jakby zbliżył się do czegoś zwiastującego:

— Kiedy czujesz się szczęśliwy? Mów, co czujesz, bo od tego może zależeć bardzo wiele.

— Szczęśliwy jestem rzadko — odpowiedziałem. — To są tylko chwile, ale mnie z tym dobrze... Ostatni raz, kiedy byłem na Dangi-Tau, bo musi pan wiedzieć, że należą do naszego klubu wysokogórskiego i mówi, że jestem dobrym alpinistą. Były tam takie chwile, kiedy chciałem, żeby trwały i żeby to nie były wakacje ani obóz treningowy, ani rozrywka, ale żeby to właśnie było moje prawdziwe życie.

— Kiedy to było? Powiedz dokładniej — szybko jakoś, wciwnie patrząc na mnie, spytał Gorielow.

— Kiedy groziło niebezpieczeństwo — powiedziałem po prostu, bo tak rzeczywiście czułem. — I kiedy trzeba było zdecydować o wyborze drogi, o nowym, jeszcze nie przebytym wariantcie wspinaczki, o nieznanym szlaku. Kiedy brałem udział w nocnej wyprawie ratowniczej i pierwszemu udało mi się znaleźć zaginionego.

— Lubisz ryzykować — powiedział surowo Gorielów. — Zauważę to po sposobie, w jaki mi odpowiadałeś na pytania. Ale ze mną nie udało ci się, bo ja jestem nieprzebytą skałą. — Tutaj powinien się być chyba u miecha, lecz tego nie uczynił.

— Czy poddałeś się kiedy próbie? — spytał po chwili. Poniosła mnie duma. której, wiem o tym, miałem i dziś jeszcze mam zbyt wiele.

— Osiemnaście godzin byłem sam w cieniu Uby i wróciłem, kiedy rozeszły się mgły. To była moja pierwsza próba.

— Ale nie ostatnia — odparł Gorielów. — Czy to, co zrobiłeś, było konieczne?

Zawahałem się.

— Nie...

— Wiedziałem! — powiedział Gorielów i teraz zobaczyłem, dlaczego ukrywa przede mną twarz. On się u miechał, ale nie do mnie. U miechał się do czegoś w sobie, może do swojej młodości, którą widział w tej chwili bardzo blisko i bardzo płonącą. Potem, jakby wspomniawszy, że nie o sobie ma decydować, zwrócił na mnie oczy i drugi raz w tej rozmowie poczułem, że przypomina mi kogoś tak bliskiego,

jakby był ktoś mi bliźszym, lecz nie wiedziałem, kogo — i poczułem lęk.

— Mechanicy — powiedział Gorielów — matematycy, astronomowie i ci, co ratują zaginionych w górach, wszyscy są nam jednakowo niezbędni i życie nie byłoby pełne, gdyby zabrakło choć jednego z nich. Ale pamiętaj, że życie ma tylko wtedy sens, jeżeli czemuś służy. Wielkie zamiary i czyny służą wszystkim. Obcym i swoim, bliskim i dalekim, jak most zbudowany przez inżyniera i jak wiersz napisany przez poetę. A małe, własne, codzienne, jak przechadzki wiosną, jak spotkane widoki i nawet sny, oddajemy tym, którzy są nam drodzy. Ale tylko jedno i drugie razem stanowi pełnego człowieka i pełną służbę. Wiata jest dla ciebie

O tyle, o ile ty jesteś dla wiata, i wszystko, cokolwiek robisz — słyszysz? — wszystko! — musi cel swój i sens znajdować nie w tobie, lecz poza tobą. Nie ka demu jednakowo łatwo przychodzi tak postąpić. Tobie nie będzie łatwo, ale w końcu nie dlatego staniesz się taki, bo już się stajesz. Bo ty chcesz być jak metal, który odżywa się pod uderzeniem. Prawda, Robercie?

Skinąłem głowę, bo nie mogłem mówić.

— Nie będzie z ciebie inżynier konstruktor — powiedział Gorielów. — Uwaga! jednak, że studia powinieneś skończyć, ponieważ nie ma wiedzy nieużytecznej, ale póki nie, gdy będziesz miał w ręku dyplom, powinieneś pójść w góry i tam siebie poszukać.

Potem, kiedy po długiej, bardzo długiej w drówe podmiejskimi wzgórzami wracałem do domu, trochę odurzony słowami, latem i tymi rozmowami, powiedziałem, że Gorielów przypominał mi dziadka. Tak jak tamten nad moim dziecstwem, ten stał nad moją młodością. Postąpiłem, jak mi radził, i nie żałuję tego. Co prawda, po skończeniu Instytutu nie poszedłem od razu w góry, lecz przeszedłem roczne szkolenie w Centralnej Służbie Powietrznej zostałem pilotem oblatującym nowe modele samolotów. Nieraz zdarzało mi się niedowolność na lotnisku mego ojca. Za to kiedy dyżur spędzałem w górach. Nazwisko moje stało się znane w klubie wysokogórskim i poza nim dzięki wyprawom, w jakich brałem udział. Raz, kiedy przy okienku w jakimś urzędzie miałem odpowiedzieć na pytanie o zawód, z rozrządzenia zamiast „pilot” powiedziałem „alpinista”. A chociaż zaraz się poprawiłem, jedno jest tak samo prawdą, jak drugie, bo teraz znam siebie już trochę i wiem, że jednakowo przyciąga mnie nie przebyte jeszcze góry i samoloty, na których nikt dotąd nie wzbijał się w powietrze. Mając dwadzieścia pięć lat wziąłem udział w wyprawie na „dach wiata” — północny Pamir. W rok później byłem wśród tych, którzy zdobywali trzeci z kolei najwyższy szczyt wiata, Kangchendzong. Wyprawa ta pociągnęła za sobą tragiczną śmierć jednego z moich towarzyszy, a mnie przyparła o rozszerzenie miśnia sercowego, tak że pół roku przebywałem w sanatoriach Południa. Zaledwie powróciłem do służby lotniczej, głowa stała

si wyprawa na Wenus, której potrzebny był pilot samolotu zwiadowczego. Zgłosiłem si i wybrano mnie spo ród kilku tysi cy ochotników.

Pisz to w dwudziestej ósmej godzinie naszego lotu. Kiedy podnosz głow , widz na ekranie wewn trznego telewizora biały tarcz oddalaj cej si Ziemi. Zdaje mi si , e zako czyłem jakby jedno moje ycie i zaczynam drugie. W takiej chwili wolno chyba poci gn grub kresk pod wszystkim, co było dot d. Wiem, e wielu rzeczy nie potrafi , gdy mam na to zbyt małe zdolno ci. Dlatego nie próbowałem nigdy wst pi na drog naukow . Wiem, e daleko mi do takich ludzi, jak Czandrasekar, Arseniew czy Lao-Czu, z którymi b d razem w dobrym i złym.

Wiem, e wszystko, cokolwiek robiłem w yciu, robiłem mo e zbyt pochopnie, mo e ze zbyt gor cym sercem, ale mocno, tak mocno, jak tylko umiałem. Starąłem si zawsze wierzy w ludzi, a je li gniewałem si na kogo , to najbardziej na siebie za to, e nie umiałem by takim jak Hannibal Smith. Kiedy pierwszy raz powiedziałem dziewczynie, e j kocham, nie umiałem znale do wielkich i pi knych słów dla wyra enia wszystkiego, co czułem. Dlatego powiedziałem jej, e miło w moim wyobra eniu to nie sfery wysokiego lotu ani niebo, w którym tak cz sto przebywam, ale e to jest co takiego jak ziemia, w co mo na słupy wbija , na czym mo na mury stawia i domy budowa . Inna rzecz, e jej to nie przekonało.



## NAVIGARE NECESSE EST

Miejszem startu był zachowany w dawnej pustyni Gobi z gór tysiące hektarów obszar piasków. Przywiózł mnie tam samolot sterowany przez kolegę z Centralnej Służby Powietrznej, który milczał przez całą drogę, trochę dlatego, że kiepskie warunki atmosferyczne zmuszały go do uwagi, a trochę dlatego, że tak się starał o miejsce w wyprawie i przegrał.

Było mi wobec niego nieprzyjemnie, ale zapomniałem o wszystkim, kiedy z wysokości czterech tysięcy metrów zobaczyłem lecącą na piaskach srebrną rakietę. Samolot, którym przybyłem, podrolował do niej i zaraz odleciał. Z pewnym wahaniem podawałem rękę koledze. Zнали мы się zbyt krótko, by zostać przyjaciółmi, lecz byliśmy na najlepszej drodze do tego, i obawiałem się, żeby ta rzecz nie stała się dla nas, bo on ma dopiero dwadzieścia jeden lat. Ale w chwili gdy powstał z siedzenia i wychylił się ku mnie — byłem już na skrzydle — poczułem, że wszystko jest dobrze, a kiedy my się ucałowaliśmy, wiedziałem, że jest bogatszy o coś trudnego i pięknego, bo w tej chwili wyrzekł się tej wielkiej przygody z własnej woli — dla mnie. Dlatego, kiedy maszyna znikła i ruszyłem ku rakiecie, zrobiło mi się na chwilę ciężej. Ludzi, z którymi miałem lecieć, prawie nie znałem. Sołtyka spotykałem dawniej w Centralnym Ośrodku Szkolenia Lotniczego, lecz z uczonymi zetknąłem się dopiero kilka miesięcy przedtem w Leningradzie, na przeszkoleniu technicznym. Miało ono charakter oficjalny, oczywiście więc, że byłem dla nich obcy jak oni dla mnie. Brnąłem w głąb białego piasku ku małej grupce ludzi pod cieniem Kosmokratora i dopiero gdy dzieliło mnie od nich niewiele kroków, pomyślałem, że obawy moje mogłyby się komu wydać mieszane: odczuwałem coś w rodzaju tremy nie przed podróżą na Wenus, lecz przed nieznanymi ludźmi. Dobrze zrozumie mnie tylko ten, kto był z kimś drugim w okolicznościach, które, jak się to mówi, poddają człowieka próbom na rozciąganie i skracanie — chociażby na przykład wspinaczkę, kiedy raz samemu asekuruje się drugiego, to znów jest się asekurovanym. Słowa „polega na kimś jak na sobie” nabierają wtedy, ukończając linę, ostatecznego znaczenia.

Oficjalne pożegnanie wyprawy odbyło się już tydzień wcześniej. Nie byłem na nim obecny, gdy musiałem załatwić formalności związane z moim odejściem z lotnictwa. Teraz na tym ocalałym skrawku pustyni, wśród piasków, pod bladym niebem, stało zaledwie kilkanaście osób — rodziny odlatujących, prezes oraz kilku członków Akademii Nauk. Ogarnęło mnie uczucie osamotnienia. Nikt mnie nie oczekiwał — matka moja umarła przed dwoma laty, ojciec za nie mógł wyjechać z Piatihorska. Ale w tej chwili rozległ się głos samolotu. Maszyna, którą przyleciałem, schodziła w dół. Nad samą rakietą pilot przekazał mi ostatnie lotnicze pozdrowienie, pochylał skrzydła na boki. Stałem jeszcze zapatrzony w znikający samolot, kiedy podszedł do mnie Arseniew. Podał mi rękę, a potem nagle przyciągnął do siebie.

— A więc jesteś nareszcie, człowieku z Kangchendongi — powiedział, a ja mogłem mu odpowiedzieć tylko uśmiechem.

Start wyznaczony był na godzinę pierwszą po południu. Wybrano te bezludne okolice, gdy dla szybkiego przebicia atmosfery należało ruszyć wielką moc, a wyrzucane z rakiety chmury atomowe mogłyby wyrządzić niebezpieczne spustoszenia.

Kiedy pozdrowiłem wszystkich, udałem się z inżynierem Sołtykiem na przód statku, żeby po raz ostatni sprawdzić przeznaczony dla mnie samolot wywiadowczy. Rychło jednak oderwano mnie od tego zajęcia. Pod cieniem rakiety, na piaszczystej wydmy, odbyło się pożegnanie. Nikt nie wygłaszał oczywiście żadnego przemówienia. Padło tylko kilka słów, podnieśliśmy kieliszki jasnozłotego południowego wina, a potem już z platformy wejścia patrzyliśmy, jak gąsienicowe pojazdy ułożone pozostających na Ziemi poza granicę strefy

startowej. Pó niej weszli my do rodka. Raz jeszcze przed zamkni ciem klapy odwróciłem si , a chocia pustynny krajobraz był mi obcy, poczułem si z nim dziwnie mocno zwi zany i co chwyciło mnie za gardło. Pustynia le ała teraz zupełnie bezludna, ale wiedziałem, e kilka kilometrów za horyzontem stoj rozstawione szerokim kr giem stacje radarowe, które pochwyc pocisk w p ki swoich fal i b d go wie przez cał drog .

Weszli my do Centrali i tutaj Sołtyk obj ł dowództwo. Poło yli my si wszyscy na rozło onych fotelach, przykr powali pasami i teraz przyszło to, czego najbardziej nie cierpi : czekanie. Wskazówka zegara skakała odmierzaj c wiatki sekund. Nareszcie Sołtyk, le cy przy czarnym okapie Prediktora z r k na jego d wigniach, odwrócił si do nas na mgnienie oka. U miechał si . Całe moje podniecenie prysło, kiedy ujrzałem ten u miech. To była jego chwila, ta chwila, o której marzył. Wskazówki na tarczy doszły do swego miejsca. Sołtyk nacisn ł czerwony guzik, wszystkie wiatła na tablicach zagrały i — zacz ł si .

Najpierw krótki grom. To pracowały odpalane seriami pomocnicze rakiety tlenowodorowe. Pocisk, ryj c ci ko w piasku, wznosz c si i opadaj c jak potworny pług, targany wybuchami, ruszył nierówno i niezgrabnie. Potem wybuchy zg stniały. Piekielne podrzuty, szorowanie o grunt, skoki i upadki; latali my na wszystkie strony, cho umocowani elastycznymi pasami.

Nagle rozległ si pot ny, piewny ton. Wstrz sy ustały, za to z ka d sekund ciało moje stawało si coraz ci sze. Z uporem wpatrywałem si w kolisty ekran przed oczyma. Widziałem l ni cy jako w ski r bek — bok rakiety, w dole smu ce piaski, a wszystko to dr ało i migotało, jak płachty mi tego celofanu. Były to warstwy powietrza, które pocisk zag szczał przed sob na skutek p du. Znam ten widok z lotów na najwi kszych szybko ciach.

Moje oczy spostrzegały wszystko z coraz wi kszym trudem. Straszna siła wciskała mnie w gł b mi kkiego posłania, nalewaj c niewidzialnym ołowiem członki, coraz gwałtowniej i mocniej wpierała si w ka dy mi sie i nerw, a oddech zacz ł wydobywa si gło no z piersi, przywalonej jakby cetnarowym ci arem. Zwróciłem oczy w bok. Wszyscy le eli bezwładnie. wiatła na tablicach skakały, przez cały korpus rakiety szło jak pot ny pr d to piewne granie, z którym gazy atomowe wyrwyj si w przestrze .

Trwało to długo, tak długo, a pot zbieraj cy si na czole pocz ł cieka mi dzy brwi. Chciałem go otrze , lecz nie mogłem podnie r ki. Sołtyk nacisn ł jak d wigni i nagle zrobiło si lekko. Spojrzałem na zegar. Lecieli my ju 16 minut. Na dole le ało — nie wiem doprawdy, jak to nazwa : to nie była Ziemia, ta niesko czona, płaska równina z cienkimi liniami dróg i rzek, znana mi tak dobrze z samolotu. Stało si tak, jakby niebo i Ziemia zamieniły si miejscami. Zamiast lekkiej, bł kitnej kopuły ziała nad nami płaska czer , w której tłały ledwo dostrzegalne gwiazdy, a w dole rozpo cierał si niepodobny do niczego, co znałem, potworny, rudy, wypukły ogrom. Na tej jakby w niesko czono ci gn cej si bryle ciemniały rozmazane plamy, a co najbardziej rzucało si w oczy, to pokrywaj ce j białe strz py, które tkwiły nieruchomo, jak nalepione na jej powierzchni kłaczki waty.

Zwróciłem na nie uwag Sołtyka: zerkn ł na ekran, powiedział „to chmury” — i znów wrócił do swoich zegarów.

Zrozumiałem. Tak, to były obłoki płyn ce nad planet , ale ich wzniesienie było niczym w porównaniu z osi gni t przez nas wysoko ci . Dobrze przypatrzwszy si , mo na było gdzieś dostrzec plamk cienia le c pod takim małym białym kłaczkiem, który był wielokilometrowych rozmiarów chmur . Lecieli my teraz — jak pokazywały wiec ce tarcze Prediktora — po elipsie, jako sztuczny ksi yc Ziemi. Trwało to mo e godzin , w czasie której przebiegła pod nami trzecia cz planety. Gdy sko czyła si wielobarwna równina Chin, l d znikł. Byli my nad Oceanem Spokojnym. Niezwykły widok przedstawiała czarno— stalowa, wypukła kraina wód, jakby z matowego, polerowanego metalu. Kiedy ukazały si brzegi Ameryki, Sołtyk znowu nacisn ł czerwony guzik, znowu rozległ si pot ny piew

silników i Kosmokrator, wznosząc dziób w rodek czarnego nieba, wystrzelił z orbity, po której okrążył Ziemię. Do północy trwała taka podróż, niezmiernie wyczerpująca przez ciągłą zmianę przyśpieszenia. Rakieta, dawno już opuściwszy atmosferę, wciąż jeszcze walczyła z ciężarem ziemskim. Ani na chwilę nie ustawała praca silników, ale je przekroczyli my znacznie szybko i daleko, a prócz tego lecieli my w próżni, moją siłą było porozumiewanie się podnosząc głosy. Kilka minut po północy na znak Sołtyka rozpieliśmy pasy i wstaliśmy, by trochę niepewnie rozejrzeć się po otoczeniu.

Centrala była pogrążona w spokojnym wietle. Gdyby nie czarne ekrany, zasypane iskrami gwiazd, moją na byś dziś, i rakieta spoczywa nieruchomo w hali. Ziemia leżała pod nami jako w trzech czwartych zaciemniony gigantyczny okrąg. Jej nocna półkula odbijała się od światła gwiazd mrocznym, szarzejącym brząskiem. Słuch nawykał powoli do grania silników i trzeba było specjalnie zwrócić uwagę, aby je usłyszeć.

Po odebraniu wiadomości nadawanych przez stacje radarowe udaliśmy się do wspólnej kabiny na kolację. Potem Arseniew zabrał głos.

Spośród towarzyszy podróży on jeden przewyższa mnie wzrostem; to doprawdy Herkules w postaci astronoma. Nie mogę oprzeć się uczuciu fizycznego wprost zadowolenia, kiedy widzę jego potężne sklepienie pierśi i kark prosty jak kolumna, na którym siedzi mocna, ciemna głowa z czupryną tak jasną, jak prawie białozłotą.

Zwrócił się do nas słowami:

— Przyjaciele, podróż nasza będzie trwała trzydzieści cztery dni. W ciągu tego czasu nie czeka nas, niestety, zbyt wiele pracy. Nie ulega wątpliwości, że nie będziemy próbowali umilić sobie drogą dyskusją — ja pierwszy wyzywam kolegę Lao-Czu na pojedynek w sprawie falowych cięgów materii. Ale jesteście wy tu nie w laboratorium, lecz na statku oddalającym się od Ziemi, proponuję, żebyśmy jakiegoś wieczora zwrócili się do niej myślnie, i to w ten sposób, jakby po kolei opowie jakie wspomnienie, które uważacie za cenne.

Wszyscy zgodzili się na ten projekt. Milczałem siedząc, że nie może to mnie dotyczyć, gdy zapewne mówi się będzie o pracach i odkryciach naukowych. Jakim było moje zdziwienie, kiedy Arseniew zwrócił się do mnie, abym rozpoczął ten, jak go nazwał, cykl „opowieści trzydziestu czterech nocy”. Zmieszany, zacząłem się wymawiać, jakbym w samej rzeczy do ostatniej chwili prowadził życie biuralisty, któremu nie przydarzyło się nic godnego uwagi.

— Co z tego, że jest pan wśród profesorów — jakby kpiąc lekko, powtórzył moje ostatnie słowa astronom. — Nie ma tu żadnych profesorów, tylko towarzysze podróży. A co do wspomnień, to wiem, że godnych opowiedzenia jakby z nas może panu tylko zazdrościć.

Mimo to broniłem się, wreszcie obiecałem co opowiem w ciągu najbliższych dni, kiedy wsłucham się w cudze słowa i gdy powstanie już nastrój opowieści. Może wtedy pójdzie mi lepiej, ponieważ zawsze najciszej mi zacząć. Jako, pokiwaawszy głową nad moją nieporadnością opowiadacza, Arseniew zwrócił się do naszego chemika, doktora Rainera. Byłem rad z tego, że właśnie Rainer miał mówić, ponieważ nigdy go dotąd nie widziałem. Podobnie jak mnie, zatrzymały go z dala od reszty towarzyszy jakieś sprawy w Niemczech i przybył na miejsce startu w przeddzień odlotu. Jest to młody człowiek lat może czterdziestu, siwawy, w okularach, niepozorny i nad wyraz spokojny. Miał właśnie zacząć, kiedy zjawił się Sołtyk, dyktujący dotąd w Centrali, z wiadomością, że radio północnej półkuli będzie za chwilę nadawać specjalną audycję dla nas. Przełczyło się więc głośno do wspólnej kabiny i tu, w głębi boków foteli przy okrągłym stole, słuchaliśmy muzyki Beethovena, ścigając nas na falach eteru przez próżnię międzyplanetarną. Kiedy koncert się skończył, była pierwsza w nocy, lecz nikt nie czuł senności i Rainer rozpoczął opowieść. Tu znowu przeszkodził mu Sołtyk. Należało wprawić rakiety w ruch wirowy. Predyktor wyłczył przed kwadrans silniki napędowe, a więc już znacznie oddzieliliśmy się od Ziemi, jej

gravitacja wyraźnie osłabła i przy wszystkich ruchach zdarzało się niejednemu z nas podrzucić filiżankę w powietrze, kiedy chciał ją tylko podnieść do ust. Przedmioty i nasze własne ciała z każdą chwilą stawały się lżejsze. Sołtyk wyszedł do Centrali i po jakiejś minucie poczuliśmy, że zmienia się ruch powietrza. Przez krótką chwilę trwało niemiłe uczucie zamknięcia, spowodowane powstawaniem przy wirowaniu sił odśrodkowych, potem jednak wszystko znikło, a ciała nasze stały się normalnie ciężkie. Kiedy Sołtyk wrócił, Rainer mógł wreszcie przystąpić do opowiadania.

— Nie wiem, czy to, co powiem — zaczął — może kogoś zaciekawi. Jest to historia dosyć specjalna i dziwna. Mogłbym ją zatytułować „Polimery” — tytuł może odstraszać, prawda? — zwrócił się do nas z nie miałym uśmiechem, za

116

który go polubiłem. — Mieszkałem wtedy w starej, portowej dzielnicy Hamburga. Byłem doktorantem i objeżdżałem laboratorium syntezy organicznej u mego nauczyciela, profesora Huemmla. Jakiś rok przedtem laboratorium pracowało nad syntezą nowego rodzaju gumy, tak zwanej gumy krzemowej, gdy atomy węgla zastąpiły w niej krzem. Przemysł lotniczy zaangażował do tego wszystkie swoje instytuty chemiczne, bo od wytworzenia owej gumy zależała przyszłość lotnictwa. Jak wiecie, nowoczesne samoloty lecą z taką szybkością, że opony ze zwykłej gumy rozlatują się od tarcia albo spalają z gorąca. Teoria obiecywała, że guma krzemowa będzie niewrażliwa na występujące w tych warunkach najwyższe temperatury. Gdyby nie udało się jej stworzyć, konstruktorzy musieliby zupełnie zarzucić istniejące systemy podwozi. Kiedy przyszedłem do Instytutu, sprawa była dla ciwiew uznana za przegraną. Na badania zostały wydane olbrzymie sumy, zużyto ogromne ilości odczynników, poniszczono maszyn aparatów specjalnych i napisano dziesiątki sprawozdań bez najmniejszego rezultatu. Na papierze wszystko wyglądało bardzo ładnie, ale w praktyce nie wychodziło nic. Pierwszym moim zadaniem było uporządkowanie laboratorium i przygotowanie go do prac z innej dziedziny. Całymi tygodniami musiałem czytać stajni Augiasza. Może ci się wyobrazi, co się tam działo, jeśli powiem, że przez ostatnie miesiące załoga naukowa prawie nie wychodziła z laboratorium, a trzech moich starszych kolegów, Jaensch, Hoeller i Braun, po prostu w nim mieszkali. Zostały po nich całe stosy popróchniałych, nadwęglonych i spalonych próbek gumy, setki potłuczonych kolb, całe kilometry taśmy plastycznej i chociaż razem ze studentami pracowali my jako zamiataacze i sprzątacze, jeszcze w miesiącu po objeździe mnie laboratorium to pod jakiszą szafą, to w termostacie odkrywało się istnienie tej nieszczej gumy. Ja sam także, jak się to mówi, siedziałem w polimerach, ale interesowały mnie raczej z teoretycznego stanowiska. Słowo, jak wiecie, całe ciała utworzone przez połączenie się dużej ilości takich samych cząstek chemicznych. Powstają w ten sposób molekuly gigantycznych rozmiarów i zachowania ich w naturalnym sposobie nie można przewidzieć na podstawie znajomości cząstek pierwotnych. Pociągali mnie pewne badania nad polizbbutylenem i polistyrenem, a także nad gumą, ale gumą zwykłą, która jest najbardziej moim znanym polimerem. Chciałem stworzyć teorię zachowania się wszystkich w ogóle polimerów. Może usprawiedliwi mnie to, że miałem 24 lata, a kiedy się jest już w tym wieku, to po przeczytaniu jednej pracy fachowej może ci się odkryć strzelając człowiekowi w głowie jak fajerwerki. Jeszcze zanim przyszedłem do laboratorium, obłożyłem się literaturą i pomału, nie zauważając nawet jak, zacząłem gromadzić. Gromadziłem fakty i opisy do wiadomości, coraz więcej faktów na małych kwadratowych karteczkach, które układałem najpierw w pudełkach od papierosów, potem w specjalnych segregatorach, potem w szufladach na półkach, na stole, a potem to już cały pokój pełen był owych kartek, w których jeszcze się orientowałem, ale przeczuwałem, że nadejdzie chwila, kiedy mnie zaleją i zatopi. Tymczasem od upragnionej teorii byłem wciąż jednakowo daleko. Te moje miłe polimery zachowują się bardzo ciekawie. Niektóre z nich mają w dwu wymiarach przestrzeni takie własności, jak płyny, a w trzecim — jak ciała stałe.



Guma znowu zachowuje się jak gaz idealny, gdy ochładza się przy rozciąganiu, a przy kurczeniu — ogrzewa. Najbardziej interesowała mnie właśnie nie guma. Po cichu myślałem, że uda mi się dojść na drodze teoretycznej do tego, czego koleżdy moi nie potrafili zrobić eksperymentem. Na początek, żeby się trochę wywczaszyć w technice do wiadcze, robiłem, tak jak oni przedtem, zdjęcia rentgenowskie małych klocków gumowych w rozmaitych warunkach: to rozciągałem je, to poddawałem wysokiemu ciśnieniu, to znów trawiłem kwasami. Potem zapisywałem wyniki i całymi wieczorami marzyłem o tej mojej teorii. Nie mogłem inaczej powiedzieć, bo daleka była jak Ziemia Obiecana. Guma nie rozciąga się tak daleko na fotografii rentgenowskiej taki obraz jak płyny, to znaczy chaosu pokłębionych cząstek. Pod wpływem rozciągania obraz zmienia się i struktura staje się podobna do kryształu. Dzieje się tak dlatego, że te długie, pokręcone łańcuchy atomów, z których zbudowana jest guma, pod wpływem rozciągania napinają się, prostują i z chaotycznej plataniny stają się równoległymi pasmami, co daje właśnie ten krystaliczny obraz. Tak więc powiedziałem, przetrząsałem, osiadałem, suszyłem i znów powiedziałem kawałki gumy, a pewnego wieczora cały zapas mi się skończył. Poszedłem do laboranta, który powiedział mi, że w rupieciarni na górze jest jeszcze trochę kolb z próbkami tej starej gumy krzemowej. Machnąłem na niego ręką, ale nazajutrz zastałem na moim stole w laboratorium pięć zakurzonych kolb szklanych. Laborant przyniósł je z góry, chcąc mi się przysłużyć. W kolbach były czarne i lepkie szczytki do wiadcze. Hoeller nazywał je w swoim czasie stacjami miki, bo od jednej do drugiej próby płonęła nadzieja, która za każdym razem waliła się w gruzy. We wszystkich kolbach nie było właśnie gumy, ale coś w rodzaju lepkiej mazi, której wolałem nie tykać. Za to w ostatniej kolbie znajdowała się ciemnopopielata, przyzwyczajona bryłka. Wsadziłem ją do aparatu, podgrzałem, zrobiłem zdjęcie rentgenowskie i poszedłem do domu. Na drugi dzień zdjęcie było gotowe. Byłem przekonany, że zobaczysz to samo, co dotychczas: zupełny rozpad łańcuchów atomowych, nie trzymająca się kupa kasa. Tymczasem ujrzałem idealną wprost siatkę krystaliczną. Nie wierzyłem własnym oczom. Guma poddana była przecież temperaturze około ośmiuset stopni i ciśnieniu tysiąca atmosfer, powinna więc być rozleciała się na klej. Tymczasem była nie naruszona. Otworzyłem aparat, do którego nie zaglądałem od poprzedniego dnia, gdy ogrzanej kamery nie można otwierać, i znalazłem tam kawałek gumy najbardziej wężki, elastyczny i jędrny, jaki zdarzyło mi się widzieć. Zawołałem laboranta i spytałem go, czy wkładał coś do aparatu. Zaprzeczył. W ogóle do niego nie podchodził. Wciąż jeszcze nie bardzo wierząc, ponownie poddałem cudowny kawałek gumy wysokiej temperaturze i ciśnieniu, ale tym razem nie poszedłem do domu, lecz czekałem na ostygnięcie kamery. O ósmej wieczorem wyjąłem gumę: była jeszcze gorąca, lecz elastyczna, jakbym ją wyjął nie z pieca, lecz z szuflady. Na wszelki wypadek wykonałem jeszcze analizę chemiczną: była to guma krzemowa. Mimo spóźnionej pory chwyciłem próbkę wielkością mojej pudełka od zapalek, wszystkie zdjęcia rentgenowskie i pobiegłem do profesora, który mieszkał niedaleko. Zrazu nie chciał wierzyć, ale nazajutrz, gdy pod jego okiem jeszcze raz wykonałem wszystkie zabiegi, musiał się poddać. Mieliśmy przed sobą autentyczną próbkę gumy krzemowej, tego marzenia konstruktorów lotniczych, o własnościach wręcz idealnie odpowiadających przewidywaniom teoretycznym. Mieliśmy, lecz nic nam to nie dawało. W chemii organicznej jedyną właściwością wielkich sztuk jest zmuszenie atomów, aby się czyły sobie tak, jak to nam odpowiada. W tym kawałku gumy, który mieliśmy, zaszło właśnie nie takie zjawisko, lecz nie wiedzieliśmy, jak się to stało. Innymi słowami, nie mieliśmy recepty produkcyjnej ani najmniejszego pojęcia, w jaki sposób do niej dojść. Rzecz prosta, pierwsze, co zrobili my, to było zawiązanie Hoellera, Brauna i Jaenscha, którzy w tym czasie pracowali w berlińskim Instytucie Paliw Płynnych. Depesze zredagowałem sam, i to tak, że wszyscy trzej przylecieli jeszcze tej samej nocy samolotem i obudzili mnie nad ranem, dobijając się do drzwi mego mieszkania. Kiedy uciszyły się trochę okrzyki i pytania, okazało się, że wiedzą tylko samo, co ja i mój profesor, to znaczy nic. Bez trudu odnaleźli my protokoły do wiadcze. Próbkę



numer 6 439, pod którą to liczba wcignięta była niezwykła guma, odrzucono niegdy jako bezwartościowe, a z załączonego zdjęcia rentgenowskiego wynikało, że nie było mowy o jakiejś pomysłowości. Byliśmy tak bardzo w kropce, tak zupełnie zdezorientowani, że jednemu z nas wyrwało się wprost humorystyczne w ustach fachowca zdanie: „a może ta guma przez ten czas dojrzała?” Nonsens ten stał się potem przysłowiem, nieraz powtarzano go jako dowcip, kiedy ktoś nie dawał sobie rady z jakimś zagadnieniem. Po czterech dniach koledzy, którzy musieli wracać do Instytutu Berlińskiego, machnęli na wszystko rękami i pojechali. Zostałem sam z kawałkiem tej nieszczęśliwej gumy, ze zniecierpliwionym profesorem i z płomieniem w głowie, który nie dawał mi spać ani je.

Nie mówiąc już wcale o mojej teorii polimerów, zabrałem się do powtarzania wszystkich etapów do wiadczeń, które doprowadziły do wyprodukowania owej próbki. Recepty produkcyjne miałem przecie w protokołach. Nie bałem się rozwodzić nad tym, co robiłem. Powiem tylko, że syntezę tę przeprowadziłem 518 razy, trzymając się recepty z jak po prostu lepiej, niewolniczo dokładnie, i zamaczałem kolegów berlińskich telegramami, aby mi podali dokładnie wszystkie okoliczności, jakie towarzyszyły ich pracy nad tą próbką. Gdyby tu był chemik, zrozumiałby mnie. Wiadomo, że w chemii, gdzie ilość możliwych kombinacji ciał reagujących jest praktycznie biec nieskończona, robi się czasem odkrycia przypadkowo, na przykład dlatego, że ktoś strzelił do kolby szczyptę popiołu z papierosa, który stał się jedynym katalizatorem reakcji. Albo że gdzieś ktoś nieomalował korytarz lakierem zawierającym jakiś rzadki pierwiastek w ilości niesłychanie znikomej, lecz dostatecznej do skatalizowania tej jednej potrzebnej reakcji, która w jak inny sposób nie chce ruszyć z miejsca, choćby się całe laboratorium stawiało na głowie. Koledzy odpowiadali mi i robiłem wszystko, co miało sens, a więc zmieniałem temperatury, katalizatory, ciśnienia, robiłem też wiele innych rzeczy, które sensu nie miały, i doszedłem do tego, że zacząłem by przeszedł dni. Najbardziej nawet pedantycznemu eksperymentatorowi, jeżeli naprawdę zostanie oparty jakimś problemem, po pewnym czasie zdarza się, że nie jest w stanie panować nad całym swoim materiałem. Mówi więc po prostu, w laboratorium zaczął panować nieporządek, który profesor Huemmel nazywał bałaganem, zrazu poza moimi plecami, a potem powiedział mi to w oczy, pytając, jak długo jeszcze państwo ma być na moją kosztowną zabawę. Podałem okres czteromiesięczny, bo był to pierwszy termin, który przyszedł mi do głowy. Prawda mówi więc, nieporządek, jaki się u mnie szerzył, do pewnego stopnia sam siebie gnawałem, ponieważ gdzieś na dnie duszy wierzyłem, choć nikomu bym się nigdy do tego nie przyznał, że w takim nieco pierwotnym chaosie może się zdarzyć przypadek przyjdzie z pomocą i odkryje to tajemnicze coś, co pomogło stworzyć okaz doskonałej gumy krzemowej.

Próbki te miałem u siebie nad stołem laboratoryjnym, pod szklanym kloszem, a ilekroć wylawszy do zlewu cuchnącą reaktywę po nieudanym do wiadczeniu wracałem zniechęcony do stołu, wzrok mój padał na ten mały ciemny kubik materii, i to było nowym bodźcem do pracy.

Bardzo bolesna jest chwila, kiedy młodość pojmuję, że samym tylko w tym momencie, sam wolno odkrycia nie posunie się ani o milimetr naprzód. Kiedy już liczba moich nieszczęśliwych do wiadczeń przekroczyła tysiąc, a laboranci, wynosząc całe kosze z wagi próbek, mruczyli do siebie coś, przypomniałem sobie o Morzu Północnym — bo mówiłem wam, że to wszystko było w Hamburgu.

Wypowiadając te słowa Rainer zwrócił się w bok, gdzie nad matową boazerią wystawał ze ścian ekran telewizora, i trzymany w ręce patyczkiem, którym bawił się dotychczas, wskazał na jedno miejsce Ziemi. Jej północna półkula, więc cała przy mionym chmurami blaskiem, wylaniała się z czarnego tła. Na samym brzegu tarczy, między ramami Półwyspu Skandynawskiego a ciemnym masywem Europy, wchodziło morze — i pałeczka, błądząc po szkłe ekranu, przeszła zapewne nad miejscem, gdzie u podstawy Półwyspu Jutlandzkiego leży

Hamburg. Chyba pierwszy raz od swego powstania posłużył ci człowiek kul ziemsk, widzian z odległości tysięcy kilometrów, jako map. Prosty gest Rainera przeniósł nas nagle ze wspomnień w głębi przestrzeni międzyplanetarnej. Tymczasem chemik, który dłużej chwili wodził pałeczką po ekranie, jakby mu to sprawiało dziecinny trochę przyjemny, cięgnął:

— Zaczęłam chodzić do portu, nad morze, żeby ostudzić głowę. I jak przedtem wydawało mi się, że wiem wszystko i tylko krok dzieli mnie od drzwi, od tych naszych drzwi — zrozumie mnie jak dy, kto choć raz w życiu zakosztował odurzającej radości zbliżenia się do drzwi, za którymi jest rozwiązanie zagadki — a więc jak dawniej byłem pewny siebie, tak teraz wydawało mi się, że nic nie wiem, i co gorsza, nic z tego nie będzie, no bo, mówię ci po prostu, jestem za głupi i tyle.

Morze było wtedy ku jesieni coraz burzliwsze i po wodach, tych tłustych, ciemnych wodach portowych, krążyły berlinki, dalej, na otwartym morzu, szły statki, parowce, a od czasu do czasu pojawiały się także kutry rybackie. Chodziłem na molo i przebywałem na jego końcu bardzo długo, tak że wartownicy zaczęli zwracać na mnie uwagę, że to może jakiś niecałkiem jeszcze zdecydowany samobójca. Ale ja miałem głowę tak bardzo zapchaną krzemianami i polistyrenami, że nie widziałem ani ich, ani nawet morza i statków — to znaczy zdawało mi się, że nie widzę. Byłem trochę jak dziecko, które dostało rozsypaną mozaikę z wielu małych cząstek i ma ją złożyć w całość, ale nie umie tego zrobić. Nie wiedziałem, co do czego przystawić, i tak tylko, trochę z nawyku, a trochę z rozpaczy, składałem w głowie to ten, to inny fragment, i wszystko było nie tak. Zaczęłam chodzić po profesorach i zamęczać ich pytaniami, a jeden zniecierpliwiony powiedział mi: „Więc co mam właśnie ci zrobić za pana?” — i w ten sposób pozbył się mnie na zawsze i innych ode mnie wybawił. Znowu wróciłem nad morze. Teraz wiem, ale wówczas nie wiedziałem bo głowę miałem, jak powiadam, szczelnie wypchaną polistyrenami — i odchodziłem do domu dopiero wtedy, kiedy powracała flota rybacka, a zwłaszcza jeden nieduży aglowiec, szybszy od wszystkich kutrów. Bardzo ciekawe miało ułożenie żagli. Kilka razy, choć robiło się ciemno, jak gdybym na niego czekał, ledziłem jego drogą wśród łamiących się fal z pewnym niezrozumiałym zaciekawieniem, bo sił na żegludze nie znam, a jego szczególne, trochę skrzydlate ułożenie nie mówiło mi nic takiego, co bym mógł wiadomie skojarzyć z moimi sprawami. Po prostu stateczek ten był dla mnie sygnałem, że przechadzka na molo ma się ku końcowi.

Pewnego wieczoru stałem tak na betonowym cyplu mola i czekałem, gdy zaczęła padać deszcz. Pogoda, dotychczas wietrzna, zmieniała się początkowo w burzę. Kiedy zapadł już prawie zupełny mrok, ukazały się kutry. Ten najszybszy był doskonale widoczny, bo białymi żaglami odcinał się od ciemnego morza. Fala szła bardzo wysoka i biła w falochron z taką siłą, że po kilkunastu minutach ubranie moje zupełnie przemokło, lecz co, czego nie umiem nazwać, nie pozwalało mi odejść. Wiatr wzrastał się wciąż, wylądował przeraźliwie, a cała powierzchnia morza wznosiła się i opadała. Wszystkie kutry zwijały żagle, tylko biały stateczek szedł pod pełnymi, nawet nowe jeszcze rozwijał i wyglądał jak biały, zanurzający się po pierze w wodzie ptak, który usiłuje się wzbić gwałtownym wymachem skrzydeł. Może zresztą obraz był mniej poetycki, ale, jak powiadam, jestem szczurem i na żeglarnictwie nie znam się zupełnie. Kiedy zobaczyłem, jak ów statek, nabierając szybko cię, z wydatnymi żaglami wypływa spośród innych, mija je i oddala się w mgłę i ciemność, zaszło we mnie coś, co kazało mi natychmiast wrócić do domu. Pomyślałem, że mam organizm mniej wytrzymały od głowy, jednej jeszcze jakichś lirycznych wzruszeń, kiedy on chce tylko odpoczynku. Przyszedłszy do domu, układałem moje kartki i — niech się dzieje z tego, kto może — wypisałem nową literaturę, którą powinienem jak najszybciej poznać. Tak, z piórem w ręku, zasnęłam nad biurkiem w połowie pisanego słowa. Sen miałem dziwny. Niły mi się polistyreny i butadieny, ale to w tym czasie nie było niczym niezwykłym. Dziwne było to, że

zachowywały się, jakby w nie dął potężny wicher. W jego tchnieniu układały się nie tak, jak Bóg przykazał, a raczej jak tego wymagają wzory z podręczników, ale jak wzdęteagle. Im mocniej dął wiatr, tym szerzej rozkładały się wzory, a między nimi leciał jeden wydułony jak czólenko na warsztacie tkackim, zszywający osnowę. Czólenko? Ale nie, to był ów biały stateczek — i oto powstawała wielka siatka krystaliczna... Budząc się odczuwałem przerażenie, ale zapomniałem, i wychodząc z niego na jaw, natychmiast zacząłem pisać, widząc z pewnym przerażeniem nawet, oczywiście radośnie, jak mi się pod piórem rodziły wzory.

Rainer urwał.

— Piękne wzory... — powiedział z ledwo dosłyszalnym westchnieniem i znów się uśmiechnął, jakby przepraszał. — Nie mogłem ich inaczej nazwać: niezwykle piękne. Za ledwie napisał mi się ostatni, rzuciłem się do drzwi, porwałem płaszcz biegnąc przez przedpokój i bez czapki, z gołą głową, w strumieniach deszczu, przez całą drogę kłusując, bo nie mogłem zdobyć się na to, by spokojnie usiedzieć w kolejce, dotarłem do Instytutu. Była czwarta nad ranem. Zbudziłem laborantów, którzy, przerażeni moim zjawieniem się i wyglądem — woda ciekła ze mnie jak z topielca — nie mieli nawet patrzeć na siebie porozumiewawczo. Biegałem przed nimi i krzychałem, błagałem, prosiłem, żeby sobie przypomnieli, czy rok temu, kiedy pracowali tu Jaensch, Braun i Hoeller, nie było na dolnej sali jakiegoś silnego przyrządu elektronowego, jakiejś wielkiej rury próbniczej, na przykład Crookesa, albo może nowego mikroskopu elektrycznego. A wreszcie — a trwało to, zarazem, z pół godziny, zanim zdołałem skruszyć senno i zdumienie tych flegmatycznych hamburczyków — a wreszcie najstarszy, Wolf, niech będzie jego imię błogosławione, przypomniał sobie, że w salach niczego nie było, ale na jakimś miesiącu przed kołosem bada zainstalowano na parterze liniowy akcelerator czystek typu „V”, to znaczy vertikal, z pionowymi wylotami. Po dwóch dniach prób przeniesiono go do innego budynku, ponieważ stwierdzono, iż jego promieniowanie jest tak silne, że przenika przez stropy wszystkich pięter i może wywierać szkodliwe działanie na ludzi znajdujących się w salach.

„Data! Dokładna data! Kiedy to było?!” — zawołałem. Ociężał się powiedział. Przebiegłem koło zdumionych laborantów, chwyciłem z szafki klucze, wpadłem do laboratorium i po chwili byłem już we wnętrzu wielkiej tajemnicy. W dniu, w którym akcelerator został zainstalowany, sporządzono próbki od numeru 6419 do 6439. Tak więc i ta cudowna znajdowała się między nimi jako ostatnia. Była do niczego, jak wszystkie inne. Po dokonaniu zdjęcia rentgenowskiego, zostawiwszy ten kawałek gumy w gorącym piecu, wszyscy opuścili laboratorium. Gdy na górze nie było już nikogo, technicy przystąpili na parterze do prób akceleratora. Strumień wyrzuconych czystek elektrycznych, przebywszy trzy piętrowo, dotarł do wnętrza wciąż jeszcze gorącej kamery i spolaryzował polistyreny tak, że powstała guma krzemowa.

Rano, nie podejrzewając nawet cudownej przemiany, wyrzucono próbki do rupieciarni jako bezwartościowe. To jest właśnie koniec mojej historii. Potężnym wichrem, który układał atomy w siatkę kryształu, był potok czystek elektrycznych. W ten sposób powstała metoda produkcyjna zwana czasem metodą Rainera... a pomógł w tym mały stateczek ze żłobkiem, piętrowym o aglowaniu, i ten burzliwy czas w porcie hamburskim. Nigdy o tym dotychczas nie mówiłem i na Ziemi, pośród kolegów, nie bardzo bym się na to wahał, ale tu...

Rainer zamilkł. Po chwili Czandrasekar powiedział: — To było bardzo ciekawe. Pięknym przykładem tego bogactwa, tej równoczesnej wielopłaszczyznowości zjawisk zachodzących w ludzkim umyśle. Trochę podobnie dzieje się, kiedy ulica gdzieś daleko przejeżdża ci samochód, a wśród wszystkich szklanych i porcelanowych naczyń, które wypełniają kredens, jedno odezwie się i cichutko, sennie zabrzeczy. Ta odpowiedź na daleki odzew to oczywiście rezonans, ale tak samo właśnie nie było z pańskim agłowcem, kolego Rainer. I jak cicho

niezb dna jest w pokoju, eby my mogli usłysze cichutki głos tego przebudzonego dalekim dr eniem dzbanuszka, tak samo panu niezbdny był sen. Przerwał on i wył czył gł boko poprzecierane, zamkni te w sobie koleiny, którymi kr yła w kółko i w których tłukła si pa ska my l, co umo liwiło jej znalezienie zupełnie nowej drogi. Pa ska pod wiadomo dawno ju domy lała si czego , gdy pan z uporem godnym lepszej sprawy udawał, e o niczym nie wie. To jest, oczywi cie, nie udawał, ale naprawd nie wiedział...

— To mi przypomina pewn rzecz — zaczął Arseniew, lecz spojrzawszy na zegarek potrz sn ł głow . — Pół do czwartej — powiedział. — My l , e najwy sza pora, by uda si na spoczynek, prawda?

Przytakn li wszyscy. S dz , e ka dy wzi ł co z opowiadania Rainera dla siebie i chciał zosta sam ze swoimi my lami.

— A wi c, cho nie ma u nas nocy, dnia ani pór doby, ycz wam dobrej nocy, przyjaciele — rzekł Arseniew prostuj c sw wielk posta . Udali my si w milczeniu do kabin. Pocisk mkn ł, lecz gwiazdy na ekranie stały nieruchomo. Raz jeszcze spojrzałem na nie, zanim głowa, pełna zmieszanych wra e dnia, dotkn ła poduszki. Tej nocy nił mi si mój pierwszy lot.

## MARTWY GLOB

Przez cały dob Ziemia rosła. Im bardziej oddalali my się od niej, tym wiksza cz jej kuli stawała się widoczna. W siedemnastej godzinie lotu osiągnęła najwikszą rednicę. Strach było wprost patrzeć na tę straszliwie spierzchniętą, od której buchał ciemny, biały blask. Potem nadeszło to, o czym mówił mi Sołtyk, ale czego nie można było pojąć, jeżeli się tego samemu nie zobaczy: rozdzielił się wiat na niebo i Ziemia znikła, gdy Ziemia sama zaczęła się stawać ciemniejsza, jedną z jej gwiazd — najpierw olbrzymią, trzy czwarte horyzontu zamykającą kulę, potem wypukłość jej spłaszczyła się pozornie, wiatło zmatowiało, a o siódmej rano cała mieściła się już w ekranie telewizora: mroźna tarcza z ciemniejszymi plamami oceanów.

Tymczasem pocisk zbliżył się do Księżycy. Początkowo wyglądało na to, że przelecimy bokiem, mając go po prawej stronie, ale oderwawszy się od moich notatek spostrzegłem, jak Księżyc przesuwający się w ekranie telewizora, tak i dziób rakiety w kierunku skierowany był w jego biegun północny.

Rzuciłem pióro i poszedłem do Centrali. Byli tam tylko Sołtyk i Arseniew. Ustawiali przed ekranem ogromnych rozmiarów kamer fotograficznych z teleobiektywem. Kosmokrator miał przelecieć o pięćset zaledwie kilometrów od Księżycy i korzystając z tej okazji, astronom zapragnął zrobić serię zdjęć.

Z każdym kwadransiem tarcza Księżycy powiększała się w szklach, a zarazem wzrastała jej jasność w oczach, rześki blask, podobny do zimnego światła wydzielanego przez palnik lampy kwarcowej. Począwszy od godziny jedenastej ciemne plamy i smugi powierzchni zaczęły się rozpadać i wyodrębnić od tła jako coraz ostrzej widoczne pierścienie górskie z centralnymi stołkami wulkanicznymi. Pałająca nieruchomo półkula Księżycy wypierała jak gdyby z głębi ekranów czarne niebo. O drugiej zbliżyliśmy się do niej na 30 000 kilometrów. Ponieważ silniki znowu działały, przyciąganie Księżycy dawało się odczuć bardzo nieprzyjemnie jako szybkie zmiany ciężaru przedmiotów i własnego ciała, które chwilami doprowadzały do zawrotu głowy. Gdy odległość zmalała do dwudziestu kilku tysięcy kilometrów, Sołtyk wyłączył motory i wstrzymał ruch obrotowy pocisku. Nieprzyjemne sensacje ustąpiły miejsca uczuciu niezwyklej lekkości; przyciąganie oprzeć się o poręcz fotela, uniosłem się raptownie w powietrze, gdy ciało moje ważyło teraz sześć razy mniej niż na Ziemi. Nie zwracałem na to uwagi, pochłonięty niezwykłym widokiem, jaki rozciągał się pod nami. Podczas gdy rano ruchu rakiety nie można było w ogóle spostrzec, teraz, kiedy od Księżycy dzieliło nas zaledwie kilkanaście tysięcy kilometrów, lot przy wpatrywaniu się w jego wypukłość bryła sprawiał wrażenie potwornego upadku. Byliśmy nad Górami Altajskimi. Wyglądały jak skamieniałe błoto z zastygłymi ładami kopyt. Ładki te były w istocie kraterami wielusetkilometrowej rednicy, ale w polu widzenia nie było niczego, co pozwoliłoby ocenić ich prawdziwe wielkość. Silniki nie pracowały. Niesieni nabytą szybkością, lecieliśmy po stycznej, mając przemiennie przy brzegu Księżycy jak wystrzelona kula karabinowa. Nasz punkt sumował się z obrotem własnym Księżycy i ruch tarczy pod nami przyśpieszał się nieomal z każdą sekundą. O drugiej czterdzieści odległość wynosiła już tylko 1100 kilometrów. Formacje górskie wyłaniały się nagle zza brzegu horyzontu, rozpostartego gigantycznym łukiem w obie strony, zapalały się w słowcu rozżarzone białe szczytów i rwały pod nami, żeby po kilku minutach zniknąć na drugim końcu widnokręgu. Niesamowity był ów martwy bieg, poruszający koliska kraterów, z zewnątrz zalane słowcem rzebiącym chropawo stoki, wewnątrz zapełnione nieprzeniknionej czerni. Przy dłuższym wpatrywaniu się oszołamiał i jak otchłań wysysał chaos wiatów i mroków — gwałtowny pokamiennych form wciągający się bez kresu pustyni, przez artefakty bokami wyrwami i szczelinami. Wszędzie, na



zbozrach skalnych, wokół sto ków wulkanicznych i na skamieniałej równinie, odbijały wiatło pot nie l ni ce smugi lawy.

Par minut po trzeciej odległo zmalala do 200 kilometrów, jak nas informowały pracuj ce bez przerwy altimetry radarowe. Na północ od nas przesuwał si krater Tychona z potwornym, na tysi ce kilometrów w kr g rzuconym wachlarzem zeszlonej lawy, pokrywaj cej ni sze grzbiety i bariery górskie. Sło ce grało w niej błyskawicowymi odbiciami. Zbli yli my si do terminatora, linii oddzielaj cej o wietlon cz martwego globu od nie o wietlonej. Tam, na granicy nocy i dnia, poziome, prawie równoległe do gruntu promienie słoneczne łobiły upiorn architektonik skał. Z obszarów le cych po stronie nocy wynurzały si rozpalonymi biało punktami iglice najwy szych szczytów. Pod i przed nami le ała równina Morza Południowego. Spostrzegłem na niej ciemn kresk , sun c z ogromn szybko ci . Przyjrzałem si jej bacznie — cienka była jak igła. Nagle zrozumiałem. To był cie rakiety. Chciałem powiedzie o tym Sołtykowi, który stał tu przy mnie, ale i on spostrzegł go, bo zwrócił ku mnie twarz surow jeszcze i rozognion obrazami lotu, lecz układaj c si ju w u miech, gdy wtem wielka tarcza ekranu zgasła jak zdmuchni ty płomie . Wpadli my w mrok tak zupełny, e cho in ynier zgasił wiatła w Centrali, niczego nie mogli my dostrzec. Sołtyk przeł czył telewizory na radar i oto w ciemno ci, która zaległa kabin , ukazały si brunatnozielonkawe zarysy kraterów ksi ycowych. Niezwykły to był widok: obok, na wyci gni cie ramienia, jarzyły si okr głe punkciki cyfr na przyrz dach Prediktora, jak gdyby zawieszone w przestrzeni, a z ekranu, nad którym pochylili my si we trzech, padał gł binowy, podwodny blask, przemieniaj cy twarze w maski pełne czarnych cieni. Tymczasem Kosmokrator, pogr ony w słupie mroku rzuconego przez Ksi yc, mkn ł z jednakow szybko ci . Niebawem rozpocz ł si proces odwrotny do tego, jaki widzieli my przy zbli aniu si do planety; rze ba terenu j ła si rozmazywa , obr czki gór pier cieniowych zbiegały si ku rodkowi ekranu coraz mniejsze, mniejsze, powierzchnia satelity zdawała si porusza coraz wolniej, a wreszcie pozornie znieruchomiła. Ksi yc, ju jako w połowie o wietlona, w połowie czarna kula, był za nami.

Sołtyk zapalił wiatło i zabrawszy aparat poszedł z astronomem do laboratorium. Zostałem sam. Usiadłem przed ekranem skierowanym ku przodowi pocisku. W nie zm conej niczym ciszy tykały d wi kliwie liczniki Geigera. Ka dy taki odgłos oznaczał, e przez wn trze Centrali przelatywała cz stka promieniowania kosmicznego, przebiwszy ciany i osłon wodn rakiety. To miarowe i powolne tykanie ulegało niekiedy znacznemu przy pieszeniu, widocznie przeszywali my wtedy smug promieni mkn cych od jakiej dalekiej gwiazdy.

Po południu Sołtyk zaproponował mi, ebym przejrzał i skontrolował skafandry tlenowe, w których mamy si porusza po powierzchni Wener. Poczciwy chłop z in yniera; wiem, e nie było to pilne ani potrzebne, ale spotkał mnie bł kaj cego si po rakiecie i chciał mi po prostu da jakie zaj cie. Poszedłem wi c na górny pokład do grodzi ładunkowych. Id c tam pionowym szybikiem, za ka dym razem prze ywa si niezwykle uczucie utraty wagi, albowiem w samym rodku rakiety siła od rodkowa nie działa i mo na tu, odbiwszy si od stopni drabinki, zawisn na dług chwil w powietrzu, z troch dziwnym, a troch roz mieszaj cym uczuciem odciele nienia, podobnym do tego, jakie miewa si czasem we nie.

Skafandry nasze odnalazłem oczywi cie w zupełnym porz dku. Składaj si z bardzo lekkiego kombinezonu oraz hełmu, który mo na szybko i w prosty sposób zdejmowa . Kombinezon sporz dzony jest z mocnego i mi kkiego w dotkni ciu sztucznego włókna, tak lekkiego, e cały wa y zaledwie trzy czwarte kilograma. Hełm nie przypomina hełmu nurków, gdy stanowi zaokr glony na szczycie sto ek. Najszerszy jest u podstawy; Czandrasekar okre lił jego kształt jako hiperboloid obrotow . Po obu stronach wystaj z niego wkl słe reflektorki z siatki metalowej. S to anteny miniaturowego radaru, którego ekran znajduje si wewn trz hełmu, na wysoko ci ust. Przed oczami jest owalna szybka,

pozwalał ca dobrze widzie w normalnych warunkach, natomiast w ciemno ci lub we mgle mo na si posługiwa radarem. Jeszcze na Ziemi przebywali my w owych skafandrach po kilka dni z rz du i przekonali my si , e s bardzo wygodne. Człowiek wygl da w skafandrze nieco niesamowicie, zwłaszcza metalowe, okr głe „uszy” maj w sobie co nietoperza. Poza mnóstwem rozmaitych urz dze , jak ogrzewacz i ochładzacz elektryczny, przyrz d wykrywaj cy promieniowanie, aparat tlenowy, posiada skafander radio, nie wi ksze od wiecznego pióra. Bardzo dowcipnie rozwi zano problem umieszczenia wszystkich cewek, obwodów, i kondensatorów. Po prostu wymalowano je na szkle lamp radiowych (aparacik jest dwulampowy) srebrnym atramentem chemicznym, a potem wypalono jak polew . W ter. sposób powstały poł czenia tak trwałe, e aby je uszkodzi , trzeba rozbi cały aparat młotkiem. Wysłana fala ma 20 centymetrów, pozwala wi c na komunikowanie si tylko w linii prostej, to znaczy na odległo około czterech kilometrów na równinie. Je li si jest wysoko, np. w górach lub w samolocie, zasi g dochodzi do stu pi dziesi ciu kilometrów.

Zajrzałem jeszcze do grodzi helikoptera, a potem do przedziału mieszcz cego ekwipunek arktyczny i wysokogórski, eby si troch pocieszy jego widokiem. Kiedy wróciłem do Centrali, byli tam oprócz Oswaticza Arseniew i Lao-Czu. W milczeniu przypatrywałem si , jak wykonywali przy odbiorniku radarowym tajemnicze czynno ci, nazywane „podstuchiowaniem gwiazd”. Soczewki zbudowane z pustych cylindrów metalowych, umieszczone w dziobie rakiety, skupiaj wysłane przez gwiazdy fale elektromagnetyczne, które po przej ciu przez układ wzmacniaczy rysuj na oscylografach katodowych zielonkawę, trzepoc ce linie. Uczeni, porozumiewaj c si monosylabami, wpisywali cyfry do dziennika obserwacyjnego. Zauwa ywszy mnie, Arseniew u miechn ł si i eby, jak powiedział, urozmaici badanie, zał czył do aparatu gło nik. Promieniowanie gwiazdne zmieniło si w d wi ki: dały si słysze głuche trzaski, przerywane ostrymi, krótkimi gwizdami.

— Tak przemawiaj do nas gwiazdy — powiedział astronom. Ju si nie u miechał. I ja mimo woli spowa niałem. Przebywaj c dłu szy czas w rakiecie, człowiek przyzwyczaja si do otaczaj cych go niezwykło ci i tylko w chwilach takich, jak ta, odczuwa nagle, e cienka powłoka metalowa dzieli go od bezdennej czarnej pustki, w której nie ma nic prócz obłoków gorej cego gazu i fal elektrycznych.

Po południu miałem czterogodzinny dy ur nawigacyjny. W tym czasie nie wydarzyło si nic godnego uwagi. Wieczorem było troch roboty, bo jedna z rur w stacji luz przepuszczała powietrze i trzeba j było pospawa . Po pracy wróciłem do kabiny z przyjemnym uczuciem lekkiego zm czenia fizycznego. W nocy niło mi si , e jestem małym chłopcem i dziadek obiecał wzi mnie na wycieczk w góry, je li b dzie ładna pogoda. W moim pokoju dziecinny stało pod oknem akwarium. Odbite od wody promienie sło ca padały na sufit białym kr kiem. Budz c si ujrzałem nad sob jasn plam i poderwałem si , uradowany, e sło ce wieci i pójd z dziadkiem na wycieczk . W nast pnej sekundzie złudzenie snu przysło. Opadłem powoli na posłanie. Biały kr ek na ciemnym tle tarczy telewizora to była Ziemia.

## KANCZ

W cięgu następnych ośmiu dni podróży odbywała się bez przeszkód. Kosmokrator, opisując wycinek bardzo wydufanej hiperboli, zbliżył się do celu, który z jasnej iskry zmienił się w małą, błękitną tarczkę, w dół cała wolno w ród nieruchomych gwiazd.

Prowadzimy bardzo regularny tryb życia. Przed południem uczeni dokonują najcięższych badań; w tym czasie przechadzam się centralnym korytarzem rakiety w myśl zaleceń Tarlanda, który twierdzi, że należy zrobić na dobre co najmniej trzy tysiące kroków, aby utrzymać mnie w sprawności.

Potem przechodzę do Centrali, uczę się od Sołtyka czy Oswaticza tajników astronautyki. Kilka razy byłem u profesora Czandrasekara i jego umiłowanego Maraxa, na którym, jak wyraził się raz Arseniew, uczonego hinduski „wygrywa symfonię matematyczną”. Po południu, po nadejściu poczty, zamykamy się w kajutach z wiadomościami od najbliższych. Profesorowie dostają prócz tego całe stosy doniesień naukowych. Spotykamy się dopiero przy kolacji, by potem do późnej nocy słuchać opowiadań. Także my do nich przywykli, że bez nich dzień nie mógłby się po prostu zamknąć. Wczoraj Arseniew przypomniał mi obietnicę opowiedzenia o sobie; odmówiłem tłumaczce, że moje wspomnienia w żadnej mierze nie mogą dorównywać opowiadaniom towarzyszy.

— No, skoro tak — rzekł Arseniew — skoro pan mnie do tego zmusza — dobrze. Wobec tego nie proszę pana, lecz rozkazuję jako naukowego kierownika wyprawy.

Tak tedy dzisiejszego wieczora, gdy wiadomości ziemskie zostały już odczytane po wiele razy i zakończył się codzienny koncert radiowy, spróbowałem sklecić coś w rodzaju wianka wspomnień z czasów, kiedy byłem przewodnikiem górskiej drużyny ratowniczej na Kaukazie. Ale po kilkudziesięciu słowach Arseniew przerwał mi.

— Hola, hola — zawołał — nic z tego, mój panie! Najwyraźniej chce pan nas nabić w butelkę. Powiedziało się, że będzie o Kangchendzondzie i ma być o Kangchendzondzie. Cóż pan, kpi z nas? Cały wiat grzmiał o tym przez szereg tygodni, a pan o wszystkim zapomniał?

— Nie zapomniałem, ale ze względu na mój udział w tej wyprawie trudno mi o tym mówić.

— Bardzo dobrze — rzekł Arseniew. — Zawsze należy robić właśnie nie to, co jest trudne.

Tu uśmiechnął się — jego uśmiech zaskakuje najbardziej tym, że pojawia się znieloczek i zupełnie odmiennie twarde z pozoru twarz.

— No cóż, opowie pan nam przecie, prawda, pilocie? Wiedział, że nazywajcie mnie tak, trafia w moje słabe miejsce. Wiedział i miał się.

— A więc, do licha! — powiedziałem. — Słuchajcie. Wszyscy siedzieli ze wzrokiem skierowanym we mnie, poważyli, i tylko Arseniew uśmiechał się, gdy zacząłem mówić, ale w miarę moich słów, kiedy od czasu do czasu na niego patrzyłem, widziałem, jak przemienia się jego uśmiech, jakby nie był już dla ludzi, jakby naprawdę pojawiły się wokół nas nieskończone pola niegowe.

— Himalaje — zacząłem. — W Himalaje wyprawy idą z kołosem zimy.

I od tych słów padł na mnie czar. Nie byłem już w kabinie, nie czułem plecami miękkiego oparcia, wietne punkty gwiazd w czarnym telewizorze ukłuły mnie w oczy jak refleksy słońca w lodowcu. Zobaczyłem błękitny, odbarwiony błękit nad szczytami i usłyszałem jedyny, niezapomniany rytm, tętno serca niezamordowane bijące w rozrzedzonym powietrzu. Wydało mi się, że czuję ucisk liny na lewym ramieniu, a prawa dłoń mimo woli zamknęła się, jakby w niej tkwił toporek czekanu.

— W Himalaje idzie się z kołosem zimy, bo latem wieje od Oceanu Indyjskiego monsun, który przynosi olbrzymie niegowe. Losy wyprawy zależą od warunków klimatycznych.

Mi dzy zimowymi burzami a monsunem jest zwykle kilkutygodniowa przerwa. Je li jednak monsun nadchodzi wcze niej, z ko cem maja, cały obóz nagle wpada w nie yc . Wiatr zrywa liny, namioty z lud mi zrzuca w przepa , lawiny ruszaj ze wszystkich zboczy naraz. Pami tam... Urwałem.

— Dlatego idzie si z ko cem marca. Dm wtedy jeszcze zimowe wiatry północne i oczyszczaj wy sze partie gór ze niegu, mróz za jest z ka dym dniem mniejszy. Pierwsi zdobywcy Himalajów u ywali flaszek z tlenem, ale dzi robi si to rzadko, bo kto raz zacznie oddycha tlenem, temu trudno oderwa si od maski i w razie uszkodzenia aparatu jest zgubiony. Tak wi c zaczyna si aklimatyzacj przechodz c powoli z ni szych obozów do coraz wy szych. Do wysoko ci pi ciu tysi cy metrów i mog prawie wszyscy, do sze ciu — mniej wi cej co drugi dobry alpinista europejski, do siedmiu — co pi ty, a powy ej siedmiu, tam gdzie zaczynaj si najwy sze szczyty, dochodzi jeden na dwudziestu. Zreszt doj to jeszcze mało, bo chodzi o to, eby jak najdłu ej wytrzyma . Biologowie mówi , e gdzie na wysoko ci Mount Everest biegnie granica wytrzymała ci ludzkiej na niedosyt tlenu. Przed wypraw , podobnie jak moi towarzysze, przechodziłem długie próby w komorze z rozrzedzonym powietrzem i wyniosłem z niej do wiadczenie, z którym godz si wszyscy himalajczycy: w praktyce wygl da to zupełnie inaczej.

Po krótkiej przerwie, oderwawszy oczy od gwiazd, ci gn łem:

— Przed pół wiekiem Anglicy atakowali Mount Everest w ten sposób, e wyruszali ze spor ilo ci tragarzy wybranych spo ród górali Gurków i Szerpów i, rozbijaj c jeden obóz po drugim, usiłowali podej pod sarn szczyt, eby zdoby go jednym całodniowym wypadem. Oczywi cie szli bez obci enia, bo wszystkie zapasy nie li tragarze. Ich praca była zawsze ci sza od wysiłku alpinistów. W naszej wyprawie nie było podziału na tragarzy i alpinistów. Wszyscy po kolei przecierali my tras , zakładali liny i przenosili ci ary z obozu do obozu, i to ci głe kursowanie pomi dzy dwoma etapami zostało mi w pami ci jako najuci liwszy i najbardziej niezno ny okres całej wyprawy. Kangchend onga, albo, jak j nazywali my w j zyku naszych biwaków, Kancz, liczy 8 579 metrów i jest trzecim z kolei szczytem wiata. Jak inne o miokilometrowce, jest to wła ciwie olbrzymi system górskich ła cuchów, schodz cych si gwia dzi cie w piramidzie szczytowej. Ze wzgl du na niebezpiecze stwo lawin jedynym u ywanym szlakiem s w Himalajach granie. Wyprawa wznosi si po jednym z ramion masywu i po jego grzbiecie d y do szczytu. I my post powali my podobnie. Pogoda w czasie, kiedy rozpoczyna si moja historia, była bardzo dobra. Był to ko cowy etap naszych wysiłków. Mimo pi ciotygodniowego szturm szczyt nie został dot d zdobyty. Dzieliły nas od niego niecałe dwa kilometry w linii powietrznej, a w marszu nieco wi cej, bo grzbiet wygina si tam na kształt wyci gni tej litery S. Lada dzie musiał nadej monsun. Daleko pod południowymi szczytami, które opadaj stromo ku nizinie bengalskiej, kondensowały si ju wełniste, mleczne obłoki. Nasz ostatni, jedenasty obóz le ał pod sam grani , na sko nej płycie, urywaj cej si przepa ci do lodowca Zemu. Nie chc wam opowiada wszystkiego, co my do tej pory przebyli, ale eby cie mogli poj cho troch z tego, co si stało, musz wyja ni , w jakim stanie znajdowali my si wszyscy. Oczywi cie mieli my pocz tki choroby górskiej. Przede wszystkim — nieustaj ca bezsenno . Najgorsze były noce sp dzane w piworze, kiedy człowiek kostniał od mrozu i wci budził si z braku tchu. T tno w zupełnym spokoju około stu na minut . Brak apetytu. Jadło si , bo si wiedziało, e trzeba je . Niezno nie m czył wysilony oddech; powietrze zawiera na tej wysoko ci tylko trzeci cz normalnej ilo ci tlenu. Do tego wszystkiego doł czały si powolne i pó niej dopiero spostrzegane zmiany psychiki. Pierwsza nadchodzi oboj tno . Wzi cie si do najbłahszej pracy, jak zebranie niegu do przetopienia na wod , wymaga ogromnego wysiłku woli. Szuka si miejsca na obóz, rozpala kuchenk , suszy buty, a wszystko jako automatycznie, jakby to robił kto całkiem obcy. I tylko kiedy wychodzi si rano na nie przetarty szlak, kiedy si wie, e t grani nie st pała jeszcze noga człowieka,

jakby się coś odmykało, jakie ostatnie rezerwy... i wtedy zaczyna się i . Przerwałem, bo wyszło mi w ustach. — Wyruszyli my o szóstej rano. Oprócz plecaków z termosem, paru tabliczkami czekolady i koncentratem witaminowym mieliśmy czekany, haki i spory zapas liny. Zorze zaczynały dopiero ró owie , gdy nieg zaskrzypiał p d butami. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem naszych dwu towarzyszy, jak stali przed namiotem okalaj c oczy dło mi, gdy szli my prosto w rozpalaj ce si sło ce. Wiedziałem, jak nam zazdro cili. Ka dy z nich chciał by na naszym miejscu, ale ju tylko my dwaj mogli my i . Tamci czekali na towarzyszy, którzy mieli ich odprowadzi na dół.

Szedł ze mnó mój przyjaciel Eryk. Mogó o nim powiedzieć tyle: był to człowiek, z którym — ze wszystkich na wiecie — najlepiej mi się milczało. Rozumiałem go, e tak powiem, plecami, skór , wiedziałem, czego chce, co ma na my li, nie patrz c w jego stron . Od samej jego obecno ci stawałem się silniejszy.

Jak zwykle na pocz tku dnia, trzeba się było rozchodzi . Moim marzeniem było zrobić dwadzie cia kroków bez przystanku, lecz nigdy mi się to nie udało. Dwana cie kroków — to był mój rekord yciowy. Płuca chodziły jak miech, a kiedy trzeba było wyr bywa stopnie czekaniem, po kilku uderzeniach serce wchodzi do gardła.

Wstawał dzie , jaki zdarza się tylko w Himalajach. Poziome promienie sło ca dzieliły przestrze na dwoje. W dole, w bł kitnym cieniu, płyn ła mgła. Przez jej okna przeziarał lodowiec Kanczu, cały pr gowany p kni ciami. Dalej na wschodzie i północy wznosiły się Kangchend au, Makau i Pauhunri, z ebrami skalnymi odwianymi cz ciowo ze niegu. Boki ich poprzecinane były na szereg pi ter długimi pasami obłoków. Zza nich, gdzie a z Tybetu, wysuwał się nieznany szczyt, szerokokamienna piramida z o lepij cym wierzchołkiem. Byli my ju na ósmym kilometrze i wi kszo szczytów le ała ni ej, płyn c przez morza mgły. Tylko na zachodzie, o sto kilometrów, wysoko w niebie stał Mount Everest, biały, nieruchomy i tak olbrzymi, jakby nie stanowił cz ci ziemi, ale jakby się zza horyzontu wysuwała jaka obca planeta. Szedłem pierwszy, Eryk jakie dziesi kroków za mnó . nieg sypał w oczy snopami iskier, ra cych mimo ochronnych okularów. Usta od dawna miałem ju spieczone i pop kane. To był jeden z powodów, dla których porozumiewali my się tylko krótkimi mrukni ciami.

Kangchend onga słynie ze swych upiorów lodowych, które czyni j technicznie trudniejsz od Everestu. Szczególne warunki tajania, zamarzania i krystalizacji tworzą z mas niegowych najniezwyklejsze formy. Kilometrami ci gn się na grani fantastyczne olbrzymy, jakby wzię te z koszmarnego snu, jakie skr cone, cudem trzymaj ce się skały wie e, słupy i całe labirynty z postapianych nawisów i nacieków lodowych. Czuby ich pod działaniem sło ca okrywaj się gładkim szkliwem. Tak powstaj okapy i hełmy lodowe, z których zwisaj rz dami wielometrowe stalaktyty. Brn c wy ej kolan w niegu, wybierałem drog w takim wła nie krajobrazie. Gra na przemian zw ała się i rozszerzała. Niekiedy trzeba było i samym jej brzegiem, omijaj c ostro nie wie e niegowe, aby nie wytr ci ich z równowagi. Czasem udawało się przej je wierzchem: siedziałem wtedy na szczycie, wybieraj c lin , w miar jak Eryk wspinał się ku mnie. To znów ryli my u podstawy zagł bienie w lu nym niegu i szli my, tylko ko cami palców opieraj c się o chwiejn budowł . W pewnej chwili zamkn ł nam drog ogromny grzyb z powtapianych w siebie brył starego i młodego niegu. Wbiłem we czekan, eby spróbowa , czy nie uda się wzi go gór , ale wyczułem, e w rodku jest zupełnie lu ny. Cała ta masa, maj ca mo e pi tna cie metrów wysoko ci, pod któr grzebali my się jak mrówki, mogła się w ka dej chwili zawali . Wyrzrzałem w lewo, my l c o trawersie nad lodowcem Zemu, ale firn na zboczu pokrywała siatka rys, gro c lawin . Po prawej stronie nie było nic. Kamie obrywał się jak ci ty no em i leciał cztery kilometry pionem do lodowca Kanczu. W tym miejscu powstało coś w rodzaju ciasnego korytarza. Jego dach tworzył kapelusz grzyba, przechylony lodowym zakł ni ciem. Długim szpalerem zwisały z niego pi ciometrowe sopele. Pu ciłem się w



napowietrzna droga. Szedłem kulcami i spuszczałem głowę, by nie zawadziło o „dach”. Między soplemi migotało niebo. Jeszcze kilka kroków i lodowy tunel skończył się. Przed nami było coś czarnego. Oczywiście miałem pełne lodowych błysków. Przez długi czas musiałem stać z zaciśniętymi powiekami. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że w grani zajeżdża szeroka wyrwa. Zjeżdżać na nią było łatwo, ale po przeciwnej stronie znajdowała się cianka, raczej próg, niewielki, lecz stromy. W Alpach nie byłby problemem, lecz tu, gdzie trudno myśleć o prostym podciągnięciu się na rękach, stanowił poważną przeszkodę. Rozglądałem się szukając możliwości trawersowania. Wszystko na darmo: od lodowca Zemu zbieżne lawinowe, a po drugiej stronie — pionowe ściany przewieszane nad płaskim garbem. Eryk stał przy mnie w milczeniu. Nic nie powiedział, po prostu podsunął mi swój plecak z hakami. Pokonanie cianki zajęło nam dwie godziny. Za ciałem jęliśmy w sposób, który zgoła mi nie odpowiadał. Z dołu był mało widoczny, bo okrywał tylko w ziółki listwy, wysuwając białe wypustki, jakby pajęczyna osmykała całą płytę. Był sypki jak proch. Nie dawał najmniejszego oparcia. Wbijane haki odzywały się pod młotem niskim, długim dźwiękiem, który w miarę pogrubienia się trzonka staje się coraz krótszy i wyższy. Moja prawa ręka zmieniała się powoli w nieczuły ze zmęczenia bochen. Czuję tylko serce, olbrzymie, dławiące serce, które wypełniało całą pierś gwałtownymi uderzeniami. O dwunastej wyszedłem z cienia przekroczywszy jego górne granice i siadłem na szczycie uskoku. Eryk wybierał drogę jakieś pięć metrów niżej.

Podemną — ogromne, nieruchome powietrze. W jego dnie — popękane fale lodowca, częściowo okryte płytami śniegu. Daleko, w cieniu grzbietu, którym przyszedli my, wysuwały się z obłoków inne, niższe. W najdalszej głębi horyzontu, za lodowcem Passanram, wznosił się nad mgłami straszliwy masyw Sinioichu, niczym skalista wyspa w oceanie. Śnieg na jego stokach urywał się z batami pod szczytami. Cały ten ogrom skał, chmur i lodów pulsował w oczach zgodnie z tętnem krwi. Eryk stanął przy mnie związując powolnymi, rozważnymi ruchami lin. Wpatrywałem się w nagi szczyt Sinioichu, gdy wtem coś zadrgało w jego ścianach. Olbrzymi język śniegów, wypełniających główny lej, stanął dęba, odchylił się wolno w tył, przez mgnienie trwał tak i zaczął spadać jakim niesamowicie zwolnionym ruchem. Bezgłośnie, w martwej ciszy, runął na zbocze. W mgnieniu oka widok zamknęły chmury pyłowe. Zakotłowało się. Lawina sunęła coraz szybciej, a dopadła do niskiej mgły, rozerwała ją i zniknęła. W górze wieciły starym lodem obnażone stoki. Może sekundę trwał spokój — i na przeciwległym stoku podniósł się biały dym, jak od wybuchu. Szła druga lawina, za nią trzecia i jeszcze jedna. Walily w mgłę, darły ją na strzępy. Dopiero teraz doszedł nas głuchy łoskot: tyle czasu potrzebował dźwięk, aby przebyć przestrzeń od lodowca Passanram. Grzmot wzmagął się i cichł, rozbił się w bocznych dolinach i znowu wracał. Teraz ponad strzępy mgły wznosił się początek obłok najdrobniejszych cząstek stek śniegowych, wyrzuconych w powietrze — i nagle oczy poraziła olbrzymia tęcza, rozpięta nad otchłaniami.

Eryk dawno już był przy mnie. Obaj patrzyli my na to, co działo się w dole, wreszcie on otworzył się pierwszy: czasu mieli my mało, trzeba było ruszać. Zwrócili my się ku szczytowi Kanczu. Od tego miejsca gra wznosiła się ogromnie zatoczonym łukiem. Gdy wiatry wieją stale w jedną stronę, śnieg na grani zaczyna wysuwać się poza nią, w próżnię, tworząc cyple wychylone w przepaść, ledwo trzymające się oblodzonych stoków. Od dołu widać całą napowietrzność tych występów w górze jednak, gdzie idzie się granią, wszędzie bieleje o lepijczy śnieg, maskując jednakowo samą granią i te zdradliwe występy. Prawe zbocze aż do stożka szczytowego stanowił obryw, ledwo pobielony smugami śniegu. Właśnie w tę stronę wysuwała się setki lotnych półwyspów. Jedne uniesionymi łbami zdradzały swą obecność, inne stanowiły pozorne przedłużenie grani. Oko daremnie błędziło w oddali, usiłując zapamiętać najniebezpieczniejsze miejsca. Wszędzie tęcza, iskier słonecznych, przepaść powietrza i blade, niezmiernie spokojne niebo.

Z uniesionym czekaniem, trzymając silnie zwiniętą i ciężko zarzuconą na bark linę, ruszyłem za Erykiem, który teraz prowadził.

nieg, bardzo głęboki, o ywał przy dotknięciu, burzył się, kotłował i płynął w dół całymi rzekami. Stołek szczytowy stał na wprost nas na tle nieba, od zachodu do niebiosa, od wschodu nagi — spadzista, dachówkowato nawarstwiona skała. Szli my jeden za drugim, mając go w oczach. Eryk zбочzył: gra rozszerzała się nieco, tworząc wygodne przejście. Przystanęłem. Biały występ szezeł jak zdmuchnięty. Bez głosu, przechylony w pół kroku, Eryk runął w otchłań. Lina była luźna.

Nie utrzymałbym go na pewno. Nie miałem czasu, aby się zabezpieczyć. Tak jak stałem, odbiłem się ze wszystkich sił i skoczyłem w przepaść po przeciwnej stronie. Zawył w uszach, zawirowały czarne płaty zбочza. Potem szarpnęło mnie strasznie i straciłem przytomność. Zbudził mnie ból w zesnurowanej piersi. Duszę się. Lina dręła lekko, napięta. Nad głowami miałem występ skały, oddalony niewiele, kilka zaledwie metrów. Oblodzona gra była jakby kręgiem: wisieliśmy po obu jej stronach. Próbowałem zawołać, lecz gardło miałem zdławione. Lina cięgnęła w pasie z jednakową siłą. Podniosłem dłoń: była oblana krwią, która obryzgała głowicę czekana. Nie puściłem go w upadku. Nie czułem żadnego bólu.

Trudno mi było oddychać, nie mówiłem już o wołaniu. Musiałem przerzucić plecak, aby poszukać jakiegoś chwytu. Nie znalazłem nic; wbiłem hak i krok po kroku, centymetr po centymetrze wlałem na grę. Ostro nie wspięliśmy się na jej zboczu i płasko położyliśmy na brzuchu.

Lina, opasując występ, zbiegała pionowo po przeciwnej stronie, gdzie zniknął Eryk. Kołysała się bardzo wolno, jak ogromne wahadło. Nie mogłem go dojrzeć. Urwisko leciało tu stromo, nieg bielił się pomiędzy płytami jak napięte, białe struny. Przyszła mi straszna myśl, że roztrzaskał sobie głowę i wisi tam, ciężki trup, tutaj czyś na rozminiętej linie. Raz jeszcze wychyliłem się i wtedy zobaczyłem go. Wisiał tam, bezwładny jak worek.

Przestałem opowiadać. Zbyt silnie poruszył mnie zbudzony obraz. Rozejrzałem się po kabinie, jakby szukając pomocy do odparcia wywołanej wizji. Po długiej chwili cięgnęłem:

— Eryk żył, ale był nieprzytomny. W upadku uderzył głową o skałę. Kiedy wycięgnęłem go na grę po godzinnej pracy, włosy miał czarne i twarde jak w giel od zmarzłej krwi. Oddychał płytko. Zanim obanda owałem mu, jak umiałem, czaszkę, upłynęło jeszcze pół godziny. Było pół do czwartej. Ruszyłem z powrotem, zostawiając jego plecak i zapasowe liny. Najpierw spróbowałem go wlec, ale to było niemożliwe, więc władowałem go sobie na plecy. Przy pierwszym kroku omal nie upadłem. Zrobiłem drugi. Jeszcze jeden. Jeszcze jeden. Potem poszedłem. Po godzinie byłem nad wyrwę w grani. Opuściłem go na linie i sam zszedłem. Dalej zaczynała się pochyłość, więc lina była ciężka. Tłukł mi głowę o barki, o ramiona. Nie mogłem temu zaradzić. Niebo ciemniało już na wschodzie, kiedy doszedłem do niegówych wieńców. Nie mogłem przebyć ich z Erykiem. Wiedziałem o tym. Wiedziałem także, że zamarzę, zanim wrócę do niego — o ile w ogóle byłbym w stanie zrobić tę drogę jeszcze raz. Dlatego zszedłem na zбочce lawinowe i po prostu ruszyłem przed siebie, na przełaj. Miałem jeden szansę na sto, może na tysiąc, że lawina nie pójdzie, i wygrałem ją, ale było mi to zupełnie obojętne. Wiedziałem tylko jedno, że muszę iść, więc zszedłem. Wspięliśmy się z powrotem na grę po trawersie nie mogłem. Ciężar na plecach przyciskał mnie do zбочza. Upadłem kilka razy; w pewnej chwili zacząłem zsuwać się z nim razem, coraz szybciej. Mignęła mi myśl: „Nie warto. Dosty”. A jednak instynktownie wbiłem czekanie w nieg i zatrzymałem się. Owiązałem piwórkami linę i zacząłem się wspinać. Co kilka metrów przystawałem, okręcałem linę wokół czekana i podciągałem piwórkę do góry. Było już ciemno, kiedy osiągnęliśmy grę. Wsunęliśmy się do piwora. Tak przeleżałem całą noc — razem z Brykiem. Noc była niezwykle ciepła, zwiastując nadejście monsunu, i to mnie uratowało przed zamrażaniem. Gdy tylko góry zarysowały się na rzędnej ciemności, wstałem. Kiedy

znowu brałem go na plecy, nie mogłem oprzeć się myśli, że umarł. Zbliżyłem łopatkę czekana do jego ust: okryła się mgłą. Ruszyłem w drogę. Okulary ochronne straciłem w upadku, więc powieki już koło południa zaogniły się od blasku. Chwilami traciłem wiadomość tego, co się dzieje, nawet tego, że moje nogi poruszają się, że idę. Czasem z odrętwienia budził mnie jego oddech grzejący mi kark, czasem sam wydawałem jakieś chrypienie czy jęk i to mnie na chwilę trzewiło.

Kilka razy zdawało mi się, że już nie mogę. Wtedy mówiłem sobie: jeszcze piętnaście kroków i rzucę go. A kiedy doszedłem: jeszcze dziesięć kroków. I tak wciła. Przy mijaniu niskiego progu potknąłem się i upadłem w niego. Nie chciałem się podnieść. Ogarniała mnie rozkoszna senność. Wtem usłyszałem wyraźny głos tuż nad uchem: „On nie żyje.” Poderwałem się na rękach i ukradkiem, jak złodziej, zacząłem rozwiżywać linę, którą był do mnie przywiązany. Wtedy poczułem jego serce. Biło. Wstałem i poszedłem dalej. Co było potem, nie pamiętam. Jadłem zdaje się w niego, bo coś paliło mi gardło lodowatym ogniem. Musiałem być nieprzytomny. Towarzysze, czekajcie na nasz powrót w jedenastym obozie, mimo że sami byli chorzy, wyszli w południe naprzeciw i około drugiej zobaczyli czarną plamkę na szczycie góry. Sądziło się, że wraca tylko jeden z nas. Byli już blisko, gdy zorientowali się w pomyłce. Wołali, abym przystanął i czekał na nich. Dawali mi rady przy schodzeniu. Nie słyszałem niczego. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Miałem nadzieję: to wszystko. W połowie drogi dotarli do mnie i odebrali mi go. Owiniętego w płacht namiotów znieśli do obozu. Mnie tak nie trzeba było zanieść: gdy tylko zdjęli mi go z pleców, od razu upadłem twarzą w niego, jakby to on trzymał mnie do ostatniej chwili. Nie poznawałem nikogo.

Przez dłuższą chwilę trwało milczenie. Nie patrzyłem już na nikogo, mówiłem jakby do czarnego ekranu, do nieskończonej pustki, w której arzyło się mrowie gwiazd:

— Kiedy się obudziłem, wieciło słonece i było ciepło. Chciałem poruszyć nogi, ale nie mogłem: była w gipsie. Pod palcami miałem miękki kołdrę, w oknie pokoju widać było niebo pełne białych obłoków monsunu. Kto wszedł i zaskoczony tym, że otworzyłem oczy, stanął w drzwiach. Poglądałem kołdrę, a ponieważ nie zniknęła, rozplakałem się.

Znowu przestałem mówić.

— Było to w pierwszym obozie, w Gangtok, siedem dni po wypadku. Miałem kostkę pękniętą, nie wiem, jak to się stało. Miałem też rozszerzenie serca — lewa komora przesunęła się niemal pod pachę. Byłem słaby, tak słaby, że ledwo mogłem mówić.

Teraz zapanowała cisza tak długa, jakbym już skończył czytać. Arseniew unosząc głowę spojrzął mi w oczy.

— On zginął, prawda?

— Tak. Umarł na drugi dzień po tym, kiedy go przyniosłem. To wszystko... było niepotrzebne.

— Nieprawda! — ostro, prawie groźnie powiedział Arseniew. — I nikomu nie wolno tak mówić — nawet panu!

— Chce pan powiedzieć, że to było bohaterstwo? — powiedziałem rozdrażniony. — Towarzysze wyprawy dawali mi nieraz do zrozumienia, że ich szacunek dla mnie zwikszył się po tym... a mnie to tylko gniewało. Przecież ja go tam nienawidziłem. Co tam! Moje wiecie wszystko. Kląłem i modliłem się, żeby umarł, w kółko się modliłem!

— Ale szedł pan dalej! Nie odpowiedziałem.

— W wiecie naszym — powiedział Arseniew — nie ma strachu, nie ma tych okrutnych prób, jakim człowiek dawniej był poddawany, ale byłoby źle, gdybyśmy pod wpływem dobrobytu utracili to, co najistotniej różni nas od wszystkich innych stworzeń. Nie wzięliśmy, różnicami między człowiekiem a zwierzęciem leżącymi w naszym rozumieniu... w tym, że używamy narzędzi... że mamy mowę, że lecimy w gwiazdy, ale poza tym wszystkim jest jeszcze to, co czyni nas niekiedy wytrzymalszymi od naszych ciał, silniejszymi od naszych mięśni i twardszymi od kości. To, co każe nam stawiać na sprawach z góry przegranych — w imię

drugiego człowieka. Nad tą siłą, upór czy wierność, jakkolwiek to nazwa, nic nie ma cenniejszego, bo najwyższym miarodajcą dla człowieka jest drugi człowiek. Miernicą przyjaciela ani na włos nie odebrała sensu państwowemu postępowaniu. Nazwisko, które panu nadano: „człowieka z Kangchendongi”, jeszcze nie znając pana wymawiałem z naciskiem na pierwsze słowo, a nie na drugie, bo tam szło nie o egzotyczną wyprawę, lecz właśnie o człowieka, a pan był nim do końca, pilocie! Obyśmy wszyscy wszędzie i zawsze umieli stać z otwartymi oczami.

Wstał i uderzył dłońmi w stół.

— A reszta, przyjaciele... reszta jest milczeniem.

## GWIAZDA ZIEMI

Dwudziesty dzień podróży. Kosmokrator z wylądowanymi silnikami pada jako nowe ciało niebieskie wokół Słońca, cigając Wenerę, której fazę, zmieniając się jak księżycowe, można już dostrzec gołym okiem. Pódtę jest jednak zupełnie niewyczuwalny. Kiedy nie patrzy się w telewizor, można by się rzekomo, że rakieta spoczywa nieruchomo na Ziemi. Godzinami krąży po centralnym korytarzu, przebiegam wszystkie galerie i przejścia grodzi ładunkowych i znów wracam na dół do trójkatnego korytarza, a wypłoszy mnie stamtąd niezmierzona, jakby od wieków panująca cisza i równość, zawsze tak samo płynące, sztuczne światło dzienne.

Dzisiaj w południe, przechodząc koło laboratorium, usłyszałem, że ktoś się śmieje. Poznałem głos Arseniewa. Jego śmiech może zbudzi umarłego. Siedział, że uczeni ukończyli już prace (siedzieli w laboratorium od rana), otworzyłem drzwi i usłyszałem, jak Arseniew mówił do fizyka:

— Ale to arty, kolego! Kistiakowski wykazał przecie, że wartość potencjału przy swobodnej rotacji wokół osi dwu—w głowie wynosi w etapie zaledwie dwie kilokalorie!

Tak mnie tym spłoszył, że mruknąwszy „przepraszam” cofnąłem się i poszedłem do wspólnej kabiny. Była pusta. Spojrzałem w telewizor. Skierowany był w stronę Ziemi; wieciała mocno, wyróżniając się spośród innych gwiazd wielkością i blaskiem. Trochę nad nią, białym, krągłym punktem, wisiał Księżyc. Patrzyłem tak może pół godziny, gdy wtem ktoś położył mi rękę na ramieniu. Drgnąłem. To był Arseniew. Jakiś czas staliśmy milcząc razem, a powiedział takim tonem, jakby nie pytał, lecz w samym sobie szukał odpowiedzi:

— Nostalgia.

Ziemia wieciała błękitnawo. W ekranie niewyczuwalnie wcale gębi przestrzeni. U samej jego ramy bladoczerwaty smug przechodziło pasmo Drogi Mlecznej. Astronom, nie zdejmując ręki z mego ramienia, powiedział ciszej:

— Czy... dlatego pan nas unika?

— Unikam?

— Ale tak. Chociaż by przedtem, w laboratorium. Uśmiechnął się.

— Nie chodzi pan na nasze narady, mimo że Lao-Czu i ja prosili my pana. Poza tym, zaledwie się dziemy gdzie blisko, wstaje pan i odchodzi. Zauważyłem to już kilka razy.

— Nie chcę po prostu przeszkadzać — rzekłem żywo. — Co do narad... uważałem, że to nie ma sensu. Przychodzi tylko po to, by siedzieć... i cóż mógłbym powiedzieć, czego bycie już dawno nie wiedzieli? Jestem pilotem i...

— Do diabła z pilotem! — powiedział Arseniew i po błysku jego oczu poznałem, że naprawdę się rozgniewał. — Pilot i uczeni, co? Pan uważa nas za jakiś zbiór wszelkiej marności? Księżyc... wzory... matematyka... — rozejmiał się ze złości.

— Nie całkiem tak — odparłem. — Kiedy miałem sześć lat, do naszego domu przybył raz słynny pilot, który zatrzymał się w Piatigorsku na drodze Kanada — Biegun Północny — Australia. Ojciec przywiózł go samochodem... Był u nas na kolacji, przespał się, a rano poleciał dalej. Pamiętam tam jak dziwnie, kiedy pili my herbatę... on siedział naprzeciw mnie i pił ze spodeczka rosyjskim zwyczajem, bo herbata mojej matki była bardzo gorąca i mocna... Siorbał ją tak powolutku i nic nie mówił, a ja wpatrywałem się w niego ze wszystkich sił, jak... do czego by to przyrówna... może jak astronom w takie za mienie Słońca, co zdarza się tylko raz na tysiąc lat... i starałem się wydrzeć mu jego tajemnicę. Siedział mi dłużej, dosyć długo, spokojnym, czyżna w rednim wieku... poruszał się zwyczajnie, zwyczajnie jadł, dziki kował, gdy mu podsunęto półmisek... a przecie nie to było naprawdę! Naprawdę był wielogodzinny lot dookoła wiata, samotno kabiny raketowej, chmury w dole, a nad głowami gwiazdy. Kiedy był u nas i siedział za stołem, jadł i pił, zdawało



mi si , e w ka dej chwili mo e ulecie czy znikn ... bo to jest go z innego wiata, i to, co potrafi w nim dostrzec... e si u miecha... e ma złoty z b... to wszystko jest zupełnie niewa ne i nie naprawd , a tego, co jest naprawd , nie mo na dostrzec. Powtarzam panu, jak umiem, my li sze cioletniego chłopca. A teraz, wracaj c do naszej rozmowy — nauka jest według mnie zawodem innym od wszystkich. Przebywacie w niej stale i kiedy jeste cie z jednym z nas, takich nie wtajemniczonych, to jakby cie na chwil opuszczali wasz wiat, ale wiem, e w ka dej chwili mo ecie do niego wróci . Macie go zawsze, ten wasz wiat, podczas kiedy ja...

— Podczas kiedy ja zostawiłem swój na Ziemi, czy tak? — przerwał mi Arseniew. ciskał mi rami niemal do bólu. Zdaje si , e nie wiedział o tym. Ten u cisk radował mnie.

— To, według pana, ka dy uczoney składa si z dwu cz ci: widzialnej, tej, która je, pi i rozmawia z „nie wtajemniczonymi”, i tej wa niejszej, niewidzialnej, która yje w wiecie naukowym? Nonsens. Nonsens, powiadam! I pa ski wiat, i mój, i nas wszystkich jest tam, gdzie yjemy i pracujemy, a wi c w tej chwili tu, trzydzie ci milionów kilometrów od Ziemi! Prawda, nauka jest moim zawodem. Jestem do niej przywi zany... wi cej, to moja nami tno . Prawda, e czasem ni wzorami matematycznymi... ale dlaczego panu wolno ni o pilotowaniu, a mnie o mojej matematyce — nie? Mamy po prostu ró ne fuchy w tym samym wiecie. Okazuje si , e za du o mówili my o niezwykłych odkryciach i pomysłach, a za mało o ludziach, którzy je robi . Wobec tego zmieni plan dzisiejszego wieczoru... z po ytkiem nie tylko dla pana, ale i dla nas.

\* \* \*

Po południu przechadzałem si w korytarzu, oczekuj c godziny czwartej, kiedy miałem obj po Sołtyku dy ur nawigacyjny. Rozmy lałem, e podróż mi dzyplanetarna najbardziej ró ni si od ka dej innej tym, i zupełnie nie spostrzega si jej post pów i wiadcz o nich tylko skomplikowane linie krzywe, które kierownik wyprawy wykre la co wieczór na mapach przestrzeni. Brak tu zmieniaj cych si widoków, gdy gwiazdy wydaj si nieruchome dzi ki swej olbrzymiej odległo ci, nic si wła ciwie nie dzieje i dochodzi do tego, e s w ci gu dnia chwile, w których odczuwam po prostu nud — i nic nie pomaga powtarzanie sobie, i jestem podróżnikiem dzygwieźdnym.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła czwarta. Zawróciłem i powolnym krokiem ruszyłem ku Centrali. Dzieliło mnie od drzwi mo e pi kroków, gdy nast piło pot ne uderzenie, które cisn ło mnie o podłog . Koziółkuj c poleciałem w gł b korytarza. Błysła my l, e my si z czym zderzyli. Usiłowałem powsta , lecz bezskutecznie. Niepoj ta siła przygniotła mnie do podłogi. Słyszałem ostry, wibruj cy gwizd. S dziłem, e to szum w uszach — ale nie, to pracowały silniki! Zanim domy lałem to zdanie do ko ca, przyszło drugie uderzenie, skierowane przeciwnie. Poleciałem głow naprzód ku drzwiom Centrali. Odbiłem si od nich jak piłka, bo nast pił nowy zryw, znowu do tyłu. Za ka dym razem silniki wydawały gwi d cy ton i milkły. Była sekunda, w której straciłem głow . Pocisk, targany strasznymi zrywami, to rzucał si naprzód, to szarpał wstecz. Latałem w korytarzu jak ziarno grochu w pudełku, którym kto mocno potrz sa, i gdyby nie g bczaste chodniki, niechybnie rozbiłbym sobie czaszk . Otwarły si drzwi najbli szej kabiny. Wpadł z nich Arseniew.

— Co si stało? — zawołał.

— Uwaga — krzykn łem, lecz było ju za pó no. Zbił mnie z nóg. Obaj potoczyli my si do przodu. Budził si we mnie gniew. Katastrofa, dobrze, ale có to za obł dne podrygi! Przy nast pnym odbiłem si nogami od ciany i poleciałem prosto w drzwi Centrali. Otwarły si . Wpadłem z impetem do rodka. Arseniew za mn . Uczepiłem si por czy fotela i nie pu ciłem jej, cho rakieta, jakby wbijaj c si w niewidzialn przeszkod , zadr ała,

gwałtownie zahamowana. Dostrzegłem Sołtyka. Wstawał z kolan pod cian. Twarz miał we krwi.

— Do Prediktora! — krzyknął. — Do Prediktora! Wszystko działa się niesłychanie szybko. Odbiłem się i dopadłem tarczy aparatu. Jedną ręką chwyciłem opasując go rurę, a drugą Sołtyka, kiedy zatoczył się blisko. Obaj trzymali się kurczowo rury. Sołtyk wyswobodził jedną rękę i sięgnął do dżwigni. Nowe targnięcie oderwało go ode mnie. Zdołałem uchwycić go z tyłu za kombinezon, który trzasnął mi w garść jak szmata. Sołtyk runął skosem przed siebie, głową naprzód. Nie mogłem nic zrobić. Patrzyłem Nagle na jego drodze, tu pod cian najeżdżony dżwigniami, prostuje się ogromna postać. To Arseniew. Nowe szarpnięcie, tym razem do przodu, podcina im nogi, ale Rosjanin, chwyciwszy inżyniera w płucho, już go nie puszcza. Przelatuje obok mnie. Ja i Arseniew kurczowo wczepiamy się w siebie. Jest moment, w którym lewą ręką trzymam się rury, a prawym ramieniem ogarniam ich obu. Zdaje mi się, że zostaną rozerwani na dwoje, że powalają mi nerwy. Ciemnieje w oczach. Wybucho we mnie jak straszna, zwierzęca wściekłość, nie wiem sam na co. Wydaje się gardłowy krzyk, trzymam i wiem, że będzie trzymał do końca. W następnej sekundzie silniki milkną i robi się niezwykle lekko. Obaj z Arseniewem opasujemy rękami Sołtyka, który, podtrzymywany od góry i tyłu, rzuca się po prostu na dżwignie Prediktora, zrywa ołowiane plomby bezpiecznika przy pieszeniu, targa przewody łamiąc paznokcie, a wydaje ochryply okrzyk triumfu. Bezpiecznik, wyrwany z uchwytów, pada na podłogę. Predyktor znów włącza silniki. Słychać ich pieśń coraz potężniejszą. Niczym już nie zahamowana strzałka grawimetru przechodzi przez czerwoną granicę. Jest 12 g. Widz to, skulony z towarzyszami przy rurze Prediktora. Nie możemy jej puścić, bo działająca siła rzuciłaby nas wstecz i rozbiła o ciany. Pochyliwszy się, spleceni ramionami, wspierając się stopami o podłogę, we trzech, z największym wysiłkiem dygocących między nami walczymy z rosnącym przy pieszeniu, które odrywa nas od zbawczego pierścienia. Strzałka dochodzi do 13 g. Jeszcze to widz, ale robi mi się ciemno przed oczami. Sołtykowi, który jest wciąż przy nas, musi być trochę lepiej. Skurczył się, jak sam to czasem robiłem przy lotach nurkowych. Przyciąga brodzik do piersi. Robi to samo. W oczach przejeżdżają się. Kiedy patrz na ekrany — i dostrzegam wszystko.

W polu widzenia lewego porusza się coś — kilka małych plamek, więc cych jak gwiazdy. Rosną z zawrotną szybkością. Za nimi pędzą inne. To meteory! Cały ich rój otacza rakiet. Jeden, ogromny, spada z góry. Wirując powoli, od wieca blaskiem odbitym na kanciastych krawędziach. Wyczuwam wprost fizycznie krzywiznę jego toru i miejsce w przestrzeni, w którym nastąpi zderzenie. Nie mogę spojrzeć na Arseniewa, boję się, abym od nagłego ruchu głowy nie stracił przytomności, a chcę widzieć wszystko do końca. Spod płyty Prediktora dobywa się przenikliwe brzęczenie. Kosmokrator, jakby chwycony potwornymi siłami, zakręca gwałtownie. Buchają czerwone wiatła przetykania. Rozlega się krótki ryk syreny alarmowej. Straszna siła ciska nas na metalową płytę Prediktora, wgniata klatki piersiowe, dusi, łamie. Czy mam szeroko otwarte, ale przestaj widzieć. Nagle z Prediktora dobiega leciutki trzask i silniki milkną. Robi się zupełnie cicho. Stoimy dysząc ciicho, na miękko jak z waty nogach. Tarcze ekranów są zupełnie puste i ciemne. Jest taka cisza, taki zupełny spokój, że nie chce się wierzyć we wszystko, co przeżyli my przed chwilą. Można by monet postawić na tarczy Prediktora — tak równy jest lot rakiety. Pomagam Arseniewowi ułożyć Sołtyka na fotelu, podchodzę do drugiego i padam na rękach, nie siadam. Milczymy długo. Nareszcie odzywam się:

— Trzeba zobaczyć, co z tamtymi.

— Id pan — mówi Arseniew. Wstaj i kieruj się do drzwi, wtedy dodaje:

— Przydałoby się trochę eteru czy alkoholu. Odwracam się i widzę, że Sołtyk leży bezwładnie na fotelu. Zemdlał.

Nasi towarzysze wyszli obronna r k ze spotkania, które tak le mogło si sko czy . Wszyscy znajdowali si w kabinach, jedni w łó ku, inni w fotelu, i dzi ki temu unikn li niebezpiecznego ciskania o ciany. Najwi cej dostało si nam trzem. Sołtykowi jaka ostra kraw d rozci ła skór na czole. Arseniew, jak si okazało, ma p kni ta w przegubie ko , a ja — rozbity mi sie barkowy, kilka siniaków i ogromny guz na ciemieniu.

Wychodz c zderzyłem si z Czandrasekarem i Oswaticzem: biegli do Centrali, pełni najgorszych przeczcu . Dzi ki wewn trznym telewizorom widzieli w kabinach przebieg całego wydarzenia. Sołtyk wyja nił nam pó niej jego szczegóły. Kosmokrator lec c w przestrzeni, która według map gwiazdnych jest zupełnie pusta, wtargn ł pomi dzy meteory tworz ce rój o rozci gło ci około tysi ca kilometrów. Zaledwie echo radarowe odbiło si od najbli szych, Prediktor wł czył silniki i zacz ł wymija nadlatuj ce meteory. Fatalnym zbiegiem okoliczno ci ich potok miał kierunek zbie ny z naszym własnym i to przedłu yło znacznie gro ne spotkanie. Lawiruj c Prediktor na przemian rozp dzał i hamował pocisk. W całej tej akcji przeszkadzał mu nadmiarowy bezpiecznik przy pieszenia, nie pozwalaj c rozwin szybko ci do wielkiej, by wyniosła nas z tego przekl tego s siedztwa. Kiedy Sołtyk wył czył bezpiecznik, szybko wzrosła gwałtownie i udało si nam umkn . Całe spotkanie od pocz tku do ko ca trwało niespełna półtorej minuty. Kiedy mi to powiedziano, nie chciałem wierzy i przekonał mnie dopiero zapis na ta mie filmowej, zarejestrowany przez automatyczne urz dzenie Prediktora. W czasie o ywionej dyskusji nad wypadkiem Tarland obanda ował Sołtykowi głow , Arseniewowi za zło ył ko ci i wstawił mu r k w szyny. W pewnej chwili astronom spojrział na mnie i u miechn ł si szeroko, pokazuj c na przedrami z pi cioma czarnymi znakami.

— Dobrze mnie pantrzymał — rzekł — to pa ski chwyt!

Potem poszli my do Centrali, gdzie odbyło si badanie cało ci rakiety. Mo na je przeprowadzi w ci gu kilku minut dzi ki temu, e we wszystkie w złowe miejsca konstrukcji wprawione s krysztály kwarcu, od których wiod do Centrali przewody elektryczne. Krysztály te s jak gdyby nerwowymi ciałkami czuciowymi: przemieniaj c ka dy ucisk na pr d elektryczny, wskazuj , jakie siły i napi cia panuj wewn trz konstrukcji rakiety. Sołtyk wł czył to urz dzenie, zwane sieci piezoelektryczn . wiec ce indykatory ustawiły si na miejscach prawidłowych. Kosmokrator nie poniósł najmniejszego szwanku, je li nie liczy zbitych naczy stołowych i czterech czy pi ciu przyrz dów laboratoryjnych, które nie do dobrze były umocowane. Tarland miał pewne w tpliwo ci, czy mog obj przypadaj cy na mnie dy ur nawigacyjny, lecz udało mi si go przekona . Gdy wszyscy opu cili Central , biolog powrócił za chwil , przynosz c jakie tabletki wzmacniaj ce, i kazał mi je za ywa co godzin . Nie odszedł, póki nie połkn łem pierwszej. Zdawało mi si . e jest wcale rad z wypadku, dzi ki któremu ma wreszcie co do roboty.

A do ko ca dy uru, odczytuj c wskazania instrumentów, spogl dałem z pewn podejrzliwo ci w rozgwie d ony ekran telewizorów. Tak cicha zawsze i pusta przestrze mi dzyplanetarna ukazała nam dzisiaj sw now , mniej spokojna, stron . O ósmej zmienił rnie Oswaticz; w oczekiwaniu kolacji znów przechadzałem si korytarzem i mogłem do ko ca domy le przerwane przedtem rozwa ania.

Oto jeszcze jedna cecha podró y pozaziemskiej: mi dzy jej normalnym biegiem i najniebezpieczniejsz przygod nie ma adnych przej . Marynarz i lotnik spostrzegaj oznaki nadchodz cej burzy na długo przedtem, zanim dostan si w jej orbit ; tutaj niebezpiecze stwo strzela z zupełnego spokoju, jak grom z jasnego nieba, i równie nagle znika. Pomy lałem, co by si stało, gdyby jaki impuls pr dów opó nił si o ułamek sekundy w gł bi Prediktora. Strzaskany, pusty, pomkn łby Kosmokrator z porywaj cym go strumieniem meteorów, by lecie z jednej niesko czono ci w drug .

\* \* \*

Byłem ciekawy, czy astronom nie zapomni o swojej rannej obietnicy; okazało się, że pamiętał. Po tym wieczorem zgromadzili się jak zawsze za okrągłym stołem i Arseniew opowiedział nam o swojej młodości.

— Ojciec mój był astronomem. Wszyscy jeszcze w szkole musieliście słyszeć jego nazwisko, związane na zawsze z teorią przesunięć prędkości widmowych i resyntezy materii z fotonów. Urodziłem się i rosłem w cieniu jego ogromnej sławy. Przewyszał mnie — jak góra. Wszystko, cokolwiek chwyciłem się w czasie studiów, jakiegoś dydaktycznego problemu, było dla niego błahostką albo niewartym słów wspomnieniem. Miałem nad nim tylko jedną przewagę: młodość. Przygotowując się do pracy doktorskiej, nie chciałem wziąć tematu, który mi zaproponował. Chciałem robić wszystko sam. Miałem przecież dwadzieścia lat. Niekiedy Artem mówił mi: „Jeszcze o tobie będzie mówił — a, to ojciec tego słynnego Arseniewa” — ale na razie było właśnie odwrotnie. Ten tekst zawierał w sobie kroplę goryczy. Byłem tak niecierpliwy, że przeszkody, których nie mogłem pokonać rozumowaniem, starałem się brać sam w pasz. Ojciec obserwował mnie spokojnie i w milczeniu, jak jednego ze swoich wybuchowych gwiazd. Raz przybiegłem do niego z jakimś nadzwyczajnym pomysłem. Wysłuchał mnie i wyraził swoją opinię rzeczowo i wyczerpująco, jak na seminarium. Pomysł mój nie był nowy; wysunął go jeszcze dwadzieścia lat wcześniej jakiś astronom francuski.

Budujesz na piasku — powiedział ojciec. — Nauka składa się z dwu rzeczy. Po pierwsze, z cierpliwego, ciągłego zbierania nieprzeliczonych faktów, ze spisywania ich i gromadzenia, z pomiarów i obserwacji. W ten sposób powstaje olbrzymi katalog, usiłujący ogarnąć nieskończoną różnorodność form materii. Po drugie — z odważenia, które czasem w jednej chwili rozjaśnia umysł badacza i ukazuje wzajemne zależności zjawisk. To odważenie przychodzi bardzo rzadko i jest darem nielicznych. Nasza codzienna, niewdzięczna i marna praca ciągnie się całymi latami, nie przynosić widomych rezultatów. Na skrajnym gromadzeniu obserwacji upływa niejedno życie, do końca nie rozświetlone takim błyskiem, ale w nazwiskach wielu miernotnych najwspanialszymi odkryciami skupiony jest, jak w soczewce, mrówczy trud tysięcy bezimiennych badaczy. Ich praca pozwoliła komuś w chwili natchnienia pojąć i wyjawić jedno z tych nieprzeliczonych zagadek, które nas otaczają. A ty chcesz dokonać czegoś wielkiego sam, i to natychmiast? Nic z tego nie będzie”...

Byliśmy wtedy w ogrodzie naszego domku pod Moskwą. Pośród kwiatowych klombów stoi granitowy obelisk, który dziad mój, także astronom, wznosił ku czci Einsteina. Nie ma na nim żadnego napisu, żadnych słów, tylko litery wzoru na równoważność materii i energii:

$$E = m \cdot c^2$$

Doszliśmy więc do obelisku. Ojciec powiedział: „Ten wzór wam jest dla całego wszechświata. Czy możecie to w pełni zrozumieć? Nie. Ani ty, ani ja, ani nikt na świecie. Jak w garści zaczerpnij tej nocnej wody odbija się nieskończoność nieba nad nami, tak w tym wzorze zawarte są wszystkie przemiany materii i energii, które zachodziły przed trylionami lat, gdy nie istniało jeszcze Słońce ani Ziemia, ani planety. Są w nim pulsacje gwiazd, kurczenie się i rozprucie galaktyk, zapłon i stygnięcie chmur mgławicowych. Życie rodzi się i zamiera na planetach, słoneca wybuchają i gasną — a ten wzór jest wciąż wam, i tak będzie w nieskończoność. Czy zaczynasz rozumieć? W naszym świecie nie ma innej wiary prócz wiary w człowieka i innej nieśmiertelności prócz takiej, jaka wyryta jest na tym kamieniu. Walczcie o nią, trzeba mieć bardzo gorące serce zimnych głów i surową wiadomość, że możecie dokonać czegoś, czego nie zrobił w nauce nic — bo nie zawsze odkrywają prawdy ci, którzy tego najbardziej pragną... Wolno ci mieć nadzieję, ale to ci niestety nie

— pomoć — nikt ci nie pomoć, je li przez pomoc rozumie receptę na odkrycie. Natomiast pomoc w postaci do wiadczenia innych stoi dla ciebie otworem — tak samo moja, jak tych wszystkich, którzy po wicieli się nauce — teraz i tyście lat temu. Usi d tu, na tej ławeczce, który postawił twój dziadek — on tak e przebywał tu nieraz długo — i zastanów się dobrze, czy warto.”

Arseniew zamilkł.

— Tego wieczoru i pół niej czułem czasami spojrzenie ojca. Chciał poznać moją odpowiedź na postawione pytanie, ale — sam nie wiem dobrze, czemu — może z braku odwagi — zwlekałem. Tak, e mu tego „warto” nie powiedziałem. Kiedy w pół roku pół niej zbliżyło się za mnie Słowca, miałem wyjechać do Australii z ekspedycją astronomiczną. Ojciec czuł się le i wahałem się, ale kazał mi jechać. Umarł, kiedy mnie nie było. Nie byłem nawet na pogrzebie i dlatego — trudno mi wytłumaczyć, ale tak właśnie nie było — wiedziałem o jego śmierci, lecz nie wierzyłem w nią. Po powrocie przez dwa tygodnie byłem w Moskwie, miałem mnóstwo spraw do załatwienia, związanych z ekspedycją, ze zbliżając się obronę mojej pracy doktorskiej, ze śmierci ojca, tak e dopiero w październiku wyjechałem na kilka dni pod Moskwę do naszego domku. Przyjechałem sam, w domku nie było nikogo, ale ktoś posprzątał pokoje i zapalił w hallu ogień na kominku. Przechodząc obok pokoju ojca, odruchowo chciałem zapukać trzy razy, jak to zawsze robiłem na znak, e jestem — i stanąłem z podniesioną ręką. W futrze, tak jak wszedłem, zbliżyłem się do kominka i poczułem zapach dymu brzoźowego, bijący z paleniska. Dopiero w tej chwili uwierzyłem, e naprawdę go nie ma. Stałem tak przed kominkiem, nie wiem, jak długo. Zdarza się bardzo rzadko, e w jakimś starym, wytartym słowie otwiera się nagle otchłań, w której można zajrzeć. Tam, przed tym kominkiem z trzaskającymi polanami, zrozumiałem słowo „nigdy”. Na Ziemi żyją i będą tysiące, miliony, miliardy ludzi, lepszych i gorszych, wielkich i małych, lecz w tym przez wieki idącym pochodzie nigdy już nie będzie tego jednego człowieka, którego kochałem tak bardzo, e o tym nie wiedziałem. Tak samo kochamy wszyscy Ziemi i tak samo nie zauważamy jej, wszechobecnej i oczywistej, po prostu koniecznej. Warto wszystkiego oceniamy dopiero w chwili utraty. Tak. Jest to dla mnie wspomnienie bardzo bolesne, ponieważ straciłem wtedy nie tylko ojca, ale i tę niejasną, lecz potężną, głuchą i lepą wiarą młodoci w to, e nic jej się nie oprze, e wszystko zdobędzie i niczego nie będzie musiała rezygnować. Ale jest to zarazem wspomnienie bardzo cenne, bo takie chwile czyni człowieka silniejszym i oczyszczają go. Myśl o wiecie zupełnej szczelności może wylgnąć się tylko w umyśle głupca, bo nawet w najdoskonalszym wiecie będzie zawsze nad” człowiekiem niebo. Wszecchiata z zagadką swej nieskończoności, a zagadka oznacza niepokoje. I to jest bardzo dobrze, bo onka e nam myśle.

Potem, kiedy towarzysze wychodzili, by udać się do swoich kabin, Arseniew jakby od niechcenia zwrócił się do mnie:

— Zostanie pan jeszcze chwilę? Posłuchamy radia.

Skinąłem głową. Jakiś czas siedzieliśmy na wyściełanych fotelach, a z głośnika, umieszczonego w obiciu ciana, płynęła przytłumiona muzyka: Czajkowski. Kiedy zamilkła, nastąpiła cisza tak zupełna, jaka na Ziemi zdarza się chyba tylko na najdalszym odludziu, na morzu czy w górach. Zdawało się, e w miłko o wietlnym nieruchomym wnętrzu jesteście poza czasem i przestrzenią. Wśród gwiazd ekranu paliła się biała iskra Ziemi. Arseniew zagadnął mnie o moją młodoci: opowiedziałem mu o dziadku, o pierwszych drogach górskich, o moim rodzinnym Kaukazie. Znał go bardzo dobrze; okazało się, e zwiedził wiele szczytów, które we wspomnieniu były jak gdyby moją własnością. Mówili o granicach owianych burzami, o zamierzających w niecy obozach, o desperackich wspinaczkach, kiedyście zalewały czasem od tarcia jednego gwoździa o kamień, o zdradliwym niegu i odwrotnie uwarstwionych skałach, luźnych, wyłamujących się chwytach i o chwili, kiedy się staje na



ostatnim, najwyższym głazie szczytu. Rozmowa nasza napęniała się milczeniem; zamienialiśmy krótkie, urywane zdania, niezrozumiałe dla kogoś obcego. Budziły obrazy tak silne i czyste, że czas, który od nich dzielił, przestawał istnieć. Zdawało mi się, że znam Arseniewa nie wiedząc jak dawno. W pewnej chwili zdziwiło mnie, że nie wiem, jak mu na imię. Spytałem go.

— Piotr.

— Czy pan jest — sam? Uśmiechnął się.

— Nie, nie jestem sam.

— Ale ja nie mam na myśli pracy — powiedziałem trochę zmieszany własnym miało ci — ani rodziców.

Skinął głową na znak, że rozumie.

— Nie jestem sam — powtórzył i spojrzał na mnie. — A pan? Może w tej chwili jaka dziewczyna stoi w ogrodzie i patrzy w niebo, gdzie wieci biała Wenus?

Milczałem, a on wzniósł to za zaprzeczenie. Podniósł głowę. Powoli przestał się uśmiechać. Poszedłem za jego wzrokiem. Patrzył w czarny ekran z podwójną gwiazdą Ziemi.

— Tego pan jeszcze nie wie. Pośród miliardów, które pracują, bawi się, martwi, cieszy, robi wynalazki, budują domy i słota atomowe, wśród tłumów tych nieprzeliczonych istot jest dla mnie jedna. Jedna, pilocie. Rozumie pan? Jedna.

## LOT W CHMURACH

Trzydziesty dzień podróży. Wczoraj ominęli my asteroidę Adonisa w pobliżu miejsca, gdzie jej orbita przecina orbitę Wenus. Od tej chwili silniki ruszyły. Mknijemy ładem uciekając przed nami Wenus, która wchodzi właśnie w ostatni kwadrant i rysuje się na niebie cienkim, białym łukiem. W przeciwnym kierunku do uczonych, poza godzinami dyżurów nie mam nic do roboty. W przystanku rozpaczy dzisiaj rano rozebrałem motor helikoptera, z jakim szczególnie wzruszeniem oczyszczając jego i tak niepokalanie lnicze części, i złożyłem go starając się na to czynnożu jak najwięcej czasu. Przeczytałem już wszystkie książki z astronomii, które mam w walizce, przestudiowałem te materiały dotyczące atmosfery Wenus, w której przyjdzie mi prowadzić samolot — niestety, nadzwyczaj skąpe. Dowiedziałem się tylko — było mi to nieznane — że przez największe teleskopy można od czasu do czasu spostrzec „okna” pomiędzy chmurami: tak więc z powierzchni planety widać niekiedy bezobłoczne niebo. Trochę mnie to pocieszyło, bo już teraz, w pięć tygodni podróży, zaczynam tęsknić za ziemskim błękitem. Po południu siedziałem w Centrali z Oswaticzem. Dobry to chłop, ale mruk jakich mało. Nigdy nie powie „tak” albo „nie”, ogranicza się do odpowiedniego kiwnięcia głową. Dał mi fotografię Wenus z tak zwanym „wielkim ciemnym plamą” na samym brzegu tarczy, którą spostrzegliśmy przedwczoraj. Przypanuj cym u nas zupełnym braku zdarzeń było to prawdziwą rewelacją, ale i jej starczyło za ledwie na parę godzin.

Obejrawszy raz jeszcze ową zagadkową plamę (która na zdjęciu nie wiadomo jest od kropki drukarskiej), wyszedłem na korytarz. Spotkałem tam Sołtyka; chciałem go spytać, co będzie z naszym ziemskim czasem i podziałem doby na noc i dzień, który zachowali my a dotychczas — przecie po ludzku bierzemy się chyba musieli przystosować do czasu Wenus. Jednakże zapomniałem o tym, kiedy mi powiedział, że jutro rano przyspieszymy powaźnie lot Kosmokratora. Na trasie pół miliona kilometrów, dzieląc nas od celu, odbędzie się próba maksymalnej chybienia rakiety, co zaoszczędzi nam prawie cztery dni podróży. Bardzo się ucieszyłem, ale chociaż pójdę, po kolacji, obaj nawigatorzy podali nam szereg ważkich powodów technicznych, jakie skłoniły ich do tego przedsięwzięcia, nie mogłem oprzeć się myśli, że, podobnie jak wszyscy, pragnęli skrócić nieznośne dla siebie oczekiwanie.

Trzydziesty pierwszy dzień podróży. Od rana trwały gorączkowe przygotowania. Trzeba było zbadać raz jeszcze umocowanie wszystkich przedmiotów w kabinach i zapasów w grodziach ładunkowych, sprawdzić stan przyrządów, zbadać i opatrzyć gąsienice podwozia, ukryte w wielkich lukach pod pokładem. Praca szła według dawno już przygotowanego planu. Ja zagrzebałem się w komorze dziobowej przy samolocie, i to tak, że zapomniałem zajrzeć po komunikaty radiowe o jedenastej. Kiedy wreszcie przyszedłem do Centrali, wszyscy leżeli już na fotelach. Położyłem się i zapiłem pasy. Sołtyk, odczekawszy jeszcze kilkadziesiąt sekund, dokładnie o dwunastej włączył urządzenie wysuwające pochłaniacze ze stopu atomowego. Odgłos silników, do tej pory ledwo słyszalny, już się wzmacnia z każdą sekundą. Leżąc miałem przed sobą wielki ekran telewizora z białą tarczą planety, a nad nim rzędy oświetlonych zegarów. Strzałka szybko ciomierza ruszyła z zajmowanej pozycji. Silniki grały coraz mocniej. W ich wzmagającym się pięwie nie było najmniejszej wibracji; części konstrukcji, korpus rakiety, fotele zachowywały zupełny bezwład. Tylko wskazówki zegarów pełzły leniwie po zielonych cyfrach, wszystkie w jedną stronę, a wysoka nuta silników potniała, a wreszcie głos ich przepełnił całą przestrzeń Centrali i nas wszystkich, wydobywając się jak gdyby z każdej stłki metalu. Osiemnaście minut po dwunastej robili my już koło stu kilometrów na sekundę, to znaczy w godzinie 360000 kilometrów. Gwiazdy wciąż były nieruchome, lecz tarcza Wenus, leżąca na wprost dziobu, rosła. Najpierw była jasnosrebrzystym, opalizującym dyskiem wielkości Księżycy, potem w jakiejś chwili

dostrzegłem jej wypukłość. Jak rozdymana biała kula zajmowała coraz większą przestrzeń. Już tylko w skrajnym kącie dzielił jej matowo przebiegająca brzoź od ramy ekranu. Jeszcze minuta i zapełniła go w całości. Wskazówki radarowych odległościomierzy posuwały się równomiernie w oświetlonych sektorach skali. Wciąż jeszcze nie wyczuwaliśmy niczego poza wysokim piwem motorów. Podczas kiedy inne planety, jak Księżyc i Ziemia, odmieniały swój wygląd w miarę tego, jak się do nich zbliżali, ukazując coraz nowe szczegóły powierzchni, Wenus była wciąż jednakowo, jak gdyby nierealna, zagadkowa mleczna kula.

Lot na najwyższej szybkości trwał niespełna godzinę. Na ekranie dawno nie było już nieba, tylko wszechogarniająca, bezkresna biała, rozplywająca się gdzieś w srebryście i kremowe smugi. W pewnej chwili wydało mi się, że rakieta leci gdzieś koziółkując. Musiałem zamknąć oczy, a kiedy je otworzyłem, Sołtyk manipulował przy Predyktorze. Zawrót głowy minął. Kosmokrator przestał wirować wokół osi. Zarazem głos silników osłabł. Uszy napełniła hucząca, pusta cisza, w której usłyszałem powolne tony własnego serca.

Teraz Sołtyk ruchem dźwigni przesunął swój fotel tak, że znalazł się tu przy głównym ekranie telewizyjnym.

— Proszę mi co dziesięć sekund podawać wysokość — zwrócił się do mnie. Skinąłem głową. Trzymając obie ręce na dźwigniach Sołtyk pochylał się, jakby chciał wejść w boki ekranu.

— Dziewięć tysięcy kilometrów — powiedziałem. Tyle dzieliło nas jeszcze od planety. Chmury leżały pod nami nieskończonym, jaśniejącym oceanem. Miejscami arzyły się o lepij co odbitym blaskiem słonecznym, gdzie indziej tworzyły się w nich lotne rozpadliny i głębokie czeluście. Kosmokrator, jak kamień uwięziony na długiej linie, zakręcał. Rosnąca siła wciskała nas w skórzane siedzenia foteli; w absolutnej ciszy doskonale słyszałem ich miarowe poskrzypywanie.

— Siedemnaście tysięcy.

Zerknąłem w bok na szybkościomierz. Robili my teraz sześćdziesiąt kilometrów na sekundę. Gdyby rakieta z taką szybkością zetknęła się z atmosferą planety, nastąpiłby wybuch. Spojrzałem na Sołtyka. Zgarbiony, ciemny na tle pałającego ekranu, trwał nieruchomo z rękami na kierownikach.

— Szesnaście tysięcy trzysta.

Cały horyzont pod nami zatoczył się, przysiadł i stanął dębą. Przez rakiety przeleciało krótkie targnięcie, które rzuciło nami do przodu. W ekranie zapalił się fioletowy piorun i zgasł.

— Piętnaście tysięcy osiemset.

Znowu uderzenie słabsze od poprzedniego, lecz trwające dłużej. Fioletowe błyskawice strzelały z dziobu rakiety, rozgałęziając się w płonące pajęczyny, przez które przelatywaliśmy w ułamku sekundy. To były tlenowodorowe rakiety hamujące.

— Czternaście tysięcy.

Teraz od dziobu walił grzmot za grzmotem, przeszywając cały korpus pocisku. Głuche dudnienie, zrywy, opadające kaskady wybuchów, poprzedzane krótkimi chwilkami ciszy. Biała równina obłoków leżała pod nami skosem, a Kosmokrator pędził nad nią, lekko pochylony. Zrozumiałem, że zgodnie z klasycznym prawem astronautyki zaczynamy opisywać wokół planety spiralę.

— Dwanaście tysięcy.

Widział już było falowanie chmur. Pędziły coraz szybciej. W górze nad nami czarne gwiaździste niebo, w dole — nieskończona, mleczna równina, porzeźbiona cieniami i blaskami.

— Osiem tysięcy.

Osiem tysięcy kilometrów dzieliło nas od planety, to znaczy trzy czwarte jej średnicy. Sołtyk wciągnął głowę w barki i pochylił się jeszcze bardziej. Kosmokrator ryknął i zawibrował jak nacięta kwarcowa struna. Równocześnie niehoryzont wykonał pół obrotu w górę, położył się na bok i obsunął z powrotem w dół. To wstąpiły w akcję główne silniki, hamujące nasz spadek, wyrzucanym przez dysze dziobowe strumieniem atomów. Głos ich w naszym niebie był podobny do zwykłego piewu podróży. Rozpędzone w długiej rurze centralnej i gwałtownie wstrzymywane przez dem gazę formowały u dziobu gorący obłok, przez który Kosmokrator przelatował jak kula, drąc i grając. Musiałem z całych sił krzyknąć:

— Tysiąc dziewięćset kilometrów.

Chmury to nie były siły, to rwały, przędąc w tył jak spienione fale wodospadu. Na ich równinie, wiecześnie matowym blaskiem masy perłowej, spostrzegłem cień pocisku, podobny do wiskiej kreski. Zapadał w jamy, znikał w głębi, by po chwili wyskoczyć na oświetlony słońcem obłok, podobny ubitej mocno, złocistej pianie.

— Sześćset kilometrów!

W werbel hamujących wybuchów wmieszał się jakiś nowy ton. Poczłkowo nie mogłem go ułoić, lecz po chwili spotknął na tyle, że wyodrębnił się od pracy silników. Było to bardzo wysokie, a kłujące pianie. Równocześnie nie spoczywające dotąd martwo wskazówki przyrządów aerodynamicznych zadrżały, jakby przez nie przeszedł niewidzialny prąd. Pianie rosło przechodząc w ostry gwizd. Wyłło rozpruwane powietrze planety.

— Czterysta osiemdziesiąt!

Chmury rwały się pod pociskiem jak nacięte, dygocące struny. Łoskot dysz hamowniczych osłabł. Znowu spojrzałem na zegar: tracili my już szybko kosmiczną, robiąc osiem kilometrów w sekundzie. Głębiejca atmosfera stawiała rakiecie coraz większy opór. Powietrze drgało zgnieczone na skrajach płaszczyzn natarcia, powodując migotanie całego obrazu w telewizorze. Chyć Kosmokratora wciągnęła. Znowu zagrzmiały serie wybuchów. Zegary aerodynamiczne, wskazujące gęstość, ciśnienie i temperaturę powietrza, wachlowały się wskazywającami. Wóz, jak granat ukońca lotu po krzywej balistycznej, przecinał, wiskząc, warstwy rzadkiej pary. Tu przy nas migwały rozchwiane nieyście pióropusze skondensowanych kryształków, lśkające srebrem w promieniach słońca. Nie były chmury stały pokłobion, zwartocian. Lecieli my naprzeciw niej z przerażającą szybkością. Jedno mgnienie i ekran zgasł jak owiany gęstym dymem.

Stada chmur przędziły rozpadając się jak spłoszone, ciemne ptaki. Podałem Sołtykowi wysokość: 30 kilometrów, a już byliśmy w chmurach. Niezwykle wysoko wznosiły się na Wenerze! Powietrze było tak gęste, że nawet nasza stosunkowo niewielka szybkość wywoływała przeraźliwe wycie, przechodzące od basowo dygocących tonów do najwyższego wistwu. Widocznie równała się praktycznie zeru. To pogrzebaliśmy się w ciemno oliwym mroku, to wpadaliśmy w mleczną kipieli, pełną rozsianych tęcz. Sołtyk przełczył telewizor na radar, lecz wiele to nie pomogło. Skierowane w dół sto kilometrów promieni radarowych utykały bezsilnie w grzech zawisku obłoków, nie ukazując rzeczy by gruntu. Lecieli my na odep, podług yrokompasu, zataczając wielki łuk wokół planety. W burozielonkawej powiacie, która wypełniała ekran, ukazywały się rozmazane kontury chmur lejących niey, a w ich przerwach — warstwy jeszcze głębsze, a do dna, w którym kształty zlewały się w mętną szarość.

Tęciem słuchowym podróży był nieustanny, głuchy szum. Od długiego wpatrywania się w ekran nachodziło mnie chwilami złudzenie, że pod nami kotłuje się kipieli morska, a szum lotu jest łoskotem łamiących się fal. Złudzenie to stało się po jakiej godzinie tak silne, że musiałem na pewien czas oderwać oczy od ekranu. Sołtyk obniżył lot coraz bardziej. Już tylko osiem kilometrów dzieliło nas od powierzchni, a widocznie wciągnęła się do zera. W chmurach, jak wskazywały przyrządy aerometryczne, znajdowała się zawiesina drobnych czestek stałych, działająca jak pochłaniacz fal radarowych. Ciekaw byłem, co robi Sołtyk, lecz oczywiście o nic nie pytałem. Ogarnęło mnie najpierw rozczarowanie, potem

zniecierpliwienie, wreszcie gniew: tak długo czekałem na chwilę, w której wsiadę do kabiny samolotu, i teraz, kiedy się zbliżała, po prostu bałem się, że stracę orientację w tych przekłach tych chmurach!

Obraz na ekranie zmienił się. Sołtyk przechodził na coraz krótsze i przenikliwsze fale radarowe. Falomierz nadajnika wskazywał: centymetr, pół centymetra, trzy milimetry... Naraz pełznące przez ekran masy rozwiały się i znikły. Ujrzałem powierzchnię Wenus — niestety, niewiele można było na niej rozpoznać. Nierówność i garby terenu splatały się w szalony ucieczce do tyłu w jakieś trzepoczące smugi, zielonkawe i brunatne. Sołtyk pracował teraz bez przerwy dźwiękami, to włączył silniki, to zwiłszy hamowanie, a prędkość zmalała do najniższej dopuszczalnej granicy. Przebywali my w sekundzie około trzystu metrów, lecz nad wielkimi równinami. Wydawało mi się, że porasta je gęsty las. Rozłożyły się korony drzew czy te jakichś fantastycznych roślin, ogromne chaszczki, zagajniki, zarośla — wszystko to migało zbyt gwałtownie, by można było którykolwiek szczegół poprowadzić wzrokiem. Gdy jednak statek obniżył się do czterech tysięcy metrów, ogarnęła mnie wstąpiłość, czy owe fantastyczne kształty istotnie są roślinami. Zanim jednak zdołałem dobrze się nim przypatrzeć, znikły. Pojawiły się płaskie, łagodnie opadające wzgórza. Gdzieś tam chmury nie sięgały do samej powierzchni planety. W jednej z takich luk, pośród zmieniających swoje kształty, leniwie płynących obłoków, zaciemniała się chmura o czarnych cianach, odbijająca się nieruchomo od oceanu pary. Był to szczyt górski. Teren podnosił się. Strzałka altimetru drgając doszła do siedmiu tysięcy metrów. Pod nami płynęły wielkie, wygarbione zbocza, czasem błysnęła jakby odbity od lodu — to zaszklity gładkie stoki. Potem gigantyczna panorama wypiętych skalnych i głębokich dolin pogryzła się w mgłę. Pocisk nabierał wysokości. Dziewięć, dziesięć, jednaście kilometrów. Coraz cienie piewał rozrzedzony gaz, pruty dziobem Kosmokratora. Wreszcie Sołtyk zwrócił się ku mnie. Nic nie powiedział, ale w jego oczach wyczytałem, że przyszła moja godzina.

Oswaticz przejął ster od Sołtyka i podczas gdy pocisk leciał, zanurzony w mlecznych mgłach, odbyli my naradę. Pierwszą rzeczą było dokładne określenie składu atmosfery. Zgodnie z przewidywaniami okazała się daleko, niemal dwukrotnie rozleglejsza od ziemskiej. Ciężkość na wysokości jedenastu kilometrów wynosiła 690 milimetrów słupa rtęci, a więc niemal tyle, co na poziomie ziemskich mórz. Chmury, według orzeczenia chemika, są bardzo rozmaitej konsystencji. Jak się zdawało, tworzone kilka wzniesionych jedno nad drugimi pokładów. Najwyższe składają się ze spolimeryzowanego formaldehydu i cząstek jakiejś zagadkowej substancji, której dokładne zbadanie odłożono na później. Nie zawierały prócz formaliny niewielkiej ilości wody. Tlenu było w powietrzu pięć procent, dwutlenku węgla — dwadzieścia dziewięć. Wreszcie po przeanalizowaniu próbki powietrza, zaniepokojony, że przypuszczenia uczonych okazały się mylne i można by gdzieś poruszać się na planecie bez skafandra tlenowego. Ponieważ lot w chmurach nie przynosił dokładnych danych o reliefie terenu i utrudniał badanie planety, a w dodatku manewrowanie rakiet na małej wysokości przedstawiało pewne ryzyko, postanowili my iść dalej. Na obszarze około siedmiu tysięcy kilometrów, nad którym przelecieliśmy, nie udało się spostrzec wyraźnych oznak działalności istot rozumnych, ale w przekonaniu, że na pewno istnieją na planecie, postanowili my po udowodnieniu rozpoczęcia badania z zachowaniem niezbyt ostrożności, na razie w stosunkowo niewielkim promieniu. Dzień miał w tej okolicy trwać jeszcze sześć dni ziemskich, tak więc czasu było dosyć. Oswaticz zawrócił rakiety w stronę nizinnego kraju, który spostrzegliśmy przedtem. Pozostawało tylko zbadać dokładnie grunt i wyszukać odpowiednie miejsce do lądowania. Wyszedłem na górny pokład, aby się przebrać, a kiedy wróciłem, już w skafandrze, wszyscy mnie otoczyli. Nie chciałem się z nikim egnać. Przez wstępne studium udałem się wraz z Sołtykiem do komory dziobowej. Spoczywał tu na wyrzutni samolot: długa, w kształcie kropli z daleko w tył odgiętymi skrzydłami. Ponieważ jego kabina jest hermetyczna, zdjąłem hełm, który zaciemniał pole widzenia



— A wi c wie pan ju wszystko — rzekł Sołtyk — prawda?

U cism łem mu mocno r k i wszedłszy na skrzydło, jednym susem znalazłem si w kabynie. Hełm poło yłem pod siedzeniem, eby w ka dej chwili mie go pod r k , wł czyłem wiatła i zegary, raz jeszcze sprawdziłem zawory aparatów tlenowych i przez otwory luk spojrziałem na in yniera. Był podniecony, lecz starał si tego nie okazywa .

— Zaraz wystrzelimy pana — powiedział — ale przedtem sprawdzimy jeszcze raz ł czno .

Wiedziałem, e j sprawdzał ju ze sto razy — a ostatnio nie dawniej ni tego dnia rano, lecz tylko u miechn łem si do niego. Wyszedł. Zostałem sam. Zatrzasn łem przezroczyst kopułk nad głow , docisn łem ruby uszczelniaj ce i wparłem si mocno stopami w stery. Wskazówka skakała na wiecej tarczy sekundnika. Wtem w słuchawkach rozległo si lekkie pi niecie i zaraz po nim głos Sołtyka:

— No jak tam, słyszy mnie pan?

— Doskonale.

— Jeste my teraz na dziewi ciu tysi cach metrów, szybko dziewi set dwadzie cia na godzin . W porz dku?

— W porz dku.

— To mo e pan wł czy silnik. Kontakt?

— Jest kontakt — odparłem wciskaj c guzik zapłonu. Rubinowe oczko za arzyło si w seledynowym półmroku.

— Pilot gotów?

— Gotów.

— Uwaga!

Rozległ si ogłuszaj cy grzmot. Pokrywy dziobu rozpadły si i w płomieniu gazów wyrzutowych wyleciałem jak pocisk z lufy armatniej.

W oczy buchn ł potop wiatel. Jak walcz cy z wod pływak zupełnie odruchowo wyrównałem stery. Kabina była oszklona wypukłymi szybami. W padaj cym zewsz d wietle, jak mucha w kropli jasnego bursztynu, leciałem głow naprzód przeciw kołuj cym mgłom i chmurom. Wycie dartego powietrza zapychało usta jak wat . Zdawało si , e kopułka trza nie, wgnieciona p dem. Rychło jednak utraciłem szybko , jak nadała mi wyrzutnia Kosmokratora, i zacz łem lecie o własnych siłach. Patrzałem na szare, uciekaj ce w bok mgły — wtem, jakby kto wsun ł w nie szklany nó , powietrze nade mn oczy ciło si . Równocze nie bł kitnawe wiatło oprowadziło brzuchy chmur jaskrawym konturem, rozległ si hucz cy gwizd i w dół run ły strumienie wody. Zrozumiałem, e bardzo blisko nade mn leci Kosmokrator, a zjawisko to wywołały gazy atomowe, wylatuj ce z jego dysz. Koptn łem orczyk, eby jak najszybciej wyprowadzi maszyn z niebezpiecznego s siedztwa; pełny odrzut rakiety, uderzaj c z bliska, mógł mi oderwa skrzydła.

— Halo! Jak tam, pilocie? Leci pan? — rozległ si głos w słuchawkach. Potwierdziłem i podałem kurs według yrokompasu.

— B dziemy kr y . Mo e pan schodzi w dół!

Prócz kołuj cych si mgieł nie widziałem z mego siedzenia nic. Za to na małym, okr głym ekranie pokładowego radaru nieprzerwanie płyn ły kontury le cego w dole terenu. Powolnym, tysi ce razy wykonywanym ruchem poło yłem maszyn na skrzydło i zacz łem spada jak kamie . Na Ziemi nie musiałbym nawet patrze na altimetr; gdy pozorna wielko dostrzegalnych w dole przedmiotów, jak dróg czy rzek, przy pewnym do wiadczeniu nie le orientuje, tu jednak wpatrywałem si w jego tarcze, bacz c zarazem na ekran radaroskopu. Kiedy szybko upadku stała si zbyt wielka, bardzo powoli wyprowadziłem maszyn z piki. Byłem w samym pułapie chmur i lec c wpadałem i wypadałem na przemian z ich puszystych kł bów. Na dole nie było jednak ani ladu owej

porosłej lasem równiny. Defilowały tam długie i szerokie, podobne do zastygłych ciemnych fal, nagie grzbiety. Zakomunikowałem to Sołtykowi.

— We pan półtora stopnia na wschód — powiedział. — I co tam z pa skim pelengiem? Kiepsko go słycha .

Miał na my li sygnały radiowe wysyłane automatycznie przez moje radio, dzi ki którym na pokładzie Kosmokratora mo na było okre li , gdzie znajduje si samolot. Słowa in yniera zaniepokoiły mnie nieco, gdy i ja dosy le go słyszałem. Odbiór zacierały chwilami zakłócenia w postaci lekkich trzasków. Zgodnie z poleceniem poło yłem samolot w lewy wira i leciałem tu pod chmurami, staraj c si nie traci wysoko ci, eby ogarn wzrokiem znaczniejsz przestrze . Nie było to łatwe: co kilkadziesi t sekund wpadałem w chmury, z których wynurzałem si opuszczaj c maszyn w dół. Taka zabawa „w chowanego” trwała dosy długo.

Wolałem nie zdawa si na radar, poniewa w ekranie widoczny był tylko stosunkowo mały wycinek przestrzeni. Dlatego skwapliwie poszukiwałem ka dego okna w chmurach, a e miejscami opadały bardzo nisko, coraz cz ciej przelatywałem kilkaset zaledwie metrów nad wyniosło ciami terenu. Nie była to równina, nie były jednak i góry: co w rodzaju ogromnych, kaskadami schodz cych, naturalnych stopni jakiej skały, jak mogłem s dzi z ich gładkiej powierzchni. Stopnie te, a raczej terasy, szły przez ca ł widocz n przestrze falistymi liniami. Pomy lałem, e, by mo e, znajdzie si terasa do rozległa, by mógł na niej wyl dowa Kosmokrator, i przez kilka minut leciałem równolegle z ich przebiegiem, ale zacz ły si wznosi i łama staj c skosem jak talie olbrzymich, rozsypanych kart, wi c zawróciłem. Sołtyk rozmawiał ze mn pytaj c o warunki lotu i widoczno . Odpowiadałem sk po, gdy gniewało mnie, e nie mog odnale zalesionej równiny. Las musiał si przecie gdzie ko czy i tam nale ało liczy na dobre l dowisko. Zrezygnowałem wreszcie z poszukiwa nad monotonnym, cho niezwykleym krajobrazem i poleciałem prosto przed siebie. Rychło spo ród terasowatych stopni wynurzył si obły, niski wał ziemny, pełn cy na wschód jak olbrzymia, łagodnie wij ca si g sienica. „By mo e, jest tam co w rodzaju płaskowy u” — pomy lałem i naciskaj c orczyk pomkn łem w t stron . Dalej teren stał si troch niewyra ny. Za cieleła go niska, przyziemna mgła, nad któr wznosił si tylko ów wał ziemny, coraz wy szy i nierówniejszy. Tu i ówdzie odchodziły od niego ł a cuchy wzgórz. Kiedy spojrzałem przed siebie, na horyzoncie stan ł ciemny masyw. Były to góry. Leciałem jeszcze prosto, raczej z ciekawo ci, jak te wygl daj góry na obcej planecie, bo trudno było liczy na l dowisko w ród dzikich skał. Ł a cuchy wzgórz przechodziły w coraz wy sz i bardziej strom barier , której szczyt miejscami pływał ju w chmurach. Dalszy wypad w t stron był bezcelowy. Postanowiłem zawróci . Po prawej stronie, ju nie w dole, lecz niemal na wysoko ci samolotu, wznosiły si wypukłe, obłe stoki, pogr one w stromych osypiskach dziwnie jasnej, prawie białej barwy. Wtem bariera rozwarła si na podobie stwo kamiennych wrzeci dzów. Zobaczyłem czarne jezioro, odbijaj ce w sobie obłoki, zwory skalnych cian i schodz ce ku brzegom j zory piargów. Czy by to napraw była woda? Wprowadziłem maszyn w bram skaln i zacz łem si opuszcza . Ciekawo ta mogła mnie drogo kosztowa , gdy , jak to było zreszt do przewidzenia, w przesmyku ci gn ł gwałtowny pr d powietrzny, który porwał mnie, rzucił w gór , a potem wessał w dół z tak si ł , e omal nie skapotowałem na rodku jeziora. Musiałem postawi maszyn niemal d ba i da pełny gaz, eby si wyrwa w przestrze . Przez mgnienie byłem tak blisko, e wyra nie widziałem łamanie si drobnych fal i prze wiecaj ce przez wod głązy dna. A wi c jednak udało mi si . Odkryłem idealne miejsce do l dowania, a raczej wodowania: Kosmokrator mógł opu ci si na jezioro. Trzeba było tylko wypatrze dobre podej cie, gdy z trzech stron wznosiły si gro ne, urwiste skały. Podci gn łem samolot na trzy tysi ce metrów, eby obj ca ł panoram górskiej okolicy. Ju od dłu szej chwili czułem, e co si zmieniło, lecz nie mogłem si pocz tkowo zorientowa , co takiego. Nagle drgn łem: w słuchawkach nie

rozlegało się już ciche brzęczenie, wskazujące, że pracuję na odbiorze. Dotknęłam kontaktu: był włączony.

— Halo, inżynierze Sołtyk — powiedziałam. — Inżynierze Sołtyk!

Cisza. Pokręciłem gałkę regulatora. Zatrzeszczało raz i drugi. Wtem całymi seriami posypały się długie i krótkie trzaski. Chociaż nie, to nie były zwykłe trzaski, jakie sprawiają wyładowania elektryczne, ale raczej siłowe zawrota, w których trafiały się nawet na poły melodyjne frazy. Przekręciłem regulator dalej. Głosy znikły. Znowu zacząłem wywoływać rakiety. Nie było odpowiedzi. Zwiększyłem prąd w lampach, ryzykując, że je spalę. Bez rezultatu. Teraz nie patrzyłem już w dół, lecz starałem się zachować spokój kontrolowałem wszystkie przewody. Poczynając od laryngofonu, krok za krokiem sprawdzałem poziom czucia — wszystko było w porządku, wszystko grało, kontrolka anteny wskazywała, że sygnały idą w przestrzeń, a jednak rakiet nie odzywała się. Wyjrzałem na chwilę w dół, żeby się zorientować, gdzie jestem — i zakląłem. Byłem nad zalesioną równiną. Formacje dziwacznych krzewów ciągnęły się nieskończonymi ławicami w dal, ginąc pod niskimi chmurami, z których padało mocne, białe światło. Na dole migotały dziwaczne kształty, jakby pióropusze, festony, grzywy, mieszały się barwy ciepłe i zimne, seledyn, oł, prawie czarna zieleń — doprawdy, był to niezwykły las. W tej chwili nie miałem jednak ochoty zajrzeć do niego bliżej. Znowu powróciłem do radia, znowu sprawdzałem poziom czucia — gdy wtem przyszła mi myśl, od której łód poszedł po kościach. A jeżeli rakiet, zaatakowana czy w tragicznej katastrofie, zginęła i jestem tu jedynym żyjącym człowiekiem?

To było mocne. Przez krótką chwilę oddychałem głębiej, czując, jak powoli ustępuje ohydne uczucie strachu. Potem zaciłem zębami, raz jeszcze spojrzałem na płynący pod mną las i zastanowiłem się, co robię. Paliwa miałem jeszcze na niespełną dwie godziny lotu. Tlen mógł mi wystarczyć na znacznie dłużej, nawet na dwa dni. Z pewnością było gorzej — tylko trochę koncentratu i dwa termosy z kawą. Krępya do opróżnienia zbiorników nie miało sensu, bo szansa przypadkowego ujrzenia rakiety w chmurach była przy niskiej powłoce chmur znikoma. Natomiast gdybym wylądował, mógłbym i popracować koło radia (tak myślałem, choć nie łudziłem się, że mi to do czegoś pomoże), i w razie, gdyby rakiet przelatywała nad okolicą, dałbym towarzyszom znaki albo wzbił się za nimi w powietrze. Wydało mi się to najlepszym wyjściem z sytuacji. Postanowiłem wylądować; trzeba było znaleźć odpowiednie miejsce. Samolotowi memu, który był zaopatrzony w specjalne klapy hamownicze, starczyłoby do lądowania z pięćdziesiąt metrów jako tako równej powierzchni. Obniżyłem się, potem coraz bardziej zacząłem się przyciskać do gruntu, a wreszcie leciałem na minimalnej szybkości niemal nad samymi wierzchołkami drzew. Jakim było moje zdumienie, kiedy przekonałem się, że nie były to wcale drzewa ani w ogóle żadne rośliny, lecz wysokie, niesamowicie ukształtowane nie to kryształki, nie to naciski mineralne. Miejscami grube, lite były czarnozielonkawej masy, jakby oblane szkliwem, spletały się wznosząc w górę krzaczaste pęki ogromnych igieł, gdzie indziej sterczały ich palczaste kłoby, baldachimy, bulwy, jakie w złej wielobarwnej skały, połyskujące zimno jak lód. O tym, żeby posadzić tu maszyn, nie było nawet mowy. Leciałem więc prosto przed siebie, w nadziei, że martwy las skończy się wreszcie, i zwiększyłem szybkość, a docisnąłem rączkę gazu do końca. Silnik huczał równomiernie i gdyby nie moja fatalna sytuacja, mógłbym się rozkoszować istnym kalejdoskopem barwnych łamaców, które migotały w dole, chowając się pod skrzydłami. Zniemacka słuchawki zachrypiały i w ulewnej przerzeźliwych trzaskach usłyszałem głos Sołtyka:

— Pilotcie, odezwij się! Pilotcie!

Natychmiast odpowiedziałem, lecz słowa zamilkły. Po kilkadziesiąt sekundach napiętego wyczekiwania znowu usłyszałem głos Sołtyka. Tym razem mówił najoczywiej do kogoś:

— Nie odzywa się od dwudziestu minut.

— Czy bierzemy krępy dalej? — spytał drugi głos, jak mi się zdawało, Arseniewa.

— In ynierze! — krzykn łem. — Uwaga, Kosmokrator!

— B dziemy kr y — odparł Sołtyk. Znowu zaczą łem mówi , potem woła , ale nie słyszał mnie. Za to ja słyszałem urywki słów: porozumiewał si z towarzyszami. Spojrzałem na mój pelengator. eby mi wskazał kierunek, w którym mam szuka rakiety, lecz zamiast jednego wiec cego z bka dostrzegłem na okr głej tarczy przyrz du istny chaos roziskrze . Przypominało to obrazy, jakie wywołuje zakłócenie odbioru radarowego za pomoc listków folii aluminiowej. Ogarn ła mnie w ciekło . Głos Sołtyka zaczą ł słabn , wreszcie rozplyn ł si zupełnie w rosn cym trzeszczeniu.

Kr c c regulatorem posłyszałem po raz drugi tajemnicze, j kliwe d wi ki — i nagle r ka zamarła mi na gałce.

— Czy nie jest to czasem... radio mieszka ców Wener?

Do diabła, to było mo liwe! Przerywane d wi ki mogły by czym w rodzaju naszych znaków Morsego. Nie mogłem si jednak nad tym dłu ej namy la , bo w wielkiej odległo ci, na samej granicy widnokr gu, ukazała si bariera skalna, biegn ca od skrytego za horyzontem jeziora górskiego, które zostało kilkana cie kilometrów na wschód po mojej lewej r ce.

Obszar martwego lasu urywał si tu równ lini , id c w obie strony prosto jak strzełił. Dalej ci gn ła si równina, powyginana w łagodne, zaokr glone garby i równie niewielkie, płytkie zapadło ci. O lepszym l dowisku nie mogłem marzy . Grunt był, o ile mogłem oceni , gładki jak wypolerowana skała. Nad ostatnimi rz dami martwych drzew zamkn łem dopływ paliwa. Wydało mi si , e martwy las jest oddzielony od równiny w sk , ciemn smug , jakby rowem, lecz musiałem skupi uwag na sterach. Wysun łem klapy i poci gn łem dr ek na siebie. W nagej ciszy skrzydła samolotu wydały opadaj cy, niski ton. Nast piło mi kkie uderzenie, potem drugie. Dotarłem kołami. Maszyna potoczyła si krótko i znieruchomiła. Nieznacznie przechylona, stała na pofałdowanej pochyło ci gruntu. Gruntu planety Wenus.

## PILOT

Dług chwil siedziałem w kabinie, niepewny, co robi. Raz jeszcze pochyliłem się nad aparatem radiowym. Regulator przemieknął po całej skali. Wszystkie zakresy milczały. Z eteru nie dobiegał najmniejszy szmer. Dałem temu spokój. Wyciągnąłem się spod siedzenia, hełm i nałożyłem go. Sumiennie docierał jeden po drugim automatyczne uchwyty. Z rąka na dłoń, która otwiera kopułę, zatrzymałem się na мгновение — i szarpnąłem mocno. Szklany dach pojechał do tyłu. Skontrolowałem jeszcze spojrzeniem małą, ciemnozielony ekran radaroskopu, który palił się wewnątrz hełmu, dotknąłem kurka aparatu tlenowego i, przełożyłem nogi przez burtę, stanąłem na skrzydle.

Wiem, że nie uda mi się opisać widoku, jaki ujrzałem. Mogę wyliczyć jego szczegóły, ale nie potrafię uchwycić tego zasadniczego, wszechobecnego tonu, który powodował, że od pierwszego wejrzenia czuło się, że to nie jest Ziemia. Chmury posuwały się wolno, białe, zupełnie białe jak mleko. Na Ziemi widuje się podobne, lecz są to tylko lekkie obłoki i pierzaste, wysokie cirrhussy, tutaj za cały nieboskłon osłonięty był gładki, mleczny opłon. W silnym świetle rozpościerała się kraina płaskich pagórków i płytkich, nieckowatych zagłębień, suchych, niczym nie porośniętych, barwy ciemnoczekoladowej. Gdzieś tam pokrytych jaśniejszymi plamami. Jakie siedemset metrów z tyłu za ogonem samolotu równina urywała się ku martwemu lasowi. Nie przechodziła w ten sam poziom: granicę stanowił uskok tak wysoki, że ponad jego brzeg wystawały tylko popłatanie, błyskawicę odbitym światłem korony martwych drzew. Zeskoczyłem na ziemię. Grunt nie poddał się pod stop. Nacisnąłem podkutym obcasem: nie został najmniejszy ślad. A jednak nie było to wcale podobne do nagiej skały. Odwróciłem się plecami do martwego lasu. Poprzez skrzydło samolotu widziałem coraz dalsze, jednakowo równomierne fałdy równiny, na horyzoncie, pośród oparów ółtawej mgły, stały ciemnymi sylwetkami góry.

Znowu spojrzałem pod nogi. Wydobyłem z zewnętrznej kieszeni kombinezonu składany nóż i uderzyłem ostrzem w tajemniczą substancję. Kilka razy odskoczyło; znalazłem jednak miejsce, gdzie powierzchnia była pokryta małymi dziurkami, jak skamieniała, wygładzona gąbka. Udało mi się odłupać spory kawałek, który podrzuciłem na ręce. Był jasnobrunatny i lekki. Lekki jak... bakelit.

Bakelit! Jak mówiłem, że jestem sam! Nie myślałem w tej chwili o utracie ścisłości ani o tym, co będzie ze mną za kilkanaście godzin, lecz po prostu chciałem mieć przy sobie kogoś z towarzyszy, a żeby podzielił się z nim niesłychanym odkryciem. Raz jeszcze, ale innymi już oczami, obejrzałem brunatny krajobraz. Było w nim coś niepokojącego, ale co? Przedtem tego nie widziałem. Przypominał... tak, do czego był podobny? Nagle zrozumiałem: całe otoczenie wyglądało nieprawdopodobnie, jak olbrzymia dekoracja teatralna. Tu kryła się przyczyna niepokojów. Dekoracja wielkoce sceny czy nawet pola — zgoda, ale tu leżały dziesiątki, może nawet setki kilometrów kwadratowych bakelitu czy podobnej do niego masy — sztucznej masy plastycznej, z jakiej na Ziemi wyrabia się bibularze i pióra wieczne! Było w tym coś groteskowego, a zarazem niesamowitego.

Wciąż jeszcze stałem przy samolocie, niepewny, co robi dalej. Odszedłem kilkanaście kroków w stronę martwego lasu i nagle wróciłem po piesznice, prawie biegiem, bez żadnego uzasadnienia, bo przecie radio miałem w skafandrze, tak że sygnały rakiety, gdyby się odezwała, mogłem usłyszeć, ale... jednak wróciłem. Nie był to nawet ślad, który mnie do tego zmusił, lecz gwałtowne poczucie, nie dające się zrazu opanować, obcości. Obco było to nisko nawięte, białe niebo, mimo chmur bijące tak mocnym blaskiem, obcy bezruch powietrza, obca pokryta płaskimi garbami równina, na której buty wydawały przy chodzeniu dziwny, suchy stukot...



Usiadłem na skrzydle samolotu, obracając w rękach, patrzyłem na niedaleki skraj równiny obrywającej się ku martwemu lasowi i rozważałem. Jeśli nie połączysz się z towarzyszami do czterdziestu ośmiu godzin, zabraknie mi powietrza. Wtedy pomyśl, co z sobą zrobisz. Na razie jednak mam tlen, tylko i samolot. Co więc poczujesz? To, co jest moim obowiązkiem: badać planetę. Brzmi to nieleż — roztrząsałem dalej — ale co będzie, jeśli rakieta zjawi się, gdy będzie daleko od samolotu? Zanim do niego dobiegnę, zniknie w chmurach, i przypadnie ostatnia, być może, szansa ocalenia. A więc siedzę na skrzydle samolotu i oczekuję wybawienia? Mój szef w centralnej służbie lotniczej miał ulubione pytanie, które stawiał zwykle nowicjuszm: co ma zrobić pilot w razie przymusowego lądowania na bezludziu, w górach albo na pustyni? Wszystko, co możliwe — brzmiała odpowiedź. — A potem, jeśli tego mało? — Potem to, co jest niemożliwe! — Być może, brzmi to trochę prostacko i naiwnie, lecz jeden z moich kolegów wyszedł z lotnych piasków, w których rozbił maszynę pocztową, po pięciodniowym marszu, bez kropli wody w ustach, choć uczeni twierdzą, że człowiek umiera bez wody wcześniej. Kiedy go pytano, o czym myślał podczas, cytował powiedzenie naszego szefa.

Historię przypominałem sobie w porządku. Należało wziąć pod uwagę rozmaite czynniki — najważniejszy był fakt, że planeta jest zamieszkała. Czy nie jest ogromnie lekko? Ino ci zostawi samolot bez opieki? Jest, oczywiście, ale co innego zrobi? Wskoczyłem raz jeszcze na skrzydło, wziąłem z kabiny mały miotacz promieni, sto kowaty aparat z szerokimi kołkami, przewiesiłem go sobie przez ramiona i poszedłem w stronę uskoku. Za chwilę znalazłem się nad jego brzegiem.

W dole, sięgając gdzieś do szczytów poziomu, na którym stałem, wznosił się martwy las. Oko błędziło pośród krzaków o długich, lśniących pręcikach, wśród sto kowatych stalagmitów, jakichś mas półprzezroczystych, rozplaszczonych wielkimi kłębami jak zwoje węża, brylastych sopli, najcieńszych kolcami, podobnych do olbrzymich koralów i polipów. Były to jakby sztucznie wyrzeźbione rzeźby, które mróz maluje na szkle, pomimo one przez wszystkie barwy tęczy. Ich wierzchołki, błyskające załamującym światłem, sprawiały złudzenie falującej powierzchni morza. Po pewnym czasie zauważyłem, że twory te nie były rozmieszczone zupełnie chaotycznie. Tu i ówdzie dawał się spostrzec pewien ład w ich ustawieniu. Niedaleko od mego punktu obserwacyjnego brzeg uskoku wznosił się o kilka metrów. Wszedłem na ów z jednej strony pod cięty garb, żeby objąć wzrokiem większą przestrzeń. Jakie trzysta metrów ode mnie w głąb martwego lasu znajdowało się obszerne wcięcie. Okalające je mineralne wywłóki były niższe od innych i posiadały kształty bardziej zaokrąglone. Sam radek w głąb wienia zdawał się zupełnie gładki i otoczony pierścieniem wałeczków, lecz nie mogłem stwierdzić tego na pewno, bo ściwo przesłaniały go szczyty bliźszych drzew. Za to wyraźnie widziałem, że im dalej odbiegam wzrokiem od tego miejsca, tym wyświej i ostrzej rozgałęzione są martwe drzewa. Postanowiłem zejść na dół i obejrzeć je z bliska. Próg, którym kołysała się równina, urywał się wszędzie pionowo. Od poziomu martwego lasu dzieliło mnie niewiele więcej niż cztery metry. Zawahałem się. Tu pod ręką stały krystaliczne twory, lśniące czystym, nieruchomym blaskiem. Ciekawo przemogła. W ostatniej chwili, gdy opuszczałem się na rękach po stromej ścianie, przemknęło mi przez myśl, czy aby konstruktorzy skafandrów przewidzieli możliwość wykonywania w nich skoków, i odepchnęwszy się lekko, poleciałem w dół. Wylądowałem na rękach i nogach w głąb bokim przysiadzie. Odwróciłem się plecami do ściany progu. Przede mną stał martwy las.

Wyglądał teraz inaczej niż z wysokości. Doprawdy miał co do rodzaju szklanych pni, rozszczępionych w górze na ostre odnogi. Wybiegają one, tu nad głowami i przy samym gruncie, sterczały iglice, obsypane drobniejszymi igielkami, niby liście, niby rogi, a we wszystkich przelewały się i mieniły gładkie boki tęczy.

Przed zejciem wycelowałem yrokompas na widoczne w oddali zagł bienie. Sprawdziwszy teraz kierunek, ruszyłem w gł b lasu, z trudem stawiaj c nogi w g stwie chrupiczych i zgrzytaj cych przenikliwie odłamków. Podkute buty roztrzaskiwały szcz tki fioletowych kryształów. Pnie martwych drzew posiadały budow rubow , jakby splecione z grubych szklanych lin. Wszystkie były prawoskr tne. Staralem si utrzyma kierunek, lecz przychodziło to niełatwo. Co kilka kroków spogl dałem na kompas. Par razy ugrz złem w zaciskaj cych si szeregach wysokich „rogów jelenich” i musiałem wybiera inn drog . Klucz c i kołuj c zbli ałem si jednak do celu; przekonywały mnie o tym ukazuj ce si obficie zaokr glone i nadtopione kształty tworów mineralnych. Coraz mniej było promieni, iglic i szpad krystalicznych, pojawiały si za to migotliwe, t czuj ce formy jak zastygłe wodotryski, wsparte o grunt znieruchomiałymi strumieniami grubo ci ramienia m skiego. Przeciskaj c si mi dzy nimi a oczy mru yłem od buchaj cych blasków, nagłych roziskrze , ły ni i przy mie . W g stwinie zapalały si brylantowym trzepotaniem bł kity, ółcie, fiolety i karminy. Czasem jaka wypukła powierzchnia, wiec ca z oddali szczerym srebrem, przy zbli eniu gasła i stawała si matowa, jakby przyprószona popiołem. W pewnej chwili utkn łem w w skim przej ciu między konarami zastygłej fontanny. Targn łem si i przeszkoda p kła z d wi kiem tak silnym, e si przel kłem. Wydało mi si , e p kła pokrywa hełmu.

Dalej pnie rozplaszczaly si , pochylały ku ziemi, spajały ze sob rozwini tymi na wszystkie strony konarami, jakby je zgniotła niewidzialna siła. Od dłu szej chwili migaly mi w oczach czerwone błyski. W ulewie bij cych zewsz d barw nie zwróciłem na to zrazu uwagi s dz c, e to wiatła z zewn trz załamuj si w szklanym okienku hełmu, lecz nagle czerwony blask spot gował si i zobaczyłem, e tryska z wn trza hełmu. Nad ekranem radaru mie ci si matowa kulka, wska nik aparatu wra liwego na promieniowanie radioaktywne. Na Ziemi wchodzili my w skafandrach do komory do wiadczałnej, w której rodku stało naczynie ze spor ilo ci silnego pierwiastka promieniotwórczego. Gdy si do niego podchodziło, w rodku matowej kulki zaczynał si arzy czerwony punkt, który w miar zbli ania si do ródła promieni rósł coraz bardziej jak rozdmuchiwany w gielek. Teraz wska nik nie arzył si , lecz płon ł niby olbrzymie, krwawe oko, wypełniaj c wn trze hełmu rozsiana czerwieni . Przystan łem. Blask stał si tak silny, e utrudniał patrzenie przez okienko hełmu. Panowało tu pot ne promieniowanie; nale ało jak najszybciej wycofa si z niebezpiecznego miejsca. Poszedłem kilka kroków w bok, schylaj c głow pod nawisłymi stalaktytami. Czerwony blask osłabł. Ruszyłem dalej, przekraczaj c skr cone jak korzenie yły błyszcz cej masy. Znowu si wzmógł. Miałem w kieszeni r czny indykator radioaktywno ci, podobny do malutkiego pistoletu z samo wiec c skal w miejscu, gdzie zwykły pistolet posiada kurek. Podniosłem luf przyrz du. Martwy las nie był ustroniem tak idyllicznym, jak si to mogło wydawa z daleka. Wskazówka aparatu ta czyła jak szalona, raz po raz przebiegaj c do ko ca skali i uderzaj c we z tak sił , jakby chciała złama zagradzaj c rubk .

Robiło mi si coraz gor cej, pot ciekl z czoła; nie było to spowodowane zdenerwowaniem, bo termometr wskazywał 68 stopni Celsjusza. Na dobr spraw nale ało zrezygnowa z dalszej drogi. W drówka w takich warunkach mogła mnie drogo kosztowa . Wiedziałem, e kombinezon nasycony jest substancj pochłaniaj c promieniowanie, lecz był zbyt cienki, eby stanowi dla powa niejsz zapor . Tu trzeba si było uda w ubiorze specjalnym, znacznie ci szym, opancerzonym blach kameksow . Mieli my takie w Kosmokratorze. Gdy o tym pomy lałem, przyszła refleksja, e by mo e nigdy ju nie zobacz Kosmokratora, wi c warto mimo wszystko i dalej. Tymczasem obracałem si wkoło, kieruj c przed siebie luf przyrz du. Promieniowanie rosło i opadało skokami. Zauwa yłem, e jest najsilniejsze, kiedy zwracam przyrz d na bł kitnawe, szklane pnie, grubsze i wi ksze od innych, a stoj ce z dala od siebie, tak e naraz widziałem najwy ej dwa. Podszedłem do takiego pnia. Nie był

zupełnie przejrzysty, jak mi się początkowo zdawało. Złudzenie to spowodowały odbite w powierzchni, poskracane i rozciągnięte obrazy otoczenia. Kiedy zbliżyłem się do głow, czerwone światło wewnętrznej lampy zapłonęło gwałtownie, jakby to jakaś żywa istota ostrzegała mnie przed niebezpieczeństwem. Wewnętrzna pod warstwą przezroczystą biegła w kształcie pas, a raczej cylindryczna smuga nieustalonej barwy, gdy zależnie od kierunku spojrzenia raz stawała się czarnoruda, a raz — srebrzysta jak powierzchnia powietrza pod wodą.

Po piesznym wycofałem się z tego miejsca. Czerwona kulka gasła powoli, wydając ciemnorubinowe światło. Teraz, wiedząc już, czego mam unikać, poszedłem według wyznaczonego azymutu, starając się tym łukiem omijać kitnawe pnienie. Niebawem zniknęły zupełnie, lecz mój „pistolet”, czulszy od czerwonej lampki, wciąż wskazywał, że cały grunt promieniuje, choć znacznie słabiej. Niebezpieczne jest nie tyle natężenie promieniowania, ile czas, przez jaki organizm jest wystawiony na jego działanie. Dlatego tarcza przyrządu jest wyskalowana w jednostkach czasu. Odczytałem z niej, że w terenie, przez jaki teraz szedłem, mogę bez obawy złych następstw przebywać najwyżej pół godziny. Przy pieszym wycieczce kroku i rychło stanę przed kłopotliwym formowaniem niepodobnym do niczego, co napotkałem dotychczas.

Minerał pozlewał się w palczasto narosłe, strome wzniesienie, pokryte ogromnymi baniami i białymi blami. Myślałem, że podobnie wygląda pianka z mydła pod silnym szkłem powiększającym. Niezwykłość tej masy powiększało jeszcze to, że w jej wnętrzu wtopione było mrowie srebrnych kuleczek. Tak musiałby się przedstawiać rój owadów, zalany w locie fal płynnego bursztynu. Spróbowałem wspinać się na szklane wzniesienie, lecz obsunąłem się natychmiast. Przez chwilę miałem wrażenie, że jestem w kraju z bajki: rycerz pod szklaną górą. Początkowo i równoległe do zapor. Gdzieś tam podobna była do stałej fali na pełnym morzu — wrażenie to potęgował rozwichrzony, fraszkowy grzbiet. Dostając pod sam koniec „fali” utrudniały istniejące kłopotliwiska niby szklanych o miernic, zespolonych wiszących w powietrzu ramionami, które miejscami odłupały się i za ciężały grunt wypukłymi odłamkami. Spróbowałem stłuc wielką powierzchnię na zboczu, używając do tego podkutego buta. Trzasnęła, ale kiedy postawiłem nogę na wyszczerbionej powierzchni i podniosłem się, resztkę skorupy rozpadła się pod ciężarem na drobne szczyrby, a ja znalazłem się z powrotem na dole. Powtórzyłem manewr w innym miejscu z takim samym skutkiem, przy czym czyste odłamki omal nie rozciąły kombinezonu. Zrezygnowałem z prób poszedłem dalej, zakręcając ku wschodowi, jak mnie o tym pouczył kompas, gdy przezroczysta zaporę ciągnęła się wielkim łukiem. Niebawem stanę przed wspaniałym jak komin w skałach wnętrzu szklanego muru. W jego głębi wieciły nieprzeliczone miriady wtopionych srebrnych kuleczek. Pochłonięty dziwnym widokiem, zbliżyłem oczy do pionowej powierzchni przełomu, jakby gigantycznej szczeliny lodowca, i osłupiałem: z tamtej strony wychylał się ciemny potwór ze spiczastymi głowami i uszami rozłożonymi na kształt nietoperzowych skrzydeł. Dół jego ciała rozpyływał się w mrocznym obłoku. Cofnąłem się i zobaczyłem, że to moje własne odbicie zniekształcone krzywymi powierzchniami.

Początkowo szukałem chwytów. Z najwęższymi trudno ci, wyzyskując każdą możliwość, wspinałem się na wybrzuszenie ciany. Coraz dotkliwiej odczuwałem nieznośny upał; niewiele pomogło elektryczne urządzenie chłodzące, wszyte w kombinezon, które wciąż czyłem jeszcze przedtem. Balansowałem na końcach palców, starając się rozłożonymi rękami znaleźć coś w rodzaju chwytu. Dziwiło mnie wciąż rosnące tętno mego serca; pulsy dudniły coraz mocniej, mocniej i mocniej... ale to nie było tętno!

Jednym susem znalazłem się na dole. Nie baczcie na lizgające się pod butami odłamki, biegnijcie szukając, skąd da się ujrzeć całe niebo. Wysoko jaśnieje nieskalana, mleczna powłoka chmur. Powolne huczenie podnosi się, rośnie, zbliża. Pomiędzy warstwami obłoków prześwietlają się jak ciemna ryba obły, długi kształt: Kosmokrator!

Wołam, krzycz do mikrofonu, równocześnie nie patrzę w stronę równiny, do samolotu! Objam się boleśnie nie o zastygłe formy, padam na kolana, zrywam się i znowu wywołuję rakiet. Huczenie zmienia się. Pocisk opuszcza dziób i kładzie się w skręt. Zaczyna opisywać ciasną spiralę. Jego korpus, ciemny na białym tle, powiększa się. Zza sterów strzela słup ognia, ja niejszego od chmur. Skacz od jednego pnia do drugiego, wbiegam na nieprawdopodobnie szklane mostki, przesadzam nieruchomo więc ce złomy, a płynący z góry miarowy głos silników również, przechodzi w ogłuszający łoskot i znowu oddala się, cichnie... Rakieta wciąż kręży się na niebezpiecznie mały wysoko. Nie patrz w jej stronę, musisz uskakiwać w bok przed kryształami sterującymi w powietrzu jak szpady. Wtem drogę zamyka gęstość szklanych żył, próbuje wziąć skokiem i odpadam, pot cieką mi na oczy, nie mam już tchu, by wołać do mikrofonu — bryła jaka usuwa mi się spod stóp, tracę równowagę, padam.

Zrywam się jak szalony, chcę na odepnąć rzucić się na przeszkodę, gdy tu nad uchem rozlega się głos cichy, ironiczny:

— Spokojnie... pilocie!

To nie radio się odezwało. To głos we mnie, od którego nagle nieruchomiej. Nie ma tu dydrogi. Muszę zawrócić. Znowu zaczynam biec i słyszę, jak słabnie dudnienie silników. Odwracam się, staję. Rakieta rozplywa się w chmurach jak widmo, głos silników przechodzi w niskie huczenie, coraz bliższe i dalsze, jeszcze chwila — i nie dobiega już aden dźwięku, aden szmer, tylko mój zziębły oddech potguje się w metalowym wnętrzu hełmu, słuchawki wciąż milczą, a wokół wciąż najpiękniejszymi barwami błękitne, złote, malinowe kryształy i jest cisza, zupełna cisza...

Siadam na płaskim odłamie i czekam... Czekam pięć minut, dziesięć, piętnaście. Obłoki płyną wciąż w jedną stronę; od wytępienia wpatrywania się w ich przenikliwą białą oczy zachodzą łzami, które ciekają po twarzy, i nie są to tylko łzy odruchowe...

To koniec — myśli natychmiast odpowiada mi ten sam głos, co przedtem:

— A je li nawet, to cóż z tego? Dobrze!

Zaciskam szczękę, wstaję i idę. Zatrzymuję się, aby spojrzeć na żyroskop. Straciłem orientację w tym szalonym biegu. Radioaktywność jest tu nieco słabsza niż w pobliżu szklanej bariery — tylko czerwony punkt arcy się w matowej kulce. Rozglądam się po otoczeniu. Stoję pośród wysokich, krzaczastych kryształów. Jeden jest obalony w bok i na jego nierównej graniastej powierzchni pośród fioletowo—krwistych krawędzi leży srebrna kuleczka — takie widziałem przedtem, wtopione w gęstą szklaną masę. Przypatruję się jej. Wygląda jak odlana ze srebrnego metalu, przyplaszczona kroplą, nie zwiększa od ziarna grochu. Zwróciła moją uwagę, bo nie leży na powierzchni krystalicznego krzaka, lecz jest jakby zawieszona kilka milimetrów nad nią. Zbliżyłem się i staje jak wryty. Srebrne ziarno drgnęło. Zwraca się ku mnie zaostrzonym końcem, w którym błyska iskierka — nie, nie, to wysuwa się z niej cienki jak włos drucik. Zarazem w moich słuchawkach rozlega się przerywany, krótki dźwięk. Z zapiętym tchem wpatruję się w srebrny okruszyn. Stoi na ledwo widocznej spirali, która rozciąga się i skraca. Ruch ten staje się coraz wyższy.

Cofam się odruchowo. Stworzonko jakby osiada na kamieniu. Zbliżyłem się — i ono się rusza; a w słuchawkach brzmi wysoki ton.

A więc jednak tamci mieli rację — przelatuje mi przez głowę w potoku bezładnie zmieszanych myśli. — Metalowe mrówki! Metalowe mrówki!

Wyciągnęłem rękę, aby wziąć stworzonko, i zatrzymałem się. Przecież to, mimo nikłych rozmiarów, jedna z tych istot, które osiemdziesiąt lat temu zbudowały pocisk międzyplanetarny. Będzie się więc bronić — może jakimś miernym promieniowaniem? Spojrzałem na wskaźnik radioaktywności. Promieniowanie nie wzrasta. Zaczęłem obchodzić stworzonko ze wszystkich stron i zauważyłem rzecz bardzo dziwną. Ilekroć odwracałem od niego głowę, martwiało i trwało nieruchomo jak kropla zastygłego metalu. Kiedy za patrzyłem



wprost na nie, zaczynało drgać, zwracało się ku mnie ostrym końcem, z którego wysuwał się drucik, a w słuchawkach rozbrzmiewały urywane dźwięki. Powtarzały się, wciąż takie same. Cóż to miało znaczyć? Czy chciało mi w ten sposób coś zakomunikować? A tamte, zastygłe w szklistej masie, czy były martwe? Stałem zupełnie bezradny. Gdyby mnie w tej chwili u boku kogoś z towarzyszy! Do wściekłości doprowadzało mnie, że tak bardzo niczego nie rozumiem. Wyciągnąłem składany notes i położyłem go tuż przy stworzonku. Zdawało się nie zwracać na to uwagi. Odwróciłem głowę i zerknąłem na niego. Znieruchomiał. Oddaliłem się na kilka kroków. Ani drgnął. Zaczęło się zbliżać, nie spuszczając go z oczu. Wysunął swój błyszczący drucik, spiralki zadrgały i w słuchawkach rozległ się dźwięk.

Pal to diabli!

Wyciągnąłem rękę — pisk w słuchawkach nasilił się. Mimo to wzięłem je w palce. Nic się nie stało. Trzymałem je tuż przy szybcie hełmu: ton w słuchawkach wzmożył się. Czy by wyrażało w ten sposób swoje niezadowolenie?

Wydobyłem z kieszeni płaskie, metalowe pudełko i wrzuciłem stworzonko do środka. Brzmiło. Było niewątpliwie z metalu. Zatrzasnąłem pokrywki. Pisk w słuchawkach od razu ustał — to przynajmniej rozumiałem: metalowe ścianki pudełka nie przepuszczały fal elektromagnetycznych. Z uczuciem, że niosę w kieszeni coś w rodzaju nastawionej na niewiadomą godzin bomb zegarowej, ruszyłem w drogę powrotną. Po dwudziestu minutach byłem przy samolocie, przede wszystkim zasiadłem przy radioodbiorniku. Eter był jednak pusty — dochodziły tylko głośne, bliskie trzaski. Od lądowania upłynęły cztery godziny. Odczuwałem głód: usiadłem więc w kabinie i już miałem zamknąć, kiedy raz jeszcze zachciało mi się spojrzeć na mieszkanie Wenus. Otworzyłem pudełko. Gdy tylko zajrzałem do środka, stworzonko drgnęło i wysunęło z siebie drucik jak przedtem, a w słuchawkach zabrzmiały urywane sygnały. Sam nie wiem dobrze, czemu (jest to wstydlive miejsce moich wspomnień) nie miałem ochoty spożyć posiłku, że tak powiem, „pod jego okiem”. Położyłem więc pudełko na skrzydle samolotu, zamknąłem się w kabinie i, oczy ciwsi z trudem atmosfery przez przedmuchiwanie sprężonym tlenem z butli, zabrałem się do zapasów. Jadłem w najlepsze, gdy z oddali przytył powolny ton, rozbrzmiewający chwilami jaśniej i znowu cichszy. Dobiegał ze znacznej wysokości. Ale tak, to był Kosmokrator!

Zrzuciłem z kolan otwartą paczkę i spojrzałem w górę, równocześnie nie włączając kontaktu. Silnik natychmiast zapalił. Nic nie widziałem, lecz równomierne huczenie potęgowało się z każdą sekundą. Wtem o lepij coś biała pokrywa chmur rozstąpiła się i na jej tło wyływała rakietą. Krzycząc do mikrofonu, daj pełny gaz. Mam wrażenie, że nieskończoność upływa, a samolot wciąż jeszcze nie odrywa się od ziemi. Nareszcie! Ciągnę w górę stromo, jak tylko mogę, o włos od zeszłego. Mimo to dopiero zaczynam się wznosić, a Kosmokrator, przeleciawszy bokiem, jest już daleko. Jeszcze chwila i zniknie w chmurach. Rozszerzonymi oczami wpatruję się w rakiety. Sunie po niebie prostą linią; chmury kłami się i wirują, trafiając w strumienie gazów odrzutowych. W słuchawkach wciąż tylko rzadkie trzaski. Kurczowo zaciskam ręce na sterach. Motor daje z siebie wszystko. Na próżno. Kosmokrator maleje, rozpyływa się w mlecznych kłach pary — chwila, raz jeszcze przez wityje ciemno przez obłoki i znika. Niemal w tej samej chwili w słuchawkach rozlega się dźwięk, jaki wydaje odgięta elastyczna blaszka, i w słuch uderza naraz strumień głosów, krótkie, przerywane sygnały wywoławcze rakiety, brzęczenie prądu i głos Sołtyka, tak wyraźny i czysty, jakby mówił do mnie z odległości dwóch kroków:

— Po której stronie jest mniejsze promieniowanie?

— Po lewej — odpowiada Arseniew. — Jest tego jakieś osiem kilometrów.

— Inynerze Sołtyk! — krzycząc tak głośno, a dzwoni mi w uszach. — Uwaga. Kosmokrator!

— Jest, jest! — woła Arseniew. Bliższy głos Sołtyka napęnia całą kabinę:

— Pilocie! Słysz pan! Pilocie! Co z panem?



— Wszystko w porz dku.

Ogarnia mnie nagła ulga. Musz wzi si w gar , eby doda :

— Mam dwa tysi ce metrów. Id za wami. I tonem mo liwie oboj tnym donosz :

— Odkryłem niezłe miejsce do l dowania.

— Diabli z miejscem do l dowania! — woła Sołtyk. — Człowieku, gdzie e si pan podziewał?!

W pierwszej chwili nie wiem, co odpowiedzie , tymczasem on przechodzi ju na ton oficjalny:

— Czy poda panu kurs?

— Nie trzeba, le na waszym pelengu.

— Słuchaj pan, pilocie — woła Sołtyk, jakby naraz przypomniał sobie co wa nego — uwaga na yrokompas! Jest pan jakie sze kilometrów za nami — nie przetnij pan czasem ósmego stopnia! Lepiej trzyma si dalej, tak z pół minuty na wschód!

— Dlaczego?

— Tam jest ten przekl ty las radioaktywny!

— Las radioaktywny? — powtarzam patrz c na swój kompas. — I có z tego?

— Gasi fale radiowe!

— Gasi fale...?

Mam ochot uderzy si mocno w czoło. Ale ze mnie idiota! Nad lasem musi przecie le e gruba warstwa zjonizowanego powietrza. Oczywiście, e cała ta przestrze jest niedost pna dla fal radiowych. I ja, osioł, nie pomy lałem o tym. Osioł! osioł! — powtarzam sobie pytaj c równocze nie Sołtyka:

— Dlaczego kr yli cie przedtem nad lasem? Jak godzin , mo e półtorej godziny temu?

— Pan nas widział? — woła Sołtyk. — Pan tam był?! — A nie mówiłem?! — zwraca si do kogo . Potem znów do mnie:

— Słyszałem peleng samolotu, kiedy my tamt dy przelatywali. Wywoływałem pana, kr yli my przez kwadrans, ale odbiór jest tam tak fatalny, e nic nie było slycha , i mi lałem, e si omyliłem.

— Nie omylił si pan... — mówi ciszej, jakby do siebie. Rozumiem ju wszystko. Przez cały czas radio pokładowe nadawało automatyczne sygnały, tak e i wtedy, gdy bł kałem si po martwym lesie, a e samolot stał opodal, zapewne na granicy strefy zjonizowanej, Sołtyk usłyszał sygnały i dlatego rakiet kr yła nad równin ... Jedno jest tylko niejasne:

— Czy widzieli cie samolot? — pytam.

— Nie. Pan wyl dował?

— Tak.

To dziwne. Lecieli na jakich pi ciu tysi cach metrów i nie dostrzegli maszyny? Nagle rzucam okiem na skrzydła i wszystko staje si jasne. Jaki m dry in ynier kazał pomalowa kadłub i skrzydła na jasnobr zowy kolor, uzasadniaj c to bardzo naukowymi rozwa aniami o wła ciwo ciach atmosfery Wenus, pochłanianiu, promieniowaniu i tak dalej... Maszyna tak złała si z kolorytem gruntu, e z wysoko ci nie mo na jej było spostrzec.

— A w pelengatorze nic nie było wida ? — pytam jeszcze. — Zakłócenia, co?

— Tak.

Teraz musz uwa a , bo w rodku ekranu ukazuje si wiec cy kr ek. Oznacza to, e jestem ju niedaleko rakiety. Samolot nie mo e dosta si do jej wn trza t sam drog , któr wylatuje.

Sołtyk zaczyna mówi :

— Czy pan nas widzi, pilocie?

— Nie — odpowiadam wyt aj c wzrok, lecz wokół kł bi si tylko mleczone opary.

— To przejd pan na radar. — Jak si pan czuje?

— Zupełnie dobrze.

Na ekranie radaroskopu pojawia się wkrótce pomniejszone, długie wrzeciono. Sołtyk odzywa się :

— Zaczynam podawać : osiem, piątą cię.

Osiem, piątą cię — powtarzam i naciskam lekko rączkę gazu, równocześnie nie wznoszę maszyn w górę. Staram się utrzymać obraz rakiety na skrzyżowaniu białych linii w radaroskopie. Samolot i rakietę muszą zbliżyć się na odległość co najmniej piętnastu metrów — ewolucja do łatwa, trzeba się tylko dokładnie kierować wskazaniem przyrządów.

— Sześć, sześć !

— Sześć, sześć — powtarzam. Jeszcze minuta i chmura nade mną ciemnieje. Odrywam oczy od niepotrzebnego już radaroskopu. Z białej głębi wylania się kadłub pocisku.

— Widz was! — wołam sprawdzając wskazania zegarów.

— Jeden, osiem!

— Jest jeden, osiem — odpowiada Sołtyk. — Uwaga! Przechodzimy na „pepe”!

„Pepe” — oznacza „paliwo pomocnicze”. W czasie przyjmowania samolotu na pokład nie napędzają się rakiety silnikami atomowymi, gdy przy nieudanym manewrze samolot może dostać się w strumień ich gazów odrzutowych, co jest równoznaczne z katastrofą. Dlatego używa się wtedy paliwa pomocniczego — mieszaniny wodoru z tlenem.

Odgłos motorów rakiety zmienia się. Równomierne huczenie przechodzi w wysokie, zakłiwiony ton: to wyjście sprężarki turboreaktorów. Ostro nie podciągamy drążek sterowy. Olbrzymi, wypukły brzuch Kosmokratora rzuca już na mnie swój chłodny cień.

— Sześć dziesiątych!

— Jest sześć dziesiątych.

Teraz kierunek i szybkość obu statków musi zejść się z najwyższą dokładnością. W napięciu ledź cofając się wskazówek zegara i po milimetrze przesuwam drążek gazu.

— Zero! Uwaga, zero!

— Jest zero.

Kosmokrator wisi tu nade mną. Zdaje się, że wyciągnęszy rękę mógłbym dotknąć ciemnosrebrzystych płyt jego pancerza. Rozlega się głuchy szum. W obie strony opadają klapy, rozwiera się w trzech lukach ładunkowej i samolot, wessany polem magnetycznym, leci w górę. W chwili kiedy nagły mrok zamienia jasność dnia, wyłącza motor. Pokrywy zamykają się z łoskotem. Jeszcze jedno uderzenie metalu o metal — to elastyczne trzępnięcie przyjmujące na siebie ciężar maszyny. Słyszysz przeraźliwe syczenie sprężonego powietrza, wydmuchującego go ze szczeliny atmosfery planety. Potem wszystko cichnie i lampy zapalają się spokojnym blaskiem.

## REGUŁA KORKOCI GU

W niespełną godzinę rakieta znalazła się nad jeziorem. Opadali my w dół, a góry stawały się coraz większe i wyższe, woda coraz rozleglejsza, jej ciemna powierzchnia zakotłowała nagle w ogniu gazów atomowych i Kosmokrator, pozostawiając za sobą biały, pienisty ład, przepłynął kilkaset metrów, a znieruchomiał, nieznacznie kołysany falami.

Gdy silniki zamilkły, Arseniew wezwał mnie do wspólnej kabiny, abym złożył sprawozdanie z lotu. Byłem pewny, że moje odkrycie pokieruje dalszym biegiem badań i niezwłocznie wyruszymy do martwego lasu na poszukiwanie metalowych mrówek. Mego małego winiaka utraciłem niestety przez nieopatrność: wiatr, powstały w chwili startu, zdmuchnął go wraz z pudełkiem ze skrzydła samolotu.

Kiedy skończyłem opowiadanie, zaległa krótka cisza, którą przerwał Arseniew.

— Rozczarował mnie pan. Proszę nie sędzić, że cała ta przygoda skończyła się dobrze. Oby tak było, nie wiadomo jednak, jak wielką dawkę promieniowania pochłonął pański organizm. Eskapada w głąb martwego lasu była czymś więcej niż lekkomyślnością: była przewinieniem. Do motywów postępowania włączył pan ten, którego włączyć nie miał pan prawa: własny śmiech. Chciał pan zaspokoić ciekawość, nie bacząc na niebezpieczeństwo, tak jakby zguba po kilkunastu godzinach samotności była rzeczywiście nieuchronna. To, co pan zrobił, było dowodem odwagi, ale odwaga nie poparta rozsądkiem niewiele jest warta. Jeżeli każe nam się do chaotycznych poszukiwań na własną rękę, nasza wyprawa leży skończona... Czy chce pan coś odpowiedzieć?

— Nie.

— Powiedziałem to wszystko w obecności towarzyszy — ciągnął Arseniew łagodnie — abyśmy w przyszłości nie popełniali podobnych błędów. Ryzykować wolno nam tylko w razie konieczności; jeżeli ona zajdzie, możemy być pewni, że od was i siebie będziemy dać wszystkiego. Tak. Więcej mówi o tym nie będziemy. Chciałbym teraz usłyszeć wasze propozycje, co mamy począć.

— Jesteśmy w sytuacji człowieka — odezwał się Lao-Czu — przed którym otworzyła się księżka napisana w niezrozumiałym języku. Podejrzewam, że na dobitkę na rodkowej stronie, i to do góry nogami. Jak długo nie wiemy, co jest istotne, a co przypadkowe, co główne, a co nieważne, zachodzi obawa, że postępowanie narzuci nam mogące okolicznościowe znaleziska i fałszywe hipotezy. Dlatego proponuję, abyśmy w ogóle nie zajmowali się roztrząsaniem, czy twory, które odkrył Smith, są metalowymi owadami, czy nie, a jeżeli są, to czy stanowią głównych mieszkańców planety, ale abyśmy przystąpili do badania okolicy w pobliżu Kosmokratora, sporządziliśmy mapę jeziora, stworzywszy sobie bazy operacyjne dla dalszych wypadów. Nie chcę nikomu narzucać mego przekonania, ale uważam, że musimy zgromadzić jak najwięcej faktów, a z ich tłumaczeniem należy poczekać.

— Jednym słowem, hypotheses non fingere? — rzekł Czandrasekar.

— Tak — odparł Chińczyk. — Niech nasze badania rozpoczną się od tej wielkiej zasady Newtona.

\*\*\*

Cztery dni upłynęły na nieustającej pracy. Codziennie rano wzbijałem się helikopterem w powietrze dla dokonania zdjęć fotogramometrycznych i pomiarów teodolitowych. Po powrocie układaliśmy z Sołtykiem wywołane zdjęcia w lotnicze mapy stereoskopowe i наносилиśmy rzeźbę terenu na siatki kartograficzne. Tak powstała mapa okolicy w promieniu sześćdziesięciu kilometrów. Tymczasem druga grupa operacyjna, w której skład wchodził Rainer i Oswaticz, przeprowadzała geologiczne sondowanie terenu. W tym celu zakładano w

nadbrze nych skałach ładunki wybuchowe i zapalano je. Kiedy wisiałem w kabinie helikoptera nad jakim szczytem, który był podstaw trójk ta triangulacyjnego, kotlina w dole grzmiała jak ku nia cyklopów. Pod powłok mgły przewalał si łoskot eksplozj. Uczeni stwarzali sztuczne trz sienie gruntu i. rejestruj c fale sejsmiczne za pomoc czułych przyrz dów, poznawali budow gł bokich pokładów skały.

Arseniew i Lao–Czu pływali motorówkami po jeziorze, badaj c ukształtowanie dna sonda ultrad wi kow . Wszystkie prace ogromnie utrudniała mgła, nad któr wznosiły si tylko najwy sze ciany skalne. Fizycy próbowali rozproszy j za pomoc emitorów radioaktywnych. Słupy promieni jonizowały par , która opadała drobnym, ciepłym deszczem, lecz nie upływało dwadzie cia minut, a znowu jej kł by zalegały przestrze . Drugiego dnia Arseniew i Oswaticz kr c po jeziorze zauwa yli, e sonda daje gdzieniegdzie podwójne wskazania. Aparat ten wysła w gł b wody fale d wi kowe, które powracaj po odbiciu od dna, a z czasu, jaki dzieli wysłany impuls od echa, oblicza si gł boko . W niektórych miejscach powracaj ce echo było zniekształcone jakby dwukrotnym odbiciem. Dokładne badanie wykazało, e tu nad dnem jeziora przebiega długi, zawieszony w wodzie przedmiot, kształtu wielkiej rury. rednic jej oceniono na pi do sze ciu metrów. Rura szła prosto jak strzelił na północny wschód, dochodziła do brzegu, wnikała we na gł boko ci sze dziesi ciu metrów, przebijała masyw skalny pod przeł cz , w która wprowadziłem samolot w czasie pierwszego lotu zwiadowczego, i biegła dalej pod równina. ledz c bieg rury w przeciwnym kierunku, uczeni dotarli do drugiego kra ca jeziora. Wygl d jego był osobliwy. Zamiast ogromnych, szarobiałych gładów, za cielaj cych wsz dzie brzegi, nad wod stał czarny, wypukły wał, podobny do boku przewróconego okr tu. Pod st pni ciem okutych butów wydawał d wi kliwe, krótkie tony. Pobie na analiza wykazała, e jest to pokład elaza, pokryty wydmami łuskowatej rdzy. Zawezwano mnie i mój helikopter; za pomoc radaroskopu i aparatu indukcyjnego oznaczyłem granice elaznej formacji. Nie przekraczaj c nigdzie grubo ci czterech metrów rozpo cierała si na powierzchni sze ciu kilometrów kwadratowych. Brzegi jej, nierówne, jakby porozdzierane, wspierały si o zwały gładów. Pozostawiwszy helikopter na wodzie, wzi łem udział w badaniu elaznej skorupy. Sondy wskazywały, e urywa si ona ostr lini kilka metrów pod powierzchni wody. Dalej d wi kowe echo było zniekształcone i nieczytelne. Poniewa w skafandrach naszych mo na równie dobrze przebywa na l dzie, jak pod wod , spróbowałem da nurka. Woda była bardzo ciepła. Osuwaj c si po gładkim wybrzuszeniu brzegu, opu ciłem si na jakie pi metrów w dół.

Tak gł boko si gała ławica elaza. Ni ej był bardzo drobny, ciemny wir. Próbowałem podkopa elazna kraw d r kami, eby si przekona , jak jest gruba, ale cho wyryłem półmetrow wn k , nie osi gn łem kra ca. Dalej gł bia stawała si coraz wi ksza. Gdy wiało było ju tylko ciemnozielonym braskiem, uderzyłem r kami o tward wypukło . elazo powracało tu w postaci maczugowatych, pionowych iglic, wystaj cych z niewidzialnego dna. Wygl dało, jakby do wody wlał si roztopiony metal i zastygł w niej.

Zaledwie wróciłem na brzeg, Arseniew wezwał mnie sygnałem radiowym na pokład rakiety. Gdy osadziłem helikopter na jej grzbiecie, ukazali si Arseniew i Lao–Czu w metalowych skafandrach chroni cych przed promieniowaniem. Miałem lecie z nimi do Martwego Lasu. Spytałem, czy mog wzi tak e pancierz kameksowy, lecz Arseniew powiedział, e pójd sami. Nie pozostało mi wi c nic innego, jak zapu ci motor. Lot odbył si bez przeszkód, utrzymanie kierunku ułatwiały sygnały radiowe rakiety, naprowadzaj ce na wła ciwy kurs, ilekro si od niego odchylałem. Po trzech kwadransach ukazała si jasnooliwkowa, rozległa płaszczyzna na skraju Martwego Lasu. Wyl dowałem w pobli u uskoku, którym ko czyła si równina. Uczeni, zabrawszy aparaty i ładunki fulguritu, oddalili si i zostałem sam. Prace ostatnich dni były prowadzone tak skrupulatnie i metodycznie, jakby toczyły si nie na obcej planecie, lecz w najzwyczajszym zak tku Ziemi. Uczeni

przechodzili w milczeniu obok najdziwniejszych zjawisk, eby wymieni cho by zagadkow rur i elazny brzeg. Nikt nie wspominał nawet o moich metalowych mrówkach. Musz przyzna , e mnie to chwilami gniewało. Czułem, jak pochłania mnie kre lenie mapy, jak l cz c nad obliczeniami zapominam, e znajduj si u podnó a olbrzymiej, przerastaj cej pojmowanie tajemnicy. Kiedy próbowałem pyta , wszyscy, jakby zmówiwszy si , odpowiadali: „Z tym nale y poczeka ”, „na ten temat nic nie mo na powiedzie ”. A gdzie był polot, gdzie romantyzm pracy naukowej? Przez tych kilka dni, zdany na własn wyobra ni , stworzyłem z dziesi tek hipotez: e metalowy brzeg powstał od uderzenia w skały elaznego meteora, e rura jest jednym z tuneli, którymi poruszaj si w podziemiach metalowe stworzenia. Czandraskar, gdy mu to powiedziałem, obalił moje przypuszczenia w ci gu pi ciu minut.

— Widzi pan, do czego prowadzi nie ciste rozumowanie indukcyjne — zako czył.

— Moje pomysły nic nie s warte, dobrze — zawołałem — ale wy? Odkryli my rur i zamiast si do niej dobra , przez cały dzie pobierałem dzi próbki wody z ró nej gł boko ci. Doprawdy, nic ju nie rozumiem. Stajecie si bardziej tajemniczy od mieszka ców Wenery!

— Ach, wi c to my stanowimy dla pana zagadk ? — u miechn ł si matematyk. Nagle spowa niał i bior c mnie za r k , powiedział:

— Jeste my tylko przezorni. Nie otaczaj cy las tajemnic dyktuje nam post powanie, lecz co znacznie wa niejszego.

— Có takiego? — spytałem zdumiony.

— Ziemia. Prosz pomy le o niej, a zrozumie pan, e nie mamy prawa do pomyłek.

Pokonał mnie tymi słowami. Miał słuszno , ale prawd było równie , e nie ugasił wewn trznego ognia, który mnie palił. Zmuszałem si do cierpliwo ci w nadziei, e przyszło przynieść wielkie wydarzenia. Nie miałem długo czeka .

Arseniew i Lao—Czu powrócili do helikoptera objuczeni odłamkami kryształów. W czasie powrotnego lotu nie zamienili my ani słowa. Dopiero w komorze luz, kiedy pomieszczenie napełniło si tlenem, astronom, zdejmuj c z głowy czarny hełm, powiedział:

— Za godzin odb dzie si narada. Prosz , eby pan był na niej obecny.

We wspólnej kajucie stół za ciałą mapy fotograficzne i kre lone, ta my filmowe, próbki minerałów i ciał radioaktywnych, zamkni te w ołowianych kasetach. Metalowych owadów nie było: fizycy nie zdołali ich odnale .

— Przyjaciele — rozpocz ł Arseniew. — Za dwa dni zapadnie zmierzch i nadejdzie noc. nasza pierwsza noc na planecie. Jest wskazane, eby my si w tym czasie znajdowali na pokładzie rakiety. Z drugiej strony mamy przed sob pi dziesi t godzin czasu, a wst pne badania s na uko czeniu. My l wi c. e warto dokona dalszego wypadu w teren. Celem naszym jest nawi zanie kontaktu z mieszkańcami planety. Z tego, co my dot d odkryli, za najwa niejszy uwa am sztuczny twór, nazywany rur . Jest to metalowy przewód, stanowi cy, o ile mo na polega na badaniu za pomoc fal sejsmicznych i radiowych, rodzaj kabla siłowego. Co prawda, kabel ten wydaje si nieczynny, poniewa w ci gu kilkudziesi ciu godzin naszego pobytu na jeziorze nie przepłyn ła przeze najmniejsza cho by ilo energii. Mimo to wart jest uwagi. Jeden jego koniec spoczywa pod elazn skorup na brzegu. Zastanówmy si , czy nie warto poszuka drugiego...

Wczesnym rankiem otwarły si klapy i helikopter, podobny na swoich szeroko rozstawionych „nogach” do rozkraczonego pasikonika, wyjechał na grzbiet rakiety. Usadowili my si we czterech w oszklonej ze wszystkich stron kabinie, wielkie trój migło zawirowało, zmieniło si w przejrzyst tarcz , i maszyna, graj c jak b k, wzbija si w powietrze. Mgły, zdmuchiwane wie ym wiatrem, spływały z jeziora. Widoczno poprawiała si . Lec c kilkana cie metrów nad czarn wod , prowadziłem maszyn ku elaznemu brzegowi. Gdy wiatr uderzał, wydmy lotnej rdzy dymiły zabarwiaj c mgł na rudy kolor. Pod helikopterem zawieszony był czuły przyrz d indukcyjny, reaguj cy na obecno



metal i połączony kablem z moimi słuchawkami. Nad elaznym brzegiem słuchawki napętniły się przerażającym brzękiem i gwizdem. Jak orzeł w poszukiwaniu zdobyczy, zacząłem zataczać coraz szersze kręgi, a usłyszałem charakterystycznie łamiący się, cieniutki. Było to elektryczne echo, wzbudzone rur metalow. Odnalazłszy pewny ład, poleciećli my nim najpierw nad jeziorem, potem nad osypiskami głazów, wci w linii prostej.

adna najmniejsza nawet oznaka nie zdradzała na powierzchni gruntu podziemnej obecności rury, lecz prowadziłem pewnie, słysząc głos, który brzmiał w słuchawkach z jednakową siłą. W pobliżu przeleciał czy helikopter dostał się w nurt wiatru. Z obu stron sunęły obrywy, sięgające chmur ciemnym ogromem. Obłoki zagęszczały się białym kłobowiskiem pod grzebieniem skały, jak morska kipiela falochronu. Dalej przesmyk rozszerzał się i helikopter, podbijany wiatrem, wypłynął nad równiną. Walcząc z wirami powietrza zgubiłem akustyczny ład i musiałem przez kilka minut lawirować, zanim udało mi się go odnaleźć. Gdy zataczałem kręgi, raz jeszcze ukazała się w wylocie bramy skalnej daleka tafle jeziora z opadającymi obłokami. Fale spieniały się uderzając o brzegi. Potem bariera skalna zamknęła widok. Przeszło godzinę lecieliśmy nad falistymi wzgórzami. Ponieważ musiałem pilnować elektrycznego echa, łaczno radiow z Kosmokratozem utrzymywał Sołtyk; od czasu do czasu dawał mi znak, że wszystko jest w porządku. Arseniew robił zdjęcia kamerą z teleobiektywem, a Rainer czuwał nad przyrządami wskazującymi natężenie promieni kosmicznych. Wietlista tarcza migła stała nad nami skosem, pozornie nieruchoma, tylko jej monotony gwizd to słabł, to potęgał się. Zrazu lecieliśmy w kierunku Martwego Lasu, póki nie jednak rura skręciła i biegła wielkim łukiem na północny zachód. Grunt podnosił się powoli, lecz nieustannie. Stojące z rzadka ostre, dziwacznie uformowane skały były si w graniaste masywy. Coraz częściej gubiłem ład i musiałem kręcić, aby go odszukać. Pod oknami przesuwwały się kamieniste zbocza zasłane głazami, rozpadliny i wwozy. Akustyczny ład prowadził wzdłuż pochylego ramienia górskiego na rozległy płaskowyż, za cielonymi wełnistymi chmurami. Niekiedy mleczne opary otaczały całą kabinę, czasem pogroziło się w nich migło i wtedy jego szklisty kręgi mignął.

Wtem chmury rozstąpiły się. Pod nami ziała czarna otchła, krater — jakby pięciogiganta wybity w skałach. Helikopter obniżył się ku krawędzi obrywu, czarnej, zeszlonej, pokrytej siatką piany. Dalej, za wychylonymi płytami bazaltu, była próżnia. Eglowały niewiotkie opary, osiadały na brzegach przepaści i wysnuwały w dół pościanach długie, drucie macki. Tam właśnie ginął ład. Odwróciłem się do Sołtyka. Pokręcił głową, wskazując na aparat. Radio zamilkło już dawno, bo mi dzwoniłami a Kosmokratozem leciał Martwy Las. Byli my zdani tylko na siebie. Popchnąłem drążek sterowy. Helikopter zawisł nad otchłanią. Chmury były tu nad nami, wiatr od migła wprawiał je w łagodny, kojący ruch. Maszyna kołysała się jak korek rzucony na niespokojną wodę. Migło wirowało coraz szybciej, nie znajdując oporu w próżniach powietrznych. Nagle poleciećli my w dół. Za szybami tańczyły i rwały się przekroje warstw geologicznych. Rozpędzony motor wył przeraźliwie. Z trudem parowałem gwałtowne pchnięcia, które wymierzał mi targający się ster. Powoli zacząłi my odzyskiwać wysokość. Za oknami cofały się i odchodziły w dół ostre ściany skalne, owiane kłobami pary. Nie można było bez zawrotu głowy patrzeć w to uroczysko. Nic z krajobrazu gór, przez setki lat niwelowanego działaniem wody i wiatru. Wśród chmur stały ściany gładkie jak tafle czarnego lodu. Wzrok, kierujący się mimo woli na wprost, ze lizgiwał się po tych strasznych miejscach. Wznosili my się zataczając wielkie koła jak orzeł górski, a całą krater leżał w dole — czarny kocioł wypełniony mgłami.

— Straciłem ład — powiedziałem do Arseniewa. — Czy to wulkan? Może rura która czy się właśnie tutaj?

— To nie wygląda na wulkan. W dół nie możemy się opuścić, prawda?

— Nie.

Podsunię mi mapę, na której czerwona linia zaznaczył przebieg dotychczasowych dróg.

— Rura trafia w przepaść z boku, prawie po stycznej. Trzeba jej szukać po przeciwnej stronie, tam gdzie te skałki jak głowy cukru nad chmurami, widzi pan?

Skin łem głów. Helikopter ruszył i leciał nad otchłanią ku wskazanemu miejscu. Czarne stożki skalne wychylały się z chmury tak białej, że można było wziąć za zmarzły nieg. W miarę jak my się do niej zbliżaliśmy, ciana krateru zdawała się rozsuwać. Pojawiały się w niej coraz nowe wnęki, zaułki, korytarze. Wtem słuchawki zabrzmiały dalekim tonem, a zarazem pomiędzy dwiema skałkami, które tworzyły jakby strzaskaną bramę, wysuwając nad przepaść w skie cyple, rozwarł się wielki wózek. Dzięki w słuchawkach był całkiem inny od utraconego ładunku: membrana brzęczała basowo.

Porozumiałem się spojrzeniem z astronomem: i on to słyszał. Skinął głową na znak, abym utrzymywał obrany kierunek. Spróbowałem wznieść się nieco, lecz natychmiast utonęliśmy w chmurze tak gęstej, że zatępiły się kontury skał w radaroskopie. Przesunęliśmy więc ster i opadliśmy pomiędzyściany w wozu, lecz kilka metrów poniżej jego brzegów. Zamknęta przestrzeń wyolbrzymiała łoskot motoru. Z prawej strony zbrocze nawisło potwornym, na wpół odłupanym od macierzystej skały baldachimem. Z góry legł na nas zimny, nieruchomy cień. Gdy omijałem niebezpieczne miejsce, brzęczenie odmieniło się. Pojawił się w nim nowy ton, jakby niezmiernie odległe dudnienie. Jakieś sto metrów przed nami w wózek zakręcił ostro; przewieszona zbrocza zamykała dalszy widok.

— Czy mógłby pan tu wylądować, na dzień? — spytał Arseniew. Z ogromną uwagą ledził strzałką przyrządu indukcyjnego. — Tu jest, zdaje się, coś ciekawego.

— Spróbuj — odparłem. Motor cichł. Opadaliśmy powoli. Dno w wozu, całe w posępnych cieniach, wynurzyło się ze skrótów i uskoków skały i sunęło pod nami leniwie, jakby w zwolnionym filmie. Za ciałami jeśkone, zachodzące na siebie płyty o ostrych krawędziach, pokryte prawie czarnym gruzem. Tu przed wielkim skrzem w wozu dostrzegłem pas dosyć równej, nagiej skały, wolny od głazów. Wyglądało, jakby je ktoś umyślnie poodrzucił w bok, przez co powstała pusta przestrzeń, ograniczona z boku stosami czarnych kamieni. W tej chwili nie zastanawiałem się nad tym dziwnym zjawiskiem, zadowolony, że udało mi się posadzić maszynę. Wyłączyłem motor. migło począł pracować jako spadochron. Mieląc z przenikliwym wistem powietrze, helikopter splanował w dół i osiadł tu pod wzgórzem czarnych głazów. Brzęczenie w słuchawkach stało się tak nieznośne, że zsunęłem je z uszu. Arseniew pierwszy uporał się z nalożeniem hełmu i wyskoczył z kabiny. Sołtyk, Rainer i ja podążyliśmy za nim.

— Magnetyt — powiedział Rainer, ledwo podjął okrucieństwo skały. — Ruda elaza, i to wysokoprocentowa.

— Aha, to dlatego aparat tak brzęczał! — powiedziałem. Arseniew schylił się, wszedł pod rozstawione szeroko podwozie helikoptera, odczepił aparat indukcyjny i wetknął końcówki kabla we wtyczkę swego skafandra. Potem, podnosząc przyrząd, począł zataczać jego w skim wylotem kręgi. Uchwyciwszy ładunek ruszył w górę w wozu. Wracał drogą, którą przylecieliśmy. Wielkimi krokami przechodził lekko z kamienia na kamień. Ruszyłem za nim. Z obu stron wznosiły się dzikie urwiska. Chmury osiadały na brzegach przepaści, zatapiały jej krawędzie i napęniały w wózek dziwny, rozproszony po wiat.

— To brzęczenie spowodowała ruda, więc jesteście my na fałszywym tropie — powiedziałem do Arseniewa doganiając go.

— Tu jest coś jeszcze oprócz tego przekutego magnetytu — odrzekł. Nagle zmienił kierunek marszu. Zaczęła się wspinać na wielki fałd kamienny, barykadujący drogę. Dalej spadał pionowy próg.

— Tam nie ma przejścia — powiedziałem, lecz Arseniew szedł dalej. Zrobiłem krok naprzód i spostrzegłem w cieniu występu, który zakrył nam połowę nieba, co w rodzaju w skiej półeczki. Za ledwie na niego wstąpiłem, uczułem, że jest tam ciepło. Jeszcze kilka kroków — i ukazało się jakby wejście do ogromnego tunelu. Jego kolistej linii można było

tylko domy li pod stosami spi trzonych gro nie głazów. Panował tu półmrok; Arseniew wydobyl r czny reflektor i zapalił go. W szczelinach pomi dzy brzegami głazów co si zaiskrzyło. Naparłem na najbli szy kamie , a gdy poddał si , zacz łem odtacza w bok inne. a chwyciłem rozerwany i zmi ty płat falistej blachy. Arseniew przeło ył reflektor do lewej r ki. w praw wzi ł aparat indukcyjny i przybli ył go ku zaporze głazów.

— Trzeba by tu przyj ze specjalnym rynsztunkiem — zauwa ył Sołtyk — eby odwali kamienie.

— Mo e to jest droga... ich droga? — spytałem.

— To nie jest droga... — odezwał si astronom. Wspi ł si w gór po gruchoc cych głazach i o wietlał szczeliny pomi dzy nimi.

— To rura...

— Rura?

— Tak. Rozerwana jakim kataklizmem. Zniszczona.

— Zniszczona? — powtórzyłem oszołomiony. Stałem po ród chaotycznie nagromadzonych brył. Zarys tunelu zatracił si . Dopiero odszedłszy kilka kroków, ujrzałem go znowu; wynurzał si spod kanciastych odłamów nieci gł , owaln linia. Arseniew szedł ku nam z aparatem przerzuconym przez ramie.

— Rura, której ładem lecieli my, urywa si gdzie : w cianie krateru, tam — wskazał sk d przybyli my. — Jest ona zupełnie głucha... martwa. Nie płyn ł ni najslabszy nawet pr d. To, co my słyszeli lec c, ład akustyczny, to było tylko elektryczne echo, odbite od jej metalowej powłoki. A ta cz — wskazał na barykad głazów — jest czynna. Chce pan uslysze ? — podał mi koniec kabla kieruj c jednocze nie aparat ku wej ciu do tunelu.

— To to przecie ... — zawołałem, lecz Arseniew przerwał mi:

— Prosz nie ko czy !

Podał kabel Sołtykowi, aby i on wysłuchał płyn cych z gł bi odgłosów.

— No, teraz powiedzcie, co wam to przypomina?

— Lampy pod pr dem! — odezwali my si równocze nie, jakby zmówieni. Przez chwil patrzyli my na siebie. Blask płon cej latarki rzucał na mroczne prz sło skalne nasze cienie jako zgarbione sylwety olbrzymów z trójk tnymi głowami. wiatło grało w metalowych kaskach.

— Tak — powiedział astronom. — To jest odgłos, jaki wydaj lampy katodowe, kiedy płynie przez nie pr d...

— Có mog tu robi lampy i gdzie one s ? W rurze?

Arseniew wzruszył ramionami. Przykl kn wszy podwa yłem kilka płaskich głazów, na których stali my. Ich gł bsza warstwa zanurzona była w ciemnym szlamie. Dotkn łem go r k ; palce weszły w kleist mas . Zdj ty obrzydzeniem, ju chciałem powsta , gdy dło natrafiła na obły, twardy kształt. Poci gn łem i wyrwałem spod kamieni co , co wygl dało jak odłamana gał . Wła ciwie jednak niewiele miało z gał zi wspólnego. Był to krótki, do gruby cylinder, z którego wychodziły trzy cie sze, ka dy z kolei rozwidlał si i w ten sposób powstawał przy ko cu p k cienkich, sztywnych pr tów. Cało wa yła mo e pi tna cie kilogramów, miała metr długo ci, a najgrubszy cylinder ukazywał na podstawie szereg współ rodkowych warstw na przemian szarego i ółtego metalu.

— Jaka aluminiowa wierzba — powiedziałem. — Spójrz pan, profesorze.

Arseniew ogl dał to z najwy szym zaciekawieniem. Ka d gał zk brał w palce, zbli ał do niej elektrometr. bez rezultatu zreszt . Potem rozejrzał si .

— Polecimy dalej w wozem, ładem rury.

— Ten magnetyt b dzie diabło mylił — zauwa yłem.

— To nic, za to rura odzywa si teraz własnym głosem.

Powrócili my do helikoptera. Tutaj Arseniew zatrzymał si wst puj c na wysoki głaz.

— Zaczekajcie, musz to zbada ...

Wł czywszy aparat pocztowy obchodzi miejsce lądowania.

— Rura leży tu zupełnie płytko... to wolna przestrzeń... Nie wiem, czemu, ale cała ta historia nie podoba mi się... nie rozumiem... — mówił urywanymi zdaniami, najwyraźniej do siebie.

— Doktorze — spytał nagle Rainera. — Jak pan się dowie, czy tamta przepaść może być wygasłym wulkanem?

— Na Ziemi powiedziałby — wykluczone, skoro według skał... tak i trzęsienia zapadów dają całkiem inne obrazy... ale tu mogę tylko powiedzieć: nie wiem.

— Dlaczego rura wynurza się? Czy by to był przypadek?

— Zdaje się, że rozumiem, o co panu chodzi — powiedział Sołtyk. — Rura powinna być głębiej, prawda? Jako inżynier, gdyby mi przyszło instalować tak wielki przewód siłowy, założyłbym go na głębokości co najmniej sześćdziesięciu metrów.

— Nie tylko o tym myślałem — rzekł Arseniew — ale to jest rzeczywiście ciekawe... Zastanawiające... — powtórzył. — Nasuwa się mimo woli przypuszczenie, że najpierw założyono rurę, a potem... że bałwan terenu zmieniła się...

— Chce pan powiedzieć, że rura założyono, kiedy nie było jeszcze krateru ani tego wozu? — spytałem.

— Tak, właśnie to. Wiecie co, chodźmy poza ten wielki skręt, może stamtąd da się coś rozpoznać.

Zeszliśmy my kilkaset kroków po czarniawych głazach. Byłem szybszy od innych i pierwszy stanąłem w zwężeniu kamiennego gardła. Nie dalej, w odległości może dwustu metrów, wózek się skończył. W obramieniu ciemnego wylotu znajdowała się przestrzenna dolina. W jej środku leżało jezioro. Czarna, nieruchoma tafla wody z wystającymi jeszcze w znacznej odległości od brzegu igłami skalnymi ciągnęła się w dal. Osłoniła ją lekka, zwiewna jak dym mgiełka. Ze wszystkich stron zbiegały osypiska, okalające jezioro olbrzymim, stromym lejem. Wśród złomów i brył piargu sterczały grupy nieregularnych iglic skalnych. Po prawej od mrocznego tła urwisk odcinał się biały krętek. Kto podszedł tak blisko, mógł dotknąć mego ramienia, lecz nie zwróciłem na to uwagi. Niemal równocześnie nie z towarzyszem — był to Arseniew — podnieśliśmy do oczu lornety.

Kilka razy mrugnąłem powiekami, bo wydało mi się, że podlegam złudzeniu. Ale nie, ostro była doskonała i lorneta w porządku...

W dzikim rumowisku wznosiła się biała kula. Była to jakby gładka kopuła, wstała cała spomiędzy głazów matematycznie dokładną linią, ciętą, spójną, bezładnie nierówną. Odcinała się niezmiernie ostro od chaosu okalających ją złomów piargu.

— Czy potrafi pan posadzić tam maszynę? — odezwał się astronom.

Nie od razu odpowiedziałem, przemierzając lornetą przestrzeń. Wszędzie głązy na głazach, wysuwające w górę ostre krawędzie, wszędzie nieskończone ławice piargów, szarymi jarami wchodzące w łeb. Gdzieś tam odłamy, ustawione na innych w zawieszonym tak niezwykle, a kiedy je oko opuszczało, zdawały się tracić równowagę i padać.

— Lądowanie byłoby niebezpieczne... — powiedziałem. — Jeśli głązy się obsuną, maszyna przewróci się. Migłoby może się zgiąć. Ale możemy przecie zejść, to jest niedaleko, nie więcej niż trzy kilometry...

— Nie wiem, czy nie lepiej byłoby wrócić do rakiety — rzekł powoli Arseniew. — Szkoda, że nie mamy hydroplanowego podwozia... można by się na jeziorze.

Miał na myśli nadymane kule gumowe, na których helikopter może wodować. Zostawili my je w rakiecie, aby zmniejszyć obciążenie maszyny.

— Profesorze, teraz wraca?! — zawołałem. — Teraz, kiedy jesteście już tak blisko rozwiązania zagadki?

— Rozwiązanie zagadki nie wydaje mi się wcale takie bliskie.

Towarzysze stali przy nas na progu skalnym patrz c przez szkła w rozległe pustkowie. Arseniew opu cił aparat indukcyjny ku ziemi i wodził przez chwil jego wylotem po otoczeniu.

— Rura, zdaje si , rzeczywi cie schodzi w dół, ku tej kuli... — powiedział, — Ale odbiór jest fatalny, to magnetyt...

Wysokie hałdy rury elaznej wyzwały si z w wozu i pokrywały zbocze zw aj cym si w dole klinem. Dalej piargi przybierały odcie ja niejszy, taki sam jak w całej dolinie. Arseniew zarzucił aparat na plecy i przymocował go do szerokiego pasa naramiennego.

— No, có , pójdziemy chyba... pan prowadzi, pilocie... Im ni ej schodzili my po piargu, tym dziksze stawało si otoczenie. Okruchy staczaj ce si spod butów poci gały za sob inne. Kiedy w pewnej chwili spojrzałem w tył, nie dostrzegłem ju helikoptera. Skrył si w gł bi w wozu.

W miar jak spadek stawał si wi kszy, coraz trudniej było i . Kamienie osuwały si przy lada dotkni ciu, raz cały pokład ruszył wraz ze mn z rosn c szybko ci . Uskoczyłem w bok, na płyt wspart o ebrowo zbocza. Nu cy marsz przedłu ał si . Min li my ju doln granic magnetytów i cała powierzchnia gruzowiska migąła w oczach od drobnych iskierek kwarcu, zdaj c si chwia .

— Sta pan na chwil — powiedział Arseniew. Postłu ył si aparatem, kieruj c go pionowo ku ziemi.

— Rura jest niedaleko, ale... — nie ko cz c zbli ył si i podał mi kabel. Wł czyłem go i drgn łem, tak bliskie i mocne było miarowe dudnienie. Arseniew spojrzał w gór , jakby oceniał odległo dziel c nas od wozu, i ruszył przed siebie. Biała Kula zbli ała si powoli. Trudno było oceni jej wysoko ; z lewej strony wystawały spoza niej cztery igły skalne, po prawej stały g sto spiczaste obeliski, otoczone zwietrzalymi odłamami. Mi dzy nami a kul ciemniała w ska zatoka. Wody jeziora rozcinały tu grunt czarnym j zykiem, uj tym w strome gruzowiska. Przeciwny brzeg pokrywały rozszarpane kamienie i l ni ce gro nie, d ba stoj ce płyty. Nagle astronom przystan ł.

— Biała Kula nadaje... — odezwał si głucho. Aparat indukcyjny stał si niepotrzebny; odbiornik radiowy w hełmie huczał basowym, narastaj cym pomrukiem. Po pieszyłem za Arseniewem. Zr cznie przesadzał głązy, pierwszy dotarł do zatoki i bez wahania wszedł w wod . Przez chwil pogr ał si , lecz nie si gn ła mu wy ej piersi. Rychło pomagali my ju sobie przy wej ciu na drugi brzeg, usłany sko nymi płytami. Ze szczytu wzniesienia ponownie ujrzeli my Bia ł Kul . Jej kopolaste sklezione boki rzucały lekki cie na powierzchni rumowiska. Pochyło wiodła ku roztrzaskanym cz ciowo iglicom. Za ostatni była równa przestrze , zavalona otoczkami i drobniejszym gruzem. Wzrok nie ogarniał ju Białej Kuli. Stała przed nami jak wypukły, gładki mur. Podeszli my blisko. Dotkn łem białej ciany. Serce uderzało spiesznie. Podniosłem głow . Kula wznosiła si milcz cym, nieruchomym ogromem. Oparłem si o ni plecami. Helikoptera nie było wida ; daleko, nad stokiem osypiska, którym zesli my, ział w rozsuni tych skałach wylot w wozu.

— Dudnienie staje si coraz silniejsze — powiedział Rainer. — Czy nie jest wskazane oddali si ?

Arseniew spojrzał na indykator radioaktywno ci.

— Nie ma adnego promieniowania, ale my l , e...

Nie doko czył. Czarne uj cie w wozu, w które wła nie patrzałem, rozja niło si nagłym błyskiem. Dobiegł stamt d przeci gły grom; jeszcze raz błysn ło i zagrzmiało, potem z czelu ci zacz ł si g stymi kł bami wytacza dym. Płyn ł leniwie nad piar yskiem.

Nikt z nas si nie odezwał. Trwali my tak mo e minut , wpatrzeni w dymi cy wylot w wozu. Nareszcie astronom przerzucił aparat przez rami i spojrzał na nas po kolei.

— S dz , e... b dziemy nocowa poza rakiet ... — powiedział i ruszył ku zatoce.



Droga powrotna zajęła nam prawie dwie godziny. Z łomoczący mi sercami, zadyszani, złani potem, prawie biegiem wpadli my w wóz, który powitał nas głuchym milczeniem. Było tu daleko chłodniej niż w dolinie. Wdzierali my się jeden za drugim na góry, przebiegali my po chwiejnych taflach, skakali my z kamienia na kamień, a ukazało się miejsce lodowca.

Skala była okopcona, tłały na niej jeszcze zwłone szczątki, kawały konstrukcji, krople stopionego straszliwym smarem metalu. Przy moim buciu błysnęło coś srebrzyste: wspornik podwozia wraz z przytrzymał się, rozdarty jak papier.

Arseniew ledwo okiem rzucił na ten obraz zniszczenia. Opuścił aparat indukcyjny i przez dłuższą chwilę nasłuchiwał.

— Tak się płaci za głupot — powiedział, zarzucił aparat na ramie, odwrócił się i zaczął schodzić w dół. Szli my urwistymi piargami nie odzywając się. Kroki rozbrzmiewały donośnie w panującym ciszy, przerywanej tylko szelestem staczącego się wiru.

Niedaleko za nami wozu Arseniew przystąpił do wielkiej, gładkiej płyty, wspartej na ostrzach kilku głazów, tak się tworzyła rodzaj naturalnego stołu.

— Odpoczynek piętnastominutowy i narada — obwieścił. — Czy orientujecie się w tym, co zaszło?

Mówię to rozpostarł na kamieniu mapę, którą miał w zewnętrznej kieszeni skafandra. Co do mnie, nie rozumiałem nic. W głowie miałem zupełny chaos. Wiedziałem jedno: zaszła katastrofa, której skutki były nieobliczalne. Stracili my helikopter, aparaty, wszystko. Pozostało nam po elaznej racji konserw na głowę, niewielkiej ilości wody i zapasie tlenu, jaki miał się w butlach skafandra. Poza tym Sołtyk niósł przypasany na plecach ręczny miotacz płomieni, a ja — zwój liny. To było wszystko.

— Pan nie przypuszcza chyba, profesorze, że to był... atak? — spytał powoli Sołtyk.

— Nie. Sądzi się, że w dużej mierze zawiniли my sami.

— Ale dlaczego, w jaki sposób?! — zawołałem. Arseniew nie odpowiedział.

— Wybuchło paliwo w zbiornikach — myślałem głośno Rainer. — Ale to był tylko początek. Jeśli połączymy katastrofę z tym dudnieniem, które słychać było pod kulami... tak, tak, rura!

— A więc pole magnetyczne? — spytał Sołtyk.

— I to olbrzymiej siły... w ułamku sekundy musiały działać miliony gaussów!

Co zaczęło mi się przejawiać, lecz wciąż jeszcze nie mogłem z usłyszanych fragmentów złożyć całości.

— Te kamienie... magnetyt... Profesorze, czy to było w związku z tym pustym miejscem, na którym wylądowali my?

— O to właśnie nie! — powiedział Arseniew i mimo całej tragiczności naszego położenia w głosie jego zabrzmiał triumf uczonego, który znajduje rozwiązanie problemu.

— To puste miejsce!

Przytrzymał się brzegi papieru, które trzepotały na wietrze, wskazał przebieg drogi do miejsca katastrofy.

— Rzecz jest prosta, tak prosta, że mógłby ją dziecko, a my zachowaliśmy się jak głupcy! Rura, leżąca wszędzie na głąbokości kilkudziesięciu metrów, wynurza się tutaj i biegnie pod samą powierzchnią skały. Po jednej stronie jest nad nią przestrzeń pusta, a po drugiej — stosy głazów. Nie są to zwykłe góry, lecz magnetyt, ruda elazna! Kiedy płynie przez, wokół rury powstaje pole magnetyczne. Jak długo natomiast nie zmienia się, jest ono nieruchome. Przy wzrocie przez pole zaczyna wirować zgodnie z regułą Oersteda.

— Diabli! — krzyknąłem. — Reguła korkocięgu!

— Tak. Powiada ona, że jeśli przez płynie w kierunku wskazanym przez ostrze, to pole obraca się zgodnie ze skrętami korkocięgu. W doświadczeniach laboratoryjnych używa się jako przewodnika drutu miedzianego, a jako ciała, które pole ma poruszyć — opiłków elaza. Tutaj był podziemny przewód i góry magnetytowe. Kiedy przez osi ga wielkie natężenie,

pole magnetyczne przerzuca głazy z jednej strony rury na drugą. W ten sposób powstała od zachodu przestrzeń pusta, a od wschodu — stosy głazów.

— Ale rura powyżej tego miejsca jest przzerwana — zauważyłem.

— To nic. Po prostu jest uziemiona i prąd wchodzi w skałę. Pamiętaj pan, że tam jest „elazny grunt”, który nie stawia mu prawie wcale oporu.

— A prawda! To helikopter tak je rzuciło na te głazy?

— Tak.

— I nastąpiła eksplozja paliwa? A przecie wylądowałem.

— Wskutek indukcji musiały w konstrukcji metalowej powstać prądy wirowe tak potwornej mocy, że metal zaczął się w mgnieniu oka topić — wyjął ich z niego. Opuściłem głowę.

— A to wylądowałem... — powiedziałem zgnębiony. — Ładnie wylądowałem... to puste, równe miejsce było pułapką... ale kto mógł przypuszczać?

— Ka dy! — odparł ostro Arseniew. — Mieliśmy wszystkie dane; wiedzieliśmy, że tam rury znajdą się pod prądem... co prawda, słabym, kiedy my tam byli, ale prąd, który mógł się w każdej chwili spotęgować. Dalej, rozpoznaliśmy głazy jako rudelaz. Widzieliśmy, że puste miejsce ogranicza cały ich stos... dlaczego? Kto je stamtąd odrzucił i po co? Dla naszej wygody? Trzeba było myśleć! myśleć!

— Racja — rzekł Sołtyk. — Ale do tego o tym. Dajmy temu pokój. Należy zastanowić się, co teraz robić.

Cztery hełmy pochyliły się nad mapę.

— W linii powietrznej dzieli nas od rakiety jakie 90 do 100 kilometrów... terenu bardziej ciękiego. Nie jest to, szanowny, ocena przesadna. Wody mamy mało, powietrze cięgie, a tlenu... — Arseniew spojrział na manometr aparatu tlenowego.

— Starczy na jakie czterdzieści godzin — powiedziałem.

— Nawet na czas krótszy, jeżeli będziemy zmuszeni do dużego wysiłku fizycznego. Wiecie, jak umówiliśmy się z towarzyszami. Jeżeli nie wrócimy do ósmej wieczorem, Oswaticz poleci samolotem wzdłuż ładunku akustycznego. Jeżeli nie zgubi go przedtem, dotrze do krateru... tam, gdzie się ładunek urywa.

Astronom spojrział na mnie.

— Czy można wprowadzić samolot do wozu? Przymknijem powieki. Przed oczyma staną ci czarne, zwichrowane mury skalne.

— Wprowadzić można — powiedziałem — ale...

— Ale?

— Ale zawróci — nie. Samolot nie potrafi zawisnąć nieruchomo jak helikopter.

— To znaczy, że każda próba musiałaby się zakończyć katastrofą?

— Każda.

— Miejmy nadzieję, że Oswaticz będzie... — rozszedł się... — powiedział oschle astronom. — Dobrze. W najlepszym razie będzie wiarygodny mógł zrzucić rezerwuary z powietrzem nad brzegiem urwiska.

To, o czym mówił astronom, było cząstką planu ratowniczego, opracowanego przed naszym wyruszeniem. Oswaticz miał, w razie jeżeli nie będzie mógł nas odszukać, zrzucić na spadochronie zbiorniki z powietrzem i tlenem, wyposażone w specjalne aparaty radiowe, nadające automatycznie sygnały, co miało ułatwić ich odszukanie.

— Przez wózek przeprawilibyśmy się w parę godzin — powiedział Arseniew — ale ciany krateru są nieprzebyte. Bez względu na to, jak obierzemy marszrut, jest wykluczone, aby się nam udało dotrzeć do rakiety przed zmierzchem, który rozpocznie się za jakie 26–28 godzin. Pamiętajcie te wózki i rozpadliny, nad którymi przelatywaliśmy? Zaznaczyłem je tylko szkicowo, bo liczyłem na fotografie, które przepadły. Co wiarygodnie proponujecie?

Zapadło milczenie, tylko wiatr syczał, rozdierany krawdziami głazów, i brzeg mapy trzepotał niespokojnie, przyci ni ty r kawic astronoma.

— Robi c cztery do pi ciu kilometrów na godzin i nie przystaj c wcale, mogliby my teoretycznie odby drog do Kosmokratora w przeci gu doby — powiedział Sołtyk. — Jednak e takie obliczenie nie ma adnej warto ci, bo nie wiadomo, na jak długo zatrzymaj nas rozpadliny... i czy w ogóle dadz si przej albo obej . Dlatego proponuj , eby my poszli nie na południowy zachód, w kierunku rakiety, lecz na wschód, pod prostym k tem do drogi, któr przylecieli my...

Patrzałem zdumiony na in yniera, a on ci gn ł spokojnie:

— Zasi g naszych aparatów radiowych jest du y, ale wysyłana fala biegnie jedynie w linii prostej. Mogliby my wi c skomunikowa si z towarzyszami tylko wznosz c si na wysoko tak znacz n , by pomi dzy nami a rakiety nie stały adne przeszkody terenowe. Nie wystarczy wej na płaskowy w stronie, z której przylecieli my, bo pomi dzy nami a nimi jest tam Martwy Las ze swoj stref zjonizowan , która odbija fale jako lustro. Za to gdyby my poszli tu — przesun ł palec na mapie poza wschodni brzeg doliny — i weszli na jeden z tych szczytów — by mo e, udałoby si nam nawi za ł czno ...

— By mo e — podkre lił głosem Rainer.

— Innego wyj cia nie widz .

— Pewno ci, oczywi cie, mie nie b dziemy.

— Nie. Trudno oceni odległo , ale nie dzieli nas chyba od tych skał wi cej ni pi do sze ciu kilometrów. Dodajmy jeszcze osiem... niech b dzie dziewi , nawet dziesi godzin na wspinaczk — i znajdziemy si na miejscu panuj cym nad ca ł okolic .

— Ale jezioro, na którym le y rakiet a, otoczone jest skałami — zauwa yłem. — Czy wzi ł pan to pod uwag ?

— Tak. Przeł cz skierowana jest wła nie na północo-wschód, to znaczy prosto na t grup szczytów.

— Ten projekt odpowiada mi — powiedziałem. — Gdyby si udało nawi za ł czno , rakiet a przyleci do nas... i nie b dziemy musieli nocowa ...

— Pomysł jest dobry — rzekł Arseniew — chocia niełatwy do wykonania. Czy akceptujecie go wszyscy?

Potwierdzili my.

— Teraz, kiedy nie mamy pomocy technicznych, w jakie zaopatrzyła nas Ziemia, poka e si dopiero, ile jeste my warci — rzekł Arseniew i wstaj c zwrócił si do mnie:

— W chodzeniu po górach jest pan najsprawniejszy. Liczymy na pana.

— Czy zaraz wyruszymy? — spytałem,

— My lałem o tym, eby zbada wod w jeziorze — mo e nadaje si do picia.

— Id cie wi c tam — powiedziałem — a ja rozejrz si tymczasem i poszukam drogi. Mo e da mi pan swoj lornet — poprosiłem Arseniewa, gdy jego szkła były silniejsze od moich.

Towarzysze zacz li schodzi w dół, a ja zmierzałem ku grupie smukłych wie yczek skalnych. Upatrzyłem sobie jeszcze w czasie narady dwie stoj ce tak blisko siebie, e wygl dały jak na dwoje rozp kły kamienny obelisk. Wcisn łem si w szczelin i, pracuj c na przemian nogami i grzbietem oraz odpychaj c si r kami, szybko wznosiłem si w gór . Przez jaki czas słyszałem jeszcze urywki rozmowy prowadzonej przez Sołtyka i Arseniewa, potem, kiedy znikn li za głazami, głos w słuchawkach cichł.

Wierzchołek igły nie był zbyt ostry; mo na tam było swobodnie usi , zwisiwszy nogi w przepa . Podniosłem lornet do oczu. Nad urwiskiem, które wyra nie rysowało si w okr głym polu widzenia, stały dwa szczyty. Rzadka mgła, zawieszona w powietrzu, nadawała im ołowian barw i zacierała drobniejsze szczegóły rze by. Odkryłem prz sło skalne, które wznosiło si od piargów i podchodziło do głównego masywu. W pewnej chwili wydało mi

si , e białawy obłok, osuwaj cy si po jednym z upatrzonych szczytów, nagle znikn ł. Mogło to oznacza , e pomi dzy tym szczytem a nami le y jeszcze jedna dolina. Patrzałem pilnie, lecz nie dostrzegłem niczego, co mogłoby rozproszy w tpliwo ci. Postanowiłem nie wspomnie o tym towarzyszym. Niebawem w słuchawkach odezwały si ich głosy.

— No, i jak woda? — spytałem chowaj c lornet do futerału. Owin łem podwójnie zło on lin wokół wyst pu skały.

— Niestety, to raczej roztwór formaliny — rzekł Arseniew.

Jego głos, docieraj cy do mnie poprzez odbiornik radiowy, brzmiał dono nie, co niezwykle kontrastowało z widzianym obrazem: towarzysze zbli ali si do stóp igły, na której siedziałem, i z wysoko ci wielu pi ter podobni byli do szarych, wielkogłowych mrówek.

Odepchn wszy si mocno nogami, pomkn łem w dół. Energicznie zaciskałem lin , wysuwaj c si spod lewego barku. Po kilkudziesi ciu sekundach znalazłem si przy towarzyszach i poci gn łem koniec liny, która spadła z góry lu nymi zwojami.

— Mam nadziej , e wybrał pan drog mniej powietrzn — powiedział Rainer patrz c nieco podejrzliwie, jak owijam lin przez bark. Domy liłem si , e odczuwa trem przed wspinaczk — z nas wszystkich najmniej był obeznany z górami...

— Pójdziemy doskonale — pocieszyłem go i przedstawiłem swój plan:

— Najpierw piargami na granicy pasa magnetytów, a do ciany, potem mały trawers w lewo, a dalej po ebrze do góry. Zdaje si , e w jednym miejscu jest uskok... albo przetraversujemy znowu, albo we miemy z drugiej strony...

— Jak to „albo — albo”? — spytał Rainer. — Mo e podejziemy bli ej?

— Na pewno podejziemy, bo lepszej drogi nie ma... Ruszyli my w obranym kierunku. Nad jeziorem le ały głązy tak potrzaskane i strome, e cz sto trzeba było przełazi je na czworakach, potem jednak pojawiły si długie, chropawe płyty, po których szło si wcale dobrze.

— Jednego nie pojmuj — powiedziałem do Arseniewa, który szedł obok mnie — dlaczego w rurze pojawił si pr d akurat wtedy, kiedy my wyl dowali? Czy to naprawd mógł by przypadek, zupełnie nie zwi zany z nasz obecno ci ?



— A dlaczego by nie? Rura zdaje się stanowić część wielkiej sieci energetycznej, w której okresowo pojawiają się olbrzymie prądy... zaczyna się to od powolnego wzrostu natężenia... pamiętam ten odgłos, który określiłem jako „lampa pod prądem”? Potem przychodzi fala coraz wyższa... to było owo dudnienie pod kul... a wreszcie nadchodzi szczyt mocy. Takie zjawisko może się powtarzać raz na kilka godzin czy raz na dzień.

— A głazy zostały odrzucone z tego miejsca poprzednimi uderzeniami prądu, prawda?

— Oczywiście.

Wzrastając po pochyłym stokach utrudniała rozmowę. Zamilkliśmy. Pod butami zgrzytał nagły kamień. Zbliżyliśmy się do szczytu wału opasującego cegły dolin. Odwróciłem się, by po raz ostatni spojrzeć w dół.

Skalna góra biała, zbiegając ku mrocznym wodom jeziora, leżała martwa i pusta pod chmurami, które płynęły leniwie na wschód. Biała Kula zmieniła się w drobny punkt, ledwo widoczny na szarym tle piargów.

Drgnąłem. Kto położył mi rękę na ramieniu. Był to Arseniew. Patrzał, jak ja, w miejsce naszej kłuski. Milczeliśmy, tuż uderzały szybko w skroniach, z wysoko ci dobiegał przytłumiony szum wiatru rozdieranego krawędziami urwisk.

— My tu jeszcze wrócimy! — powiedział głucho Arseniew. Stał chwilę, potem ruszył dalej. Jego skafander zniknął niekiedy, zlewając się z szarobrunatnymi barwami skały, i tylko metalowy hełm błyskał wśród wielkich głazów. Wysoko w górze wznosił się owiany chmurami szczyt, który był naszym celem.



## CZARNA RZKA

Moje przypuszczenie okazało się, niestety, słuszne. Stan wszy na grzbiecie górskim, zobaczyli my przed sobą drugą dolinę. Wypełniała ją morze falujących mgieł. Położona od doliny Białej Kuli, była skalnym kotłem pośród czarnych, z batych cian. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy obejść dolinę południową, opadając stopniowo grani, która na północy-wschodzie przechodziła w upłazy wielkiego szczytu. Luźne, ruchome obłoki mgły kłębiły się, rozlewały płasko i powoli, lecz nieustannie wzbierały zatapiając zbocze. Związaliśmy linę, posuwaliśmy się po ostrzu grani, z dwóch stron oblanym mleczną topiel. Czasem lotny obłok, chwycony wiatrem, szybował w górę, zawadzał o skałę i przepływał między nami. Widziałem wtedy tylko czarniawą, powieszoną kroczącego przodem Arseniewa. Wysięk, napędzając krew do twarzy i oczu, rzucał na ekran mgielny plamy świetlne, zarysy gwiazdzistych fantomów, ale do niego było przymknąć parę razy powieki, a wszystko znikało — i zostawała tylko mgła.

Spojrzałem na zegarek. Szli my już dziewięć godzin. Dawał się odczuwać długi brak treningu. Pot gromadził się obficie na ciele, spływał po szyję, po karku, z czoła na twarz.

Szczyt, nieruchomy pośród krzątających się smugów pary, trwał wciąż w jednakowym oddaleniu. Wystawiał ku nam ogromne, fałdziste zbocza, rozciągnięte łebami. Gra opadała. Jej czarny grzbiet nikał w przypływie obłoków. Miejsce to wyglądało jak długi, w skały półwysep, obłany ze wszystkich stron białym oceanem. Kiedy my doszliśmy do jego krańca, zaproponowałem odpocząć. Towarzysze byli bardzo wyczerpani. Rainer potykał się nawet w stosunkowo łatwych miejscach. Rozłożyliśmy się pod wygarbieniem grani. Szczyt ciemnie było tu głównego bodajego wroga wypraw górskich na Ziemi, mrozu. Skała była ciepła, jakby nagrzana słońcem. Słyszałem, jak chemik mówi coś o czekoladzie,

— Chciałem wziąć tabletkę i zapomniałem... przydałaby się teraz...

— Nie gderajcie, kolego — mruknął Arseniew. — Jak długo się zatrzymamy? — zwrócił się do mnie.

— Kto potrafi, niech próbuje spać — powiedziałem. — To najlepsze, co w tej chwili możemy narobić. Cztery godziny powinny wystarczyć. Obudź was, umiem spać, jak długo chcę.

— Cenny talent — powiedział ktoś. Słowa te doszły mnie jakby z wielkiej dali. Pogryzłem się w błogim bezruchu.

Szło za mną mnóstwo srebrnych mrówek. Nie bałem się ich, przeciwnie, nasze stosunki były wcale przyjazne. W pewnej chwili spostrzegłem, że jedna siedzi na mojej dłoni i krzyczy:

— Daj mi, abym natychmiast wzbił się w powietrze i poleciał do rakiety, bo towarzysze niepokoją się o nas. Inne, stojąc na ziemi, wtórowały jej chóralnym piskiem. Daremne były moje tłumaczenia, że umiejętność lotu jest mi obca. Wreszcie, zły, machnąłem rękami i wzniosłem się w powietrze. Trzepotałem tuż nad ziemią, cięko jak kura, a nagle coś mnie pociągnęło w dół, i to tak dobrze, że zbudziłem się, siedząc. Zbliżyła się do mnie stożkowa bania metalowa z ogromnym szklanym oknem. W pierwszej chwili myślałem, że to koszmar snu, i dobra chwila upłynęła, zanim poznałem hełm Arseniewa.

— Miał pan nas obudzić.

Spojrzałem na zegarek. Przespałem prawie pięć godzin. Zmieszany zerwałem się na równe nogi.

— To pewno dlatego, że na obcej planecie — powiedziałem. Arseniew obudził Sołtyka i Rainera. Posiliwszy się ostatnimi tabletkami koncentratu witaminowego ruszyliśmy w dalszą drogę. Powietrze było spokojne i mgła leżała nieruchomo. Tam gdzie gra obniżyła się, brodziliśmy po kolana w mlecznych oparach, a czasem mknęliśmy w nich zupełnie. Każdy krok był niebezpieczny. Posuwaliśmy się nadzwyczaj powoli i minęły godziny, zanim pod butami zachrobotał gruz osypiska. Dotarliśmy do ujścia wielkiego lebu, który

wrzynał się głębią boku w zbocze upatrzonego szczytu. Podchodzenie było nietrudne, ale niezmiernie wyczerpujące. Skafander ciężył coraz bardziej. Miałem ochotę zerwać hełm z głowy, żeby chociaż raz zaczerpnąć świeżego powietrza. Mimo woli ogłodałem się za siebie. Towarzyszom, mniej wprawnym w chodzeniu po górach, musiało być jeszcze ciężiej. Zgarbieni, szli powoli we mgle pełznącej w górę zbocza niskimi obłóczkami. Szczyt dawno już znikł nam sprzed oczu: góra rozstała się poprzeczonymi płytami w dwie strony, jakby przeszła tędy odkładnica potwornego pługa. Dno dołu za ciałem białawy, suchy piarg, wysoko ponad krawędziami obrywów migotały w górę błotawe, szare i brunatne turnie. Spod ich gron nie przewieszonych śniegów rozchodziły się stożki nasypowe. O ósmej rano, w siedemnaście godzin od chwili katastrofy, po wielkich, zwietrzałych głazach wspieliśmy się na szczyt.

Łąka sucha górska opadała ku wschodowi martwymi, zakrzepłymi fałdami. Pod nami — nieskończone morze mgieł, przegrywane cienkimi liniami cienia, mieniło się w oddali burą i liliową. Po ostatnim kresie horyzontu nic, tylko mgła rozczesana w drobne smugi. Zbocze naszego szczytu schodziło w niepotrzebnie sklepionym, rozłożystym ramieniem. W połowie rozciągała je brama skalna. Przez ten wyłom przebiegały obłoki, spod których przebiegała powierzchnia głębię cichych skał.

Arseniew rozpostarł na kamieniu mapę, wyznaczył z pomocą linijki wielokąt w tych warunkach dokładnie kierunek, w którym znajdował się Kosmokrator, i porozstawiał nas co kilkadziesiąt metrów w najwyższych punktach. Wywoływali my towarzyszy przez radio. W słuchawkach pośród odległych, jakby z całej przestrzeni naraz płynących szmerów rozlegały się chwilami miarowe sygnały. To automatyczny nadajnik rakiety odzywał się co piętnaście sekund dwoma przerywanymi dźwiękami. Słyszeliśmy rakiety, lecz ona nie odpowiadała na nasze wezwania. Być może, odległość była zbyt wielka albo od Martwego Lasu cięgnięty przestrzeni obłoki radioaktywne, gaz słabiej naszych aparatów — dopiero po godzinie skupili się przy Arseniewie w ponurym milczeniu. Astronom rozłożył mapę i zadumał się nad nią.

— A więc jednak przyjdzie nam nocować — powiedział. — Zmierzch rozpocznie się dzisiaj za jakieś osiem do dziesięciu godzin. Musimy go spotkać w dobrym ukryciu... Należy się spodziewać gwałtownej burzy.

Spojrzał w mgły spoczywające kilkaset metrów niżej.

— Drogi wybrać nie możemy — powiedział — wobec tego pójdziemy tak.

Nakreślił przez mapę prostą jak strzała linię w kierunku rakiety. — Musimy jednak zatrzymać się — powiedziałem — co najmniej na pół godziny. Schodzenie, jak wiadomo...

— Schodzenie będzie łatwiejsze od wspinaczki — rzekł szybko Arseniew, a kiedy spojrzałem na niego zdziwiony, położył mi znaczący gestem ręką na ramieniu. Zamilkłem. Kiedy za chwilę Rainer oddalił się, profesor przyłożył swój hełm do mojego. Dzięki zetknięciu obu metalowych kasków głos mógł płynąć bez potrzeby radia. Wyłączywszy swój aparat Arseniew powiedział:

— Nie trzeba mówić wszystkiego.

— Ze względu na Rainera?

Skinął głową. Ponieważ chemik zbliżył się, nie zamienili my już ani słowa. Oparci plecami o chropowate głazy, spojrzeliśmy na połę tylko widzącymi od znużenia oczami w mgielne przepaści. Po pewnym czasie zaczęło się w górze coś dziać. Chmury gęstniały jak rybi klej, rzucony na gotującą się wodę, rozpląwały się pierścieniami, skręcały, coraz bardziej zwiewne, klarowne, a nagle ukazało się w nich okno. Szybko znikło, lecz z boku odsłoniło się drugie.

Za wiecilo w nim niebo. Wiatr rozdmuchiwał puszyste kłęby coraz szerzej.

— Psiakrew!

— Czemu pan klnie? — spytał astronom.

— Niebo, profesorze, niebo!

Niebo było zielone. Przejrzyste, łagodny szmaragd, jakby rozplawiona w szkle barwa pierwszych traw prze wietlonych sło cem. Płyn ły tam bardzo wysoko pierzaste, zupełnie złote obłoczki.

— Zapewne dwutlenek w gla... — zauwa ył Rainer. Uradowało mnie, e si odezwał. Nie opanowała go jeszcze zupełna apatia.

Tymczasem tu i ówdzie mgła w dole rozbłyskiwała, dotkni ta promieniami. Wtem obrze e wielkiej chmury zapłon ło gwałtownie. Wyjrzała zza niego olbrzymia, płomienna tarcza, dobrze ju przechylona ku zachodowi. W jednej chwili zapanował straszliwy upał. Powierzchnia mgieł zaja niała jak zalana kipi cym metalem. ladem cienia, uciekaj cego z zawrotn chy o ci w dał widnokr gu, wybuchały orgie wiatel. Z gł bin wstawały góry roz arzonej miedzi, krwiste otchłanie, pieczary i jaskinie o płynnych cianach, a Sło ce przeszywało je blaskiem, wybijaj c w ruchomej, jakby yciem obdarzonej magmie złote galerie. Cały ten ocean milcz cych płomieni oddychał; unosiły si nad nim fiołkowe i ró owe opary, w których migotały pasy wielokrotnie powtarzaj cych si t cz. A znowu jaka chmura nasun ła si na Sło ce i równina obłoków zgasła, w jednej chwili zalana bezbrze n szaro ci .

— Drogo my zapłacili, eby ujrze to widowisko — powiedział cierpko Rainer.

Opasałem si lin podaj c drugi koniec Sołtykowi. Zało ył karabinek w kółko pasa i skierował si ku pochyło ci. Arseniew kroczył pierwszy, ja za nim, dalej Sołtyk; Rainer, ci ko stawiaj c nogi, szedł ostatni. Tak rozpocz ł si powrót.

Długo schodzili my we mgle. Niekiedy stawała si tak g sta, e gin ła w niej sylwetka kroc z cego przodem astronoma. Wzrok ton ł w szarej płynno ci; zacierały si kontury drogi, najbli szych gła zów, nawet zarisy wyci gni tej r ki. Nachodziło mnie wra enie, e cały roztapiam si , rozpływam we mgle. Było to uczucie z koszmarnego snu, w którym traci si poczucie realno ci istnienia. Mówilem wówczas do towarzyszy; ich głosy rozwiewały na chwil przygniataj ce uczucie samotno ci.

Jaki czas skała odzywała si d wi kliwie pod ostrzami czekanów, potem chrobotały gła zy osypisk, a po trzech godzinach marszu kroki cichły i stopy pocz ły si zagł bia w rozpulchnionym gruncie. Nie wiedzieli my, czy to ju równina, czy tylko kopulasta wyniosło , bo na wskazaniach aneroidów nie mo na było polega .

Ju od dłu szego czasu zachowywały si niespokojnie. Ci nienie atmosferyczne podnosiło si wolniej, ni nale ało tego oczekiwa podług tempa marszu; najwidoczniej zbli ał si ni barometryczny. Pozostawało to w zwi zku z nadchodz cym zmierzchem.

Niebawem równy teren ponownie zacz ł opada . Zst powali my coraz ni ej, ni ej. O ile mo na było rozezna si w tak g stej mgle, znajdowali my si w płytkim w wozie, jak gdyby w korycie wyschłej rzeki, i schodzili my w dół powtarzaj c wszystkie jego zakr ty. Nagle pod nogami poczuli my skaln calizn . Szło si po niej jak po chodniku miejskim, tak była równa i gładka.

Zdumiony rozejrzałem si , lecz nie mogłem dostrzec niczego.

Prowadz cy według kompasu Sołtyk przystan ł.

— Tam co jest — wskazał na wielk plam , ciemniej c w szarych tumanach.

Pochyliwszy si , poci gn łem r k po skale.

— Słuchajcie... — powiedziałem — mo e si mył , ale to s kwadratowe płyty. Czuj ich spojenia pod palcami... to jest najprawdziwszy chodnik!

— — Chodnik? To mo e jest tu gdzie restauracja? — spytał Rainer. W czasie drogi dał ju nam zakosztowa swego gorzkniej cego humoru. Arseniew skierował aparat indukcyjny w stron plamy. Owalna, majaczyła niewyra nie w niewielkiej odległo ci.

— Czasu mamy mało — rzekł astronom — ale... kto z was pójdzie tam ze mn ?

Zgłosili my się z Sołtykiem, a i chemik przył czył się po chwili wahania. Gładka przestrzeń, którą nazwałem chodnikiem, zakręcała się i podnosiła się niezbyt stromo. Przeszedłszy kilkanaście kroków, stanęli my przed czarnym otworem. Mgła była tu rzadsza. Jasnymi słupami skrzyły się w niej promienie naszych reflektorów. W świetle ukazała się obszerna jaskinia. W głębi pod ciemnym sufitem stał walcowaty twór. Zbiegłem ku niemu po osypisku cym się drobnym szutrze. Był to metalowy cylinder, zapuszczony ściśnięto w grunt i zamknięty wypukłą tarczą. Naparłem na nią barkiem. Między tarczą a cylindrem powstała w skałach szczelina, która rozszerzała się szybko. Pokrywa poleciała ze szczeliną w górę. Wnętrze było puste.

— Zbiornik! — zawołałem. Towarzysze schodzili po osypisku. Postąpiłem kilka kroków w bok. Grota była dziwnie regularna. Kształt miała wydłużony, z lekko pochylonymi ścianami i wklęsłym stropem. W głębi zwisały z niego jakieś czarne łachmany, jakby gigantyczna pajczyzna. Zbliżywszy się i wzięwszy w rękę jedną z nich, przekonałem się, że jest to skruszały, jakby spalony metal. Rudoczerwony, zmieszany, pokryty był sadzą, która w jednej chwili osypała mnie wielkimi płatami. Nagle w promieniu latarki, biegając cym białym kołem po ród spleśnianych zwojów metalu, które rzucały skaczące cienie, mignęło coś czerwonego. Zwróciłem tam reflektor. Na ścianie widniał rysunek, bardzo stary, bo czerwona farba odprysła i złuszczyła się w wielu miejscach. Przedstawiał współrodkowe koła. Odwróciłem się, by zawołać towarzyszy, i wtedy spostrzegłem, że to, na czym stoję, nie jest szutrem.

Ta wibrująca w świetle masa błyszczących kamyczków była pokładem srebrnych stworzonek. Ale nie były już srebrne. Zmatowiałe, powleczone niedzielnymi jak cynowe okruszki, przypominały mego małego wianuska tylko kształtem. Mimo woli odskoczyłem wstecz, ale leżały wszędzie. Ich szeleszczące przy dotknięciu masy zalegały całe dno groty. Poruszone przedtem metalowe łachmany kołysały się wolno w powietrzu. Teraz zobaczyłem, że poza nimi jest jakby wielki plaster pszczeli. Zakrywały go ściśnięto festony metalu, skurczone jak zdarta i opalona skóra. Wygląd plastra nadawały ścianie regularnie rozmieszczone otwory. Tworzyły jakby wielokolorową mozaikę. Tkwiły w nich szare, niegdyś srebrne stworzonka. Pod ciemnym sufitem wznosił się ich cały stos.

— Patrzcie! — powiedziałem zdławionym głosem. — Patrzcie!

Towarzysze obstąpili mnie. Unieśli w górę szczeliny zwisały z sufitu sieci i brali w rękę stworzonka, lekkie, prawie nieważkie. Przesypywane, szeleściły i brzęczały cichutko jak metalowe łuski. Pod każdym z nich przyskakiwały setki młodych odwłoków. Wszyscy, wzruszeni jak ja, milczeli. Przypominałem sobie rysunek i, podnosząc reflektor, wydobyłem go z ciemności.

— Co w rodzaju układu heliocentrycznego... — wyszeptał Rainer. — W środku Słońce... potem orbita Wenus... a dalej... Ziemia... to nasz układ planetarny.

— Ale tam jest jeszcze coś, widzicie?

Od wizerunku Wenus szła punktowana dziurkami nie zafarbowana linia prosto ku Ziemi. Łączyła obie planety. Nieznany mi chwycił mnie za serce. Obejrzałem się szybko, ale grota była pusta. Tylko metalowe zwoje chwiały się wolno, przyskakiwały nieważkimi płatkami sadzy.

— Tu byli ludzie... — szepnąłem. Nie ważyłem się mówić głośno.

— Nie, tego nie stworzyła ręka człowieka — odezwał się Arseniew.

— Jaki szczególny blask ma ta skała — powiedziałem po chwili — jak glazura...

Powierzchnia ścian zbiegała się w siatkę drobnutkich, szklisto połyskujących, niebieskawych żyłek.

— Co to może być, doktorze Rainer?

— Nie wiem, nigdy tego nie widziałem... jakby awanturyt... ale nadtopiony nadzwyczaj wysoką temperaturą... nie wiem — powtórzył. Arseniew schował garść metalowych ziaren do kieszeni skafandra.

— Przyjaciele... w tej chwili nie możemy ocenić znaczenia naszego odkrycia. Musimy iść dalej, i to szybko. Za cztery godziny będzie zmierzch.

Opuścił mi grót nie mówił ci ani słowa. Mgła na dworze nieznacznie pociemniała. Przybierała niebieskawe tony, zarazem jednak przerzedziła się. Kiedy my schodzili łagodnie pochyło ci się, mogłem bez trudu dostrzec ostatniego towarzysza.

Przebyli my sporym krokiem co najmniej dziesięć kilometrów stosunkowo równego terenu. Potem grunt zdawał się podnosić, ale mogło to być złudzenie, bo wzrok nie miał żadnego oparcia. Nagle z mgły przede mną dobiegł zdławiony okrzyk i głuchy odgłos. Skoczyłem naprzód.

Arseniew leżał opierając się rękami o ziemię.

— Sta, sta! — zawołał podnosząc głowę. Podszedłem jeszcze o krok. Tu przed nim otwierała się mroczna rozpadlina. Jej głębia toniała we mgle. Nawet z pomocą radaroskopów nie udało się dostrzec drugiego brzegu. Rainer zauważył, że, być może, w ogóle go nie ma i stoimy nad urwiskiem, którym płaskowina spada ku równinie.

— A więc od rakiety dzieliłoby nas zaledwie trzydzieści kilometrów — powiedział Arseniew usiłując zorientować się na mapie, niestety, bardzo szkicowej, która już kilkakrotnie zmyliła nas w czasie drogi.

— Spróbujmy zejść; im niżej będziemy, tym lepiej, a może uda się znaleźć jakieś schronisko.

Kilkaset kroków dalej obryw nie był już pionowy; w ekranach radaroskopów tlał zielonkawy obraz skośnych upłazów, zachęcający do zejścia. Poszedłem pierwszy. Wokół tliły się gęste kłęby pary. Mrok tężeł, mgła nabierała tonów błękitnych, popielatych, wreszcie fioletowych. W kilku miejscach trzeba było pomagać sobie rękami, gdy okute nosy butów lizgały się po gładkich płytach. Nie obyło się bez upadków. Niechętnie pochyło zmalała. Skały przerzynały głębokimi, krzywym, rywnymi. Było to bardzo niebezpieczne, bo fałszywe stopnie mogły spowodować złamanie nogi.

Kto mnie wyprzedził — zdaje się Arseniew. Zobaczyłem białe, otoczone wielokrotnie światłem jego latarki. Blask gubił się w parze. Promień reflektora wahał się chwilę w marszu, nagle obniżył się i znieruchomiał. Olepiony (wpatrywałem się chwilę w ródło światła), przeoczyłem szeroką szczelinę i wpadłem w nią niemal po kolana. Nacięgnięte cięgnęło zabolęło; usiadłem, aby zbadać nogi. Moja lina szorowała chwilę po kamieniach i szarpnęła.

— Halo, profesorze, stójcie no tam! — krzyknąłem. Nikt nie odpowiedział. Wstałem i lekko utykając poszedłem w kierunku blasku, w którym poruszały się zamazane cienie. Spojrzawszy w górę dostrzegłem między brzegami rozpadliny niebo jako szeroki rzeź jasno ci. Tak wygląda powierzchnia wody oglądana przez nurka z dna.

światło reflektora nagle zgasło.

— Trudno, więc wstał tam — mówił Rainer.

— Poczekaj, panie.

To był głos Arseniewa. Znowu zapłonął reflektor, powielając się różnokolorowym blaskiem w drzewce aureoli pary. Spostrzegłem, że obaj byli pochyleni. U ich stóp grunt urywał się raptownie, a jego miejsce zajmował ciemny pas mgły.

W tej chwili w matowym promieniu elektrycznym zabłysnął hełm Sołtyka, który wzniósł się z głębi. Rainer pomógł mu wspiąć się na brzeg.

— Schodzić może — powiedział inny — pochyło maleje, ale robi się coraz gorzej.

— Temperatura podnosi się? Czy byśmy mieli w ten sposób zstąpić do planety? — zauważył Rainer.

Mimo woli skupili się razem. Latarka oświetlała czterech czarnych olbrzymów w pofałdowanych kombinezonach. Błękitne iskry drążyły w szklach hełmów.



— Trzeba będzie po wi ci nabój magnezjowy — powiedział Arseniew i wydobyl z kieszeni płaski magazynek. Były to naboje do rakiety, która zgin ła, pozostawiona w helikopterze.

— Czy który z was ma przypadkiem chustki do nosa w zewn trzniej kieszeni?

Zgłosil si Rainer. Astronom wyci ł no em dziur w rodku chustki, a do rogów przywi zał paroma nitkami nabój. Rozja niło mi si w głowie: profesor umiał sobie poradzi bez pistoletu sygnałowego. Uderzył silnie rkoje ci w spłonek naboju raz i drugi, a gdy rozległ si syk, rzucił pakiecik poza kraw d skały.

Wychylili my głowy w przepa . O lepij ce wiatło magnezji rozci ło mgł . Ukazały si zbrocza: to, na którym stali my, i przeciwległe, oddalone mo e o sze dziesi t metrów, potem obłok pary przysłonił płon cy nabój. Nie trwało to długo. Jasne kł by Rozst piły si i spod grzybka zaimprovizowanego spadochronu buchn ły blaski z ponown , cho szybko słabn c sił . wiatło dr ało złudnie, przelewaj c si w woalu pary. Pod nim, w gł bi, ukazała si czarniawa, podługowata masa, która zabłysła jak fala skamieniałej lawy. Gdy blask opadł, wydało mi si , e masa rozszerzyła si , a pó niej skurczyła, jak kadłub w a przełykaj cego suty k s.

Potem wszystko znikło.

Gdy powoli cofn li my si od urwiska, Arseniew wsadził obie r ce za pas.

— Tak tu zawsze: kiedy zdaje si , e w tliwo ci zostan rozproszone, ukazuje si dziesi tek nowych... co s dziecie o tym, tam? — wskazał na dół.

— Dostrzegłem ruch — zacz ł ostro nie Rainer — nie wiem, czy to nie było złudzenie, ale...

— Nie, to nie było złudzenie — przerwał mu astronom.

— Mo na by po wi ci jeszcze jeden nabój, ale nie warto.

Podszedł do brzegu i pu cił w dół snop wiatła z reflektora. Zgubiło si we mgle.

— Co to jest, u licha?

— Strumie lawy? — zaproponował ostro nie Rainer. — Miałem wra enie, e to płynie.

— Temperatura jest za niska.

— Mo e jaki kanał?

— Kanały na Wenerze?

— Do dna nie ma wi cej ni trzydzie ci metrów — wtr ciłem.

— Takie wiatło ogromnie utrudnia ocen . No có , musimy przecie zej . Prosz za mn .

Arseniew pierwszy zsun ł si po kraw dzi. W milczeniu zst powali my w dół, zrazu twarz do zbrocza, potem od wrócili my si i ruszyli my szybciej. Przez skał , podobni do bazaltu, biegły grz dy o ostrych kraw dziach. Nagle Soł tyk zawołał:

— Uwaga, oto jest!

Reflektor znieruchomiał. W kole wiatła ukazał si wy niosły wał, znikaj cy po obu stronach poza zasi giem jasno ci. L nił tłusto i czarno jak grzbiet wieloryba. Masa ta zapełniaj ca płytkie koryto skalne, wznosiła si ponad kamienne brzegi, odległe od siebie o kilkana cie metrów. Jej powierzchnia falowała powoli, a poszczególne okresy rozszerze i skurczów napływały z prawej strony i znikaly p lewej.

— Perystaltyka — szepn ł kto .

Arseniew szedł wierzchem długiego głazu jak kładł? w kierunku czarnej masy. Stan ł na samym ko cu, tak i mógł dotkn jej nog . Kleisty bryzg przylgł mu do but . Otoczenie dotkni tego miejsca zafalowało. Miarowy rytm, jakim dot d poruszała si cała masa, zatracił si . Powietrze drgn ło. Powiew przeleciał wzdłu cian, a połyskuj ca bryja zacz ła si powoli pi trzy , nasuwa na siebie guzowat półpłynna, chwilami sztywniała, a wysun ła szerok , rozlewaj c si wypustki na kraniec płaskiego głazu, na kt rym stał Arseniew.

— Ostro nie, profesorze! — zawołałem. Nieruchomo oczekiwał nadchodz cego. Czarna ma dotkn ła jego butów, cofn ła si i nagle jednym rzutem otoczyła je, a z mgły wysun ł si

wielki garb, jak fala dobijająca do brzegu. Teraz ktoś drugi, zdaje się, Rainer, zapalił swój reflektor. Profesor krzyknął i targnął się wstecz. Czarne błoto oblało go niemal po kolana. Nowy, potężny skurcz przeleciał przez masę.

— Wstecz, profesorze, wstecz! — krzyczałem. Nie mogłem pojąć, czemu stoi jak wrota ty w kamieniu. Zgarbił się, plecy drgały mu, jakby podnosił ciężar. Najbliżej stojący Sołtyk dopadł go z boku i pociągnął, ale potknął się i zleciał z głazu niemal po pas w czarny kipieli. Wydał zdławiony okrzyk.

Oburczyłem się i pociągnąłem z całej siły. Rainer chwycił niżej. Szerokie zwoje leciały, klaszcząc, na kamienie. Ujrzałem w świetle latarki twarz Sołtyka — była konwulsyjnie wykrzywiona. Czarna rzeka parla szerokim frontem na wybrzeże, ale byliśmy od niej szybsi. Porwałem Sołtyka za ramiona, drugi ręką chwyciłem Arseniewa, a Rainer pomógł mi wspiąć się na zbocze. Obaj wyratowani prawie nie poruszali nogami, opierając się na mnie całym ciężarem. Jeden z nich dyszał jak kłowie.

— Jesteście ranni? — spytałem, przestraszony tym, że wci milczy.

— Dalej, dalej, na górę! — krzyczał Rainer. Ruszyłem wlokąc obu towarzyszy. Ledwo stawiali nogi, jakby zmieniły się w drewniane kikuty. Nareszcie Arseniew pierwszy odzyskał głos:

— Uderzenie... elektryczne... — wyjąkał mocując się ze zdławionym gardłem.

Wspieliśmy się jeszcze kilka metrów. Arseniew zgubił latarkę. Dobyłem moją, skierowałem wylot metalowego cylindra w dół i nacisnąłem wył cznik.

Wyglądało to jak wybuch błota, ale w czarnej masie nie było biernego ruchu, posłusznego ścieżki. Rozdymała się potwornymi białkami, puchła, a z głębi parły coraz nowe fale zalewające brzeg.

— Wszyscy w tył! — zawołał naraz mocny głos. Widziałem jeszcze tę scenę. Arseniew oderwał się od mego ramienia. Rozstawiwszy szeroko nogi, sięgnął do futerału Sołtyka, chwycił miotacz i złożył się.

Biały piorun strzelił z jadowitym sykiem w dół. Okrutny cios uderzył w piersi. Arseniew nacisnął po raz drugi przycisk spustu i drugi piorun, jak odłam słońca, buchnął w sam radek wezbranej czarnej masy. Potem zapadła ciemność. Wiedziałem, że nie wolno patrzeć w wylot pracującego miotacza, ale to było silniejsze ode mnie. Przed oczami wirowały mi teraz złote i czarne koła. Dług chwilę nic nie widziałem, chociaż kurczowo naciskałem guzik reflektora. Wreszcie drgające plamy zbiegły na boki.

Skalne koryto było puste. Drgające szczątki, grudy spopielonego żużlu, zwęzły popiołu dogorywały w zasięgu promieni. Brunatne kłęby dymu mieszały się z mgłą. Z kamieni ciekła młota, jakby szlamem zmoczona woda. Gdzie jeszcze ohydnie skwierczały nie dopalone ochłapy. Zeszliśmy w dół i, wstąpiwszy w koryto, rzuciliśmy w obie strony wiatło. Czarna masa znikła. Wspieliśmy się na przeciwległe zbocze. Arseniew ogłuszył swoje nogi. Na nogawkach kombinezonu błyszczały jakby luzem pokryte plamy, a buty stały się popielato-czarne.

— Profesorze, pan mówił o elektrycznym uderzeniu? — rzuciłem się z pytaniami. — Czy to pana poraziło? Pana też, inżynierze? Co to mogło być?

— Naprzód, naprzód — odparł astronom otrzępując skafander z resztek lepkiej substancji. — Musimy iść dalej, potem będziemy rozmawiać.

Druga ściana czarnego wozu była mniej stroma. Pokonaliśmy ją w pół godziny i znaleźliśmy się na równinie osłoniętej falującymi niespokojnie mgłami. Teraz można było rozmawiać w marszu.

— Całe szczęście, że nasze skafandry posiadają własną izolację — powiedział Arseniew — inaczej byłoby źle ze mną, i z panem nie lepiej, Sołtyk!

— Złapał mnie kurcz i ust nie mogłem rozewrze — przyznał si in ynier. — A przedtem, kiedy tam wpadłem, dostałem takie uderzenie, e mnie to prawie sparali owało. My lałem, e si udusz . Wszystkie mi nie jak z drzewa.

— Na szcz cie to stworzenie nie miało jeszcze do czynienia z dobrym włóknem syntetycznym — rzucił Rainer.

— Jak to stworzenie, czy pan uwa a, e ta czarna ma yje? — zawołałem zdumiony.

— S dz , e to jest rzeka ywej protoplazmy. Widział pan przecie , jak poruszała si , jak reagowała na dotkni cie usiłuj c pochłon to, co j poruszyło. O mały włos byłoby si . jej udało.

— A wi c pan my li, e ten... e to... — nie umiałem

dobra zaimka — e to jest jakie zwierz ? Co jak w gorz elektryczny, dr twa?

— Dr twy s na Ziemi, a my — na Wenerze. Nie zwierz i nie ro lina, lecz po prostu ywa plazma.

— W głowie mi si nie mie ci, eby to mogło y — powiedziałem. — Przecie i woda w rzece si rusza, a nikt nie nazwie jej yw .

— To jest spór o słowa — zauwa ył Arseniew. — Ta masa posiada pewne cechy ywej substancji, ale nie wydaje mi si , eby miała... czekajcie, có to za syczenie?

Zmierzch zapadał coraz szybciej. Robiło si ciemno. Ju od paru chwil miałem wra enie, e dzieje si co dziwnego, ale dopiero po słowach Arseniewa usłyszałem syk, którego ródło musiało znajdowa si w pobl u. Spojrzałem na przegub — i westchnienie zatrzymało mi si w gardle. Na lewej r ce nosiłem kompas magnetyczny, którego nie u ywałem, bo zast pował go znacznie pewniejszy yrokompas systemu Sperry. Spojrzawszy na kompas magnetyczny zobaczyłem, e jego igła, wiec ca zazwyczaj jako nafosforyzowana strzałka, zmieniła si w kuli cie rozmazane wiatelko, gdy wiruje z niestychan pr dko ci , wydaj c cichutkie, lecz ostre brz czenie.

— Patrz pan, profesorze...

W ród chmur pojawiły si lotne rozbłyski. W mroku wisiały obłoki, srebrzyste, bezwładne jak brzuchy ni tych ryb. Upiorny, bezkierunkowy poblask legł na ziemi. Cały teren zdawał si topnie i rozpływa . Atmosfera przybrała cudaczny wygl d: wysoko rozrastały si fałdziste draperie, chwiejne słupy, staj c si kolejnymi ródłami m tnosreb—rzystego jarzenia. Wreszcie cała okolica błyskała na przemian: to wy sze, to ni sze warstwy pary roz wiecały si bezgł nie, a w tym trzepotaniu szarych cieni i perłowych rozbłysków tu i ówdzie kr yły ogniste motelki i kule, bardzo wolno opadaj ce w aureoli fioletowych iskier. Mimo woli zwolnili my tempo marszu. Słyszałem, jak Arseniew mówił do Rainera, e to rodzaj burzy elektromagnetycznej.

— Zwró pan uwag na rytmiczne przygasanie blasku. Było tak rzeczywi cie. Obroty igły kompasowej jeszcze bardziej si wzmogły, ale co par chwil zmieniały kierunek, a przeskokom z jednego wirowania w drugie towarzyszyło przygasanie upiornego brzasku. Napływały wysokie obłoki, widzialne poprzez mgł , tak pot ne było ich wiatło. Niepokoila mnie panuj ca zupełna cisza. Zdawała si zwiastowa co złego. Arseniew przestał mówi z Rainerem o jonizacji, fotonach i orbitach elektronowych. Zatrzymali my si w rozproszonym wietle, które gasło powoli, a zarazem jakby przysiadalo, opadaj c na grunt, gdy tymczasem wysokie warstwy atmosfery zalegał mrok coraz czarniejszy.

Wci jeszcze dookolne powietrze trwało w martwym bezruchu, lecz stamt d, z wielkiej wysoko ci, dobiega pocz ł, zrazu niezmiernie daleki, głuchy poszum, który przeszedł w niskie zawodzenie.

— Obawiam si , e b dziemy musieli wróci do w wozu — powiedział Arseniew. Stali my, niezdecydowani, co robi . Wtem powietrze rozdarło wycie, podobne do tego, jakie wydaje pikuj cy samolot. Mgła zakołysała si i popłyn ła. Znikły ostatnie rozproszone ogniska elektrycznej po wiaty. Z mroków run ł pot ny wicher. Ledwo my ustali, chwytaj c

si za r ce. Kto zapalił latark . W słupie wiatła mgła nie kł biła si ju , lecz mkn ła wartko jak strumienie m tnej wody wypuszczone ze stawideł.

Nikt z nas nie przemówił słowa. Zawrócili my i pchani straszliw wichur biegli my, potykaj c si i zataczaj c, z powrotem, w stron w wozu. Wicher wiszczał przera liwie w antenach hełmów; powietrze, sp czniałe i twarde jak wyd te płótno, biło w plecy łopoc c fałdami kombinezonów. P dzili my tak nie wiem jak długo, a zamajaczył w ciemno ciach pozornie nieruchomy obłok, wiruj cy w miejscu z zawrotn szybko ci . Był to wir zg szczonej mgły, powstały mi dzy brzegami w wozu. W miar jak schodzili my w dół, ci nienie wiatru słabło. Jego niewidzialne porywy wydawały nad rozpadlin odgłos agli chwytaj cych raptownie wiatr. Posuwaj c si na o lep, skupili my si pod skalnym nawisem. W białym słupie wiatła, które zapalił jeden z towarzyszy, mgła kotłowała si jak wrz tek. Nad nami, na pogr onej w ciemno ci równinie, rozlegały si przejmuj ce zawodzenia, skowoty, pianie i chichot. Zdawało si , e walcz tam całe stada hien i szakali. Wtem mroki zal niły na mgnienie, jakfr; mgł wypełniła płon ca rt . Zagrzmiało. Huk nakrył nas jak wieko. Zarazem poczułem drobne, lekkie uderzenia na ramionach i r kach, a w promieniu lampy zabłyśły p dz ce skosem krople.

Deszcz!

B bnienie nasiliło si . Wiatr nie zawodził ju w górze, lecz wył ogłuszaj co. Deszcz nadchodził siek cymi falami. Przywarli my ciasno do skały.

Woda ciekaj ca po hełmach i skafandrach l niła w blasku reflektora. Wokół zacz ła si tworzy spieniona od deszczu kała a. Wtem skała odezwała si g stym werblem. Równocze nie usłyszałem d wi kliwe uderzenia w hełm. Padał grad.

Tego tylko brakło — pomy lałem

Grad wielki jak fasola tłukł w hełmy nie robi c nam szkody, ale o lepiął lodowymi odpryskami.

— Chod cie tu, do mnie! — zawołał Arseniew.

Istotnie, kilka kroków dalej, w płytkim zagł bieniu ciany, grad mniej dawał si we znaki. Coraz gło niej szumiała woda spływaj ca po stokach rozpadliny. W promieniu latarki, któr astronom zawiesił na piersi, otoczenie wieciło m tnym blaskiem strzaskanego lodu.

Zbocze osłaniało nas z góry, ale czułem, jak w nogi uderzaj , niby setki drobnych igiełek, szcz tki gradzin rozpryskuj cych si o kamienie.

W nieustanne wycie orkanu raz po raz wpadały przeci głe grzmoty. Błyskawice o wietlały kł bi ce si szale czo mgły, strumienie deszczu i zlane wod głązy. Z trudem udało si nam przywlec i ustawi w niszy skalnej kilka płaskich kamieni, na których usiedli my, biczowani wod zalewaj c okienka hełmów. Trwali my tak, skuleni; noc wlokła si , godzina płyn ła za godzin , a burza nie słabła. Grad przestał pada , za to w smudze wiatła zabielały wiruj ce płatki niegowe. Siedzieli my nieruchomo; spokojny oddech towarzyszy wiadczył, e zapadaj w sen. Sam, cho zm czony, nie mogłem usn . Rozumiałem, e nale y zebra siły do dalszej drogi, i zaciskałem powieki pragn c jak najszczelniej odgrodzi si od zawodzenia i szumu burzy. Ale pod pokryw ciemno ci przetaczał si wci w pami ci kołowrót obrazów. To pi ło si ku nam strome osypisko, oblane czarn , drgaj c mazi , to dym walił z płon cego helikoptera, to znów ja niała tajemnicza grota w wietle reflektorów. Chwilami zwidy wał mi si krajobraz górski z urwistymi piłami szczytów i dolinami pełnymi mgły, gdzie wysoko, w zielonym jak grube szkło niebie, płon ło olbrzymie sło ce. Mi nie dr ały, znu one, od skały ci gn ł przejmuj cy chłód, lecz nie wa yłem si wł cza elektrycznego ogrzewacza, bo nale ało oszcz dza bateri ywi c aparat radiowy. Nie mog c zasn , wsłuchany w gł bokie, bliskie oddechy, starałem si rozpatrzy ostatnie wypadki. Czy naprawd katastrofa była przypadkiem? A mo e wokół czuwały niepoj te siły, podpatruj c nas, kiedy my wierzyli w swobod własnego działania? Nie umiałem stworzy obrazu, który obj łyby wszystkie zdarzenia. Je eli mieszka cami planety były metalowe twory, co oznaczała

rzeka czarnej protoplazmy? A grotą — czy by stanowiła coś w rodzaju niesamowitego cmentarza? W jaki sposób powstał olbrzymi krater, dlaczego podziemna rura rozpadła się na dwie części?

Sam nie wiem, kiedy zapadłem w ciemność, nieprzytomny sen. Otworzyłem oczy zupełnie skostniały. Zegarek wskazywał szósty. Na Ziemi w moich stronach wiatr zamieniał się już w pełny dziek, lecz tu panował mrok tak nieprzenikniony, że nie mogłem nawet rozróżnić, gdzie metalowy kask przechodzi w szkło okienka. Błady, w dziek ledwo widoczny ekran radaroskopu wypełniał wnętrze hełmu zielonkawym, fosforycznym blaskiem. Wycie wiatru osłabło. Deszczu tak że nie było słychać. Ostro nie wysunąłem się spojrzeniem w kierunku nie towarzyszy. Materiał kombinezonu pokryła cienka skorupa lodowa, przyskakała jak szkło przy każdym ruchu. Za plecami na chwilę reflektor. Spostrzegłem nieruchome, skulone pod skałami postacie. Rzadka mgła płynęła leniwie, przesycona chłodnymi podmuchami.

Zaczęłem się energicznie gimnastykować, uderzałem rękami po udach i barkach. Hałas, który zrobiłem, zbudził Sołtyka. Za chwilę wszyscy już wstawali narzekając na zimno.

Niebawem wyruszyliśmy w drogę. Równinami ciągnął porywisty wiatr. Jego dojmujące zimno czuliśmy poprzez wszystkie izolujące warstwy skafandrow. Pod butami trzeszczała na kamiennych cienka powłoka lodowa, czasem grunt zachlupotał i nogi zapadały się w grząskie błoto. Kiedy w pewnej chwili odwróciłem się i oświetliłem latarką postacie kroczących za mną, dostrzegłem załzawione szybki hełmów, a za nimi — rozognione oczy i twarze pokryte dwudniowym zarostem. Mogłem się z nich doskonale domyślić własnego wyglądu. Jeszcze wtedy, gdy zmierzchn zaczął zapadać, u brzegów wozu postyszeliśmy sygnały radiowe rakiet, lecz późniejsza burza elektryczna zagłuszyła je i teraz dopiero rozległy się w słuchawkach. Zmierzali my dzięki nim prosto przez najciemniejszą ciemność, nie lękając się, że zabłądziemy. Jedne za drugimi pozostawały w tyle łacie cuchy niewielkich pagórków. Rainer szedł za Arseniewem zgarbiony, jakby zmałał o głowę. Ledwo powłóczył nogami. W pewnej chwili nagle usiadł. Astronom odwrócił się i powiedział jak do małego dziecka:

— No, Henryku, wstań.

Tamten nie odpowiedział. Wpółleciał, ciemność dysząc. Podeszedłem, żeby mu pomóc, lecz Arseniew powstrzymał mnie gestem.

— Nie, on sam.

I chemik, opierając się rękami o kamienie, podniósł się, wyprostował niezmiernie powoli, jakby dźwigał olbrzymi ciężar, i ruszył za nami.

Z dalszej drogi pamiętam tam bardzo niewiele. Miałem wrażenie, że mózg mój zdrętwiał; prawdopodobnie szedłem drzemając i co jakiś czas budziłem się. Ciężkie nienie w butlach tlenowych opadło do trzydziestu atmosfer, musieliśmy więc iść, bez przerwy iść, aby zdobyć, zanim zbiorniki opustoszeją. Gonili nas ostatkami. Zaczęło mnie nachodzić nieokreślone uczucie, że ktoś skrada się za nami. Najdziwniejsze, że udzieliło się ono innym; Rainer, który szedł ostatni, upadł kilka razy, bo nieustannie spoglądał za siebie. Co jakiś czas zmieniał się ten, kto prowadził pochód, gdy wypatrywanie drogi w ciemności było.

W pewnej chwili, idąc na przedzie, zobaczyłem wysoko w chmurach biały, mglisty słup. Teren podnosił się. Z kamiennego podłoża wyrastały chropowate tafle. Biały słup poruszał się leniwie w kierunku chmur. Zrazu przemknęło mi przez głowę, że to znowu jakieś tajemnicze zjawisko, lecz okrzyk astronoma wyprowadził mnie z błędów. Pod butami zgrzytały głazy; jeszcze kilkaset kroków podchodzenia — i stanęliśmy na przełęczu. Daleko w dole jaśniało morze mgły. Z jego wnętrza bił w niebo biały słup światła. Był to reflektor rakiet.



## EKSPERYMENT

Lao-Czu utrzymywał 1 czno z helikopterem do czasu, kiedy Martwy Las zagroził drog falom radiowym. Przez cały dzie towarzysze zaj ci byli badaniem dna jeziora. Kiedy min ła godzina, w której mieli my powróci , Oswaticz wystartował i odnalazłszy ład akustyczny ruszył na poszukiwania. Samolot nie mógł lecie tak wolno i nisko jak helikopter. Oswaticz wielokrotnie gubił ład i dwie godziny nurkował w chmurach, zanim znalazł si nad kraterem. Podejmował uparcie próby wprowadzenia maszyny w gł b czelu ci, lecz spełzły na niczym, omal nie ko cz c si katastrof , gdy zacz ły go ci ga w dół zdradliwe pr dy powietrzne. Potem kr ył w chmurach, nieustannie wywołuj c nas przez radio, a poniewa i to nie dało rezultatu, zrzucił na zbocze krateru worki z ywno ci i odleciał z powrotem, maj c w zbiornikach tak mało paliwa, e ledwo udało mu si doci gn do jeziora. W czasie nast pnej doby niepokój towarzyszy wci si zwi kszął. Rozwali, czy nie wzlecie Kosmokratorem, chocia mo liwo tak wykluczał plan opracowany przed naszym odlotem. Tymczasem nadchodził zmierzch i w przewidywaniu burzy nale ało zakotwiczy rakiet . Dziób jej przymocowano do nadbrze nych skał stalowymi linami. Orkan rozpoc ł si nagle. Masy powietrza, cie nione w gardzieli skalnej, wpadały do kotliny z szybko ci trzystu kilkudziesi ciu kilometrów na godzin . Kosmokrator, miotany łami c si fal , targał gwałtownie liny. Aby przeciwdziała straszliwemu ci nieniu powietrza i wody, Oswaticz zapu cił silniki i utrzymywał rakiet dziobem do wiatru. W pewnej chwili jedna lina p kła i rakiet zacz ło znosi na brzeg. Zdawało si , e jedynym wyj ciem

jest porzucenie jeziora, lecz towarzysze nie chcieli tego robi , bo zachodziła mo liwo , e znajdujemy si gdzie w pobli u, a w powrocie do rakiety przeszkodził nam orkan.

Burz c nieustannie wod gazami wylotowymi, Kosmokrator przez sze godzin zmniejszał napór na pozostałe liny. Gdy najwi ksze nasilenie orkanu przeszło, zapalono wielki reflektor, którego wiatło, stoj ce jak biała kolumna , ponad przyziemn mgł , wskazało nam drog .

Nazajutrz wstałem pó no. Wszystkie mi nie przepełniało gasn ce powoli uczucie znu enia. Gdy wszedłem do Centrali, nie było w niej nikogo. Spojrzałem na przyrz dy aeromet—ryczne. Ci nienie wzrastało i temperatura spadała do dziewi ciu stopni poni ej zera. Kadłub rakiety podnosił si ledwo dostrzegalnie i opadał jak pier pi cego olbrzyma. Niekiedy dawał si słysze chrobot kry ocieraj cej si o pancerze. Usiadłem przed głównym ekranem. Przepełniała go czarna, bezgwiezdna noc. Odchyliłem głow . Spoczywałem tak w rozkosznym bezruchu, z na pół opuszczonymi powiekami, jakby w oczekiwaniu, e doko czy si sen przerwany obudzeniem. Kto wszedł. Był to Czandrasekar.

— No i có — spytał staj c przede mn — czy zaspokoił pan swój wielki głód?

— Nie — odparłem. — Głód wiadomo ci powi kszyl si tylko, a głód przygody... tego nigdy chyba nie zaspokoj ...

Poprzedniego dnia byli my tak zm czeni, e tylko w paru słowach nakre lili my towarzyszom nasze przej cia. Teraz zacz łem opowiada o wszystkim — i nie wiem, r y był to nastrój porannej godziny — to bł kitnawe wiatło lamp przywoodziło na my l niebo przed witu — czy u miech Czandrasekara, do e mówiłem tak, jakbym zwierzał si przyjacielowi. Sko czywszy dodałem:

— Nie ustrzegli my si przed pomyłkami... chocia zdaje mi si , e nikt nie ponosi za to winy. Arseniew wykroczył jednak przeciw głośzonym przez siebie zasadom, kiedy zatrzymał si tam, w tej grocie metalowych stworze . Rozs dek nakazywał i dalej, bo tlenu mieli my mało, ale nie zawsze kierujemy si rozs dkiem, i tak jest dobrze. Odkryli my co , co mo e mie wielkie znaczenie: Arseniew przyniósł gar tych metalowych owadów... czy pan je widział, profesorze?

— Tak, le w laboratorium. Arseniew prosił, eby my z ich badaniem zaczekali na niego. Wracaj c do poprzedniego tematu... czy zdaje pan sobie spraw z tego, e tych litrów tlenu, które wdychali cie w grocie, mogło wam zabrakn na ostatnim odcinku drogi powrotnej?

— To było mo liwe.

— Jaka wtedy byłaby warto waszego odkrycia?

— Ale my nie wiedzieli my, czy starczy nam tlenu, czy nie, i my l , e wła nie dlatego Arseniew post pił tak, jak... ja w Martwym Lesie.

— Tak pan s dzi?

— Tak. Gdybym miał pewno , e je li nie wejdziemy do groty, uda si nam doj do Kosmokratora — pierwszy bym si przeciwstawił profesorowi. Cała rzecz w tym, e tej pewno ci nie miałem.

— Tak pan s dzi... — powiedział cicho Czandrasekar. Opu ciwszy głow patrzył w l ni ce ciemno płyty Prediktora, jakby szukał w nich własnego odbicia. Czekałem z zaciekawieniem, co powie, ale w tej chwili wszedł do Centrali Sołtyk i rozmowa potoczyła si w innym kierunku.

— Ta rura podziemna, ta odkryta przez Smitha wiecha metalowa, wreszcie Biała Kula musz si jako ł czy ! A to zmienne pole magnetyczne! — mówił in ynier. — Gdybym wiedział, w jaki sposób oni wytwarzaj elektryczno , wiedziałbym wszystko!

— Myli si pan — odparł Czandrasekar. — Gdyby do jakiej ziemskiej filharmonii dostał si Marsjanin, có przy—szłoby mu z dokładniejszego badania geometrii budowli, z analizy chemicznej cegły, tynku, złoce oraz poznania fizycznych własno ci skrzypiec i fortepianów? W dalszym ci gu nie miałby najślabszego wyobra enia o celu, w jakim stworzono t budowl . Brakłoby mu znajomo ci rzeczy najwa niejszej.

— Muzyki, nieprawda ? — powiedział Sołtyk.

— Nie, historii gatunku ludzkiego. Wa niejsze od zrozumienia konstrukcji maszyn jest poznanie istot, które je zbudowały.

— Jestem przekonany, e gospodarzami planety s metalowe mrówki — powiedziałem, — Pocz tkowo wydawało

mi si dziwne, eby takie małe stworzonka mogły zbudowa olbrzymi sie energetyczn , ale czy ziemskie budowle nie przekraczaj naszych rozmiarów setki i tysie razy? Chocia by tamy oceaniczne czy podbiegunowy pier cie atomowy.

— Nie wiem, czym s tak zwane przez pana „metalowe mrówki” — odrzekł matematyk — ale jestem przekonany, e musz si tu znajdowa istoty daleko bardziej do nas podobne.

— Sk d pan to mo e wiecie ?

— Z tego, co mi pan opowiadał — odparł spokojnie Czandrasekar. — Odkryli cie w owej grocie napis, a raczej rysunek na cianie, prawda?

— No tak, ale...

— I po có miałyby go stworzy te tak zwane mrówki, które, o ile widziałem, w ogóle nie posiadaj oczu?

— Do licha, pan ma racj ! — zawołał Sołtyk. Stropiłem si .

— Rzeczywi cie, ale... czekaj e pan, profesorze, a mo e one wykonały ten rysunek przypadkiem... to znaczy, e to nie był rysunek, ale...

— Ale co?

— W tej chwili nie wiem, mo e maj jaki zmysł elektryczny...

Czandrasekar u miechał si .

— Ostro nie! Widz , e chce pan za wszelk cen uratowa swoj sław „odkrywcy metalowych mrówek”. Prosz nie naci ga faktów do hipotez, nie ma nic gorszego!

Nagle zmarszczył brwi.

— Przepraszam was. Wpadłem na pewien pomysł... Przeszedł pomi dzy mn o Sołtykiem tak szybko, e

przez chwil obaj wpatrywali my si w drzwi, za którymi znikn ł.

Do obiadu nie miałem wła ciwie zaj cia. Plan nie przewidywał adnych prac poza obr bem rakiety. Uczeni zamkn li si w laboratorium, sk d dobiegało przera liwe buczenie przetwornicy pr dowej. W Centrali siedział przy Prediktorze Oswaticz. Rakieta przestała si kołysa , uwi ziona lodami, które coraz grubsze skorup pokrywały jezioro. Mróz t ał. Zerkn łem do ksi ki, któr czytał Oswaticz: były to „Elementy” Euklidesa. Zrozpaczony, wyszedłem na korytarz. Drzwi laboratorium otwarły si .

— Koniec legendy o rozumnych metalowych stworzeniach! — zawołał na mój widok Arseniew. Był w długim fartuchu z podwini tymi r kawami, na czoło miał odrzucon dwuokularowa lup . — al mi pana jako jej autora, pilocie, ale fakty decyduj — zreszt rzeczyciwisto jest bodaj jeszcze bardziej zagadkowa!

W laboratorium ka dy skrawek przestrzeni wypełniały aparaty. Wielkie szpule dławików przymocowane były nawet do stropu. Ze stołu na stół biegly zwisaj ce p ki ró nokolorowych przewodów. Pod wielkim reflektorem siedzieli Tarland, Rainer i Lao–Czu, ogl daj c przez szkła powi kszej ce co , czego od drzwi nie mogłem dojrze . Podeszedłem bli ej. Pochyliwszy si zobaczyłem na tle ciemnej płyty jakie drobniutkie iskierki. Obok pustej metalowej łupinki le ało kilka mikroskopijnych spiralek, drucik cie szy od włosa i nie wi kszy od łebka szpilki okrusz masy, prze wiecaj cej jak kropelka dymnego szkła.

— Oto wn trzno ci „metalowej mrówki” — powiedział Arseniew. — Jest ona czym w rodzaju miniaturowego nadajnika radiowego, pracuj cego na fali kilku centymetrów, ale nadajnika o bardzo szczególnej budowie. Widzi pan ten kryształek? — podniósł pincetk połyskliw kropelk . — Jest to konglomerat kilku pierwiastków, wykrysztalizowany w taki sposób, e stanowi jak gdyby „paczk ” utrwalonych drga elektrycznych. Pobudzony, odtwarza je niczym płyta gramofonowa!

— Co pan mówi? Zaraz, zaraz... profesorze! — zawołałem — to niemo liwe, sam widziałem, jak to reagowało na moj obecno , jak poruszało si i zamierało, a nawet najwyra niej odzywało si , kiedy podchodziłem...

— Zupełnie słusznie — odparł z zadowoleniem astronom — prosz , zaraz o ywimy jedn „mrówk ”...

Fizyk poło ył „stworzonko” na ebonitowej płycie pod ekranem du ego aparatu radarowego i, manipuluj c r koje ciami, skierował na nie snop niewidzialnych fal.

— Były porz dne za niedziale — mówił tymczasem Arseniew — powstały tam rozmaite zwarcia i spi cia, nie chciały pocz tkowo działa , ale kiedy my je oczy cili, odezwały si niemal wszystkie... o, spójrzcie.

Powiedział to zupełnie spokojnie, a ja osłupiałem.

„Mrówka” drgn ła i uniosła si wysuwaj c cieniutki drucik. Fizyk obracał ekranem radarowym, podnosił go, opuszczał, zataczał nim kr gi, a „mrówka” posłusznie powtarzała wszystkie ruchy, kieruj c zaostrzony koniec z drucikiem w stron ekranu.

— Ka dy taki przyrz dzik posiada, jak powiedziałem, kryształek z seri utrwalonych drga — mówił Arseniew. — Dopóki nie zostanie wzbudzony, spoczywa nieruchomo. Wzbudzi za mo na go za pomoc fal radiowych, i to wła nie o zakresie kilkucentymetrowym, w jakim pracuj nasze radary. Kiedy tam, w Martwym Lesie, zbli ył si pan do „swojej” metalowej „mrówki”, fale wyrzucane przez ekrany pa skiego hełmu wzbudziły j . „Mrówka o yła” i zacz ła nadawa . Kiedy za oddalał si pan od niej b d odwracał głow , fale ju jej nie trafiały i przyrz dzik si wył czał. Posiada on proste urz dzenie, oparte na zasadzie wariometru, dzi ki któremu ustawia si dokładnie w kierunku p czka fal wzbudzaj cych. Czy to jasne?

Skin łem w milczeniu głow . Ostatnia moja hipoteza rozpadła si w gruzy. Postanowiłem, e odt d na dobre zrezygnuj z ich tworzenia.

— A wi c to nie jest „istota”... — odezwałem si po chwili.

— Oczywi cie, e nie.  
— A co to mo e by ?  
— Tego nie wiemy. Kolega Lao–Czu s dzi, e w taki sposób mieszka cy Wenery utrwala j wiadomo ci...  
— Ach, wi c to byłoby co w rodzaju ksi ki?  
— Albo płyty, filmu czy mo e listu... w ka dym razie rodzaj dokumentu, którego tre mo na w razie potrzeby odtworzy .  
— A czy te drgania... prawda, przecie „raport”, słynny „raport”, te był spisany w drganiach... mo e s takie same?  
— Jak pari widzi, nie ma tu profesora Czandrasekara. Ju od dwu godzin stara si za pomoc Maraxa odpowiedzie na to pytanie. Na razie musimy si uzbroi w cierpliwo ...  
Gdy wracałem do Centrali, min łem kabin Maraxa. Chciałem do niej zajrze , lecz powstrzymał mnie wielki czerwony napis „Cisza”, płon cy nad drzwiami. W Centrali by! wci jeszcze Oswaticz ze swoim Euklidesem. Poszedłem wi c na gór , do stacji luz, wło yłem skafander i wyszedłem na grzbiet rakiety. Noc stała czarna i mro na.  
Za wieciwszy r czny reflektor przekonałem si , e mgła znikła. Biały kr ek wiatła pomkn ł po lodzie, wzniecaj c połyskliwe refleksy, a zgubił si po ród niewyra nych kształtów, oproszonych cienk warstw niegu.  
Zgasilem latark i usiadłem na pancerczu. Przez jaki czas nie widziałem nic. Musiałem wył czy radar, gdy jego ekran o lepiał pal c si zielonkawym owalem w gł bi hełmu. Powoli oczy zacz ły przywyka do mroku. Ciemno dookoła miała ró ne stopnie nasilenia; najwi ksza była nisko nad horyzontem, gdzie domy lałem si gór. Niebo przedstawiało si jako czer ledwo dostrzegalnie bledsza. Nie było na nim nawet tej po wiaty, jak rzucaj na Ziemi chmury, o wietlone z wysoko ci Ksi ycem. Z dołu, od powierzchni lodowej, płyn ło ciche potrzaskiwanie. To lód krzepł i wypychał w gór kadłub rakiety. Dot d patrzałem na północ, w stron przeł czy. Odwróciwszy si na południe, spostrzegłem m cy, popielaty brzask. Pocz tkowo my lałem, e to złudzenie, ale wyt ywszy wzrok zdołałem rozró ni wierzchołki gór na szarawym, niewyra nym tle. Było tam troch wiatła, ale tak mało, e patrz c zbyt długo, zawahałem si , czy w ogóle co widz . Musiałem przymkn na chwil powieki i, nagle je otworzywszy, przekonałem si , e to nie jest złudzenie, e tam tli si niezmiernie słaba, lecz rzeczywista szaro .  
Powróciłem do wn trza rakiety, zostawiłem skafander w komorze luz i zszedłem do dolnego korytarza. Czerwone wiatło nad kabin Maraxa ju nie płon ło. Uchyliłem drzwi. Obok pulpitu o liniach przypominaj cych dzwon stały na podtoczonym wózku aparaty, w których poznałem wzmacniacze kaskadowe i zwyczajny gło nik radiowy. W kabinie było czterech uczonych. Fizyk siedział skulony przy aparacie, astronom nieco dalej, odwrócony do mnie plecami, w takiej pozie, jakby ogl dał co w mroku pomi dzy uchylonymi ciankami izolacyjnymi Maraxa. Czandrasekar stał w k cie. Obok niego Rainer, oparty o rur konstrukcji, obu r kami zakrywał twarz.  
Wszyscy milczeli. Nieruchomo ich była tak dziwna, e nie wa yłem si przemówi . Lao–Czu, który spostrzegł mnie pierwszy, poruszył si . Arseniew podniósł głow mrugaj c jak o lepiony.  
— To pan?  
Stałem wci przy drzwiach.  
— Niech pan wejdzie... — powiedział Arseniew. Zdawało mi si , e Chi czyk patrzy na mnie jako szczególnie, ale to tylko wiatło odbłyśło w jego okularach.  
— Udało si ...? Odkryli cie co ? Co? — spytałem. Lao–Czu potrz sn ł głow .  
— Nie, ale... profesor Czandrasekar zrobił pewn prób ... pewne do wiadczenie, które dało... dziwny rezultat.  
Tak to powoli powiedział, e mnie ciarki przeszły.

— Co to znaczy?

— Mo na jeszcze raz? — spytał Chi czyk. Nikt si nie odezwał. Przekr cił wył cznik wzmacniacza na wózku. Rozległ si głuchy szum, potrzaskiwanie, potem kilka nieprzyjemnych, opadaj cych raptownie gwizdów. Nagle z gło nika popłyn ła melodia. Mroczna, skupiona, gwałtowna i pełna trwogi. Nie budziła l ku, lecz była nim samym; l k był w niej jak w olbrzymich szkieletach gadów jurajskich, zastygłych w poczwarnym skurczu, tak jak je przychwycił strumie rozpalonej lawy i na wieki zatrzymał w pozie pełnej niewypowiedzianego bólu i przera enia. Była jak te olbrzymie ko ci, które przestały ju by kr goślupami i ebrami, ju nie nale do ycia, a jeszcze nie stały si skał wapienn , cz ci martwego wiata. Jak one, była równocze nie dziwaczna, wstr tna — i bliska, wywołuj c wra enie niemal człowiecze. Chciałem krzykn : Do , do , wstrzymajcie to! — ale ust nie mogłem rozewrze i słucałem pora ony, jakbym przez szkło ogl dał konwulsje potwora gł binowego o dziwacznych, niepoj tych kształtach, o którym nie wiem nic — prócz tego, e ginie.

Poszarpany chór raz jeszcze zagrzmiał i zgasł. Ju tylko gło nik szumiał miarowo pod pr dem.

Milczałem i towarzysze milczeli, gdzie w dole słyca było delikatny szelest pracuj cego mechanizmu. Długo trwało, zanim odwa yłem si spyta :

— Co to było?

— Tak brzmi kryształ... jednego z tych przyrz dzików... — powiedział Czandrasekar podchodzc do aparatu. Wyj ł z uchwytów metalow kruszyn .

.— Przyszła mi my l, eby przemieni te drgania elektryczne na d wi ki. Nie wiadomo wcale, czy takie jest przeznaczenie tego dziwnego tworu... To, e przetłumaczone na d wi ki drgania stwarzaj melodi , jest, by mo e, tylko przypadkiem...

— A inne? — spytałem wskazuj c na rozsypane srebrzyste ziarna.

— Nic, zupełny chaos d wi ków, rozdzieraj cy słuch — odparł matematyk.

— Sam na wiem, czemu to zrobiłem — dodał po chwili — nie s dz , eby to miała by muzyka, czy by o n i tak e...

— Co tobie, Lao? — powiedział Arseniew.

Fizyk wstał od aparatu. Uniósł nieco twarz z takim wyrazem, jakby zapatrzył si w dalekie wiatło. Nie dosłyszał pytania Arseniewa. Powoli opu cił głow . Dotkn ł kilka razy palcami szklanej płyty, jakby j gładził, potem zwrócił si do Rainera:

— Doktorze... od jak dawna istnieje według pana ten pokład elaza na brzegu? Pan robił analiz ...

— Tak, zrobiłem, jeszcze przed t fataln wypraw . Bior c pod uwag niski procent tlenu w powietrzu... chocia , z drugiej strony, obecno wody działa katalizuj ce... s dz , e to elazo istnieje w takiej formie od jakich stu pi dziesi ciu, no, powiedzmy, stu sze dziesi ciu lat.

— A mo e... dziewi dziesi ciu?

— Raczej nie. Chyba gdyby temperatura znacznie si podniosła... a co pan ma na my li, profesorze?

— Gdyby temperatura znacznie si podniosła... — powtórzył bardzo powoli Chi czyk. Usiadł.

— Czy my li pan... — zwrócił si do niego Rainer, lecz Arseniew powstrzymał go gestem.

— Nie przeszkadzajcie mu. On nas teraz nie słyszy.

Historia ta zrobiła na mnie takie wra enie, e zapomniałem o dalekiej łunie, której odbłask widziałem w ciemno ciach, stoj c na grzbiecie pocisku. Nazajutrz i w ci gu nast pnych dni niebo błyskało cichymi wyładowaniami elektrycznymi i odległego blasku nie mo na było dostrzec.



## WIELKA PLAMA

Przez szesnaście dni ciągły się badania wysokich warstw atmosfery. Mówi „dni”, chociaż dolina spowita była ciemnością, bo organizmy nasze zachowały dwudziestoczterogodzinny rytm snu i czuwania. Wraz z fizykami ustawiałem na grzbiecie rakiety przyrządy radarowe i reflektory promieni ultrafioletowych. Wypuściliśmy my te kilka balonów-sond, które rejestrowały natężenie jonizacji, a umieszczone w nich automatyczne nadajniki przekazywały nam rezultaty pomiarów. Rainer krzątał się w laboratorium robiąc analizy minerałów zebranych w Martwym Lesie. Czandrasekar zaś przesiadywał w kabinie Maraxa, pochłonięty jakimiś skomplikowanymi obliczeniami. Z niecierpliwością oczekiwałem witu, do którego odłożył poważniejsze poczynania. Pogoda wciąż była mroźna. Lód rozpuścił się na jeziorze idealnie gładkiej powierzchni. Sprzyjała temu zupełna cisza. W ciemnościach smużyły pośród chmur migotliwe blaski, przypominające widziane przez chmury zorze polarną. W dwudziestą dobę przeszła nad doliną potężna burza elektryczna. Lód trzeszczał i pukał, podważył fale, ściany rakiety drżały, gruboziarnisty grad grzechotał po jej bokach i grzbiecie, ale najślabsze drgnienie powietrza nie wtargnęło do zacisznej wnętrza. Nazajutrz wszystko ucichło i przy zmniejszającym się mrozie — termometry podniosła się do czterech stopni poniżej zera — barometr zaczął opadać. Zbliżył się wita, a z nim nowa potężna burza. Arseniew zarządził start. Kiedy my po raz ostatni staliśmy na grzbiecie rakiety, niebo nalewało się ciemnością, ciemność szarobiałą. Tępy odbłask legł na lodach skuwających jezioro. Potem klapy zamknęły się i zahuczały motory. Lód pukał z gromowym odgłosem, rozpadał się na kawały, wznosił się wysoko ponad dziób Kosmokratora. Pocisk zamiótł wodę płomieniami i zostawiwszy za sobą zbiegał smug wrzasku uniósł się stromo w powietrze. Z mroków, rozdartych ogniem wylotowym, wyłoniły się widmowe sylwety gór i pełne granatowych cieni przepaści. Wzbijali my się rubrowymi liniami coraz wyżej przez grube pokłady chmur. Nagle wszyscy stojący w Centrali zasłonili twarze rękami: w telewizorach zapłonął biały, rozjarzony dysk nurzający się nisko w obłokach. Lecąc na wschód spotkali my Słońce o kilka godzin wcześniej, nim weszło nad doliną.

Kosmokrator skierował się ku Ziemi, jakby zamierzał wyruszyć w otchłań dzielącą obie planety, ale nawigatorzy wprowadzili go tylko w strumienie fal radiowych, które niosły nam wiadomości z domu. Przez kilka godzin unosili my się w próżni, pod czarnym niebem, pełnym gwiazd, od tak dawna niewidzianych. Potem Kosmokrator, jak pływak szukający dna, zanurzył się w chmurach. Od czasu do czasu otwierały się małe luki denne, z których na długich kablach opuszczano pomocnicze anteny radarowe. Aparaty indukcyjne poprzez mgłę poszukiwały żelaza i metalu. W obu laboratoriach analizatory drgań rejestrowały i rozszczepiały fale odbijające się od niewidzianej powierzchni gruntu. Z instrukcji, którą otrzymałem objeżdżający urządzeniowy nawigacyjny, zorientowałem się, że zmierzamy ku dolinie Białej Kuli. O jedenastej zjawił się w Centrali Arseniew. Był jakiś roztrzęsiony, odpowiadał na pytania po dłuższej chwili, jakby myślał o czymś innym. Obejrzał przyrządy i polecił mi szczególnie uważać na wskazania grawimetra.

— Jeźli zajdą jakie zmiany, proszę mnie natychmiast zawiadomić — powiedział.

— Na pewno nie zajdzie, profesorze — odparłem — bo nie będziemy robić więcej niż trzy czwarte kilometra na sekundę.

— To nie ma nic wspólnego z naszą szybkością. Zdziwiony, nie mogłem się powstrzymać od uwagi:

— Jak to? Przecież grawimetr wskazuje natężenie grawitacji, a siła, z jaką przyciąga nas Wenera, jest zawsze taka sama?

— Nie chodzi o przyciąganie planety — odparł Arseniew niecierpliwie. — Proszę wypełnić polecenie.

Wzruszyłem ramionami i popatrzyłem na grawimetr.

Wskazówka stała nieruchomo. Wiedziałem jednak, że Arseniew nie zwykł mówi niczego na wiatr, i chociaż nie mogłem powiedzieć, w jaki sposób siła przyciągania może się zwikszywać, od czasu do czasu spoglądałem na tarczę przyrządu. Na pół godziny przed kołosem dyu otrzymałem przez wewnętrzny telefon polecenie wzniesienia się na osiemdziesiąt kilometrów. Szybko według kompasu i radaroskopów, dolina Białej Kuli musiała być już blisko. Silniki zaczęły pracować głośno i po kilku minutach Kosmokrator wystrzelił nad chmury. Wypukłość planety była dobrze widoczna; do horyzontu ciągnęły się wełniste obłoki, rozczesane w długie grzdy, niby zorane pola pod niebem. Odezwali się donośnym brzęczykiem — to przepalił się jeden z bezpieczników sieci zasilającej drugie laboratorium. Winowajcą był jeden z uczonych. Ponownie włączyłem przekaźnik, którego dopływ został automatycznie odcięty, i wróciłem do Prediktora. Podchodząc do ekranów zauważyłem, że światło ich nieco przygasło. Chmury pociemniały. Były wielkie, o płaskiej podstawie i szklonym, srebrnym wierzchu. Wprawione w ruch, sunęły w tym samym kierunku co Kosmokrator. Jeszcze chwila i ukazał się w ród nich lej. Olbrzymi, gładki, sięgał — zdawało się — wnętrza planety. Puszczono chmurę ztracała się w jego szczelnej gardzieli. Odwróciłem oczy, bo od patrzenia w kołosek się horyzont zakrzywił mi się w głowie. Nieliczne pierzaste obłoczki, płynące na wysokość Kosmokratora, znikły jeden po drugim. Spadały w dół z taką szybkością, jakby je uderzała niewidzialna pięść. W dole chmury, stopione w masę gładką jak płynny metal, zawrotnym młynem cęgnęły w czeluści. Uczułem, jak ciśnienie mego ciała zwiksza się; zarazem głos silników przechodził w coraz to wyższy, natężony pieśń. To Predyktor, opierając się o siłę, która usiłowała ciągnąć nas w dół, zwikszał moc napędową. Kosmokrator wciąż jeszcze mknął prosto po ciemnościach gigantycznego koliska. Jego rednicę oceniałem na sto kilkadziesiąt kilometrów. Grawimetr wskazywał wzrastającą przyciąganie. Nie doniosłem o tym Arseniewowi, bo i bez przyrządu musiał odczuwać, jak ręce i nogi nalewają się ołowiem, a wykonanie najprostszego ruchu wymaga wzmocnienia wysiłku. Pędziły ponad mrocznym rozziwem wiru. Rakietę ani o włos nie odchyliła się od prostej, tylko silniki wydawały ostre, gwizdające ton, jak przyhamowane w wielkiej szybkości. Do Centrali wszedł Arseniew w towarzystwie Sołtyka i Rainera.

— Patrzcie — powiedział — to jest Wielka Plama!

— Wielka Plama?

— Tak. Pamiętacie, że na krótki czas przed lądowaniem dostrzegliśmy na tarczy Wenus plamę, która potem znikła? Teraz pojawiła się znowu, tylko widzimy ją z nieporównanie mniejszej odległości.

— Gdzie w pobliżu musi być dolina Białej Kuli — zauważyłem.

— Nie w pobliżu, lecz pod nami. Tam — wskazał astronom wklęsłość, pogroźoną w ciemnościach — lej, która została już za raketą i wyglądała teraz jak ogromny czarny otwór. Grzybiastymi falami mknęły tam chmury ze wszystkich stron widnokręgu.

— Kto ma teraz dykturę? — spytał Arseniew.

— Mój koleś czy siła nie — odparłem — a zaczyna inżynier Sołtyka.

— Dobrze. Oddaliśmy się teraz od centrum przyciągania. Kiedy grawitacja opadnie do dwóch „g”, zaczniemy krążyć wokół doliny.

Oderwał oczy od ekranu i spojrzał na nas.

— Oprócz dykturę proszę wszystkich do Maraxa.

Musiałem zdać Sołtykowi dykturę, co potrwało kilka minut. Kiedy wszedłem do kabiny Maraxa, byli tam już wszyscy. Arseniew przegłaskał jakiś wykres, stojąc przy pulpicie, za którym siedział Lao-Czu. Rainer krzyknął się przy dykturze aparacie projekcyjnym.

— Krążymy teraz wokół Wielkiej Płatny — powiedział astronom. Odłożył papiery. — Stanowią wir obłoków wciąganych sztucznym polem grawitacyjnym. Proszę, kolego Rainer, zajmijcie się tym.

Wiatła sufitowe zgasły. W ciemności zajarzył się czworokrotny ekran na ścianie. Ukazał się na nim zielonkawy obraz. Były to jakby szprychy koła, zbiegające się w jego środku. Niektóre przebiegały liniami lekko falistymi.

— To jest sieć rur podziemnych, dostarczających energię Białej Kuli — odezwał się z mroku głos astronoma. — Przez porównanie z biegunem magnetycznym można by ją nazwać biegunem grawitacji, bo wytwarza ona sztuczne pole ciężkości. To, co widzicie, jest czymś w rodzaju zdjęcia rentgenowskiego. Zrobiliśmy je przed kwadransiem z wysokości 80 kilometrów poprzez skorupę planety.

Wzrok przyzwyczajając się powoli do fosforycznego świecenia ekranu. Linie, oznaczające rury, nie wszędzie rysowały się z taką samą ostrością. Było to spowodowane niejednakowym oporem, jaki gruntu w różnych miejscach stawiał przeciw wietlącym promieniom. Nieruchomymi smugami ciemniały pasma górskie wokół kotliny. Jezioro było prawie niewidoczne, zaledwie można było dostrzec jego brzośnię w środku, gdzie ekran świecił nieco słabiej. U zbiegu rur ciemnym, prawie czarnym punktem odznaczała się Biała Kula.

— Przypuszczamy — ciągnął astronom — że to ogromne urządzenie energetyczne pozostaje w ścisłym związku ze sprawą zagrożenia Ziemi. Nie będę teraz mówił o tym szczegółowo, ponieważ zajmujemy się wyłącznie technicznymi badaniami, które nas oczekują. Tylko parę słów wstępnych. W czasie kiedy my się zbliżaliśmy do Wenus, zauważyliśmy na jej powierzchni ciemne plamy. Istniała przez kilka godzin i powoli rozwinęła się. Potem, przed trzema tygodniami, gdy byliśmy w dolinie, Biała Kula spoczywała. Co prawda spowodowała katastrofę helikoptera, ale w porównaniu z jej maksymalną działalnością można by powiedzieć, że to nie więcej niż spoczynkiem. Obecnie działalność jej ponownie się wzmożyła. Prawdopodobnie przechodzi albo przeszła już przez szczyt nasilenia. Jak widać z zestawienia tych trzech faktów, natężenie pola siłowego, które wytwarza Biała Kula, ulega zmianom. Jest dla nas rzecz wielkiej wagi dowiedzieć się, czy zmiany te mają charakter periodyczny, to znaczy, czy wahania między minimum a maksimum natężenia tworzą zamknięty, powtarzający się cykl, czy też są chaotyczne. Od rozstrzygnięcia tej kwestii zależy wszystkie nasze dalsze poczynania. Bądźmy czekali w powietrzu, a działalność Białej Kuli znacznie osłabnie. Opuścimy się wtedy na jezioro i zainstalujemy na brzegu aparaty pomiarowe. Jak widzicie, do Białej Kuli dochodzi jedna sieć rur. Płyną nimi prądy, które zbiegają się pod Białą Kulą, dostarczając energię dla wytworzenia pola. Prądy te mogą się wzajemnie sumować lub znosić, zależnie od czasu i impulsów, przesunięcia faz, natężenia i tak dalej. Rury, jak wiecie, leżą w głębi gruntu. Nad każdą ustawimy oscylograf, który będzie rejestrował tętnienie prądu. Analiza tak otrzymanych zapisów pozwoli nam rozwiązać postawione zadanie. Można zrobić wiatło, doktorze.

Ekran zgasł i równocześnie zapłonęły lampy. Zmrużyliśmy oczy, astronom zaś, podchodząc do pulpitu, ciągnął:

— Zadanie jest nietrudne, ale niebezpieczne. W każdej chwili może nas zaskoczyć wzrost działalności Kuli. Nie wiemy, jaki wpływ wywierają na ludzki organizm szybkie — zmienne pola grawitacyjne. Jest prawdopodobne, że przekroczenie niektórych stref przy nagłym skoku siły pola może okazać się dla człowieka zgonem. Poza tym skoki potencjału grawitacyjnego mogą wywoływać rozmaite nieznane nam zjawiska, jak nagłe rozgrzewanie się gruntu, zmiany ruchu powietrza, odmienne załamywanie wiatła i tak dalej. W takich warunkach łatwo jest stracić orientację, szczególnie w takim górskim terenie pod Białą Kulą. Dla zachowania ostrości będziemy pracowali trójkami. Dwóch ludzi będzie obsługiwał aparaty, a jeden — obserwował tamtych z pewnej odległości i komunikował się z raketą. Arseniew rozdał nam zadrukowane arkusze.

— To jest plan pracy z podziałem na trójki. Pierwsi wyrusz Osywicz, Sołtyk i Smith, aby przygotować ...

Zabrał czajkę z wewnątrz telefonu. Fizyk podniósł słuchawkę.

— Natomiast nie pole słabnie — zwrócił się do Arseniewa — i to szybko. Sołtyk mówi, że gromadzą się chmury burzowe.

Arseniew zebrał papiery z pulpitu.

— To by się zgadzało z przewidywaniami... spadkowi grawitacji powinna towarzyszyć burza elektryczna. Czy są jakie pytania?

— Tak — powiedziałem. — Czy mam się przygotować do lotu zwiadowczego?

— Nie, to niepotrzebne. Będzie od razu wodowa na jeziorze. Proszę?

— Biała Kula zbudowali mieszkalną planetę — rzekł Osywicz. — Czy nie jest moją liwą, że ich tu spotkamy?

— Tego nie mogę powiedzieć. Biała Kula wydaje się wprawdzie sterowana na odległość, ale to nie wyklucza takiej możliwości. Mieszkalna planeta... są niewątpliwie istotami o wysokiej inteligencji. Poza tym nic o nich nie wiemy i dlatego trudno powiedzieć, co należy robić w wypadku ich napotkania. Przypomnie mi tylko zasadę, której zobowiązaliśmy się przestrzegać przed naszym odlotem: sprawa porozumienia z mieszkańcami planety i usunięcia zagrożenia Ziemi stoi ponad sprawą naszego osobistego bezpieczeństwa. Innymi słowami, nie wolno nam nie tylko atakować, ale także bronić się siłami działającymi gwałtownie. Nie wolno też niszczyć urządzeń technicznych. To wszystko.

Rainer i Osywicz wyszli. Tarland spytał mnie o coś; odpowiadając słyszałem, jak Czandrasekar mówi do Arseniewa: — Nie powinien być mi pan odmówić.

— Nie odmówiłbym, gdybym miał do tego prawo — odrzekł astronom. — Kto musi pracować przy Maraxie, a nikt nie umie tego lepiej od pana.

— Nazywa go pan moim dziełem — powiedział Czandrasekar — okazuje się jednak, że to ja jestem jego niewolnikiem.

W kabinie nie było już nikogo. Powinienem być wyjść, lecz zostałem. Obaj uczeni zdawali się nie dostrzegać mojej obecności.

Czandrasekar usiadł za pulpitem. Arseniew ruszył ku drzwiom, nagle przystanął.

— A o tym, że ja muszę zostać ...

Nie dokończył i wyszedł. Czandrasekar, z rękami na klawiaturze Maraxa, siedział opuszczony lekko głowę, jakby nasłuchiwał płynącego z głębi statku szumu motorów.

— On ma rację — powiedział niskim głosem — ale i ja ją mam.

Chociaż nie spojrzął w moją stronę, zrozumiałem, że mówi do mnie.

— Pan chciał... tak jest i na brzegu, profesorze?

— Tak. Obaj mamy rację ... tak bywa w życiu... i dlatego ono jest trudniejsze od matematyki

Dotknął jednego, drugiego klawisza. Zielone światła pojawiły się na ekranach, poczyniły drogę, rozwidlały się, wirowały. Wyszedłem, jak mogłem najciszej. W kabinie coraz głośnieżej rozlewał się głuchy szum prądów.

Wodowali my w trzy godziny po przejściu burzy. Skały nad jeziorem ciemne były od wilgoci, padał jeszcze drobny deszcz i dziesiątki strumieni cwałowały w ród osypisk, spadając z pionowych progów, które zmieniły się w wodospady. Kosmokrator spoczął w znacznej odległości od brzegu. Biała Kula była niewidoczna; nawet gdy wiatr odwiewał mgłę, zasłaniał ją las krzemiennych iglic, wystających z wody i nadbrzeżnego osypiska. Góry to pojawiały się, to znikały w ród obłoków jakby rozmywane parą, wstępując w powietrze białymi słupami. Łódź motorowa krążyła mi dokoła Kosmokratera a zatok. Przewozili my aparaty, akumulatory, szpule kabla i stalowe części konstrukcji, z których zbudowano na brzegu niewielką przystań. Miała ułatwić wylądowanie ciemności.

Gdy przygotowania zostały zakończone, Oswaticz wyruszył wraz ze mną w obchód Białej Kuli na poszukiwanie podziemnych przewodów. Posługiwali my się aparatami indukcyjnymi. Elektryczne echo pierwszej rury dało się słyszeć poniżej wielkiego ebra skalnego nad zatoką. Była to ta sama, która, biegnąc na południowy wschód poprzez wóz, krater i płaskowyż, dochodziła do doliny jeziora o elastycznym brzegu. Oznaczywszy miejsce wzniesionym naprzeciwko kopcem głazów, ruszyliśmy dalej. Zauważyłem, że kamienisty teren był suchy, chociaż wciąż padał drobny deszcz. Krople parowały w zetknięciu ze skałami, tak była gorąca. Wszystkie szczeliny gruntu wypełniły nawiany piach. Twardy, gruboziarnisty, przyskałał i wznosił się spod butów małymi obłoczkami, a kiedy nadchodził wiatr, całe rumowisko okrywała popielata kurzawa. Zszedłszy z wyniosłości nad zatokę, straciliśmy z oczu Białą Kulę. Zakryły ją stojące gęsto krzemienne igły. Niektóre dochodziły do trzydziestu metrów wysoko. Ich grube, gładkie kolumny sterczały ponad zdradliwych głazów, które mimo swego ogromu były chwiejne i nieraz jak zapadnie usuwały się pod stopami. Po kolei wyznaczaliśmy miejsca dla ustawienia oscylografów nad następnymi rurami. Deszcz przestał padać i w chmurach pojawiły się rzadkie zielone okna. Mgła zsiadała się, coraz gęstsza, za to w górze powietrze nabierało klarowności. Wreszcie wiatr zmiótł tumany mgły nad wodą i ukazały się zbocza doliny. Niespełna kilometr od brzegu znaczył się zielony plamk wśród głazów namiot punktu obserwacyjnego. Lao-Czu obserwował stamtąd postępy naszej pracy. Ustawiliśmy ostatni piramidki kamieni w miejscu, gdzie pod rumowiskiem biegła jedenastorurka, wróciliśmy do rakiety. Na brzeg popłynęli Sołtyk i Rainer. Pogoda ustalała się; chmury, zupełnie białe, płynęły po niej cym najczystszej zieleni niebie. Co kilka minut pojawiało się Słońce i przestrzeń jak gdyby rosła od blasku; w ozłoconych skałach występowały granatowymi smugami leby i kominy; wiatło było tak silne, że gołym okiem można było liczyć głazy po przeciwnej stronie jeziora. Przez długi lunet na trójnogu obserwowaliśmy z grzbietu Kosmokratora, jak Sołtyk i Rainer dobijają do zatoki i podchodzą ku wyniosłości. Pod ciężarem skalnym Lao-Czu zatrzymał ich, zawiadamiając nas jednocześnie, że grawimetr wskazuje wahania siły pola. W tej samej chwili powietrze nad brzegiem poczęło mieni się jak gdyby szkło. Zawisały w nim różnokolorowe, płaskie tęczowe, spływające powoli na powierzchnię wody, to znowu kształty odległych skał drgały jak filucyjny płomień, otoczone wietlistymi obwódkami. Po pewnym czasie wszystko się uspokoiło i towarzysze mogli przystąpić do pracy. To jeden, to drugi schodził do przystanku i, objuczony ciężkim oscylografem, piął się w górę, by zniknąć w labiryncie potrzaskanych złomów. Po czterech godzinach Rainer zajął miejsce na posterunku obserwacyjnym, a w teren poszli Lao-Czu i Tarland. Sołtyk, który przyszedł z motorówką, doniósł, że w pobliżu Białej Kuli silne dudnienie prądów zakłócało czono radiow. Wszyscy pracownicy na brzegu zostali zaopatrzeni w rakietnice sygnałowe, aby porozumiewać się z obserwatorem przy grawimetrze, jeżeli radio zawiedzie. O szóstej po południu aparaty zostały rozstawione. Opasywały Białą Kulę blisko półtorakilometrowym kręgiem. Co dwie godziny trzeba było je obchodzić, wyjmować na wietlony film rejestrujący i zakładać nowy. O ósmej przywieźliśmy my pierwsze szpule filmu z zapisem prądów; natychmiast powróciły do kabiny Maraxa. Po dwóch godzinach na brzeg udali się Rainer i Sołtyk; wykonali zadanie bez przeszkód i dostarczyli drugą partię filmów. Arseniew, jeżeli nie przebywał z Czandrasekarem przy Maraxie, wychodził na pokład, aby sprawdzić wskazania głównego grawimetra. Dochodziła dziesiąta godzina ziemskiej nocy; Słońce przeziierało przez cienkie, pierzaste chmurki, a wody jeziora spoczywały tak nieruchomo, że we wnętrzu rakiety nie wyczuwało się najłagodniejszego kołysania. Gdy ponownie przyszła kolej na mnie i Oswaticza, wśród szczytów krzemienianych iglic, powyżej niewidzialnej z jeziora Białej Kuli, uformował się w powietrzu rozchwiany, mętny obłok, jakby rosnąca trąba powietrzna. Lao-Czu, który był na punkcie obserwacyjnym, zatrzymał nas przy brzegu, wystrzeliliwszy trzy czerwone i jeden dymny rakiet. Wyglądało na to, że Biała Kula budzi się: od jeziora napływały coraz gwałtowniejsze poddmuchy wiatru, a temperatura nadbrzeżnych skał w parę minut podniosła



si o dwadzieścia stopni. Zarazem dudnienie przy uniemożliwiło komunikację radiową na odległość przekraczając kilka metrów. Natężenie pola wzrosło kilkoma drobnymi skokami, potem jednak ustaliło się. Fizyk zasygnalizował, że możemy ruszać. Wspieliśmy się na skalny szczyt. Tu pod jego szczytem stał pierwszy aparat, okryty małym namiotem z płótna aluminowego; zmieniając filmy, co zajęło nam kilka minut, poszliśmy dalej. Ze szczytu wzniesienia rozpościerał się widok na dużą przestrzeń. Powietrze było bardzo przejrzyste, delikatna mgła spowijała tylko najdalsze szczyty górskie. Nagle zatrzymałem się. Poszarpana i sfalderowana płaszczyna kamienia u naszych stóp, z której sterczały igły, kopce piasku i potraskane płyty, była pusta.

— Oswaticz, patrz! — krzyknąłem — Biała Kula znikła! Spojrzał przed siebie.

— Co, u licha!

— Zaraz, zaraz... — mówiłem — pamiętam, że ta wielka płyta pod trzema igłami była z prawej strony Kuli, a teraz jest tu obok stoika... tam nie ma nawet miejsca... wić gdzie stała przedtem Kula? Gdyby się nawet zapadła, zostałaby dół, puste miejsce?!

Rozglądaliśmy się bezradnie.

— Co robić? — spytałem. Zwróciliśmy się w stronę odległego zbocza, gdzie na szarym tle zieleniał niebieski od główki zapalniczki namiot grawimetra. Spróbowałem wywołać fizyka przez radio, ale słyszałem tylko trzaski, głośnie jak serie karabinu maszynowego. Wystrzeliłem więc jedną białą i dwie dymne rakiety, co według umówionego klucza oznaczało: „czy możemy iść dalej?” Upłynęła dobra chwila, zanim w oddali podniosła się zielona gwiazdka, poszybowała w górę, zawisła i powoli sfrunęła w dół, spychana wiatrem na jezioro.

— Wszystko w porządku — powiedział Oswaticz. Odwróciliśmy się, wydając równocześnie nieokrzyk zdziwienia. Biała Kula stała w rumowisku ogromnego jasnego kopca, otoczona szerokim pasem pustej przestrzeni.

— To był jakiś miraż — powiedziałem wreszcie, sam nie całkiem wierząc we własne słowa, i ruszyłem w dół. Ponieważ wszystkie oscylografy były połączone ze sobą cienkim kablem, który synchronizował ich wskazania, szliśmy ładem białego przewodu, na przemian wspinając się na stopy głazów i zbiegając po nich. Przy każdym aparacie zatrzymywaliśmy się na chwilę, ja wyjmowałem białą taśmę na wietlony film, Oswaticz zakładał nowy z zapasu, który niósł w plecaku. W niespełną godzinę obezliśmy dziewięć aparatów. Do dziesiątego droga wiodła szczytem kamiennej wypukłości. Po lewej stronie wznosił się nad krzemiennymi wierzchołkami szczyt Białej Kuli, po prawej osypisko było nieckowato zakłócone; owo w głąb białego wypełniały stopy głazów. Wyglądało jak opuszczony kamieniołom. W pewnej chwili spojrzałem tam i przystanąłem. W dole, w odległości około stu metrów, siedział ktoś na dużym kamieniu. Była to ciemna, krępa postać, zupełnie nieruchoma. Oswaticz, który szedł przede mną, wysforował się na jakieś dwadzieścia kroków. Okrzyknąłem go. Odwrócił się i tak się stanął. Wydał się niezdecydowany, co robić. Bez namysłu puściłem się w dół, skacząc przez zwały kamienia. Na mgnienie straciłem z oczu postać. Kiedy zbliżyłem się na tyle, że mogłem ją dokładnie obejrzeć, przekonałem się, że to nie był człowiek. O płaski głaz opierała się długa, wielka, nieregularna bryła. Wiatro szklisko mocno w jej brunatnych załamach. A dziwne było, że mogła z oddali przypominać ludzką sylwetkę. Tylko w odgórnym skrócie była trochę podobna do pochylonego torsu.

— To jest blok lawy! — zawołałem. Oswaticz, który stał na wzniesieniu, patrzył dalej w moją stronę; zapewne nie dosłyszał, bo elektryczne zakłócenia były bardzo silne. Dałem mu więc znak ręką, że to nic nie jest, że się omyliłem. Odwrócił się i ruszył naprzód. Niedaleko wystawał zza kamiennej piramidki okap namiotu okrywający go oscylograf.

— Zaczekaj! — krzyknąłem i pobiegłem w górę zbocza. Oswaticz zwolnił kroku, ale szedł dalej. Jego ciemna sylwetka odcinała się od jasnego tła, którym był wierzch Białej Kuli.

— Zaczekaj! — krzykn łem raz jeszcze. Nagle cała przestrze przede mn skurczyła si i przysiadła, jakbym j ogl dał odbit w lustrzanym arkuszu blachy, który kto niespodziewanie wygi ł. Potem wszystko zafalowało i wróciło do poprzedniego stanu. Stan łem jak wryty. Oswaticz znikł. Przed chwil widziałem jeszcze jego poruszaj ce si plecy, połysk hełmu; wst pił na wielk płask płyt srebrnawego kamienia. Zrobił krok, mo e dwa naprzód i znikn ł, jakby si rozwiął w powietrzu. Stałem kilka sekund osłupiały, a potem pu ciłem si ze wszystkich sił ku temu miejscu.

— Oswaticz! — krzyczałem. — Oswaticz! Nie było odpowiedzi.

Uwa aj c, by nie straci z oczu charakterystycznej w rysunku i kolorze płyty, przelazilem przez głązy spi trzone pod grzbietem wzniesienia. Wreszcie znalazłem si na górze. Ta wielka tafla, pochylona w moj stron , miała powierzchni okryt jak gdyby szronem, dlatego tak błyszcząca. Porastały j drobnutki, skrz ce si kryształki. W jednym miejscu odkryłem na powierzchni dług , biaław rys . Kamie był do mi kki i gwó d buta zarysował go. Pomy lałem, e Oswaticz skoczył na drug stron . Była tam nisza utworzona przez wsparte o siebie złomy, doskonale o wietlona. Za ciełał j drobny wir i kilka du ych jak bochenki, czarnych kamieni.

— Oswaticz! — zawołałem, ale niezbyt gło no. Widziałem go przed minut . Stał na płycie. Nie poszedł

prosto, ale nie mógł te skry si w niszy, droga prowadziła na jeden z otaczaj cych wysokich głązów, zawsze wi c musiałbym ujrze , jak si na nie wspina. Nie straciłem tego miejsca z oczu ani na mgnienie, na to mogłem przysi c. A jednak nie było go. Rozgl dałem si na wszystkie strony z opuszczonymi r kami. Nie było po prostu gdzie szuka . Mimo to biegałem po ród okolicznych głązów i nawoływałem. Odpowiadał chrobot elektrycznych wyładowa . Wróciłem na szczyt wzniesienia, eby wystrzeli rakiety . Kiedy podniosłem pistolet, spostrzegłem, e i Białej Kuli nie ma. Znikła jak poprzednio, kiedy stali my z Oswaticzem ponad zatok . Przedtem zasłaniała widok na zbocza, w których

otwierał si wielki w wóz; obecnie jego uj cie było doskonale widoczne. Czulem to, co bokser podnosz cy si z desek po silnym ciosie w szcz k . Chciałem biec na pomoc Oswaticzowi, szuka niebezpiecze stwa, które mu zagra ało, ale nie było nic: ani Oswaticza, ani widzialnego niebezpiecze stwa. Wystrzeliłem czerwone rakiety na znak, e zdarzył si nieszcz liwy wypadek, potem usiadłem na kraw dzi srebrnawego głązu i, zwiesiwszy nogi w dół, patrzałem, jak na piargach pojawiły si dwie ciemne, powoli pełzn ce plamki. Byli to dwaj ludzie w skafandrach. Szli spiesznie pod gór , przechodz c, gdzie si dało, w kłus, znikli za krzemiennymi iglicami i wreszcie po czterdziestu minutach znale li si przy mnie. Byli to Lao-Czu i Sołtyk. Usłyszawszy, co zaszło, in ynier skoczył na brzeg głązu wołaj c:

— Oswaticz! Janie! Janie!

— To nie ma celu — powiedziałem. — Nigdzie nie odszedł, tu jest ład wieka na kamieniu.

Pochyliwszy si Sołtyk ogl dał skał . Po błyszcz cej powierzchni szła uko na, biaława rysa. Nic wi cej.

— Stan ł silniej — wyja niłem — i zarysował kamie . Inaczej nie mogło by .

— Wi c gdzie si podział?!

Widziałem, e Sołtyk jest w pasji. Wzruszyłem ramionami. Lao-Czu stał wy ej na głązie. Nie odrywaj c lornety od okienka hełmu spytał:

— Który z was niósł na wietlone filmy?

— Ja.

— Ma je pan w plecaku?

— Tak.

— A czy wyj li cie film z dziesi tego aparatu?

— Nie. Oswaticz szedł wła nie tam, kiedy...

— Dobrze.

Fizyk zszedł z głazu i ruszył w stronę namiotu zielonej cego kilkadziesiąt kroków niżej. Sołtyk wsunął się tymczasem do niszy.

— Bo e mój — mrucał obracając się w koło — co to znaczy... Wi c tu stał? — spytał mnie raz jeszcze.

— Tutaj.

— Chod e pan! — krzyknął. — Przeszukamy to przekł te miejsce!

Zajrzał tam — podnosił owe okręgle, czarne kamienie.

Byłoby to mieszne, gdyby nie tragizm położenia. Lao-Czu zawołał mnie. Podeszedłem do niego. Zauważyłem, że Chi czyk stoi jako dziwnie — pochylony skośnie, jakby tracił równowagę, a jednak nie padał. Już chciałem go spytać, co to znaczy, gdy zauważyłem, że i ja, zupełnie nie wiadomo, trzymam się tak samo.

— Profesorze — zawołałem — spójrz pan, jak my chodzimy... Co to jest?

— Nie czas teraz na tłumaczenie — odparł. Podał mi szpulę filmu, wydobył z aparatu. Zatrzasnął kłap.

— Został jeszcze ostatni, za tamtą skałą. Proszę potrzymać — podał mi elektrometr.

Nadszedł Sołtyk. Przystanął i obserwował nas przez chwilę.

— Profesorze... — odezwał się dygoczącym głosem — teraz...? Co pan robi?! Teraz — filmy?!

Lao-Czu nie odpowiedział. Rozumiał tak dobrze, jak ja, że nie należało dać od Sołtyka pomocy. Stałem na miejscu, patrzyłem to na oddalającego się profesora, to na Sołtyka. Porywisty wiatr targał trochę za obszernym kombinezonem inżyniera. Jak skamieniały wpatrywał się w płytę, na której po raz ostatni widziałem Oswaticza. Fizyk powrócił po kilku minutach. Podał mi kasetę.

— Pójdzie pan na brzeg morza szybko i popłynie motorówką do rakiety. Profesor Czandraskar czeka na filmy. To bardzo pilne.

— A... wy? — spytałem.

— Zostajemy.

— Będziecie go szukać?

— Niech pan idzie, proszę! — powiedział Lao-Czu i co stalowego zadźwięczało w jego tak zwykle łagodnym głosie. Pobiegłem starając się nie zwalniać tempa w miejscach, gdzie kamienie leżały luźno i pod dotknięciem zaczynały się osuwać. W powietrzu wisiał nieokreślony, daleki szum. Czuję przez kombinezon gorące podmuchy wiatru. Zza długiej ławicy piargów wyrzało jezioro. Obłoki pary podnosiły się leniwie z jego powierzchni.

Wci biegnąc, usłyszałem dziwne skwierczenie. Spojrzałem pod nogi: podeszwy butów dymiły. Grunt rozgrzewał się, jakby w nim płonął niewidzialny ogień. Stanąłem. Co robi? Wraca po tamtych? Obejrzałem się za siebie.

Robiło się coraz ciemniej od pary, gęstymi kłębami napływającej z jeziora. Podmuchy wiatru parzyły jak oddech wielkiego pieca. Musiałem donieść te przekł te filmy. Pobiegłem dalej. Skacząc z kamienia na kamień, zadyszany, obłany potem, dopadłem wreszcie do motorówki i skoczyłem w nią z rozmachem, a zachybotła i zaczęła burtować wodę. Popłynąłem ku Kosmokratorowi, którego reflektor arzył się pomarańczowo we mgle. Na grzbiecie rakiety przechadzał się człowiek w skafandrze, z rękami założonymi w tył. Przyszła mi szalona myśl, że to Oswaticz. Skoczywszy do trapu, w jednej chwili znalazłem się na górze. Był to Arseniew. Palił się za nim jupiter okalając nasze sylwetki i nic aureol i rzucał w mgłę wielkie, rozwiane cienie.

— Gdzie tamci? — spytał.

— Zostali... — powiedziałem. — Oswaticz... zniknął.

— Jak to zniknął? — z gniewem spytał Arseniew. — Wpadł gdzie?

— Nie, nie wpadł. Znikn ł. Widziałem, jak stał na du ym głazie, to było przy dziesi tym aparacie. Powietrze zamigotało, a kiedy przebiegłem, ju go nie było. Tam nie ma adnej rozpadliny, tylko gładka płyta, a z jednej strony płytki dół mi dzy skałami.

— A Biała Kula?

— Co?

— Pytam, czy widział pan Bia ł Kul !

— Nie. Te znikła.

— Tak... — powiedział astronom. Przez chwil milczał, nagle podniósł głow :

— Ma pan filmy?

— Mam. Profesorze — wybuchn łem — trzeba jecha na brzeg. Oni si tam spal ! Kiedy wracałem, skała była coraz gor tsza, ja...

— Tam jest Lao-Czu?

— Tak. I Sołtyk!

— Prosz zanie filmy do Maraxa.

— A tamci...?

— Dadz sobie rad .

— Ale ja mog zaraz...

— Przy brzegu stoi druga motorówka. Nie jest tam pan potrzebny. Prosz i .

Zszedłem po elaznych szczelkach do komory luz i kiedy

spr one powietrze wyparło zatrut atmosfer , nie rozbieraj c si ze skafandra, zdj wszy tylko hełm, wszedłem do kabiny Maraxa i oddałem filmy. Stoj c w progu patrzałem, jak Czandrasekar zakłada szpule na poziom , dług o , jak wsuwa pocz tek ka dej ta my do szczeliny pulpitu i porusza r koje ci kontaktów. Filmy odwijają si i nikły szybko w gł bi aparatu. Czandrasekar dotykał klawiszów. Ekrany zapalały si kolejno jak olbrzymie, wietliste oczy, czerwone i bł kitne kontrolki zamrugają, rozja niły si i stan ły w takim blasku, e za miły zielonkawe arzenie ekranów. Jak urzeczony patrzałem na palce Czandrasekara biegn ce po klawiszach. Kabina wypełniała si piewnym pomrukiem. W ekranach przelatywały zielone błyskawice, słyca było krótkie, g ste szcz kanie kontaktów, strzałki zegarów dochodziły ku granicy przeci enia, a matematyk wci naciskał klawisze, czasem zadudnił uderzony pełnym pr dem transformator albo sykn ł za cian łuk rozerwany na no ach wył czników. Czandrasekar stał chwil nieruchomo, z opuszczon głow , patrz c spod przymru onych powiek na rozedrgane wiatła, potem odst pił od pulpitu. Raz jeszcze sprawdził wzrokiem wszystkie ekrany i zwrócił si ku mnie:

— Teraz Marax musi pokaza , co potrafi. Rozumie pan, o co chodzi? Pole grawitacyjne powstaje z nało enia na siebie poszczególnych impulsów pr du. Przy zastosowaniu metody Fouriera tych kilkadziesi t miliardów drga , które zarejestrowały na filmie oscylografy...

Miałem tego do .

— Daj mi pan spokój! — zawołałem. — Oswaticz znikn ł!

Czandrasekar drgn ł.

— Co? Co si stało?!

Raz jeszcze zacz łem opowiada . Czandrasekar, słycaj c, przez cały czas wpatrywał si w ekrany. Mimo woli pod ałem za jego wzrokiem. Linie wietlne, miotaj ce si na bocznych ekranach, powoli bladły i zlewały si z fosforyzuj cym tłem. Za to na rodkowym wyst powała coraz silniej wietlista smuga.

— Tam jest Lao-Czu? — spytał Czandrasekar, kiedy sko czyłem. W tej chwili huczenie pr du cichło. Kontrolne lampki zgasły, boczne ekrany oczy ciły si całkiem, a na centralnym znieruchomiała stroma, dwugarbna krzywa. Oczy Czandrasekara zw ziły si . Wzrok mu płon ł.

— A jednak periodyczna! — powiedział. Potem przez wargi przemkn ł mu bladły, przeprasza cy u miech.

— Musi ci się panu wydawać nieludzkie, a ja w takiej chwili...

Urwał. Zachwiał się, cofnął o krok i oparł się o połyskliwy bok pulpitu. Padając z góry wiało zarysowało głębię boków wklęsłymi skroniami i policzkami. W tym momencie uświadomiłem sobie, że w ostatnim czasie w ogóle nie opuszczałem Maraxa. Czerwony sygnał płonął nad drzwiami kabiny dzień i noc.

Matematyk zacisnął powieki i nieznacznie poruszył barkami, jakby chciał z nich stracić niewidzialny ciężar.

— To nic — powiedział. — Oni wrócą, je eli... Nie dokończysz.

— Gdzie jest Arseniew?

— Na górze.

— Może go pan tu zauważy? To bardzo ważne. Zastąpiłem astronoma na grzbiecie rakiety. Schyłony, obserwował tarczę grawimetra. Obok potężny, gruby jak kolumna promień reflektora rozplątywał się czerwono w mgłę.

— Na razie natomiast nie wzrasta... — odezwał się cicho Arseniew, jakby mnie nie słyszał. Powtórzyłem, że Czandrakkar prosi go na dół. Nagle zerwał się na równe nogi.

— Co, już jest?! No, jaka?

Nie rozumiałem, o co pyta, wtem przypomniał mi się okrzyk matematyka i na chybił trafił powiedziałem:

— Periodyczna.

Arseniew bez słowa pobiegł do włazu.

— Czy mogę popłynąć na brzeg?! — krzyknąłem za nim. Zatrzymał się.

— Nie! Nic pan tam nie pomożecie! Proszę pilnować radaru i reflektora. Rakiety lecą tam, z boku!

Zniknął w studni włazu. Przestrzeń spowijały gorące, leniwe opary. Kadłub rakiety czerniał w nich jak pływający martwo na falach grzbiet wieloryba. Obok reflektora stał przenośny radaroskop z dwiema eliptycznymi antenami, wycelowanymi w stronę brzegu. Ujawniłem oburczony metalowy pierścień kierujący. W ekranie widniał kamienisty cypel nad zatoką, którym musieli wracać towarzysze. Był pusty. Snuły się tam jakieś ciemniejsze od mgły dymy. Spojrzałem na fotoelement osadzony pod ekranem. Wskazywał temperatury skał nadbrzeżnych: dwieście dziesięć stopni. Różnice same zacisnęły mi się na metalowych rurkach ciach radaru. Dwieście dziesięć stopni... Ciężkość powietrza tak się rosła, ogrzewała się jak w piecu: osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt stopni... Jak długo człowiek może tam wytrzymać, nawet w izolującym kombinezonie? Upływały minuty, z których każda była wiecznością. Wyraźnie dobiegał syk i wist wody gotującej się w zetknięciu z rozpalonymi głazami brzegu. Przesuwałem anteny z jednej strony w drugą. Już chciałem się cofnąć, gdy coś migotało w polu widzenia: tam siedział człowiek!

Przy reflektorze stała skrzynka wewnętrznego telefonu. Nie podnosiłem słuchawki, włączyłem ciężki dzwonek i przypadłem z powrotem do radaru. Ciemna plama posuwała się wolno wśród głazów... na chwilę znikła... znowu się pojawiła... wtem rozpadła się na dwie mniejsze, ale dziwnie zniekształcone...

Nagle zobaczyłem wyraźnie: dwu ludzi niosło trzeciego. Usiłowali przepłynąć po wystających z wody głazach ku motorówce, lecz między ostatnim kamieniem a łodzią ciemniał pas wody. Stanęli, widocznie się naradzając. Jak się udało, nie opłynąłem na brzeg wbrew rozkazowi astronoma! Mógłbym im pomóc. Wołałem, dawałem im rady, nie wiadomo tego, że nie mogli mnie usłyszeć. Nagle jeden ze stojących jakby zmałował. Zrozumiałem: pochylił się i próbował przyciągnąć motorówkę za linę, do której była przyczepiona. Wiedziałem, że to niemożliwe, bo przeszkodzi podwodne kamienie. Sami bez trudu przeskoczyliby półtorametrowy odstęp, ale ten trzeci... Była chwila, w której chciałem biec do trapu; nagle ciężki zrezygnował, odwrócił się do towarzysza i dał znak. Obaj podjęli nieruchome ciała i trzymając je wysoko wzniesionych rękach, weszli w



gotuj c si przy brzegu wod . Zanurzeni po pas, osłaniani kł bami pary, przrzucili ciało przez burt motorówki i sami wspi li si do rodka. Ułyn ło kilka niesko czenie długich sekund — i odezwał si motor. Łód ruszyła.

— Czemu pan tak krzyczy? No, czemu pan tak krzyczy? — mówił do mnie od kilku chwil Arseniew. Za nim stało jeszcze dwu ludzi w skafandrach — Tarland i Czandrasekar. Nie wiedziałem, e miej si i krzycz z rado ci. Gdy motorówka dobiła do trapu, zbiegli my w dół.

— Mnie nie... ja sam... — odezwał si Sołtyk ochrypłym głosem, kiedy wyci gn łem do niego r k z ostatniego szczebla.

— Ja sam... bierzcie profesora Lao... on ma rozdarty skafander...

## PROFESOR LAO-CZU

Wnie li my profesora i Oswaticza do komory luz. Obaj byli nieprzytomni. Zostałem na pokładzie, eby wci gn motorówk . Kiedy zszedłem do korytarza, Rainer i Tarland układali na noszach bezwładne ciała, tak jak wzi to je z łodzi, w skafandrach, tylko hełmy, rzucone na podłog , odsłoniły woskowe, złane potem twarze. Chciałem pomóc, lecz Arseniew kazał mi pój do Centrali. Zarz dził natychmiastowy start. W podnieceniu ostatnich chwil zapomniałem o tym, co si dzieje w dolinie. W ekranach telewizyjnych stały óltawe kł by jak dym płon cej siarki. Rakieta wznosiła si i opadała na falach. Cała okolica przedstawiała mroczny kocioł, w którym rozbrzmiewały głuche szmery, syki, po wisty. Gdy wszedłem do Centrali, w chmurach załomotał pierwszy grzmot. Wł czyłem stos atomowy i nie czekaj c, a osi gnie pełn moc, ustawiłem d wignie Prediktora na start paliwem pomocniczym. Rozpłomienione gazy run ły w wod . W głuchym bulgotaniu wrz tku Kosmokrator drgn ł, krótk chwil sun ł bokiem, spi trzaj c przed sob ogromn fal , rozp dził si , ju niewra liwy na w ciekłe uderzenia bałwanów, i pod ostrym k tem wszedł w przestwór wyj cych wiatrów. Obrazy skał nadbrze nych kurczyły si i gi ły; w obawie, eby si z nimi nie zderzy , zwi kszalem wci spalanie w turboreaktorach. Odetchn łem dopiero, gdy nap d przyj ły silniki główne. Odezwały si z tak moc , e zagłuszyły łoskot fal i wycie wiatru. W ekranach p dziły nie nobł kitne smugi pary. Potem wpadli my w chmur mroczn jak g sty las. Byłem niespokojny, gdy po raz pierwszy sam stałem przy Prediktorze w trudnej chwili startu, lecz wszystko poszło dobrze. P d powietrza gwizdał w płetwach, silniki pracowały równomiernie i szybko rosła. Co chwila mi dzy chmurami przeskakiwały rzeki fioletowego ognia, rozpryskuj c si z przeci głym grzmotem.

Do Centrali wszedł Sołtyk; nie spuszczaj c oka z przyrz dów zarzuciłem go pytaniami. Nie od razu zacz ł opowiada . Jak si okazało, wchodz c do wody nad ł kombinezon powietrzem, którego izoluj ca warstwa uchroniła go od poparze . Gorzej było z profesorem. Nie mógł tego zrobi , gdy rozdarł skafander u podstawy hełmu. Przez cał drog zaciskał rozdarcie, ale kiedy przenosili Oswaticza przez wod , musiał oswobodzi obie r ce. Tych kilka chwil starczyło, by gazy formaldehydu i dwutlenku w gla zmieszały si z powietrzem oddechowym. Zatruty, stracił przytomno w motorówce.

— A co z Oswaticzem? — spytałem. — Gdzie cie go znale li?

Sołtyk zwlekał z odpowiedz . Stał przed tablic zegarów hamowniczych i ogl dał je z najwi ksz uwag , chocia nic nie wskazywały, gdy były teraz wył czone.

— Doznał udaru cieplnego — powiedział wreszcie. — Zdaje si , e nie jest z nim le. Ruszał si , kiedy my go nie li.

— No to dobrze, ale gdzie był?

— Nie wiem.

— Co ty mówisz?

W ekranach przesuwwały si czarne chmury, rozdzielone jasn , drgaj c mgł . Wygl dało, jakby my przepływali archipelag górzystych wysp.

— Profesor dał mi lin ... zwi załem si z nim, kazał mi i za sob tak, eby lina była wypr ona... szedł przodem. W ten sposób znalazł Oswaticza.

— Gdzie?

— Nie wiem. W pewnej chwili znikn ł.

— Profesor znikn ł?

— Tak. Znikn ł, jakby si w ziemi zapadł, ale czułem jego ruchy, bo byli my poł czeni lin . Rozumiesz? Nie, tego nie da si zrozumie . Wi c powiadam ci, e tak jak mnie tu widzisz, widziałem lin , która ko czyła si w powietrzu, napi ta — a dalej nie było nic.

— Nic?

— To znaczy — kamienie, powietrze, ale ani jego, ani Oswaticza... i może po minucie lina szarpnęła — to był umówiony znak. Zaczęłam cię gnę i wycięgnęłam ich obu. Profesor miał rozdarty skafander.

— Upadł?

— Nie wiem. Pewno tak.

— Wiadę gdzie on był?

— Mówi ci, że nie wiem.

— Jak to, nie pytałaś ?

— Nie... I ty nie pytałabyś, potem...

Odwrociłam się nagle ku mnie z pociemniałym, zaczerwienionym twarzą.

— Kiedy odszedł... zachowałam się jak szczeniak! Skomlałam, krzyczałam na niego, bo chodził dokoła z aparatem, spokojny jak w laboratorium... nie wiedziałem przecież, nie mogłam wiedzieć, po co!

Po chwili dodał spokojnie:

— Kto jeszcze na Ziemi powiedział, że on jest jak hartowane szkło; niby przezroczysty, gładki, niepozorny, ale kto go spróbuje ugryźć, połamie sobie zęby... Chciałam się usprawiedliwić. Odpowiedział mi jakim przysłowiem... kamienie paliły się nam pod nogami, my lałam, że się ugotujemy, a on... Wiesz, jakie były jego pierwsze słowa, kiedy się ocknął teraz w kajucie? Spytał Czandrasekara, czy są już wyniki obliczeń ...

Kosmokrator osi gnęłam pełną szybko podróżą. Odstąpiłam od ekranów. Nie patrzyłam na Sołtyka, tak było mu łatwiej. Rozumiałem, że nie pomogę mu słowami pocieszenia. Lao-Czu dał mi lekcję spokoju, w jakich warunkach! Wspominałam moją przygodę w Martwym Lesie...

— Może się tam do nich — powiedział Sołtyk. — Zastąpię cię. Nie mogłam mu w oczy spojrzeć.

Nie dałam sobie tego dwa razy powtarzać. Kiedy wszedłem do kabiny, Tarland odsuwał włącznie od łóżka celofanowy namiot, pod którym utworzono sztuczny atmosferę tlenu. Oswaticz dostał już rumieńców i leżał podparty wysoko poduszkami. Przy stole siedzieli uczeni; jakiego było moje zdumienie, kiedy ujrzałem w ród nich Chi czyka. Nie miał na sobie zwykłego ciemnego ubrania. Pierwszy raz zobaczyłem na nim długie, wicięgnięte, w bajeczne smoki malowany płaszcz poranny. Siedział po pas okryty kocem, spod

którego wysuwały się białe obandaowane stopy. Był spokojny jak zawsze, tylko trochę bledszy. Arseniew zrobił mi miejsce. Usiadłem. Oswaticz zabierał się włącznie do opowieści o swoim wypadku. W paru słowach streścił nasz w drówek wokół Białej Kuli i doszedł do chwili, w której oddaliłem się od niego, złudzony kształtem czarnego kamienia. Jak mówił, nie dosłyszał mego wołania i dlatego szedł potem dalej. Nagle całe otoczenie znikło.

— Mignęły jeden za drugim kolory tęczowe, od fioletowego do czerwonego. Miałem wrażenie, że mnie coś ciągnie w dół. Straciłem równowagę i zatoczyłem się kilka kroków. Buchnęło takie wiatro, że oślepnęłam na dobre chwile. Kiedy otworzyłem oczy, byłem we wnętrzu olbrzymiej kuli, pełnej białego wiatru. Zupełnie gładkie, wklęsłe ściany otaczały mnie ze wszystkich stron. Pomyślałam, że otwór, którym się tam dostałam, jest za mną. Obejrzałam się, ale nie było tam nic. Taka sama gładka ściana. Grunt, na którym stałam, był skalisty, zasłany kamieniami. Czy mówi jasno? Było tak, jakby ktoś odkroił z pustej kuli spód i nakrył mnie nim, jak muchoszlanką. Stałam wprost pod ogromną, kulistą kopułą, tuż przy ścianie. Powoli ruszyłem i, badając wzrokiem każdą kamień, poszedłem ku rodkowi.

Wtedy stała się dziwna rzecz. Przeszedłem może cztery czy pięć kroków i wklęsła ściana, ku której się zbliżyłam, zwinęła się i cofnęła przede mną. Postąpiłem jeszcze dwa kroki — teraz stałem przed pionową, zupełnie płaską ścianą. Odwróciłem się. Kula znikła — za mną była nieprzenikniona ciemność. Ruszyłem ku owej wiecej ścianie, a ona, gdy się

zbli ałem, stawała si wypukła, jakby j kto wydymał z drugiej strony... a gdy byłem tak blisko, e mogłem dotkn jej r k , stałem pod olbrzymi kul , ale teraz byłem na zewn trz niej...

Obiegiem j dokoła. Była tak wielka jak Biała Kula, zupełnie gładka, bez ladu szczelin czy otworów. To, e miałem za sob pustk , uspokoiło mnie. Przypuszczałem, e znajduje si tam otwór, którym b d mógł wyj . Ale kiedy poszedłem tam, w t ciemno , kula, któr zostawiłem za plecami, zacz ła si zmienia ; rozci gn ła si w gór i na boki, rozwin ła i nagle nakryła mnie, tak e znowu stałem w jej wn trzu. Zacz łem biega we wszystkie strony. Ilekro biegiem do rodka, ciany rozwierały si przede mn , płaszczyły, a w ko cu zwijały w przeciwn stron i dobiegałem do wypukłej kuli, le cej przede mn , otoczonej zupełn ciemno ci . Gdy wchodziłem w t ciemno , kula za plecami rozwijała si , najpierw płaszczyła, potem kl sła i ogarniała mnie ze wszech stron. My łałem, e to jaki mechanizm, ale mechanizm nie mógłby przecie działa w taki sposób. Próbowałem wydosta si kilkoma nagłymi skokami, rzucałem si w prawo i w lewo, na wprost, ale zawsze dopadałem gładkiej ciany.

Jest to zbyt straszne, aby si dało opisa . Zupełnie czarna, nieprzenikniona ciemno . W rodku — kula, która raz zamykała mnie w sobie, to znowu wyrzucała, raz byłem na zewn trz niej, raz wewn trz, cho nie miała ani ladu otworu. Gdziekolwiek szedłem, napotykałem gładk cian . Te wielkie, białe płaszczyzny ruszały si w oczach, zakr cały, zwijały, to znowu jakby wypluwały mnie z siebie, i tak ci gle. Nie wiem, jak długo to trwało. Chyba godzin . Po jakim czasie zacz ło si robi gor co. Grunt pod nogami parzył. Miałem wra enie, e hełm rozgrzewa si do czerwono ci, coraz ci ej było oddycha , powietrze w skafandrze paliło jak ogie , aparat chłodzi cy nic nie pomagał, dusiłem si . Upadłem, zdaje si , e uderzyłem si w głow . Nie wiem, co było dalej...

Oswaticz opu cił si troch na postaniu.

— To wszystko. Nic z tego nie rozumiem. Nie ma w tym ladu sensu.

— Nie wydaje mi si — rzekł Arseniew.

— S dzi pan, e miałem halucynacj ?

— Bynajmniej. Co si tyczy „bezsensowno ci” otoczenia, to mogłaby to samo powiedzie mrówka, która wpadła do wn trza maszyny do pisania. wiat nie kr ci si wokół nas. Zupełnie przypadkowo dostali my si w pole działania obcych nam sił.

— Chocia nie wiemy jeszcze wszystkiego — rzekł Lao-Czu — przygoda naszego towarzysza jest jasna. Mog odpowiedzie na pytanie, w jaki sposób działo si to czy tamto. Niepokoi mnie tylko, e nie potrafi odpowiedzie na pytanie: w jakim celu si to dzieje?

— Mo e pan wyja ni , jak wszedłem do wn trza zamkni tej kuli?

— Tak.....

— I w jaki sposób raz byłem na zewn trz, a raz wewn trz niej?

— I to tak e.

— I sk d brało si tam wiatło, chocia dokoła była zupełna ciemno ?

— Tak.

— A wi c mów e pan!

— Dwa słowa s kluczem zagadki — powiedział fizyk. — Był pan w przestrzeni sferycznej.

Przysun ł si do stołu.

— W jaki sposób mo emy dostrzec jaki przedmiot? Tylko w taki, e odbite od niego promienie wietlne dochodz do naszych oczu. Kiedy za wszystkie promienie zostaj zamkni te w ograniczonej przestrzeni i musz w niej pozosta , cała ta przestrze staje si dla stoj cego na zewn trz obserwatora niewidoczna, i to nie tak, jakby si tam znajdowała jaka czarna plama. Promienie wietlne z okolicy b d omijaj to miejsce, b d w nie wpadaj . W obu wypadkach przestrze sferyczna — bo to jest wła nie ta „pułapka wietlna” — zostaje

niewidoczna. Patrz czy ma wrażenie, że z krajobrazu została wykrojona jego część, a brzegi wycięcia społyły się ze sobą w niedostrzegalny sposób. Stan wszy przy pierwszym aparacie na wzniesieniu, zatrzymali się, nie wiedząc, co robi, ponieważ nie mogli zobaczyć Białej Kuli. Znikła. Tak było, nieprawda?

Obaj z Oswaticzem przytaknęli mi.

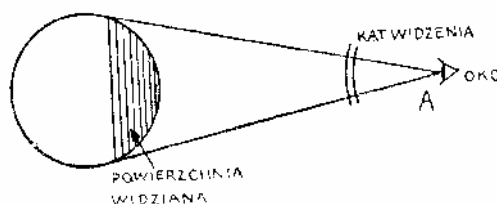
— Otóż ona była, lecz niewidzialna dla was. A oto wyjaśnienie. Kiedy Biała Kula działa, wytwarza pole grawitacyjne, które zakrzywia przestrzeń. Kiedy to zakrzywienie przekroczy pewną granicę, przestrzeń jakby „zawija się” i zamyka w sobie. Powstaje w ten sposób przestrzeń sferyczna, może rozdziela się lub kurczy jak pierścień, ale nie od siły pola. Kiedy Oswaticz znalazł się przy dziesiątym aparacie, nastąpił nagły skok potencjału grawitacyjnego, przestrzeń sferyczna rozdzieliła się i pochłonęła miejsce, na którym stał. W następnej chwili grawitacja zmalała i przestrzeń sferyczna skurczyła się, ale w tym czasie Oswaticz znalazł się pod jej bliskim do Białej Kuli i dlatego Smith zobaczył tylko puste miejsce. To jest rozwiązanie pierwszej zagadki, zagadki zniknięcia. Dalej. Zobaczył pan także — zwrócił się fizyk do Oswaticza. — Jest to bardzo ciekawe.

W tym momencie przez miejsce, gdzie pan stał, przechodziła granica przestrzeni sferycznej i zwyczajnej. Wskutek interferencji fal świetlnych oraz specyficznych warunków załamania białe światło dzienne na styku dwóch rodzajów przestrzeni rozszczepia się jak w pryzmacie. Skąd wzięło się światło, które pana oślepiło? Jak długo Biała Kula działa z dostatecznym natężeniem, przestrzeń sferyczna wokół niej jest oświetlona zarówno w dzień, jak i w nocy znikąd padającym światłem, ponieważ promienie świetlne okrążają ją po orbitach kołowych, a więc, schwytane za dnia, nie mogą się już wymknąć i krążyć. Idźmy dalej. Kula, w której wnętrzu się pan ujrzał, była oczywiście Białą Kulą. Przez cały czas przebywał pan jednak na zewnątrz niej, a złudzenie, że dostał się pan do środka, spowodowała perspektywa przestrzeni sferycznej, odmienna od perspektywy linearnej otaczającego nas świata. Zachowywał się pan podobnie — proszę wybaczyć to porównanie — jak pijak, który biega wokół okręgu kiosku i lamentuje, że go zamknęto. Uwewnętrznienie kuli było pozorne.

— To niemożliwe!

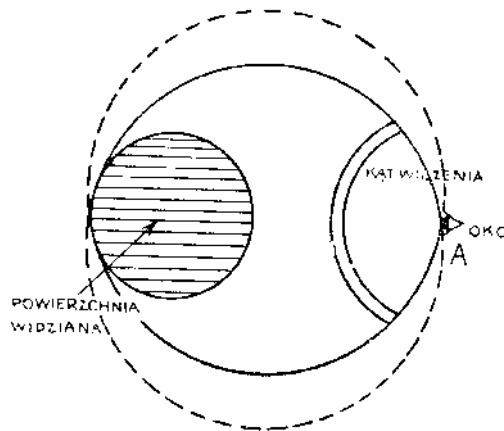
— Myli się pan. — Lao—Czuł się gnęty po arkuszu papieru i rysował mówił dalej:

— W przestrzeni zwyczajnej, patrzcie na kulę, widzimy ją w taki sposób:



— Dzieje się tak, ponieważ światło biegnie po prostych, najkrótszych liniach od przedmiotu do oka. W przestrzeni sferycznej światło biegnie po liniach krzywych. Znalazłszy się pod Białą Kulą, widział ją pan w taki sposób:



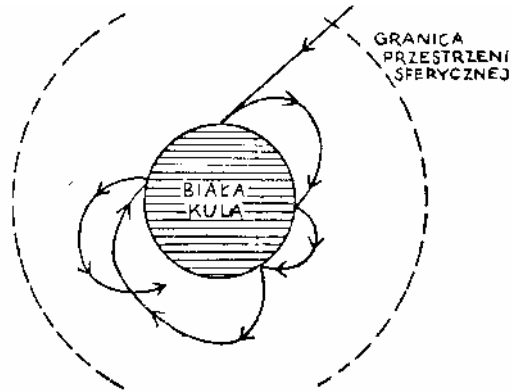


— Jak widzicie, oko umieszczone w punkcie A dostrzega nie tylko przedni cz  $\frac{1}{2}$  kuli, t  $\frac{1}{2}$ , która jest naprzeciw niego, ale i tyln  $\frac{1}{2}$ , w normalnych warunkach niewidoczn  $\frac{1}{2}$ . A kiedy w normalnych warunkach widzimy cała powierzchnia kuli naraz? Tylko wtedy, kiedy znajdujemy się w jej wnętrzu! Dlatego to ujrzał się pan wewnątrz trz kuli. Człowiek widzi kul  $\frac{1}{2}$  w opisany sposób, gdy stoi w pobliżu wewnątrz trzniej granicy przestrzeni sferycznej. Wchodząc w jej głąb, dostrzega, jak się kula przeinacza, najpierw rozpląszcza, a potem uwypukla. Złudzenia te są wywołane przez właściwość perspekywy sferycznej. Gdy w zwykłej przestrzeni jakiś przedmiot oddala się od nas, widzimy go coraz mniejszym. Nikt jednak nie sądzi, że przedmiot maleje rzeczywiście, wiemy bowiem, że to pomniejszanie się jest spowodowane prawami perspekywy. Perspekywy linearnej, dodam. W przestrzeni otaczającej Białą Kulę, gdzie światło porusza się po liniach kołowych, panuje perspekywa sferyczna. Przedmiot (w danym wypadku kula), widziany z bliska, przedstawia się jako ciało wypukłe. Z większej odległości — jako płaszczyzna nieskończona. Z jeszcze większej — jako powierzchnia wklęsła. Bez trudu oczywiście możecie udowodnić mi, że tak by musi, konstruując w tym celu obrazy perspekywy sferycznej projekcji stereograficznej stożków tangensów wietlnych. Do tego jest w tym celu znane narzędzie kół zataczanych przez promienie światła. Wolę jednak odwołać się w tej chwili do wyjaśnienia przez podobieństwo. Patrzcie na szyny kolejowe widzimy, że zbiegają się na horyzoncie. Mimo to wiemy doskonale, że pozostają równoległe, a ich styk jest tylko złudzeniem perspekywy. Tak samo złudzeniem było wrzenie, że kula na przemian płąszczy się i uwypukla. Gdybyśmy od urodzenia przebywali w przestrzeni sferycznej, nie uważalibyśmy widzianych obrazów za rzeczywiste zmiany ukształtowania przedmiotów, lecz nauczylibyśmy się za ich pomocą bezpośrednio oceniać odległości, tak samo jak przebywając w zwykłej przestrzeni uczymy się z doświadczenia, że przedmioty pomniejszają się pozornie wtedy, kiedy się od nas oddalają.

— A dlaczego nie mogłem wy dostać się stamtąd, jeżeli, jak pan mówi, znajdowałem się na zewnątrz trz Kuli? — spytał Oswaticz.

Fizyk uśmiechnął się nieznacznie.

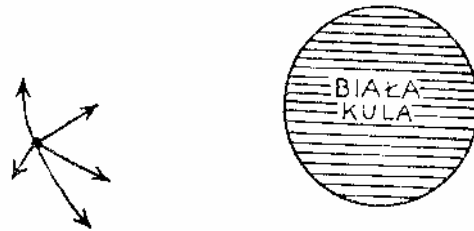
— Gdyby pan wyruszył spod Kuli z zamkniętymi oczami, to, być może, udało by się panu wyjść poza granice przestrzeni sferycznej, ale pan kierował się tym, co mówił wzrok, a wzrok posłuszny był prawom rozchodzenia się światła po kołach. Chodził pan w taki sposób:



— A dlaczego ja nie dostałem się do rodka tej przestrzeni — spytałem — chociaż dokładnie przeszukałem całe otoczenie?

— Dlatego, że podlegał pan podobnemu złudzeniu, co Oswaticz. Punkt, w którym znikł Oswaticz, oznacz liter O. Prosz pokazać, w jakim kierunku pan go szukał.

— W tym i w tym — powiedziałem i do kropki, którą postawił fizyk, dorysowałem strzałki.



— Tak się panu zdawało — rzekł fizyk — ale to było złudzenie. W rzeczywistości ci poruszał się pan tak:



— Ale dlaczego?

— Dlatego, że kierował się pan wzrokiem, a wzrok jest strugą światła. Jego promienie uginają się w pobliżu granicy przestrzeni sferycznej, tak jak biegną narysowane strzałki.

Przeniosłem oczy z rysunku na twarz fizyka.

— Czy pan wiedział to wszystko, kiedy pan tam przyszedł, profesorze?

— Nie. Wiedziałem tylko, że grawitacja wzrosła. Pamiętam pan, że chodziliśmy my nachyleni w bok, jakby padał cie?

— A tak! Rzeczywiście! Nawet pytałem...

— Odchylaliśmy się, ponieważ do normalnej, skierowanej pionowo w dół ci ko ci doł czyło się przyciąganie płynu cie od Białej Kuli. To nasunęło mi rozwiązanie.

— I to wystarczyło?

— Ostatecznie... jestem fizykiem — rzekł Lao-Czu.

— A jak pan odszukał Oswaticza?

— Aby wejść do przestrzeni sferycznej, należało iść za innym przewodnikiem niż wzrok.

— Co to było? Nic nie przychodzi mi na myśl.

— A to jest co bardzo wielkiego... cała nasza praca była temu po wi cona, nie domy la si pan? Rura! Za pomoc aparatu indukcyjnego odnalazłem jej echo i poszedłem jego ladem... prowadził prosto ku Białej Kuli. Przestrze sferyczna ugina tylko promienie wietlne, a nie przedmioty materialne.

— Jakie to proste!

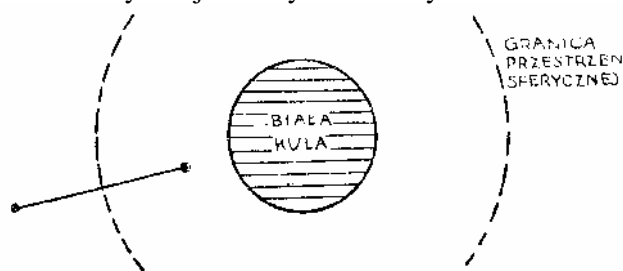
— Prawda? Zwi załem si z in ynierem lin ... on został na zewn trz, a ja wszedłem i znalazłem Oswaticza. Był to ciekawy widok — dodał po sekundzie Lao-Czu — lina szła ode mnie i urywała si nagle w powietrzu, po rodku przestrzeni.

— Jak to po rodku?

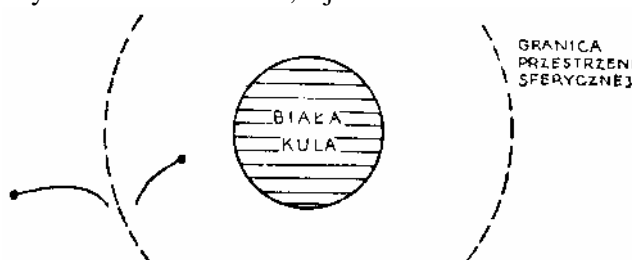
— No a gdzie, według pana?

— Na granicy...

— Granica przestrzeni sferycznej odznacza si tym, e jest niewidzialna. Narysujemy jeszcze i to, co widzieli my obaj, Sołtyk i ja, kiedy ł cz ca nas lina przecinała w pewnym miejscu granic przestrzeni sferycznej. Tak było w rzeczywisto ci:



— A tak widzieli my to — on z zewn trz, a ja. od wn trza:



— Zdumiewaj ce! — powiedziałem.

— Sprawa przyzwyczajenia. Nie jest to bardziej dziwne od tego, e ły ka, kiedy j wstawi do szklanki z wod , wydaje si załamana.

— A dlaczego zwi zał si pan z Sołtykiem lin — spytałem — czy rura nie mogła pana wyprowadzi , tak jak wprowadziła?

— Mogła — rzekł fizyk oboj tnie — ale bałem si , e strac przytomno . Temperatura wci si podnosiła.

— A jak pan rozdarł skafander? I, profesorze — wybuchn łem nagle — widziałem, jake cie weszli w wod ! O, to było... — zabrakło mi słów.

— Istotnie, była gor ca — rzekł Lao-Czu. — Tak wi c omówili my pewne zaobserwowane zjawiska. Pozwol sobie posłu y si przykładem profesora Arseniewa. Porównał on nas do mrówki, która znalazła si we wn trzu maszyny do pisania. To, o czym mówili my dot d, było tylko ogólnikowym wyja nieniem działania samej maszyny, nic jednak nie mówiło nam o rzeczy daleko istotniejszej, to jest o tym, kto pisze na tej maszynie i jaki tekst. Byłbym rad, gdyby si na ten temat zechciał wypowiedzie profesor Czandrusekar, gdy to on uwie czył dzieło...

— Które pan rozpocz ł — zauwa ył matematyk.

— Którego dokonali my razem — odezwał si Arseniew — poniewa ka dy spełnił swój obowi zek.

Czandrasekar zaczął przekładać tece przed nim filmy i papiery, a znalazł zdjęcie dwugarbnej krzywej, tej samej, którą zobaczyłem kilka godzin przedtem na ekranie Maraxa. Patrzcie na nie, mówił:

— U podstawy Białej Kuli musi się znajdować przyspieszacz prótonowy, w którym atomy zostają rozdzielone prawie do szybkości światła. Zgodnie z prawem transmutacji Einsteina wytwarzają się olbrzymie masy i one właśnie są źródłem pola grawitacyjnego. Do tego potrzebne są ilości energii idące w miliardy kilowatów. Dopływa ona do Białej Kuli przez jedenaście rur, z których każda ma swój własny rytm prądów. Wspominam o tym, żeby podkreślić, że bez Maraxa nie dalibyśmy sobie rady z analizą drgań. Wiemy teraz, że jeden cykl działalności Białej Kuli trwa 296 godzin i składa się z dwu zasadniczych faz. W pierwszej, dodatniej, wytworzona grawitacja dodaje się do siły przyciągania planety. W drugiej fazie, ujemnej, grawitacja Kuli znosi ciężenie Wenerę. Jak widzicie, każda faza składa się z szeregu mniejszych zębów... my przybyliśmy w czasie, kiedy natężenie pola było dodatnie, ale osłabło już znacznie, a tarapaty, w jakieśmy wpadli, spowodował ten oto malutki uskok krzywej...

Pochylili się nad stołem, patrzcie w miejsce wskazane przez matematyka, który mówił dalej:

— Gorzej byłoby, gdybyśmy wylądowali w okresie fazy ujemnej... Człowiek, zbliżając się do Kuli, przestałby być przyciągany przez planetę, mógłby unieść się jak balon w górę i poszybować w przestrzeni międzygwiazdnej... no, ale mniejsza z tym. To wszystko wciąż jeszcze obraca się wokół tego, jak maszyna działa — według słów kolegi Lao. Najważniejsza jest odpowiedź na pytanie, co może oznaczać ten zawity cykl grawitacyjny, trwający 296 godzin, po czym wszystkie skoki i wahania potencjału powtarzają się od początku. Jakie może być przeznaczenie, jaki sens tak potocznych wyładowań energii?

Matematyk zatrzymał się. Uderzył po kolei słowem palcem w stół, powiedział:

— Same w sobie zjawiska wywoływane przez Białą Kulę nie mogą przerazić czy zadziwić nas, badaczy i uczonych. Dziwi nas natomiast i przeraża coś innego: to, że one nie mają żadnego sensu i w ogóle niczemu nie służą!

Czułem, jak lodowacieje mi serce.

— Jak... jak pan to rozumie, panie profesorze? — spytałem zniżej mimo woli głosem.

— Tak jak powiedziałem. Nie mogę do tego dodać ani słowa.

— Ale zaraz, pozwól pan, nie pojmuję, w jaki sposób stworzenie takiego biegun grawitacyjnego nie ma, według pana, żadnego sensu? Może my, na Ziemi, nie budowali my ich, ale...

— To nieporozumienie — zauważył fizyk. — Znamy powód, dla którego możemy stworzyć biegun grawitacyjny. Mam na myśli wyrzucanie pocisków międzyplanetarnych.

— A więc Biała Kula?...

— Pozwól mi pan skończyć. My na Ziemi stosujemy rakietę napędzaną energią atomową. Jest to liwe, że mieszkańcy Wenus po katastrofie, jaka spotkała ich pocisk wysłany na Ziemi, woleli użyć innej metody: postanowili zwalczyć grawitację właśnie za pomocą grawitacji!

— W jaki sposób?

— Wyjawnienia zaprowadziłyby nas zbyt daleko. Do tego, o co chodziło, co może na obrazowo nazwać „wywierceniem dziury” w polu ciężenia, jakie otacza planetę. Wiecie, że naboje elektryczny może na zobojętnić drugim nabojem o przeciwnym znaku?

— Oczywiście.

— A więc oni usuwają lokalnie siłę przyciągania planety za pomocą sztucznie wytworzonej grawitacji, zwróconej w przeciwnym kierunku! Dzięki temu minimalna siła napędowa starczy do wystartowania w podróż międzyplanetarną.

— No widzi pan... — rzekł Oswaticz, a ja dodałem:

— A wi c Biała Kula miała cel, i to zupełnie jednoznaczny, dlaczego wi c profesor Czandrasekar mówił, e...

— Mo e kiedy i miała cel — powiedział matematyk, niezmiernie dobitnie akcentuj c wypowiedzane słowa — lecz teraz go ju nie ma.

— Ale dlaczego, na miły Bóg?!

— Mog zrozumie automat, który przestawia zwrotnice i porusza semafore przed nadchodz cymi poci gami — rzekł Czandrasekar, uwa nie patrz c na mnie ciemnymi oczami — ale nie rozumiem automatu, który otwiera drog przed nikim i niczym...

— Co?... jak to rozumie ?

— Najpro cie j. Kula co jaki czas stwarza pole grawitacyjne, które niweczy przyci ganie planety... i nic wi ce j. Nie słu y to niczemu. Zupełnie niczemu. Nie ma adnych pocisków mi dzyplanetarnych ani najmniejszego ładu, który by wskazywał, e kto zamierza je wysła ... jest po prostu pot na wyrzutnia, która co jaki czas z potwornym nakładem energii otwiera przestrze i nie wyrzuca... nie!

— To nie jest takie proste — powiedział Oswaticz. Ze zmarszczonym czołem i ustami zaci tymi w ostr lini wpatrywał si nie widz cymi oczami w przestrze .

— To nie jest proste. Zgoda — powiedział Czandrasekar z lekkim westchnieniem.

— Zastanawiałem si nad różnymi mo liwo ciami. A mo e wy co o tym powiecie?

— Mo liwe, e pocisk albo pociski zostały ju wysłane... i teraz Biała Kula pracuje czekaj c na ich powrót — zauwa ył Oswaticz. — Mo e łatwiej jest utrzymywa j w ci głej akcji, ani eli uruchamia tylko wtedy, gdy rzeczywi cie odlatuje czy przylatuje jaki statek...

Czandrasekar skin ł głow .

— My leli my o tym, ale przypuszczenie to upada w ogniu analizy fizyko–matematycznej. Biał Kul mo na bez trudu uruchomi dosłownie w ci gu kilku sekund i marnotrawstwo energii, z jak ona teraz pracuje, jest zdumiewaj ce u tak wietnych konstruktorów jak mieszka cy planety... bo to nie byle co: zbudowa machin , która, lekko licz c, posiada dzielno około stu miliardów kilowatów!

— Mo e to s próby... — podsun łem.

— Próby!

To powiedział Arseniew. Wstał opieraj c si pi ciami o stół.

— To maj by próby?! Próby, które trwaj od miesi cy? Bo przecie tyle czasu upłyn ło od momentu, kiedy my tu przybyli, a Kula działa wci tak samo. To miałyby by próby? Nie wierz . Poza przesłankami czysto rozumowymi mam swój instynkt fizyka i matematyka. Kiedy patrz na wykresy działania Białej Kuli, wszystko si we mnie burzy. Te przypiływy i odpływy, to leniwe rozlewanie si pr dów, te nagłe skoki i ucieczki nat enia, co to wszystko znaczy?

Uderzył w rozło one papiery.

— Siedziałem nad tym przez trzy godziny. To jest jakie nieskładne, niedorzeczne, pijane. Po prostu pijane, rozumiecie?! Zreszt ... Co oznacza rozerwana rura w w woze? A ów krater? To te miałyby by lady „prób”?

Machn ł r k i usiadł.

— Jest jeszcze jedno... Mo e to trzeba wzi pod uwag ... — powiedział Oswaticz. Mówił bardzo cicho, jakby niepewny, czy to, co my li, jest ju gotowe do wypowiedzenia.

— Chodzi mi o plazm Czarnej Rzeki. Czy nie jest mo liwe, e to... ona wszystko stworzyła i uległa potem degeneracji, jakiemu zwyrodnieniu...

— Ach, pan my li, e ta plazma jest jedynym mieszka cem planety?! — wykrzykn łem. Ten obraz poraził mnie swoj niezwykło ci . Gł boko pod powierzchni gruntu płynie m tna, liska galareta, ciało oddychaj ce i ywe. Dr y kontynenty, otwiera si na powierzchni, przebija góry. Cała planeta jest dla niej ło em. Nieruchoma sie kanałów i rur, wypełniona dysz c , lepk materi , tworzy stacje pojazdów kosmicznych i ywe rzeki...



Lao—Czu pochylił się nad stołem.

— Nie jest to, ma się rozumieć, ostateczne rozstrzygnięcie kwestii, ale plazma, jak się działo, nie jest „kim”, ale słuch „komu”. To znaczy, że jest ona czymś w rodzaju narzędzia lub produktu — tak jak dla nas drożdże czy grzybki penicyliny.

— Al mi było niesamowitego obrazu, jaki wywołało przypuszczenie Oswaticza.

— A czy nie może ona posiadać wysokiej inteligencji? — zacząłem, lecz Chi czyk zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, nie może. Nie może, bo jest bardzo wąsko wyspecjalizowana. Potrafi tylko jedno: wytwarzać elektryczność.

— Ale może właśnie nie to jest dowodem daleko posuniętego rozwoju — powiedziałem — a inteligencja...

— To nie ma nic wspólnego z inteligencją — wyjaśnił Chi czyk. — Czy nazwie pan Słowice inteligentnym tylko dlatego, że umie tak oszczędnie gospodarować energią atomową? Inteligencja oznacza nie wąską specjalizację, lecz jej zupełne przeciwieństwo — najwyższą, najbardziej uniwersalną wszechstronność.

— A więc — zawołałem — gdzie oni są, ci prawdziwi mieszkańcy planety? Dlaczego nie możemy ich napotkać?

Gdzie się ukrywają?!

— Obawiam się, że... nigdzie — rzekł Chi czyk. Wstał, owinięty szczerze kolorowym jedwabiem i utykając ruszył ku drzwiom. Wyszedł z kajuty pozostawiając nas wstrząśniętych przecuciem niepojętej grozy, która stała za jego słowami.

## MIASTO

Zmieniali my się z Sołtykiem przy sterach. Kosmokrator, lecąc na wysokość czterdziestu kilometrów, zataczał wielkie koła. Zostawała za nim smuga pary kondensującej się w rozrzedzonej atmosferze wokół gorących gazów wylotowych. Utworzony w ten sposób mglisty pierścień wisiał nieruchomo nad chmurami i błyskał o lepijciecz nad niskim słońcem, kiedy kręcąc powracali my własnym ładem. Mknęliśmy tak od wielu godzin, co kilkanaście minut pojawiało się w ekranach słońce, rzucało ostre wiatła na ciany Centrali i zniknęło; motory piewały cicho, a w dole rozpościerała się nieznajoma, biała jak nierówna obłoków.

W czasie wolnym od dyżurów spotkałem kilka razy Arseniewa. Kroczył centralnym korytarzem, chmurny, z rękami założonymi w tył. Zagadnąłem go, lecz nie odpowiedział. Znikł w kabine Maraxa, nad którą płonęło czerwone wiatło. Potem widziałem Rainera, jak niosł z laboratorium kasety filmów; w przejściu obrzucił mnie nie widzącym spojrzeniem.

Kiedy w jakiejś godzinie po niej przechodziłem koło laboratorium, posłyszałem muzykę. Zajrzałem do środka. Z głębi dobiegały majestatyczne tony pierwszej symfonii Beethovena. Czandrarsekar stał nieruchomo przy aparacie. Nie ruszałem się z miejsca, a muzyka ucichła. Matematyk nadal stał z lekko uniesioną głową, jakby nasłuchując ciszę.

— Profesorze... — odezwałem się. Teraz dopiero mnie spostrzegł.

— Proszę?

— Chciałem... czy może na spytać, co robicie?

— Bawi się z nami jak kot z mysz — mruknął Czandrarsekar. Ominął mnie i skierował się ku drzwiom.

— Kto, Arseniew? — spytałem jeszcze.

— Ale nie! Marax!

Nic więcej się nie dowiedziałem. Poszedłem do Centrali. Była czarna noc, lampki wszystkich zegarów pulsowały rzucając na ciany mgławicy poblask. Kontrolne przyrządy Maraxa wyskakiwały z tła jaskrawymi wiatłami, jakby tylko on jeden czuwał w głębi u pionego statku. Spokój ten był pozorny. Powróciwszy na korytarz usłyszałem, jak uczeni spierają się o coś goręco. Zadudnił baryton Arseniewa, potem cicho, beznamytnym głosem odpowiadał Lao-Czu. Od dyżuru dzieliły mnie jeszcze cztery godziny, ale nie chciało mi się iść do kajuty. Wróciłem do Centrali. Sołtyk siedział pod tablicami Maraxa i w silnym blasku, który z nich padał, wpatrywał się w wielki płacht papieru. Był to, jak mi się wydawało, plan jakiego miasta.

— Co to? — spytałem.

— Warszawa — odparł nie podnosząc głowy. Wodził powoli palcem po planie, mylił się i powracał na utracony szlak, niby w wyimaginowanej w drówe ulicami miasta.

— To twoje miasto rodzinne? Opowiedz mi o nim, nigdy go jeszcze nie widziałem.

Spojrzał na mnie z roztargnieniem, potem wrócił do planu.

— Nigdy nie było w Warszawie? — spytał takim tonem, jak gdyby mówił: „nigdy nie widziałe Słońca?”

Usadowiłem się na fotelu i przez jego ramy zerknąłem na kolorowe wielokątne. Sołtyk składał powoli arkusz.

— Kiedy myślisz o Ziemi — odezwał się — to zawsze ona przychodzi mi na myśl.

Urwał.

— Dużo jest miast w kosmosie... Znowu się zawahał.

— I wsłaniających, ale ona jest... bardzo piękna.

Było to wyznaczenie tylko nie miało, co bezradne. Umilkli my obaj. W jakim dziwnym sposobie przez mglenie widziałem białe, strzeliste mury ponad zielone drzewa.

Rozległ się wysoki sygnał brzęczyka. Drgnął łeb.

Sołtyk spojrzął na zegary Maraxa.

— Widzisz...? Stan 1... pierwszy raz od szesnastu godzin...

Podniósł słuchawkę telefonu. Mówił Arseniew. Poleciał mi przyjechać z narządami do kabiny, gdy w urzędzeniach chłodzących Maraxa powstało uszkodzenie.

W kabinie oprócz astronoma byli Czandrasekar i Lao-Czu. W powietrzu wisiała wołająca przegrzanych przewodów. Długimi liniami paliły się czerwone sygnały na zablokowanych wyłącznikach. Arseniew chodził tam i z powrotem w przejściu pomiędzy odchylonymi tablicami rozdzielczymi.

Jak się okazało, pompa aparatury chłodzącej zatarła się i temperatura lamp wzrosła powyżej granicy bezpieczeństwa.

Mimo to uczeni nie wyłączyli Maraxa, dopóki nie ukochali obliczeń. Jakiś kwadrans krzyżując się przy rurach pomiędzy ogromnych pojemników, wchodziłem do wiatraków studzien pod podłogę kabiny, gdzie znajdują się pompy odrodkowe, i tam, w nieznanym gorcu i niesamowitej ciasnocie, pomiędzy kablami wijącymi się jak korzenie drzewa pod ziemią, wymieniałem zatarte łosy. Kiedy uszkodzenie zostało usunięte i miałem już wyjście z kabiny, Arseniew zatrzymał się w swojej wózku. Stan 1 przede mną i spytał:

— Pan wie, czy krąży nad Martwym Lasem? Przytaknąłem.

— Co panśdzi o jego powstaniu?

— Nie jestem fachowcem, geologiem, wiec...

— To nic. Co pan przecie mówi. Proszę mówić.

— Myśmy łebem, że to mogło być dno morza, które wysychało powoli, i rozpuszczone w wodzie sole wykryły się dziwnie...

— Krótko mówiąc, uważa pan za formację geologiczną?

— Tak.

— Tak... — powtórzył z namysłem astronom. Znowu zaczął chodzić po kabinie. Stałem z narządami w rękach.

— Naturalne powstanie takich kryształów nie jest możliwe.

— A więc to twór sztuczny?

— Sztuczny, ale nie zamierzony.

— Nie rozumiem.

— Myśmy tak przez długi czas nie mogli zrozumieć... Napotykać cokolwiek dziełowych stworzeń, staramy się zawsze odgadnąć jego przeznaczenie. Martwy Las, w czasie kiedy został zbudowany, nie był... martwy. Jest to ruina gigantycznego akumulatora energii promienistej, i to zapewne jednego z wielu.

— Czy wiadomo, do czego służy?

— Dużo razy stawiali my Maraxowi to pytanie. Podawali mi strukturę, rozmiary i rodzaj materiałów, z jakich składa się Martwy Las, a on, jak inżynier otrzymujący zadanie, usiłował złożyć te dane techniczne w logiczną całość. Dopóki nie znaliśmy szczegółów, Marax miał, jeżeli można tak wyrazić, wiele stopni swobody w swoich próbach syntezy... Odpowiadał, że mógł to być ogromny transmutator chemiczny dla regulowania składu atmosfery albo urządzenie do zmiany klimatu. Ale w miarę jak poznawaliśmy nowe fakty, jedna hipoteza po drugiej odpadała. Zainstalowana moc Martwego Lasu tysiące razy przekraczała potrzeby urządzenia, o których mówiłem. Wtedy Marax zaczął zmierzać w kierunku pewnego rozwinięcia, ale my nie chcieliśmy się z nim pogodzić. Usiłowaliśmy przestawić jego rozumowanie na inne tory, tworzyliśmy najbardziej zawikłane hipotezy, badaliśmy, czy są możliwe, i za każdym razem odpowiadał: nie.

Arseniew przystanął przed wygaszonym ekranem katodowym. Odwrócony do mnie plecami, mówił dalej:

— Niepr dko zapomn te godziny. Uparcie nawracał w jednym kierunku; miałem wra enie, e to po prostu zło liwo martwego mechanizmu, który m ci si na nas za swoje dotychczasowe posłusze stwo. Jak pan wie, Marax odpowiada nie słowami, lecz wykresami, ale były tak jasne... — Nie doko czył. Zwrócił głow w stron fizyka, który za pomoc małego aparatu sprawdzał bieg krzywej na wykresie.

— Podziwiałem twój spokój, Lao... — powiedział.

— Nie było mi czego zazdro ci , zapewniam ci — rzekł Chi czyk. — Wida droga od mego umysłu do serca biegnie z dala od twarzy... ale nie było mi l ej.

Arseniew patrzył w szklist płyt ekranu jak w lustro. Nagle odwrócił si .

— Kiedy padły słowa wyja nienia, okazało si , e wszyscy domy lali my si ich od pocz tku, lecz nikt nie chciał ich pierwszy wymówi .

— A te słowa, profesorze?

— Zniszczenie ycia na Ziemi — rzekł ostro astronom. Przeczekawszy chwil zupełnego milczenia, podj ł w drówk .

— Martwy Las jest ruin miotacza, który miał wystrzeli w Ziemi ładunek radioaktywny.

Cisza była taka, e słyszałem szmer, z jakim sun ło po papierze kółeczko przyrz du w r kach fizyka. Kroki Arseniewa rozlegały si w niej równomierne, spokojne jak chód zegara.

— Poleciałem Sołtykowi, eby zmienił kurs — dodał po chwili ni szym głosem. — Lecimy teraz tam, sk d ku Martwemu Lasowi szły rury steruj ce...

Nic si nie zmieniło. Trzymane narz dzia obci ały mi r ce, stałem nieruchomo, tylko serce zacz ło uderza powoli i ci ko jak przed walk .

— Profesorze, czy oni...

— Nie pytaj pan. Na razie nic wi cej nie mo na powiedzie . Chod cie, pójdziemy do Centrali, przelecieli my ju siedemset kilometrów. Cel musi by blisko.

Przeszli my korytarz. Arseniew obejrzał przyrz dy Prediktora i zwrócił si do Sołtyka:

— Zejdziemy teraz na sze tysi cy metrów. Sprawdził kurs, który mieli my utrzymywa .

— Kiedy pojawi si wiatło, wezwijcie mnie.

— Jakie wiatło, profesorze? — spytałem.

— Sami zobaczycie.

Z tymi słowami wyszedł za Chi czykiem. Sołtyk przestawił d wigni Prediktora. Pocisk zaczął si obni a . Gwiazdy znikły i telewizory pociemniały, wypełnione nieprzeniknion czerni . Przeł czyli my je na radar. Ekranu pozieleniały, lecz ich wiecenie wprowadzało tylko w bł d. Przez pewien czas lecieli my na o lep. Potem w jednolitym mroku ukazał si szarawy brzask jakby wstaj cego dnia, cho noc zapadła zaledwie przed kilkunastu godzinami. Zawiadomiony Arseniew polecił obni y lot jeszcze bardziej. Tracili my wysoko , schodz c na cztery, trzy, wreszcie dwa kilometry. Na wschodzie wypełniał mgły nieruchomy, szary blask, pod nami mkn ła wielka równina, spowita ciemno ci .

Stałem przy ekranach pomi dzy Arseniewem a Sołtykiem. Schodzili my do l dowania. Kilka chwil Kosmokrator opadał skosem, jak nó lec cy ku ziemi, nagle targn ł si gwałtownie i płomień rozdarł mrok. Grzmi c silnikami hamowniczymi pocisk p dził tu nad powierzchnią gruntu. P ki rozlatuj cych si na wsze strony flar magnezjowych o wietlały niesko czone szeregi wydmi, które zdawały si falowa jak woda w migotliwym, trzepoc cym blasku. Rozwarły si denne luki. Dwa rz dy szeroko rozstawionych g sienic ze wistem rozcinały powietrze. Raz jeszcze hukn ły dysze dziobowe i w ogniu wylotów zaja niały rz dy piaszczystych pagórków. Lekkie, lecz wyra ne drgnienie przeszło cały kadłub. Przednia para g sienic zetkn ła si na mgnienie ze szczytem wydmy. Mocny wstrz s rzucił nas w gór . Rakietę toczyła si z przera liwym chrz stem. Coraz ci ej osiadała na podwoziach. Bicz piaszczystych zacinały panczerze i osypywały si po nich z głuchym szumem. Podłoga dygotała i podrywała si na nierówno ciach, jakby pocisk ponownie chciał si wzbi w powietrze. Ruch ten przechodził w coraz łagodniejsze kołysanie. Raz jeszcze kadłub pochylił si , wyprostował

i znieruchomiał. W ciszy słychać było tylko, jak sprężone powietrze syczy wypełniając cylindry amortyzatorów.

Nie upłynęło pół godziny, a dolne klapy rozsunęły się i po opuszczonej pochylni zjechał pojazd gósienny. Zająłem miejsce przy kierownicy, obok — ustawivszy indykatory promieniowania na wyciągnięte — usiadł Arseniew. Sołtyk i Rainer znajdowali się z tyłu; oparci o ramiona pionowej kolumny, stanowiącej podstawę miotacza promieni, mogli obserwować okolicę przez górne szyby, nie tracąc z oczu aparatów umieszczonych na cianach.

Gósiennica wygramoliła się z wielkiego rowu, który Kosmokrator wyorał w pokładach luźnego piasku. Skręciłem na wschód. W świetle reflektorów odsłaniał się krajobraz ponury i jednostajny. Jak okiem sięgniemy, teren płaski, przerywany niskimi falami brunatno-oliwowego, drobnoziarnistego piasku. Gdzieś tam wystawały z niego odłamy najbardziej odporne na wietrze, o bokach wypolerowanych do gładkości szklanej. Wiał silny, sprzyjający wiatr. Posuwał przed sobą lotne wydmy, zdmuchiwał z ich szczytów rozwiane kłębki kurzawy i ciskał je w blachy naszego pojazdu. Z rzadka sterczały samotne skały wapienne, otoczone drobniejszymi głazami, zwietrzałe i pobrudzone. W promieniach reflektorów padały od nich długie, płaskie cienie, uciekające w stronę przeciwną do naszego ruchu.

Po pewnym czasie zaczął się zbliżać niski, długi wał, którego kierunek coraz bardziej zbiegał się z naszym. Jego podwietrzne zbocze było twardo ubite. Gdy maszyna wjechała na górę, ujrzałem, że szczyt wału jest zakłani i tworzy płytki rynek. Była to jakby droga, dogodna, gdy po rozdrobnionych kamieniach za ciałających dno, zmieszanych z suchym, ciemnym iłem, jechało się szybciej niż po piasku.

Luna zajmowała już pół nieba. Stała wprost nad nami, srebrnawa, sięgająca chmur.

Wał obniżył się coraz bardziej, a opadł do powierzchni gruntu. Jeszcze dziesięć minut szybkiej jazdy — i na horyzoncie zjawiała się biaława smuga, rozjarzona przy samym gruncie. Tęcza nad nią jasne wywyszenia. Kiedy my się znaleźliśmy na grzbiecie jednej z ostatnich wydym, poprzez najbliższe, niskie pagórki otworzył się widok w głąb.

A po horyzont rozpościerało się morze białych kształtów. Rozdzielone pasami półmroku, jaśniały twory obce dla oka jak zgłoski nieznanego pisma: gwiaździste, wielocłonowe korpusy, wiele podobne do stalagmitów, rotundy o zakłaniach tych pochyłych czołach, terasowate bastiony, a wszystkie wydawały białe światło, które w ostatnim planie zlewało się w mgliste, nieruchome sylwety, ogromnym sierpem okalające widnokrąg. Ponad przestrzeni łukami szły białe przerzuty tworzące wielkie sieci promienistych zwodach.

— Miasto... — wyszeptalem. Ręka sama zmniejszyła obroty motoru: pojazd zatrzymał się nad zboczem wydmy. Fala piasku poza zasięgiem reflektorów rozwidniała padające z dali widmowe półświatło.

Spojrzałem na astronoma.

— Jedziemy?

— Po to przybyli my z Ziemi — odrzekł Arseniew. Zwolniłem hamulec. Pojazd stoczył się cicho w dół, potem motor warknął i pociągnął. Dodałem gazu. Arseniew dotknął mego ramienia; poleciał zmniejszyć szybkość. Pochyliłem się ku przedniej szybie, aby objąć wzrokiem jak najszerszą przestrzeń. Robili my teraz nie więcej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę. Silnik cichł, tylko gósiennice szczytały i zgrzytały, raz po raz miażdżąc jakieś kruszące się z hałasem skorupy. W pewnej chwili coś pod nami załopotowało, jakby my jechali po odprężonych siarkach blachy. Rzuciłem snop światła ruchomym reflektorem — wóz biegł długim, jasnym pasem, idącym prosto jak strzeła. Pokrywała go warstwa piasku, spod której wyglądały ciemne, płaskie czerepy.

Z obu boków pojawiły się pierwsze kształty. Zrazu były to długie, wężowate rozchodzące się bloki, wsparte na sto kowatych łapach. Pod ich wietlistymi bokami pełzły przy samej ziemi czarne cienie. Kiedy my przejeżdżaliśmy blisko, rozeznałem rozchyłony płaski



wychodzących ze studni, ocembrowanej więc cym pier cieniem. Dalej stały budowle, jedne wzniesione terasowatymi piętami, inne zupełnie gładkie, jak ustawione rzędy kamieni, jeszcze inne o cianach podzielonych na wężkie sekcje na przemian wklęsłe i wypukłe. Zauważyłem, że niektóre kształty powtarzały się. Utkwiły mi w pamięci porostawiane w jednakowych odstępach cokoły, z których strzelały w trzy strony szkliste, więc ce pływaki, zakochane wygięte jak dzioby głowicami.

Droga zaczynała się rozgałęziać. Po bokach migotały koliste wnętrza schodzących w dół tuneli, pogrochone w niepewnym półmroku. Coraz częściej przemykały w górę drugie i trzecie poziomye ulice, łukami przekraczające nieszczęśliwe budowle. Przejechaliśmy przez bramę, szerszą w górę niż w dół, podkowiastą, o falistych, dwuramiennych przyporach. Dalej, pośród trzech pylonów, połączonych strzelistymi przęsłami w kształt trójkąta, droga rozwidlała się. W lewo szła wznosząca się serpentyna i biegła wysoko, niby napowietrzny most, ciemna na rozjarzonym niebieskawo tle, na prawo skręcała tworząc szeroki alej w ród pionowych wiatel. Skręcałem na prawo. Budowle stawały się coraz wyższe i większe, ani jednego nie było w nich okien czy drzwi, wszędzie tylko więc ce ciany, jedne płaskie, inne zakłęsłe; znowu pokazały się ogromne rury; wychodziły z nawierzchni i stromymi łukami przesadzały całą szerokość ulicy, by zniknąć w kolistych ocembrowaniach. Jechało stawało się coraz trudniej. Głębokość rzędy, chrapały, osuwały się, pojazd dygotał cały, miał ciekawą skorupę, które połyskiwały czerwono w promieniach reflektorów. Czasem przejeżdżaliśmy po odłamkach pokładających ze szklanym dźwiękiem, to znowu kilkaset metrów głęboko kopali się w syf, ciemnym piachu.

Aleja skończyła się. Wyjechaliśmy na przestwór otoczony białymi gigantami. Wydawało mi się, że podpierają je długie kolumnady, ale gdy my się zbliżyliśmy, zobaczyłem, że te olbrzymie słupy nie wspierają ich krawędzi, lecz zwisają zaostroszonymi końcami w powietrzu niby rzędy potwornych sopli lodowych. Ukazał się rozjazd zawałony kopcami ciemnego złomu. Lewa głębokość wzięła się w jakieś pajęczasto skłębione przewody, pojazd targnął się i motor zgasł. Przez kilka sekund panowała głucha cisza. Wszyscy milcząc przybliżyliśmy się do szyb. Wokół stały białe olbrzymie, dołem leżały boki cieki, w którym dwiema słabymi smugami wchodziły światła naszych reflektorów. Opierały się o masyw gruzu, który zamykał drogę. Zapuściliśmy silnik i zaczęliśmy wycofywać maszynę. Wyjeżdżając na tylnym biegu, wóz zjechał tu pod ogromną pionową cianę. Wydzielane przez nią światło wdarło się oknami do wnętrza i przez chwilę w naszych hełmach drgały białe kitnawe płomyczki. Nawróciłem. Wyjechawszy na wolną przestrzeń, obróciłem inną drogę. Szeroka serpentyna wzniesła się na górny poziom ulicy. Motor pracował równo i cicho, tylko pod członami głębokości wciśnięte przyskały i rozsypywały się okruchy szklane. Sunęliśmy kilkanaście metrów nad dolnym poziomem; z obu stron przesunęły się jajowate kopuły, czasem płaska, stojąca na wielkich słupach tarcza, odgięta z jednej strony niby cyferblat apokaliptycznego zegara słonecznego, i podkowiaste przeloty, i znowu budowle podobne do kamieni, i te z pionowymi rzędami półkulistych wyniosłości, otoczone płaskimi gładkich rur. Motor szumił, mijaliśmy ulicę za ulicą, a obraz wciśnięty był taki sam — nieskończone, milczące miasto wieciło w ciemności, w głuchej ciszy potrzaskiwał tylko gruz pod kołami, jedne bloki cofały się i chowały, a na ich miejsce nadpływały nowe, tak wielkie i wysokie, że zimny blask ich szczytów przyciemniała niekiedy mgła opadająca z niewidzialnego nieba.

Na skrzyżowaniu droga, którą jechaliśmy, opuściła się łagodną spiralą pośród placu otoczonego rozrzuconą szeroko kolistą amfiladą. Gmachy, z wysokością górnego poziomu monumentalniejsze jeszcze od poprzednich, z bliska przedstawiały groźny widok, pokryte ciemną siatką płyt. Gdziegdzie całe ciany osiadły jak płyty wosku chwyconego ogniem, a z ich boków zwisały się grube sploty szklane. Przeciwszyscy plac dostaliśmy w wężki przelot między dwoma skrzydłami ogromnej gajki, zdawałoby się, że chmur. W głębi ją niały korowody wysokich i niskich wiatel, a obok nas biegły budowle o konturach coraz

płynniejszych, jedne dziwacznie wyko lawione, jakby rozd te, inne z odwini tymi w bok i skr conymi w tr by płytami wietlistej masy, która jarzyła si jeszcze, rozkruszona na miałki pył. Zaczynały nim po wi ca nawet wiruj ce spiesznie g sienice naszego pojazdu.

Chwilami w czasie tej niesko czonej jazdy nachodziło mnie wra enie, e mijane widoki s tylko niesamowitym nagromadzeniem bujnie ukształtowanych form mineralnych, e to jakie spi trzone i narosłe przez całe epoki pokłady gigantycznych kryształów, osadzone jedne na drugich, postapiane ogniem wulkanicznym, sp kane i wietrzej ce w huraganach pustyni... ale potem spod gruzów wyłaniał si szmat gładkiej jak szkło nawierzchni albo mign ł w naro u kikut rury z wyra nymi znakami spoin na wypukłym obrze u, niezaprzeczony dowód pracy jakich istot... Wtedy szerzej otwierałem oczy i przyciskałem hełm do szyby, eby dojrze wreszcie cho jednego mieszka ca tego tak milcz tego, cho pot nie o wietlonego miasta.

Tymczasem mijane kształty stawały si coraz bardziej poczarpane i groteskowe. Tu i ówdzie w ród rozjarzonych płyt ciemniały zwoje jakby poszarpanych macek, w y czy kabli... Potem, kiedy drog przekroczyła w górze ciemna sylweta mostu, wydało mi si , e pod filarami le pokotem ogromne tusze zwierz ce, od których wiatło odbija si srebrnawymi ły ni ciami, jakby to były grzbiety wielkich ryb... Z bliska dostrzegłem zwisy konstrukcji powietrznej, a pod ni — na stos zwalone długie, spłaszczone cygara, niby kadłuby raket czy samolotów, okr one spiralnymi kołnierzami, pogi te i rozplątane. Przejechali my pod ruin owego mostu, ton c na chwil w zupełnym mroku, który reflektory rozorały na dwoje ółtymi koleinami, i wynurzyli my si po drugiej stronie. Tutaj nie było ju ani ladu nawierzchni, a sam gruz sprz gał si w jak na poły szklist , na poły u lowat , zaskorupiał mas , po której g sienice lizgały si , kruszyły cienk powłok , zapadały w pustk i zaczynały wirowa z piekielnym jazgotem.

W oddali wieciły masywy gładkich, olbrzymich skarp, a wokół rozpo cierało si pogarbione pustkowie, na którym stały jakby zamarżłe w chwili topienia bloki, poskr cane, splecione, niby tysi ce razy powi kszone zwoje, festony i girlandy, w jakie rozplywa si płacz ca parafin wieca.

Tu i ówdzie sterczały zr by konstrukcji, szkielety, z których spłyn ł szklisty budulec. Rozcapierzone nad rumowiskiem, zwichrowane, czarne, od wiecały rdzawymi plamami, kiedy dotkn ły ich promienie reflektorów. Ciemno nocy, w ulicach odepchni ta w gór wysokimi wiatłami, tu przypadała do samego gruntu. Nagle, kiedy maszyna omijaj c płytki lej zjechała w bok, w smugach naszych wiatel poruszyły si skurczone postacie. Zahamowałem gwałtownie, napieraj c na pedały, i cofn łem wóz. Jednocze nie rzuciłem w tamt stron snop wiatła. Na bł kitnawym, przygaszonym polu ciany odcinały si postaci dwu karłów. Wzmocniłem wiatło. Były to dwa obłamane słupy, wychylone do połowy z gruzu.

Jeszcze dalej budowle znikły jak wykarczowane i wida je było tylko w oddali, jak wiec nieruchomo, wielkim pier cieniem opasuj c przestrze . Tu, gdzie jechali my, cały grunt m ył m tnym, jakby przez bielmo przefiltrowanym blaskiem, bo fosforyzuj ce szkliwo przemieszane było z piachem i brunatnymi szcz tkami ni to kamieni, ni to metalu. Jecha było coraz trudniej, płaszczyzna przechodziła w niewielkie, lecz strome zbocze. Motor zanosił si od ryku, napi te g sienice szcz kały przera liwie, zarywaj c si chwilami niemal po osie. Nagle silnik zawył rozp dzony. Osi gn li my szczyt wzniesienia. Naparłem na hamulec. Pod nami ział płytki krater. Wydawał zm cone, niepewne wiatło, pełne plam i zacieków brudnofioletowych, ółtawych i zielonych — jak próchno. Dno było gładkie, wkl stę, puste, ale w gł bi tworz cej je szklistej masy majaczyły kształty zatopione jak w bursztynie, jakie ylaste, poskr cane cienie, kadłuby, figury...

Co to znaczy... gdzie my jeste my?... — chciałem spyta , ale głos nie wydostał si ze ci ni tego gardła. Kto dotkn ł mego ramienia i dał znak powrotu. Skin łem w milczeniu głów , zapu ciłem motor i powoli zacz li my si obsuwa z brzegu rumowiska, a za szybami

przesuwały si czarne, wbite w gruz zwały, niby korpusy ogromnych jakich maszyn, pozlewane w bezkształtne, sopliste bryły. Nareszcie wrócili my na dolny poziom ulicy, gdzie jazda była łatwiejsza.

Pojazd, drgaj c lekko na nierówno ciach, toczył si u podnó y wielkich budowli. Zaciskałem r ce na kole kierowniczym i wsłuchany w szum silnika patrzałem przed siebie, a ulice wiły si i wiły bez ko ca, z wysoko ci rzucały blask olbrzymie gładkie ciany, zaokr glone naro a, przypory, słupy, nad nami przemykały czarne stropy innych poziomów. Oczu nie mogłem oderwa od korowodu kształtów tak majestatycznych i nieruchomych, jakby miały przetrwa wieczno , o wietlaj c noce zawsze takim samym bł kitnym brzaskiem. Od natłoku obrazów byłem jak ogłuszony, nie mogłem my le , chwilami ztracałem wiadomo tego, e tu przy mnie siedz towarzysze, zdawało mi si , e ta podró w mroku trwa ju nie godziny, ale lata całe, i kiedy w pewnej chwili odwróciłem si i spostrzegłem, jak Rainer i Arseniew zapisuj wskazania aparatów i porównuj ruchy strzałek na indykatorach promieniowania, ogarn ło mnie zdumienie, e mog my le jeszcze o czymkolwiek prócz milcz cych wiateł, przesuwaj cych si za oknami. W ci gu ostatniego kwadransa podró y astronom co kilka chwil dotykał mego ramienia, ka c mi skr ca to w lewo, to w prawo. Nie mogłem zrazu poj , czym si kieruje w wyborze drogi, a spostrzegłem, e obserwuje tarcz aparatu indukcyjnego.

Gdy wjechali my w szersz ulic , astronom polecił mi stan . Motor zgał. Zaci gn li my odruchowo uszczelniaj ce uchwyty hełmów i wyszli my przez klap . Nawierzchni za cieleły drobne opiłki, wiec ce, jakby w ka d szklist okruszyn wtopiona była srebrna iskierka. Chrz st kroków rozlegał si gło no w pustce. Czasem wiatr przep dzał po kamiennych płytach smugi pyłu i wiszczał gdzie w górze z odgłosem rozdzieranej blachy.

Ponad nami z blanków szklistej konstrukcji wystawał zgi ty w dół p k grubych jak rami , zerwanych przewodów. Dalej, zza płaskiego bloku, wystawał rodkiem zakł ni ty gmach, ogarniaj cy frontem zakr t. Ulica rozchodziła si w gł bi na trzy odnogi; dwie wst powały w gór , trzeci za stanowił tunel, który zwracał ku nam ogromny o wietlony otwór. Jego wn trzy zw ało si rubowato niby sto kowata muszla.

Arseniew patrzył przez chwil na indykator, potem wzi ł od Rainera aparat indukcyjny, przewiesił go sobie przez rami i wezwał nas. Skupili my si wokół niego. Ostatni podszedł Sołtyk. Stał do tej pory przy maszynie i usiłował skierowa wiatło reflektora w gł b rubowatego tunelu.

— B d nam potrzebne narz dzia — powiedział Arseniew. Od chwili kiedy my wysiedli, słuchawki wypełniało drobne, uprzykrzone trzeszczenie i aby si porozumie , musieli my zbli a do siebie hełmy. — D wig no ycowy, łomy i ładunek fulguritu, to w tej chwili najwa niejsze — ci gn ł astronom.

Społg dał na nas kolejno, wreszcie zdecydował:

— Smith zostanie ze mn , a wy wróćcie do rakiety. Posyłam was obu, bo Oswaticz jeszcze le y, a Lao—Czu ma si niewiele lepiej.

Spojrzał na zegarek.

— Droga w obie strony powinna trwa nie dłu ej ni trzy godziny, wliczaj c w to czas na załadowanie materiału.

— Czy mam ju jecha ? — Sołtyk post pił krok ku maszynie.

— Tak.

In ynier wsiadł pierwszy, za nim wcisn ł si do wn trza Rainer i zatrzasn ł za sob klap . Motor zawarczał i pojazd ruszył kotysz c si lekko. Iedzili my go wzrokiem — znikn ł za zakr tem, przez chwil dobiegał gło niejszy warkot motoru, wida przebijał si przez wydmy piasku czy gruzy — potem wszystko ucichło, tylko wysoko nad nami wiszczał wiatr.

— Profesorze... — odezwałem si . Nie dosłyszał. Drobne g ste trzaski rozlegały si w słuchawkach, jakby kto sypał cienkim strumykiem mak na membran .

— Profesorze — powtórzyłem gło niej — gdzie... oni s ?

Zrozumiał. Zbli ył si do mnie. Okienko jego hełmu było w cieniu i widok kasku z odstaj cymi siatkami radaroskopów, ju tak zwyczajny, w tej chwili poraził mnie. Przyszła mi do głowy szale cza w tpliwo , czy to naprawd jest Arseniew, mój towarzysz, człowiek?!

W nast pnej chwili dostrzegłem przez szkło hełmu jego jasne oczy.

— Zgin li... — powiedział.

— Jak? W jaki sposób? Wszyscy?

— Tego nie wiem. W tej chwili nie pytaj pan o nic wi cej. Aparat indukcyjny wskazuje, e niedaleko przebiegaj przewody podziemne...

— To dlatego zatrzymali my si tutaj?

— Tak. Poszukiwałem głównego kabla siłowego. By mo e, uda si nam dotrze do miejsca, w którym wszystko si zacz ło...

Pomilczawszy chwil astronom ci gn ł:

— Musimy si rozł czy . Ka dy odejdzie na czterysta kroków i wróci w to samo miejsce, gdzie teraz stoimy, po linii spiralnej, szukaj c akustycznego echa. Ten, który odnajdzie je pierwszy, da drugiemu zna czerwonymi rakietami. Na ł czno ci radiowej nie mo emy polega . Czy wszystko jasne?

— Tak.

Zawrócił i oddalił si lekkim, długim krokiem. Przez sekund stałem jeszcze, potem spojrziałem na tarcz yro-kompasu i ruszyłem w przeciwn stron .

Wył czyłem dopływ pr du do aparatu radiowego. Buty dudniły po kamiennych płytach; odgłos kroków rozlegał si w pustce ze zdwojon sił . Kiedy zbli ałem si do cian płon cych chłodnym blaskiem, dostrzegałem własny cie ; rozchwiany, sun ł po bruku. Szedłem, jak mi polecił Arseniew, poruszałem w obie strony wylotem aparatu i liczyłem kroki. Gdy doszedłem do czterystu, zawróciłem. Na razie nie odkryłem niczego. Czerwone oko w gł bi hełmu, wska nik radioaktywno ci, arzyło si słabo, wskazuj c niewielkie lady promieniowania. Jego nat enie wzmagalo si , kiedy podchodziłem do cian. Podniosłem głow — w górze bastiony urywały si pod czarnym jak smoła niebem. Szedłem mo e minut , gdy usłyszałem za sob kroki.

Arseniew odszedł w przeciwn stron . W t sam odjechała g sienicówka. Wiedziałem, e nie mo e i za mn człowiek. A jednak słyszałem kroki. Brzmiały niezbyt gło no — musiał post powa w odległo ci co najmniej trzydziestu metrów. Miałem wra enie, e w plecy wkluwaj mi si setki drobnych igiełek. Cał wol musiałem nat y , aby si nie odwróci . Szedłem, a z tyłu wci rozlegało si stukanie — raz, dwa, raz, dwa — to gło niej, kiedy nawierzchnia ulicy le ała naga, to ciszej, gdy pokrywał j nawiany piasek. Błysn ła my l, e to jest echo, i st pn łem umy lnie mocno, ale krok tego, który szedł za mn , nie zabrzmiał dono niej.

To nie było echo.

Pot zalał mi cał twarz. Teraz byłem ju zupełnie pewny, e za mn idzie kto , ale to nie jest człowiek. Nagle stan łem. Krok ucichł. Post piłem naprzód. Znowu si odezwał.

Ogarn ł mnie gniew. Zerwałem z ramienia miotacz, zło yłem si i, pochylony jak do skoku, zwróciłem si w gł b ulicy.

Była pusta. W jasnym wietle widziałem jej zw aj c si perspektyw a tam, gdzie schodziła si z innymi wiatłami. Przez chwil rozgl dałem si bñ dnie. Potem przewiesiłem miotacz przez rami ... Usłyszałem st pni cie... podrzuciłem go... i rozległ si drugi krok... ale tak! Odgłos, który wzi łem za st panie, powodowała sprz czka rzemienia ocieraj ca si rytmicznie o fałdy kombinezonu, a ja brałem ten bliski, tu przy uchu powstaj cy szelest za echo kroków.

Zawstydzony, odwróciłem si . Wtem nad budynkami wykwitły jeden za drugim trzy czerwone płomienie. Zachwiały si i poszybowały wolno w dół, ci gn c za sob ogony

purpurowych iskier. Przyspieszyłem kroku i wnet ujrzałem Arseniewa. Stał na eliptycznym wzniesieniu.

— Zdaje się, że to tu — powiedział. Skręcał się w bok. Otwierał się tam płytki tunel. Jego otwór przypominał wygięty kłosa dołowi, rozwartą paszczą wieloryba. Podobnie stwo wznosiło się z nadprożem z krótkich szklanych kłosa, niby kłosa. Było tam ciemno. Arseniew zapalił latarkę i wstąpił do kłosa. Wszedłem za nim. Droga wiodła w dół pochylni, która zakręcała kłosa. Zrozumiałem, że schodzimy coraz niżej pod poziom gruntu. Trwało to długo. Od czasu do czasu w ścianach pojawiały się owalne otwory innych tuneli; Arseniew patrzył wtedy na tarczę aparatu indukcyjnego: szliśmy w ciemnym niewidzialnym przewodzie. Nagle podłoga odezwała się inaczej: stąpaliśmy po metalu. Droga zastąpiła trzy wielkie rury, biegnące z jednej ściany w drugą. Przez szczeliny między nimi przesiewał się niepewny blask. Z trudem przecisnęliśmy się pod najniższą rurą. Wylazłem pierwszy i zmusiłem oczy, oślepięte.

Przed nami była zalana światłem pochylnia. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i ukazała się wielka sala. Strop mienił się ruchliwym zielonkawym blaskiem, jak powierzchnia morza, na którą padał promień światła. Miarowo rozjaśniał się i przygasał. Sala była okrągła, przedzielona z dwóch stron wysuniętymi skarpami. Dobre oświetlenie pozwoliło mi upewnić się, że co, co spostrzegłem jeszcze w tunelu, nie było złudzeniem: cienka powłoka glazury na kamiennych ścianach wskazywała, że musiał tu kiedyś panować niesłychany porządek. Pod skarpami leżały czarne stopione walce z białej masy, przypominające porcelanę. Ze stropu, z otworów, w których tkwiły obłamane i nadtopione rurki, zwisały dziesiątki porwanych przewodów. Niektóre dochodziły do owych walców i czegoś w rodzaju zakończonych kulami rogów, rozchodzących się promieniście z wypukłości w samym środku stropu. Ale nie ten chaos zagadkowych urządzeń spowodował, że stanęliśmy u wejścia jak wryci. Głębokie, w ścianie, widniała wielka wklęsła płaszczyzna, po której chodziły świetliste wale. Długie krzywe linie, wiecznie błękitne i białe. Czasem łaskotały się w pęknięciach, trzepotały i rozchodziły w różne strony. Jakby ożywione warstwy na wielkiej mapie.

Bo to była mapa.

Wielka, ruchoma mapa. Kiedy przyjrzałem się jej dokładniej, spostrzegłem, że za szklaną powierzchnią rozbiega się tam światło, pełne światła, drobnych iskier i wielkich jak lampy kul, które wirowały, oddalały się, zbliżały, krzyżowały swoje tory i opromieniały wzajemnie.

Słyszałem oddech Arseniewa. Stał przy mnie. Przed nami sunęły ekliptyki, rozpryskiwały się bukiety gwiazd i czarne, wielkie mgławice jak chmury okrywały grupy pulsujących światła. Czasem ostry promień przecinał przestrzeń, jak gdyby gonił którąś z planet, a ona wirowała powoli, ciemno, obojętnie, przesuwając przed nami kontury nieznanych lądów. Tam gdzie światło było tylko brząskiem, unosiły się i opadały całe archipelagi gwiazd.

Było bardzo gorąco. Strop pulsował światłem i nasze skrócone cienie na jasnej podłodze to rozplątywały się, to nagle wyostrzały.

— Gdzie my jesteście my?... — zawahałem się. — To jakie planetarium?

Astronom skierował się w milczeniu przed siebie. Przeszliśmy przez radek sali. Za jednym ze skarp otwierał się okrągły chodnik. Tylko dno było oświetlone na niewielkiej przestrzeni padającym z sali światłem.

Arseniew doszedł już do kłosa, gdy odwróciłem się, aby raz jeszcze spojrzeć na niezwykle planetarium.

— Tam jest jakby niebo... gwiazdy... — powiedziałem — ale co znaczą te linie świetlne? Nagle zadrżałem.

— Tam! Ziemia!

Podbiegłem do przejrzystego ekranu. Glob o perłowym blasku dalekich obłoków wynurzył się z ciemności. Wirował wolno, nachylony do ekliptyki. Nad nim czerniał Księżyc w nowiu. W pełnej gwiazd przestrzeni szła Ziemia, kula matowych światła, coraz bliżej i bliżej. Już



zakrzywiała się jej droga. Wtedy ujrzałem, że znacznie głębiej biegnie Wenus. Poznałem ją po puszystym blasku, bielszym od ziemskiego. Tryskał z niej promień, który dochodził do Ziemi i mocnym wiatłem oblewał morza obłoków.

— Co to?... — wyszeptałem chwytając Arseniewa za ramię. Milcząc podniosłem rękę i wskazałem co, czego dotąd nie dostrzegałem: dwa wyryte w kamieniu, przekreślone grubą linią pierścienie.

— Co to wszystko znaczy?

— Teraz już nic — powiedział Arseniew. — Już nic... Bezwładny ruch raz puszczonego mechanizmu, który bieżący trwa...

Nie dokończył. Odwróciwszy się wszedł w ciemny tunel. Był niezbyt szeroki, bo rozkładając ręce mogłem dotknąć obu ścian. Kilka razy przechodzili my przez niskie progi utworzone ze sto kowatych występów, stojąc obok siebie. Dalej tunel biegł poziomo. W głębi pojawiło się światło. Zmierzało ku nam. Było to odbicie naszego reflektora. Droga zamykała szklista płyta szczelnie wpasowana w otwory przezit tunelu. Arseniew próbował ją podważyć. Z jednej strony w ścianie było zgrubienie, jakby kryła się tam o tej szklanej kłapy, lecz czy mechanizm nie działał, czy te nie potrafili my go uruchomić, płyta nie ustępowała. Astronom namyślał się. Skierował reflektor na przeszkodę. Szklista masa pochłonęła część światła: w smugach, osłabionym blasku ukazała się dalsza część tunelu. Rozszerzał się na kształt lejka.

— Użyjemy miotacza... — powiedział Arseniew.

Cofnął się do zakrętu. Arseniew przyklęknął i wskazał mi gestem, że mam zrobić to samo. Pochyliłem się za nim, starając się nie tracić z oczu przeszkody. Astronom po wzięciu sobie, nastawił odległość, potem złożył się i nacisnął spust. Gorąco uderzyło w piersi. Rodkiem tunelu przemknął żółtawozielony piorun. Szkło w mgnieniu oka szczyrwiło, przekroiły je wielkie rysy jak odciśnięte nosem. Olniony, zacisnąłem powieki. Gdy je otworzyłem, Arseniew strzelił po raz drugi. Zadźwięczały przenikliwie odłamki. Oczekali my kilkadziesiąt sekund, aby się ostygły. Droga stała otworem. Arseniew wszedł pierwszy w rozszerzoną część tunelu. Nagle znieruchomiał. Podniósł ostrzegawczą rękę.

— Uwaga...

Z głębi szedł powolny podmuch. Następowała po nim chwila zupełnej ciszy i powietrze znów zaczynało płynąć, ale w przeciwną stronę.

— Oddech... — szepnąłem mimo woli. Naprzemienne podmuchy powtarzały się regularnie.

Arseniew stał namyślając się, co robi, potem powiedział cicho:

— Miotacz w rękę...

Opuściłem pas naramienny, owijając go wokół przegubu. Trzymałem się blisko Arseniewa, tak że mogłem dotknąć jego pleców. Nagle pociemniało.

— Schył się... — dobiegł mnie jego przytłumiony głos — tu jest ciasno.

Wokół nas coraz głębiej szumiało płynące powietrze. Była to chwila ciepłego, powolnego wydechu. Arseniew zawadził plecakiem o sklepienie. Przez mgnienie szamotał się, potem wycofał i zatarasował barami całe przejście. Wyciągnąłem rękę. Manipulowałem przy pasach.

— Zdejmij plecak — powiedział — weź go pan ode mnie, inaczej nie przejdę.

Uczułem, że pasy nagle zacięły mi w rękach. Pojawiła się ciemność. Arseniew zniknął. Postąpiłem krok naprzód. Głuchy, łagodny szum wyolbrzymiał. Dwa metry przede mną ział fioletowe światło przestwór. Staliśmy wysoko, w wybitym w ścianie otworze.

Było to wnetrze olbrzymiej kuli. Równymi, kolistymi szeregami czerniały okrągłe otwory jak loże niesamowitego teatru. W górę biegły od nich szkliste kolumny. To one wydawały fioletowy, pulsujący blask. Od mrocznego arzenia przechodził do gwałtownego rozświetlenia. Spojrzałem w dół i chwyciłem Arseniewa za ramię. Omal nie straciłem równowagi. Jestem niewrażliwy na przyciąganie, jakie wywiera grawitacja, ale tutaj nie było dna. Przewalały się tam

kształty ciemne, lśniące, mokre, pokryte grzdamy srebrnych połysków, jakby ciała tysięcy cyferek w basenie, z którego wypuszczono wodę. Syropowata, gęsta ciecz, powleczona czarniawą skórą. Ciecz ta wysuwała się z leżących niej od naszego otworów w cianach i wlewała do dennego zbiornika. Chwilami tworzyła kształt ramion czepiających się otworów, zwłaszcza kiedy jej poziom opadał. Wówczas owe macki czy strumienie cieniały, rwały się nawet, ale potem cała masa brzękała, szła w górę i wije się w powietrzu strzępy zlepiały się odtwarzając zerwane pomosty.

Stali my długo na krawędzi. Powietrze biegło raz w górę, raz w dół, zalewane nie od ruchów czarnej mazi. W tym samym rytmie łopotało fioletowe światło.

— Plazma... — wyszeptałem. — Plazma wyżej rzeki...

— Tak — odparł astronom — ta sama. Ale to jest tylko narządzie...

— Co pan mówi?

— Nasze wyobrażenia o wytwarzaniu elektryczności wiążą się z metalowymi maszynami, jak dynamo czy stos atomowy. Można ją jednak wytwarzać inaczej... Człeczki tej plazmy tworzą ładunki elektryczne, które, przesyłane na tysiąc kilometrów, działają na podstawie Białej Kuli...

— Profesorze... pan... pan szukał tego miejsca? Pan się spodziewał, że tu... pan wiedział?!

— Tak. Pamięta pan, co mówiłem o pijanych poddach? Oto ich źródło, źródło energii elektrycznej i grawitacyjnej.

— A oni? Dlaczego zginęli?

Astronom milczał patrząc w głębi, która falowała czarnymi przyływami i odpływami.

— Profesorze!

— Widzi pan ten ruch, jest swobodny? Teraz nie słuchaj nikomu. Będzie tak falować, póki starczy nagromadzonych zapasów — może sto, może dwieście lat, może pięćset...

Jego głos był ochrypliwy. Nie pytałem go o nic. Przyklękł nad samym brzegiem. Postąpiłem za jego przykładem. Czarne, połyskliwe morze zalewało coraz wyższe kondygnacje otworów, lizgało się między nimi w górę cian, zagarniało je nieprzenikliwą powierzchnią, tęczała jak czarna tęcza, zamierała — i zaczynała opadać.

— Nic tu po nas. Wracamy — rzekł Arseniew.

Zapaliliśmy reflektor poszliśmy tą samą drogą. W dziesięć minut znaleźliśmy się w wielkiej sali. Mijając planetarium, w którym wciąż poruszały się świetliste kule, skierowałem mimo woli oczy na czarny znak podwójnego pierścienia, wryty w kamieniu — i zatrzymałem się w pół kroku. Odnosiło mi przypomnienie. Taki sam rysunek był w górskiej grocie... Wenus i Ziemia krążyły wokół Słońca. Ta gruba linia nie była ich. Zaczynała się na powierzchni Wenus, zmierzała poprzez przestrzeń ku Ziemi i przechodziła przez nią, jakby ją przekreślała.

— Profesorze! — krzyknąłem. Myślicie, że biegną jak przepięknie.

— Profesorze! — zawołałem raz jeszcze. Astronom wyszedł już z sali i tylko w głębi korytarza dudniły jego kroki, coraz dalsze i dalsze.

## PIOTR ARSENIOW

Po powrocie g sienicówki próbowali my dosta si do wn trza jednej z lepiej zachowanych budowli. Gdy poszukiwania jakiegokolwiek otworu speliły na niczym, zało yli my we wn ce bocznego skrzydła spory ładunek fulgurytu. Eksplozja zgruchotała cz ciany; przez powstały wyłom dostali my si do rodka. Ale ani w tej, ani w innych budowlach, których grube mury udało si nam sforsowa , nie znale li my niczego, co cho troch przypominałoby ziemskie wn trza mieszkalne. Tylko zewn trzne kształty budynków podobne były do naszych. Bł kitnawy blask nie docierał w gł b domów: panował w nich mrok prawie zupełny, gdzieniegdzie tylko rozrzedzony cienkimi promykami, s cz cymi si przez p kni cia w cianach. wiatło reflektorów odkrywało przez nami chaos pogi tych rur, tuneli, równi pochyłych i obszernych sal, zasłanych metalowym i szklistym gruzem. Kilkakrotnie napotkali my konstrukcje, których przeznaczenie było dla nas zupełnie zagadkowe. Wielkie hale rozdzielone były pionowymi przegrodami, u stropu szerokimi, w dole za zw aj cymi si tak dalece, e człowiek ledwo mógł si do nich wcisn . W owych niszach znajdowały si liczne sko ne wyst py, jakby półki.

Pod powierzchni ulic rozpo cierała si sie zamkni tych arterii. Biegły kondygnacja pod kondygnacj , niektóre pogr one w ciemno ci, inne rozja nione zielonkawymi stropami, czasem zbiegały si po pi i sze w przestrzeni o kształcie ogromnego b bna, podzielonego na dwa poziomy. Od górnego odchodziły koliste tunele; zapuszczaj c si w nie, przekonali my si , e prowadz do wn trza rozmaitych budowli. Liczne przej cia tamowały stosy złomu, których nie wysadzili my w obawie, e wiesz ce ponad nami dziesi tki pi ter gotowe obruszy si i run przy wstrz nieniu. Gdzieniegdzie zachowały si szcz tki pionowych szybów, w których dawniej poruszały si zapewne jakie pojazdy, lecz teraz tylko grudy stopionego metalu zwisały w ród osmalonych cian.

W jednym z najwi kszych budynków, którego szczyt rozp kł si na trzy cz ci i wznosił w niebo rozświetlone łuki konstrukcji, kilkadziesi t metrów pod powierzchni ulicy odkryli my w sali, ogromnej jak nawa ko cielna, komory o eliptycznych okienkach z przejrzystej masy. Liczne okienka były strzaskane. Wszystko pokrywały tu masy srebrzystego pyłu. Promienie reflektorów grz zły w jego kł bach, które podnosiły si przy ka dym kroku, osiadały na hełmach i skafandrach i spowijały nas migotliwym obłokiem. Dalej rozwierało si lejowate zagł bienie, w dół skierowana koncha, podobna do otwartej studni wentylatora kopalnianego. Kilka pi ter ni ej, po ród nachylonych ku sobie wsporników i d wigarów, le ały na kamiennych płytach zw glone kadłuby maszyn. Było ich kilkadziesi t; ustawione w prostej linii jedna za drug , czerniały podługowate jak kr gi jakiego potwornego stosu pacierzowego. W gór i na boki wychodziły z nich obtopione segmenty, podobne do połamanych skrzydeł.

Posuwali my si powoli od jednej budowli do drugiej, a dotarli my do pustki okalaj cej krater. Tutaj uczeni rozpocz li systematyczne pomiary promieniotwórczo ci za pomoc komór jonizacyjnych i liczników Geigera. Od krateru odchodziło kilka gł bokich rowów, zatarasowanych zwałami u lu i metalowych nacieków. Oddalaj c si coraz bardziej od centrum eksplozji, doszli my do pierwszych cz ciowo ocalałych budynków.

Musiała tu niegdy panowa temperatura dorównuj ca słonecznej. Cał powierzchni łagodnie pochylonej skarpy pokrywały drobne b ble szkliska, które zastygło kipi c. Zwróciło nasz uwag , e w dwu miejscach ciana jest nieco wygładzona i tworzy nieznaczne zakł ni cia. Kiedy przybli ało si silny reflektor i o wietlało j z boku, tak e promienie padały niemal równolegle do powierzchni, z chropowatego tła wyst powały dwie zatarte sylwety, zaostrzone w górze, jak cienie w wysokich kapturach. Jeden był pochylony silnie do przodu, jakby pochwycony w upadku, drugi skulony jak kto , kto przysiadł wci gaj c głow

w ramiona. Oba cienie mierzyły niewiele ponad metr wysoko ci. Porównanie do istot ludzkich jest oczywiście ci w wi kszej mierze uzasadnione prac wyobra ni ani eli tym, co widniało na powierzchni skarpy; były tam po prostu dwie plamy, które mogły, lecz nie musiały by czymi cieniami. Uczni z najwi ksz uwag przyst pili do szczegółowego badania: plamy fotografowano w rozmaitym o wietleniu, mierzono radioaktywno w ich obr bie i otoczeniu. Arseniew wysłał nawet Sołtyka do rakiety po materiał plastyczny do wykonania odcisków, lecz po pi ciu godzinach docieka nie doszli my do pewnego wniosku. Było mo liwe, e w chwili wybuchu stały przed skarp dwie ywe istoty, a ciała ich, zanim zmieniły si w par w temperaturze miliona stopni, zasłoniły cz ciany od bezpo redniego działania aru. Lecz nie domy laj c si nawet kształtów ani wielko ci owych istot i nie wiedz c, na jakiej wysoko ci nast piła eksplozja, nie mieli my danych niezb dnych do rozwi zania zagadki.

Aby nie przedłu a nadmiernie pobytu w martwym mie cie, podzielili my si potem na dwójki, z których ka da miała za zadanie pobie nie cho by przeszuka jedn dzielnic .

Arseniewowi i mnie przypadła rozległa przestrze , pokryta lasem wyszczerbionych kolumn, wspartych o siebie płyt, filarów, rozdartych konstrukcji mostowych i w skich, zasypanych wydiami piasku dróg, które biegły wykopami po ród stromych, gładkich kopulek. Wszystko to wieciło lepym blaskiem, pogr one w absolutnym milczeniu, i tylko wiatła naszych reflektorów o ywiały w panuj cym przy samym gruncie półmroku kł bowiska cieni.

Wspi wszy si na wysoki nasyp, pokryty falami zastygłego metalu, ujrzeli my jak gdyby kadłuby wielkich grzybów o płaskich kapeluszach, zapewne szcz tki jakich maszyn. W gł bi terenu ciemn sylwet odcinał si od rozjarzonego tła wysoki budynek. Poci gn ło nas ku niemu wła nie to, e w przeciwie stwie do otoczenia pogr one był w mroku. Obeszli my go z bliska, a nie odnalazłszy wej cia, wywiercili my w fundamentach otwory, eby zało y ładunki fulguritowe. Eksplozja utworzyła gwiazdy

wyłom, przez który weszli my do rodka. Wspi wszy si po fragmentach uczeptionej filarów pochylni znale li my si w rozległej hali. Za cieleły j metalowe skorupy, przemieszane z czym , co wygl dało jak strz py futra. Były to spopielone szcz tki, przy najl ejszym dotkni ciu rozsypuj ce si w proch. Po rodku hali stał czworogranny filar z dwoma okr głymi otworami. Był pusty i tworzył co w rodzaju szybu. Ze cian wystawały krótkie, w dół zwrócone haki. Zeszli my kilka metrów szybem i, przebiwszy si przez kopce złomu, odkryli my istny labirynt niskich i w skich korytarzy. Jedne biegły promieni cie, inne spiralnie, przecinaj c tamte pod k tem. Było tu zupełnie ciemno. W wietle latarek ukazały si w cianach pionowe wn ki. W ka dej tkwiły sko ne trójk tne płyty, przewiercone g sto drobnymi otworami. W samych otworach, na przegrodach wn k i pod nimi le ały stosy srebrzystych ziaren, takich samych jak te, które wzi łem kiedy za metalowe owady. Arseniew przypuszczał, e pomieszczenie to jest czym w rodzaju archiwum lub biblioteki. Za jego przykładem wypełniłem kieszenie metalowymi ziarnami i ruszyli my dalej.

Nie obawiali my si zbł dzenia, gdy yrokompassy nieomylnie notowały ka dy skr t i zmian kierunku drogi. Niektóre korytarze były tak w skie, e nie mogli my nimi przej , inne rozszerzały si baniaste i tworzyły poł czone z sob kuliste cele, jak gdyby system wyd tych z metalu p cherzy, komunikuj cych si eliptycznymi rurami. Po godzinie w drówki w podziemiach wracali my na gór , najpierw stromym chodnikiem, potem przestronn hal . Jej dno wyło one było gładkimi, czarnymi płytami; pokrywała je cienka warstwa pyłu. Rzuciwszy przypadkiem promie wiatła w bok, zauwa yłem na szarej powierzchni sznur ciemnych plam. Natychmiast skierowali my si w t stron .

Na zaproszonych płytach widniały eliptyczne lady, mo e czterocentymetrowej rednicy. Wygl dały jak lady kogo , kto przeszedł po zakurzonej powierzchni na szczudłach zako czonych owalnymi skuwkami. Arseniew zmierzył odległo pomi dzy dwoma ładami;

wynosiła 36 centymetrów. Poszli my za nimi długi opuszczający się galerii, która zwała się powoli, a utworzyła rodzaj korytarza o nachylonych ku sobie ścianach. Miejscami pył zniknął i wówczas tracili my ślad z oczu, ale innej drogi nie było, więc kroczyli my dalej. Nagle korytarz skręcił. Gładkie ściany kołysły się, wsparte o naturalną skałę. W dole pomiędzy jej fałdami otwierał się czarny ziew. Tu przed nim grunt pokrywała warstwa stwardniałego szarobrunatnego szlamu. Owalnymi wgłębieniami znaczyły się tam ślady prowadzącej w głąb ciemnego lochu. Postanowiliśmy iść dalej, jak daleko się da.

Trzeba się było posuwać na rękach i kolanach. Ściany naturalnego chodnika tworzyła jednolita, słabo rzeźbiona skała. Niegdyś musiał tu płynąć podziemny strumień: w miejscach w których, gdzie prąd wody łobotał sobie przejście ze wzmożoną siłą, ściany wygładziły się. Tu i ówdzie na dnie w twardym jak kamień widać widniały owalne odciski. Raz i drugi zabłądzeni po hełmach drobne kamyki, lecące ciurkiem ze stropu. Wreszcie stało się tak ciasno, że nie mogliśmy się posuwać nawet na czworakach. Strop tworzyły ciemne pokłady skały podobnej do bazaltu, porznięte głąb bokami szczelinami. Arseniew, który był na przodzie, rzucił wiatło poza zewnie korytarza.

— Tam się robi przestronniej — powiedział. Poczłapał się, ale zaraz zawrócił, bo zaklinował się między głazami. Dopiero gdy zdjęł plecak i miotacz promieni, przy mojej pomocy wcisnął się w skalną szparę. Poszedłem za jego przykładem, zostawiając plecak pod płaskim występem kamienia.

Jako szcuplejszemu udało mi się przejść łatwiej. Przez chwilę było zupełnie ciemno. Nagle grunt zadrżał. Co uderzyło mnie boleśnie nie w nogę. Gwałtownie rzuciłem się do przodu i wypadłem w szerszą przestrzeń. Rozległ się przeciwny huk, potem odgłos kilku padających kamieni — i nastała cisza.

Zapłonęło wiatło. Było tu tyle miejsca, że mogliśmy stanąć obok siebie. Arseniew oświetlił otwór chodnika. W głąb czerniała ściana głazów. Nastąpił obwał; byliśmy zamknięci.

— Fulgurit — powiedział Arseniew. Miałem w kieszeni kilka lasek tego rodzaju wybuchowego. Podałem mu je. Z kolei on włożył rękę do kieszeni po spłonki i kabel detonacyjny. Reflektor zawiesił sobie na piersi; w odbitym od skały świetle widziałem jego twarz za szybą hełmu. Nagle drgnął i znieruchomiał. Obmacał jedną kieszeń, drugą. Spojrzał na mnie. W jego oczach zobaczyłem to, czego nie widziałem dotąd nigdy: zwyczajny ludzki strach. Była to sekunda. Opuścił powieki.

— Nie masz spłonek? — zapytał.

— Nie.

— Ja też nie. Musiały wypaść, kiedy się czołgałem. Fulgurit jest rodzkiem bardzo niepewnym w użyciu.

Bez specjalnych spłonek nie wybuchają, nawet włożony w ogień. Cztery ładunki, które mieliśmy, były bezużyteczne. Trochę szarawego ciasta, nic więcej.

Arseniew milcząco zawrócił. Poszli my w głąb korytarza. Chodnik biegł kretowicie. Liczyłem kroki: dwadzieścia, potem nagły zakręt, i korytarz rozszerzał się. Krąg wiatła uderzył w skałę.

Staliśmy w niewielkiej grocie, spłaszczonej jak wewnątrz trzej czaszki wale. Mierzyła z osiem kroków rednicy. Uderzyłem czełkiem w skałę. Zamurowana przestrzeń nie drgnęła. To jest podziemne koryto strumienia — my łaliśmy gorączkowo — woda musiała gdzieś uchodzić, trzeba dokładnie szukać...

Zobaczyłem, którądy odpływała woda. Niegdyś podziemne koryto biegło dalej, lecz z wierzchnich pokładów zsunął się pionowy złom skalny i wklinał w chodnik z taką siłą, że po ścianach rozpełzła się delikatna siatka pająka. Pod straszliwym cieniem z góry czopując odłam spoili się szczelnie z otoczeniem i różnił się od niego tylko nieco ciemniejsz



barw . Tam gdzie wchodził w dno groty, było trochę piasku. Ujrzałem w nim płytkie owalne zagłębienie, ostatnie ogniwo łańcucha, który nas tu przywiódł i zniknął pod nieprzebytą zaporą .

— Tego nie przewidziałem... — powiedział Arseniew cicho, przez zaciśnięte zęby, jakby tylko do siebie. Usiadł na kamieniu.

— Zgasła latarka, bo bateria się wyczerpie. Może się jeszcze przyda .

— Jesteś myślnikiem.

— Wiem o tym. Zgasła latarka .

Zrobiłem to i ciemność opadła tak nagle, jakby czarny ptak buchnął w oczy. Zamruganiem kurczowo. Ówte gwiazdy rozprysły się pod powiekami. Spojrzałem na wieńcówkę zegarka. Upłynęły dopiero cztery minuty, a my łączyliśmy, że co najmniej pół godziny.

Z mroku się czytał mi się we mnie niepokój. Zaciskałem powieki i otwierałem je, ale najlżejszy blask nie rozwidniał ciemności. Nagle Arseniew wstał. Słyszałem, jak po ciemku obchodzi grotę . Potem zapalił światło. Zaczęła opukiwać skałę młotkiem czekana. Wszędzie odzywała się jednakowym tym brzmieniem.

Wróciliśmy do korytarza i ostukali my jego ściany i strop. Raz jeszcze zbadali my miejsce obwałowania. Tylko jeden człowiek mógł wpełznąć po pas do otworu; przez chwilę mocowałem się z głazami, które go zamykały. Wskazywały się i pulsowały załomotały w skroniach. Głazy ani drgnęły, osadzone głucho, jak scementowane. Potem spróbował Arseniew. W ciszy rozległy się tylko nasze przytępane oddechy. Milcząc wróciliśmy my do groty i usiedliśmy pod ścianą . Zgasili my obaj reflektory. Wtem przypomniałem sobie czekana Arseniewa; mój został przy plecaku. Za wiecikiem reflektor i pobiegłem do korytarza. Rozparłszy się zacząłem kuć w zrubie kamiennej barykady. Drobne igiełki kwarcytu dzwoniły odskakując od hełmu.

— Przestań — powiedział leniwie Arseniew. — To nie ma sensu.

Zataczałem łuki i nie ustawałem, biłem ze wszech sił. Głaz szczekała, lecz nie poddawała się . Okruchy leciały w powietrze. Potem gwałtem się ciosów; opanowała mnie furia, zamachnąłem się tak gwałtownie, że niemal nie upadłem. Stylisko strzeliło mi w ramię. Bezuszczytne ostrze czekana zadzwoniło o skałę i spadło. Ułamał się tu pod kilofem.

Wróciłem do Arseniewa.

— Jak głębo jesteś my? — spytałem, kiedy oddech mi się uspokoił.

— Z pięć metrów pod powierzchnią .

Siedzieliśmy my znowu w mroku. Po jakichś dwudziestu minutach wydało mi się, że nie do końca opukałem jedną ścianę korytarza; tam może się znajdowała za cieniem przegrodziona jakaś przesmyk, droga prowadząca na wolno ... Zerwałem się i za wiecikiem latarki . Jej blask oświetlił mnie, odbierając zarazem złudzenie. Dobrze zbadali my skałę, nie ma w niej żadnej pustki, żadnej szczeliny, nic, na pewno nic.

— Siadaj — powiedział monotonicznie Arseniew. — Siadaj. Wielkim cieniem przywarł nieruchomo do skały.

— I zgasła latarka ... już skończył...

Światło rzeczywiście nieco osłabło. Należało zmienić baterię; była tam, gdzie ją zostawiłem, w plecaku...

Obejrzałem uważnie w otwórce nitki wolframu, zgasłem reflektor i ciemność usiadła. Teraz nie mogłem już patrzeć na zegarek. Była szósta, od półtorej godziny byliśmy my zasypiani. Przycisnąłem hełm do skały.

Głucha, szumiła cisza.

Przywykałem do mroku. Bezruch był tak wielki, że powoli ogarniała mnie senność . Znużenie mi nie chłonęło odpoczynek. Napracowałem się w ciągu ostatniej doby. Ani oka nie zmrużyłem. Odtaczałem gruz, przepychałem pojazd przez rumowiska...

Ocknąłem się nagle z myślą, że mam coś zrobić: zmienić baterię w latarce. Już otrząsnąłem się, powtórzyłem myśl i ogarnął mnie gniew. Postanowiłem wziąć się w cudze. Zamknąłem oczy, ułożyłem się możliwie wygodnie na płaskich głazach. Jestem w domu, jest

ciemna pa dziernikowa noc. Chłodna, ale lubi spa przy otwartych oknach. Cisza, wiatr nawet zwiśł w gał ziach ogrodu. O ósmej rano mam lecie do Kairu. Do pierwszego witu mog spa .

Mówiłem tak sobie, ale to nie pomogło. Znów popatrzałem na zegarek. Za kwadrans siódma. Nagle przypomniałem sobie, jak Arseniewowi na imi . W ci gu ostatnich tygodni nie był mi tak bliski, jak w czasie podró y.

— Piotrze... — powiedziałem. Odezwał si natychmiast.

— Co?

— Nic — powiedziałem ciszej. — Chciałem wiedzie , czy pisz.

Tak min ła noc. Nad ranem usn łem, lecz sen nie był wypoczynkiem. Zbudziłem si raptownie, czuj c, e stało si co straszego. R ce uderzyły o zimn skał . Było chłodno. Zapaliłem latark .

Arseniew le ał na wznak, ogromny. Szarawy kombinezon był zmi ty i pokryty wapiennymi plamami. Nie spał. Popatrzył na mnie przez szkło hełmu.

— Jest pi ta — powiedział — pi ta rano.

— W nocy nic nie było słycha ?

Wiedziałem, e je li nawet bada szuka , nie znajd nas, ale spytałem.

— Nie. Arseniew wstał.

— Dok d idziesz?

— Obejrze skał .

Kroki rozbrzmiały słabn c. Potem nast piła cisza. Trwała długo. Zawołałem. Kroki wróciły.

— Co si stało?

Nie odpowiedziałem. Gdy tak długo nie wracał, chwycił mnie l k. W nieruchomym, okr głym wietle w ski prze wit skalnego gardła a do zakr tu. W górze wielkie, płaskie cienie jak zeszcłe nietoperze. Odetchn łem gł biej, wstałem i zacz łem chodzi w jedn i drug stron . Za którym nawrotem odezwał si :

— Siadaj, m czysz si niepotrzebnie. Poza tym w ruchu zu ywa si wi cej powietrza.

— Chc zu ywa wi cej! — powiedziałem. Jego spokój rozdra niał mnie. Z trudem opanowałem si . Usiadłem.

Arseniew systematycznie poprawiał skafander, wygładzał fałdy, odci gał i popuszczał pasy. Wyło ył wszystko, co miał w kieszeniach: tabliczk koncentratu witaminowego, notatnik, zapalki, elektrometr i rewolwer mały jak zabawka.

Nosił go, bo to był podarek: kto ofiarował mu go przed odlotem. „Do polowania na dzikie zwierz ta Wenery”. Zwa ył na dłoni paczuszk cukru.

— Czy masz swój?

— Nie, zjadłem ju .

— Szkoda.

Zdziwiło mnie to ubolewanie nad garstk cukru; na usta cisp ły mi si cierpkie słowa, ale zmilczałem. Arseniew wyj ł nabój z rewolweru. Zrozumiałem, co ma na my li.

— To na nic — powiedziałem. — Zwyczajna spłonka nie zapali fulguru. Nic go nie zapali oprócz specjalnych detonatorów.

Za wiecił reflektor: palił si słabo.

— Mój te — powiedział. — Zga latark . Posłuchałem go. Ciemno spadła jak mur. Jakby moje ciało nie ko czyło si , jakby przechodziło w ni bez adnej granicy. Zielone plamy płyn ły pod powiekami. Opadaj ce, jaskrawe plamy. Cichutko tykał zegarek. Mijały godziny: dziewi ta, dziesi ta, jedenasta...

Nagle Arseniew odezwał si tak nieoczekiwanie, e drgn łem:

— Kogo masz na Ziemi?

Przez sekund namy lałem si , takie to było dalekie.

— Ojca.

— Nikogo wi cej?

— Nikogo.

— Ja mam on ... — i w obawie, bym nie przypu cił, e powiedział to z alu, ci gn ł:

— Wykonywałem teraz w pami ci jedno obliczenie i pomy lałem o niej. Kiedy j poznałem, przez długi czas mówili my tylko o matematyce. Robiłem dyplom, miałem pewien pomysł, teori pulsuj cych gwiazd, i powiedziałem jej to.

Umilkł na chwil , jakby si sam zdziwił, e tak du o mówi.

— Raz w ogrodzie obserwatorium siedzieli my i czytali my Flammariona O mnogo ci zamieszkałych wiatów. Pewno nie znasz tej ksi ki, bardzo stara. Był lipiec, wieczór, zapadał zmrok... czytali my razem, odwracali my strony... stawało si coraz ciemniej, papier szarzał, a my wci czytali my... tak jak tylko w młodo ci... Kiedy rozplyn ły si ostatnie słowa, podnie li my głowy, a nad nami było niebo pełne gwiazd, ciemno i wiaty, które wstawały ze stronic... wtedy...

Urwał.

— Piotrze?

Zdawało mi si , e co mówi, ale tak cicho, e dochodził mnie tylko niewyra ny szmer.

— Co mówisz, Piotrze?

Nagle cicho, prawie piewnym głosem powiedział:

— Gdybym mógł jeszcze dotkn jej twarzy...

— Przesta ! — krzykn łem z nienawi ci . — Przesta ! Zamilkł.

Przez ostatnie godziny nie nawiedzały mnie adne obrazy, adne my li ani wspomnienia, nie czułem trwogi ani rozpaczy, tylko nieustannie wzrastaj cy wewn trzny wysiłek, jakbym utrzymywał na sobie ci ar gro cy zmia d eniem. Byłem jak człowiek, który przytłacza sob worek pełen jakich potwornych stworze i zaciska go kuczowo, a worek drga pod nim coraz gwałtowniej. Ostatnie siły zbierałem, aby utrzyma ten elazny chwyt, bo wiedziałem, e je li go osłabi , stanie si co straszego, po prostu rozlej si jak kału a, i do utraty tchu bałem si nie mierci, lecz tego oszalałego stworzenia, w które mogłem si zmieni . To, co mówił Arseniew, pora ło mnie niby ciosy no a. Przez jaki ułamek sekundy mocowałem si z sob , potem zrezygnowałem. Poczulem — bo nie mo na tego nazwa wspomnieniem! — poczułem niewypowiedziany zapach zoranej ziemi, jak gdybym stał po ród nagich przedwiosennych pól na wzgórzu, w oddechu bezkresnych horyzontów, oszołamiaj c , pijan wo , która jest oczekiwaniem ycia i yciem samym. To był kres. Ogarn ł mnie zupełny, elazny spokój. Wiedziałem, co mam robi . Pochyliłem si w ciemno . Namacałem jego plecy, mocne mi nie pod pozimniał tkanin kombinezonu. Jak złodziej si gn łem do kieszeni. W pierwszej chwili nie bronił mi tego, dopiero gdy przez materiał poczułem kolb rewolweru, zrozumiał. Nagle zacz li my walczy . Zmagali my si w zupełnym milczeniu, pełnym zdyszanych oddechów. Był silniejszy. Przyparł mnie do ciany, wstaj c. Namacał wył cznik latarki, która wisiała na mojej bluzie. ólte wiatło wcisn ło si mi dzy nas klinem.

— Daj... — wychrypiałem... — Daj... tylko jeden nabój! — Nie odpowiedział. Mocniej przycisn ł mnie do ciany.

— Daj rewolwer — mówiłem dysz c — nie b d głupi! — Ju nie wrywałem si .

— Kangchend onga — powiedział mi do ucha.

— Daj rewolwer. Wszystko sko czone.

— A wtedy...

— Wtedy była szansa, Piotrze, daj!

— Jest szansa.

— Nieprawda!

Nagle pu cił mnie i odst pił na krok.

— Chcesz mnie tu zostawić? — powiedział powoli, ogromny, z gigantycznym cieniem nad głowami.

Co mnie złapało za krta z taką siłą, że ledwo mogłem oddychać. Przez chwilę łamałem się, jakby mnie rzucały torsje. Potem pociekły łzy. Ukłoniłem się. Usiadł przy mnie, wielki, ciemny, i otoczył moje plecy.

— No no... — mówił. — No no...

— Słuchaj — powiedziałem spokojnie — oni nie wiedzą, że my zgineli. Zresztą i tak nigdy nas nie znajdą. Nie ma nadziei. Po co czeka? Gdyby my mieli materiał wybuchowy...

— Mamy go — powiedział i dotknął butli mego aparatu tlenowego.

— Tlen...?!

— Tak, ciekły tlen. Poderwałem się, ale zaraz opadłem.

— Nie, to na nic, myślałem już o tym. Tlen sam nie wybucha! musi być zmieszany z jakimś palnym materiałem.

— Słusznie.

— Nie mamy nic takiego...

— Mamy.

— Co?

Wyciągnął z kieszeni dwie małe płaskie paczuszki; był to sprasowany cukier. Co mi za witało.

— Piotrze!

— Wiesz, jak się sporządza oksylikwity; miesza się płynny tlen ze sproszkowanym węglem albo sadzą. Przy zapaleniu tlen się wybuchowo z węglem. Cukier jest w gładkim, jest w nim woda i wodór, jest palny; ten tutaj jest zupełnie miękki i sypki.

— To dlatego pytałeś mnie przedtem?

— Tak.

— I nic nie mówiłeś?!

Mocno przyciągnął mnie do siebie.

— Posłuchaj. Obliczyłem, jak wielki się burzyciel może rozwinąć ładunek, którym dysponujemy. Nie wiemy, na jakiej przestrzeni zapadł się strop. Jeśli tylko w najwęższym miejscu, mamy szansę. Najmniej jest paliwa — cukru: tlenu posiadamy sporo, bo wzięliśmy podwójny zapas, więc jeśli się uda, starczy go nam i na później, kiedy wyjdziemy. Jest jednak inna trudność. Taki ładunek, żeby wybuchnąć, musi być odpalony elektrycznie.

Skinął głowami gorliwie. — Mamy baterie.

— Mamy baterie i dlatego oszczędzałem wiatła, ale brak nam kabla. To wszystko, co mamy — pokazał trzymetrowy kawał drutu. — Wydobyłem go z elektrometru. Ze skafandrów drutu nie wyjmujemy, bo nie możemy zdjąć hełmów, i dlatego...

Zatrzymał się na sekundę.

— Kto musi odpalić ładunki tam na miejscu.

— Dlatego nie mówiłeś?

— Tak.

Nagle za nią mi jakaś myśl.

— Piotrze, ty nie spałeś?

— Nie.

— Przez całą noc?

— Tak. Szukałem innego sposobu.

— I znalazłeś?

— Nie. Nie możemy zdjąć hełmów — powtórzył. — Zatrulibyśmy się natychmiast.

— A gdyby jednak lontem — zaczął. — Wykręć proch z naboju.

— Wybuch albo wcale nie nastąpi, albo będzie słaby. Owszem, proch jest niezbędny, należy podsypano go na kołcu drutów. To spowoduje detonację. Ale zapłon musi być elektryczny.

— Czekaj... a jeżeli strzeli z rewolweru w ładunek?

— My lałem o tym. Musi być pięć ładunków, i to odpalonych równocześnie, tak wypada z obliczeń, inaczej nie tylko nie otworzymy sobie drogi, ale jeszcze spotkujemy obwał.

— Tak — powiedziałem. — Masz rację. Jeden z nas musi być tam... Losujemy?

— Nie chcę zdawać się na przypadek. W tym jest coś poniżej tego.

— A więc? Milczał.

— Może jednak jest jakieś wyjście?

— Jest. Po pierwsze, jako fizyk wiem dobrze, w jakich warunkach najsilniej działa fala uderzeniowa, a po drugie, jako kierownik wyprawy...

— Rozumiem, nie kołcu. Nie zgadzam się.

— Jestem przekonany, że mi się uda. Nie chcę ci rozkazywać.

— Nie masz do tego prawa!

— Nie mam prawa?

— Nie, i to podwójnie... po tym, co chciałem zrobić. Ja pójdę.

Arseniew wyjął z kieszeni pudełko zapalek i podał mi je.

— Jeżeli liczba będzie parzysta — powiedział — ty pójdiesz, jeżeli nieparzysta — ja.

Zaczęłem wykladać zapalki na kamień. Wyglądało to na zabawę: kładłem jedno białe drewnienko obok drugiego, a wargi poruszały się licząc: osiem, dziewięć, dziesięć, jedenastę, dwanaście...

Ostatnia była siedemnastą.

— Puste — rzekł Arseniew.

Potrząsnęłem pudełkiem. Jeszcze jedna zapalka, która schowała się pod wieczkiem, stoczyła się po powierzchni gładzi i upadła na grunt.

Arseniew odwrócił się i ułamanym kilofem czekana zaczął rozdrabniać cukier; wysypywał go na kartki z notatnika, które posłużyły do skrzapania tutek. Potem w zupełnym milczeniu podawali mi nosem pociski rewolwerowe wysypując proch z łusek. Poszliśmy korytarzem do miejsca obwał. Arseniew oznaczył pięć szczelin między gładzami, które rozwierałem dziobem czekana, a on tymczasem nalewał tlen do tutek. Prawie bezbarwny, bładoniebieski płyn syczał i wrzał cieknie w skrzynkę. Tutki, zrazu mięknie, stały się twarde jak kamień; gdyby nie to, że mieliśmy rękawice, nie można byłoby ich wziąć do ręki, ale i przez tkaninę parzyły dłoń straszliwym chłodem.

Gotowe ładunki wcisnęliśmy między gładki boki do otworów. Połczywszy wszystkie przewodem, Arseniew wyprowadził kołcu drutu w bok. Kiedy otwory zostały zamurowane okruciami i ugniecionym szlamem, Arseniew, przyciskając się do skały, powiedział:

— Staniesz tak. W ten sposób będziesz zasłonięty od czoła podmuchu. Dotkniesz drutu i padniesz na twarz. To wszystko.

Przez sekundę stał tu przede mną, nieruchomy, nagle chwycił mnie w ramiona, z całej siły przycisnął do siebie i puścił tak nagle, jakby mnie chciał odtrącić. Kiedy kroki ucichły za zakrętem, podniosłem baterię.

Jeden biegun był już przyłoczony. Przycisnąłem się z boku do skały, starając się jak najbardziej rozpląszczyć.

— Uwaga! — krzyknęłam. — Już!

Mała iskierka przeskoczyła pod drutem. Rozarzony młot uderzył mnie w piersi. Zdmuchnięty z gruntu, poleciałem w ryczącą chmurze ognia.



## ZAŁOGA

Zbudziło mnie silne wiatło. Tu nade mnę palił się lustrzany jupiter. Leżałem na czym chłodnym i miękko. Chciałem otworzyć oczy, ale co je trzymało.

— Spokojnie — powiedział jakiś głos.

W głowie przejeżdżała siła. Spojrzałem w bok. Tarland w białym płaszczu pochylał się nad wózkiem. Stały na nim szklane cylindry i aparaty. Wiatło błyskało w rurkach. Moja lewa ręka leżała na gumowej poduszeczce, w przedramieniu tkwiła igła, dochodził do niej gumowy wężyk. Przez szklane rurki, łączące go z aparatem, biegł jasnoczerwony płyn. Czułem, jak wchodził wnikając mrowiąc, ciepły prąd.

— Co to — zdziwiłem się — transfuzja?

Robiło mi się coraz cieplej. Wszystko dokoła było dziwnie spokojne i nierzeczywiste. Tarland odsunął aparat, szybko wyciągnął igłę i przycisnął do ręki kawałek gazy.

— Kto tu śpiewa? — spytałem. Słyszałem wysoki, łagodny melodyjny śpiew. Było mi dobrze. Myślałem, że płynący powoli. Pojawiały się jakieś ciemne obrazy: w drzewka martwymi, oświetlonymi w wozami, rozłupane ściany kryształowe, ciemne chodniki, galerie... gdzie to wszystko było? W lodowcu? W Himalajach czy w górach? Nagle w pamięci stanęła ostatnia wiadomość przez tę jaskinię: grotta, czarne, słabo oświetlone głązy, głucha cisza i dwa druty, nad którymi pochylałem się, żeby...

Zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, wzrok padł na tarczę telewizora w przeciwległej ścianie. W czarnym tle stały drobne iskry.

— Gwiazdy?

Śpiew był głosem silników. Lecieliśmy. Do kajuty weszło dwóch ludzi: Rainer i Arseniew.

— Jak się czujesz? — spytał astronom.

— Dobrze.

Nie wiem, czemu do głowy przyszło mi pytanie, które zadałem natychmiast.

— Dlaczego to miasto świeciło? Czy to był licyt? Stojąc przy łóżku spojrzeli na siebie.

— Nie, to szkliwo barowo-sodowe, nie mające nic wspólnego z licytem. Świeci, bo zostało napromieniowane w chwili wybuchu — mówił Rainer, wyraźnie zadowolony, a ja mu odpowiedziałem.

— Wybuch? A prawda... ten krater — powiedziałem — słuchajcie...

Tarland przerwał mi.

— Nie wolno panu mówić. Mamy czas, dowie się pan wszystkiego.

Wyprosił obu uczonych z kajuty. Słyszałem, jak w drzwiach powiedział coś o wstrząsach mózgu i o tym, że nie wolno mi przeżywać żadnych wstrząsów.

— Ale co było dalej? — protestowałem słabo, gdy wrócił. — Czy przeżył się otworzył?

Tarland wziął mnie za puls.

— Profesor Arseniew wywiódł pana z ciemności na światło, a ja — stworzyłem pana od nowa.

Uśmiechał się. Chciałem spytać o coś jeszcze, ale wszystko zmieszało się, splątało, popłynęło gdzieś daleko. Zobaczyłem niebieskie niebo... ptaki śpiewały... Zasnąłem.

Długo trwało, zanim z oglądanych rozmów, które wciąż przerywał czuwający nade mną Tarland, dowiedziałem się, jak Arseniew wyniósł mnie spod ziemi, kiedy chodnik stanął otworem, jak usiłował uszczelnić rozdarcia mego skafandra, jak w pewnej chwili wydało mu się, że jestem w agonii, jak potem zjawiała się przywołana raketami gieniec i zawiozła nas do Kosmokratora.

Nieprzytomnego, zczadzonego trójczą atmosferą, która wnikła poprzez rozdarcia skafandra, z popłaskanymi ranami, wziął mnie biolog na stół operacyjny. Upłynęło trzydzieści godzin, zanim po raz pierwszy otworzyłem oczy. Potem jednak zacząłem szybko przychodzić

do zdrowia, spałem niemal okrągło, budziłem się z wilczym apetytem, kiedy nadchodziła pora posiłku. Gdy zacząłem wstawiać, Tarland zalecił mi oddychanie sztucznym powietrzem górskim i na wietlanie lampy kwarcowej. Wciąż nie wolno mi było pytać towarzyszy o martwe miasto i mieszkańców Wenery. Biolog motywował to tym, że przeszedłem wstrząs mózgu i powinienem unikać wstrząsów. Daremnie tłumaczyłem mu, że nie zaspokojona ciekawość jest wzruszeniem bardzo silnym. W odpowiedzi radził mi przebywać w Centrali, przy wielkich ekranach, gdy uważał, że w okresie rekonwalescencji nie ma nic bardziej uspokajającego od widoku gwiaździstego nieba. Po moim wypadku Kosmokrator krążył jeszcze przez sześć dni nad planetą, po czym oddalwszy się od niej spiralą rozciągniętych zwojów, zawrócił ku Ziemi.

Oczywiście, że oglądanie gwiazd wcale mnie nie uspokajało, a już na pewno nie mogło ugasić głodu wiadomości. Poty molestowałem Tarlanda, a wreszcie w trzecim dniu podróży, kiedy wyjmował mi szwy z zasklepionych ran, tak przyparłem go do muru, że zdecydował, iż mógłby dowiedzieć się wszystkiego.

Uczeni pracowali w kabinie Maraxa. Przez jakiś czas chodziłem po korytarzu. W tym dniu rano wyłazły czono silniki i rakieta leciała dziękując przyciętej sile Słońca. Panowała cisza tak absolutna, jakby wyjechała z wieczności. Kiedy wszedłem do korytarza, uczeni stali przy centralnym pulpicie Maraxa. Górne światła były przygaszone; ludzie rysowali się ciemnymi sylwetkami na tle zielonkawego jarzenia ekranów. Jednostajnie szumiały elektromotory. Z głośników Maraxa wywalały się kłębki metalowego drutu, biegły po łożkowanych płytach ku elektromagnesom i nawijały się z powrotem na szpule zawieszane na statywach. Czandrusekar przetrząsnął dworki. Koniec ostatniego drutu wił się przez chwilę na liskiej płycie pulpitu jak metalowy robak, zadygotał i znikł w nawojnicy. Pomruk przódów cichł. Wszystkie ekrany powlekała szarość, w której topniało zniechęcone rojowisko zielonych hieroglifów. Zapłoniała okrągła rura podsufitowa.

Arseniew przeszedł się po kabinie, grzbietem ręką potarł czoło, przystanął i spojrzał mi w oczy.

— Chcesz wiedzieć?

Skinę głowę.

— Nie jest łatwo złożyć z ocalałych fragmentów historii obcego gatunku... zwłaszcza kiedy to jest historia zagłady...

Ostatni brzask, tlejący na ekranach, przepadł. Stały teraz kręgi szare i martwe.

— Kroniki, które posiadamy, obejmują ułamki okresu stu osiemdziesięciu lat. Pierwszy zrozumiałe ustęp zawiera plan inwazji na Ziemię. Początkowo symbolem było opanowanie Ziemi było dla nich spełnieniem mitu religijnego i symbolem jego był wizerunek dwóch kół przekreślonych prostą, który spotykali my w ruinach, ale kroniki ukazują obraz całkowicie odmienny. Planetę zamieszkiwał gatunek istot obliczających. Półtora wieku temu, kiedy przystąpiły do realizacji planu, rozważały, czy ludzie mogą im do czegoś posłużyć, jeśli wszyscy, że nie zdadzą się na nic, postanowiły nas usunąć. Użyły w tym celu rodek, który nie przyczynił się szkody naszym miastom, drogom, fabrykom... aby mogły ich potem używać. Ci nie mieli promieniowania miało wyrzucić w stronę Ziemi chmur radioaktywnych. Potem, po spadku jonizacji, Biała Kula poczyniła miotał tysiące wozów i ludzi na powierzchni gotowej już na ich przyjęcie, bo martwej Ziemi. Chcieli zniszczyć życie z zachowaniem wszystkiego, co nim nie było... ale choć obliczali tak sumiennie, choć wzięli pod uwagę wszystkie wielkości, zapomnieli włączyć do rachunku jedną: samych siebie. Kiedy wielkie miotacze i Biała Kula były już na ukoniecznieniu, w ostatniej fazie realizacji planu zaczęły z sobą walczyć. Udało im się osiągnąć postawiony cel... tyle że na własnej planecie!

Całe otoczenie Arseniewa rozmywało się i nikło. Wpatrzony w jego twarz, widziałem ją jako biały plam na ciemnym, mrocznym tle. Z nieubłaganym spokojem cięgnięto:

— Ich stosunek do maszyn nie jest dla nas jasny. By może, stanowiły co w rodzaju najwyszej władzy państwowej. W każdym razie to one opracowały dokładny plan zaatakowania Ziemi. One tak je tworzyły plan walki.

— O co walczyli?

Arseniew podniósł palec drutów spoczywających na płycie, jakby go wyciągnął w dłoń.

— To nie jest jasne. By może, o prawo osiedlenia się na Ziemi. Było to społeczeństwo o wysokiej cywilizacji, rasa doskonałych konstruktorów i budowniczych, ożywiona wielkimi planami — niszczenia i panowania. Takie społeczeństwo musiało przędzej czy później zwrócić się przeciw sobie samemu. Wojna, zanim skończyła się kataklizmem, trwała dziesiątki lat. Niektóre jej fazy są dla nas zupełnie niepojęte, niezależnie od wielkich wyrw czasowych, jakie z niej w kronikach podziemnego archiwum. Ukryci pod powierzchnią gruntu, wymierzali sobie ciosy ładunkami zgromadzonej energii, zasypywali się chmurami jadowitych pyłów, wywoływali sztuczne przesunięcia i tektoniczne obawy gruntowe. Zużyli w walce ilość energii, która mogła ich planet przemienić w kwitnący ogród.

Wśród mieszkańców planety wyodrębniła się grupa istot o wysokiej inteligencji. Zadaniem ich było tworzyć rozumiejące maszyny i obsługiwać je. Istoty te przez pewien czas pozostawały pozornie neutralne, albowiem służyły obu stronom walczącym naraz. Między innymi dostarczały im planów zniszczenia.

— Ale to absurd.

— A jednak tak było. W miarę jak wojna się przeciągała, poziom cywilizacji upadał. Był to proces nierównomierny, wahania z okresowymi nawrotami wietności, spowodowane, jak się wydaje, czasowym zaciszem, po którym nastąpiły walki coraz gwałtowniejsze. Zależnie od ich wyniku wielkie centrale energetyczne zmieniały niejednokrotnie władców i były okresy, w których stały bezczynne, bo chwilowi zwycięzcy nie potrafili ich uruchomić z powodu braku dostatecznej wiedzy technicznej. Prawdopodobnie w tych czasach grupa istot „neutralnych” usiłowała uratować twory cywilizacji, kroniki i dokumenty w schronach budowanych wśród gór, w nie zamieszkałych pustkowiach. Na ruin takiego schronu natrafili my w czasie wyprawy do Białej Kuli. Potem jedna ze stron walczących poczęła brać górę. Była już tak pewna zwycięstwa, że wysłała na Ziemi pocisk, którego lot zakończył się katastrofą. Tu kroniki się urywają. Dalszego biegu wypadków możemy się tylko domyślać. By może, kataklizm nastąpił w czasie walki o opanowanie całego systemu energetycznego. By może, istoty, które go spowodowały, nie orientowały się dostatecznie w działaniu urządzenia. A może stało się inaczej, i kto wie, czy to nie jest najprawdopodobniejsze. Może zagrożeni klęską użyli ładunku deuteronów przeznaczonych do zniszczenia Ziemi...

— Kiedy to się stało?

— W kwietniu 1915 roku pewien młody uczonek belgijski opublikował pracę, w której zestawiał przeciwne roczne temperatury Wenus na przestrzeni czterdziestu lat. Wszystkie wahały się około czterdziestu stopni Celsjusza i tylko w ostatnim roku obserwacji temperatura podniosła się do 290 stopni Celsjusza. Zwykła ta trwała niespełna miesiąc. Jednakże były to czasy wielkiej wojny... nikt nie zajmował się wówczas astronomicznymi mrzonkami... i rzecz poszła w zapomnienie, uznana za błąd początkującego badacza...

Zabrzczął telefon. Oswiatcz wzywał astronoma do Centrali, gdy Ziemia pragnęła z nim mówić. Arseniew wyszedł.

— I wszyscy zginieli? — zwróciłem się do fizyka, który wci pochyłony nad pulpitem, przez wielkie szkło powiększające badał wykresy na fotografiach. Wszyscy? Jak to możliwe? Dlaczego nie ocalał nikt, nawet w najgłębszych podziemiach, tam gdzie jest ta czarna plazma... a może gdzieś w odległej części planety są jeszcze...?

— Istotnie nie mamy pewno ci, czy ani jedna z tych istot nie żyje — odrzekł Chi czyk — a jeżeli jesteście o tym przekonani, to dlatego, że pokładamy w ich geniuszu wielkie zaufanie. To brzmi szyderczo, ale tak jest.

Milczałem.

— Zniszczy siebie siebie, a tym samym niszczy się cały świat — to wielka i straszna pokusa...

Chi czyk patrzył na mnie spod przymrużonych powiek. Po chwili wszedł do kabiny Arseniewa. Był podniecony.

— Słuchajcie — zawołał — czy pamiętacie to miejsce „raportu”, które nas tak zdumiewało, gdzie mówi się o poszukiwaniu czegoś czy kogo poza mieszkańcami Ziemi? Przypuszczaliśmy, że podróżni statku międzyplanetarnego nie zwracali uwagi na ludzi, gdy szukali innych, jakich „prawdziwych” twórców cywilizacji... Teraz to się stało jasne! Na Ziemi opracowujecie jeszcze raz tłumaczenie „raportu” z pomocą materiałów, które my przekazaliśmy, i oto rezultat: oni nie szukali bynajmniej „twórców cywilizacji” ani w ogóle żadnych istot... lecz wypatrywali urzyski, które byłyby zdolne pochwycić niszczycielski ładunek i odrzucić go z powrotem w nich!

— Tak, to może być — rzekł Lao-Czu wstając. — Czy nadano pełny tekst?

— Na razie nie. Dubois przyrzekł mi podać go za pół godziny. Pójdź z mną, Lao, was tak może poproszę, kolego Czandrasekara, aby dziecię mógł przekazać dalszy ciąg obliczeń.

Matematyk, który pracował dotychczas w gabinecie Maraxa za ścianką izolacyjną, pojawił się mi zdziwionym jak drzwi tablicami rozdzielczymi. Stałem wciąż w tym samym miejscu. Uczniowie rozmawiali, ich głosy dochodziły mnie z wielkiej odległości.

— Taki był koniec... — powiedziałem. — Chcieli nas zgładzić... W tym jest coś niepojętego. Nie możemy tego zrozumieć; czy naprawdę byli uosobieniem zła?

Po tych słowach zaległa cisza. Czandrasekar, który pracował przy pulpicie, opuścił krzesło z narzekaniem.

— Nie wierzę w to — powiedział.

— To znaczy...

Czandrasekar odrzucił nagle koniec kabla na płyt Maraxa.

— Cóż wiemy o mieszkańcach planety? Nic. Nie znamy ich wyglądu, nie domyślamy się go nawet, nie wiemy, co wypełniało ich życie... z tysiący rzeczy naprawdę znamy tylko jedną: plan, który miał nas zniszczyć.

Przemilczał kilka sekund.

— Wiemy, że materia jest lepka i nie ma ponad nią żadnej Opatrzności, która prostowałaby drogi błędnych. Człowiek wnosi ład w niezmierną przestrzeń Wszechświata, bo tworzy wartość. Istoty, które podlegają zniszczeniu, choćby były najpotężniejsze, niosą w sobie własny zgub. Co mamy o nich myśleć? Wyobraźnia zawodzi, umysł cofa się przed ogromem cierpienia i miernoty, zawartym w słowach: zagłada planety. Czy mamy potępić jej mieszkańców? Czy Wenera zamieszkiwała potwory? Ja tak nie myślę. Czy najpotężniejsze wojny nie toczyły się na Ziemi pomiędzy społeczeństwami złotymi z garncarzy, wieśniaków, urzędników, cieśli, rybaków, malarzy? Czy miliony, miliony, które poległy w tych wojnach, były gorsze od nas? Czy w jakikolwiek sposób bardziej od nas zasłużyły na śmierć? Profesor Arseniew przypuszcza, że to maszyny posyłały mieszkańców Wenera do walki. Nie jest to zupełnie pewne, ale załóżmy, że tak było. Czy to nie maszyna posyłała ludzi na wojnę — szalona, chaotycznie działająca maszyna ustroju społecznego, kapitalizmu? Czy może wiedza, ilu Beethovenów, Mozartów, Newtonów zginała pod jej lepymi ciosami, nie dojrawszy do stworzenia nieśmiertelnych dzieł? Czy na Ziemi nie było istot, które robiły to, co panu, pilocie, wydało się szaleństwem — czy nie było handlarzy miernoty, którzy słuchali obu stron i walczyli i sprzedawali im broń?

Niejedn mo emy tu znale analogi . I nie jest to przypadek, bo musz istnie wspólne prawa, którym poddana jest historia istot rozumnych. Rozumnych... Jak gorzko brzmi to słowo w takiej chwili. Jest jednak mi dzy nami ró nica, tak wła nie wielka, jak mi dzy yciem a mierci . Energia, która miała run na Ziemi , stan ła nad wszystkimi miastami tego globu pod postaci ło c atomowych, ło c, które zabłyły nie na wieki, aby wspiera i tworzy ycie, lecz na jedno mgnienie — aby je zniszczy . W temperaturze milionów stopni kipiały i rozpływały si ich wspaniałe budowle, płon ły maszyny, p kały i topiły si maszty emitorów radioaktywnych, wybuchały rury podziemne, z których uciekała czarna plazma. Tak powstał krajobraz, który ujrzeli my tu w kilkadziesi t lat po katastrofie: ruiny, zgłiszczca, pustynie, lasy zakrzepłych kryształów, rzeki plazmy fermentuj cej w dzikich wozach i ta Biała Kula, ostatni wiadek kataklizmu, której rozregulowane, lecz wci jeszcze czynne nastawnie działaj , bezsensownie i chaotycznie wydatkuj c nagromadzon energi ... i b d tak działa , póki w podziemnych zbiornikach t ni jeszcze zasoby czarnej plazmy... Mo e to trwa setki lat... je eli si na tej planecie nie zjawi człowiek!

— Straszna spu cizna... — wyszeptalem.

— Tak — powiedział Arseniew — ale mamy prawo po ni si gn . Kiedy ludzie zacz li pojmowa , e s towarzyszami wspólnego losu i e ta sama gwiazda niesie ich poprzez przestrze , e s załog statku, jak my, i ycia ich ł cz si , jak nasze, bo zwrócone s w t sam stron — stan li nad przepa ci . W obliczu zguby, jak niosła mu historia, imperializm usiłował poci gn za sob cał ludzko . Walcz c z nim, walczyli my o co wi kszego ni nagi byt. Tylko odbijaj c si w oczach, które na nie patrz , kszałty materii nabieraj pi kna i znaczenia. Tylko ycie nadaje wiatu sens. Dlatego b dziemy mieli odwag powróci na t planet . Na zawsze zachowamy w pami ci jej tragedi , tragedi ycia, które powstało przeciw yciu i samo zostało zniszczone.

Arseniew podszedł do telewizora.

— Przyjaciele, Wenus to tylko etap. Wyprawa nasza jest pierwszym krokiem na drodze, której ko ca nikt z nas nawet si nie domy ła. Wierz , e przekroczymy granice układu słonecznego i pójdziemy dalej, e wst pimy na tysi ce ciał niebieskich, które wiruj wokół innych ło c, i nadejdzie — mo e za milion, mo e za miliard lat — czas, kiedy człowiek zaludni cał Galaktyk i wiatła nocnego nieba b d mu tak bliskie, jak wiatła dalekich domów. A chocia nie mo emy poj tych czasów, wiem, e dotrwa do nich miło , bo ona jest potwierdzeniem pi kna wiata w oczach drugiego człowieka.

Mówi c te słowa astronom stał przy ekranie. W mroku płon ła kurzawa gwiazd. Wydało mi si , e ich słaby odbłask pada na jego twarz. Dług chwil trwali my w milczeniu, jakby nasłuchuj c wołania z oddzielonych otchłani wiatów.

Zabrz czał telefon. Lao—Czu podniósł słuchawk . Odło ył j i spojrział na Arseniewa.

— Wzywa nas Ziemia.

*Kraków, XI 1950 — V 1951*